POLITYKA POMOCNIK HISTORYCZNY

Nr 1/2026 Cena 29,99 zł (w tym 8% VAT) Indeks: 403652 ISSN: 2391-7717

Piękne iluzje lat 90.

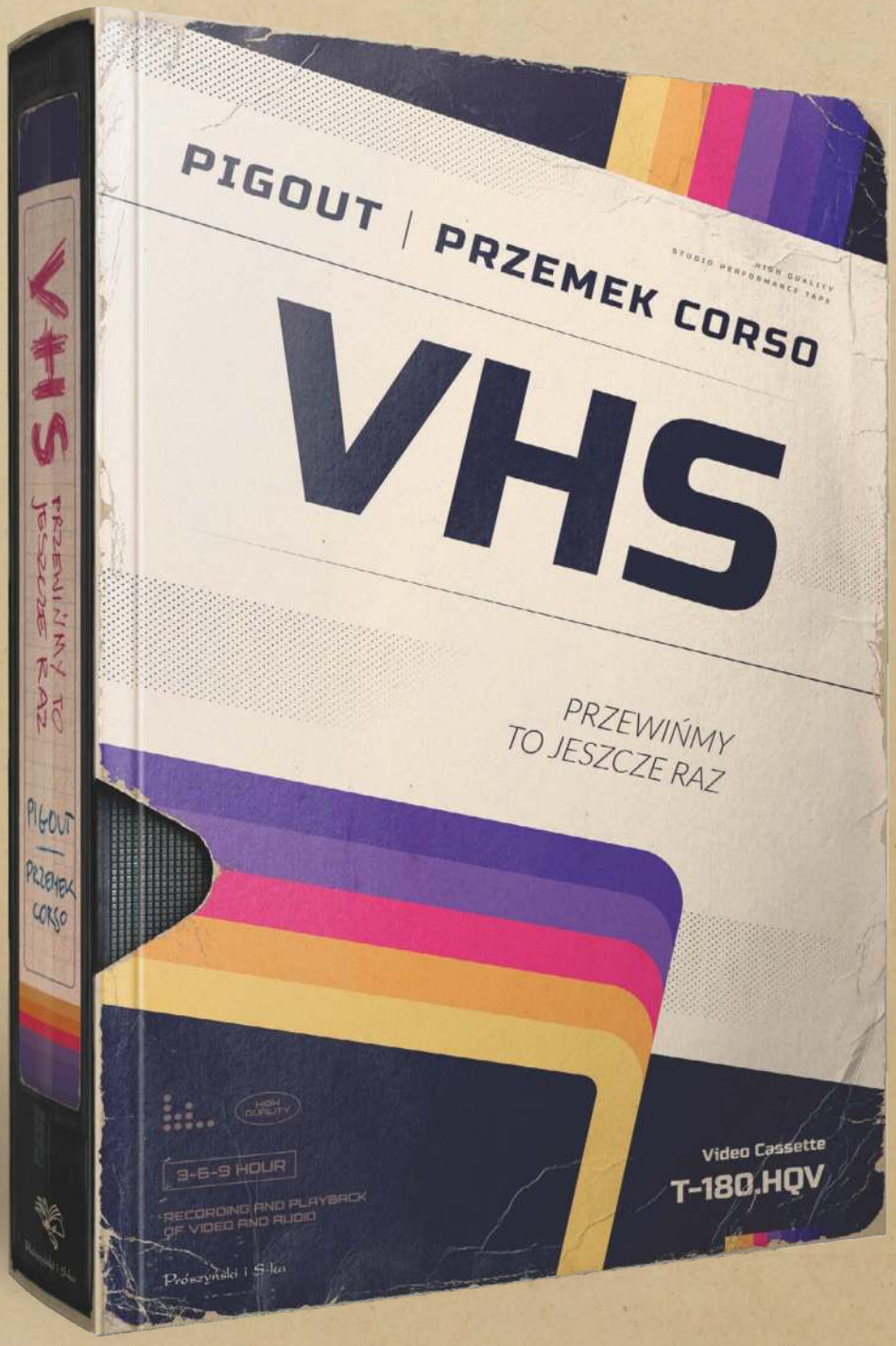
Najntisy

Dekada, w której świat był gotów patrzeć w przyszłość z optymizmem



ISSN 2391-7717

PIGOUT *I* **PRZEMEK CORSO** *W OPOWIEŚCI,*
KTÓRA WCIĄGA JAK MAGNETOWID TAŚMĘ!



NIECH MOC VHS-ÓW BĘDZIE Z WAMI!

Prószyński i S-ka

eprasa.pl fa89fff25f

Najntisy i niekoniec Historii

Świat trzęsie się w posadach, słychać głosy o nowej zimnej wojnie. Aż nie chce się wierzyć, że ledwie trzydzieści kilka lat temu, gdy Związek Sowiecki chylił się ku upadkowi i rozpadała się jego strefa wpływów, amerykański analityk Francis Fukuyama ogłosił koniec Historii (tej przez wielkie H). Zwyciężała demokracja liberalna i była nadzieja, że ostatecznie. Na placu boju pozostawały Stany Zjednoczone jako samotny strażnik globalnego porządku. Bywał ten żandarm hipokrytą, ale na sztandarach niósł idee demokracji, praw człowieka, norm międzynarodowych. Nastawał, jak pisał amerykański publicysta Charles Krauthamer, moment jednobiegunowy.

Dziś nie ma śladu po tych iluzjach. Świat stał się wielobiegunowy, do gardeł rzuca się sobie (i innym) wiele mocarstw, a amerykański strażnik, jaki mundur założył, każdy widzi. Stąd może u tak wielu tęsknota za optymizmem z lat 90. Polacy mogą dodatkowo pamiętać te lata jako dekadę transformacji ustrojowej, gospodarczej i społecznej, bolesnej, bo bolesnej, ale oznaczającej wyrwanie się z orbity Moskwy ku zachodniej cywilizacji. Werbalnie większość tego pragnęła. I szczyciła się, że Polska stoi na czele zmian.

Być może na nostalgii za latami 90. buduje się – przynajmniej w obszarze popkultury i obyczaju – moda na nie. W tym kontekście ciepło się mówi o *najntisach*. Powracają elementy mody, stylu, gadżety, slogany, motywy muzyczne. Młode pokolenie odkurza idoli i symbole tamtych lat, starsze na tę okoliczność przypomina sobie siebie sprzed kilku dekad i się rozmarza.

Postanowiliśmy zatem dokładniej przyjrzeć się latom 90. XX w. Opisać je w wielu płaszczyznach. Pamięć bowiem lubi płatać figle, odkurzmy ją nieco. Nie każdy wszak musiał być wówczas optymistą, było wystarczająco dużo obiektywnego wykluczenia lub subiektywnego poczucia straty, którymi karmiły się potem zjawiska dziś agresywnie widoczne, np. populizm.

A jednak odkryjemy w tamtych latach wiele podstaw do optymizmu. Nie wszystko należałoby dziś uznać za iluzję. Inna sprawa, dlaczego sprawy potoczyły się tak, jak potoczyły i to już historia na inną opowieść.

Tymczasem zapraszamy do najntisów.

Jerzy Baczyński
Redaktor naczelny
POLITYKI

Leszek Będkowski
Redaktor „Pomocników Historycznych”

eprasa.pl fa89fff25f





Od lewej: Lech Wałęsa, prezydent RP 1990-95, wraz z żoną Danutą podczas składania prezydenckiej przysięgi przed Zgromadzeniem Narodowym, 22 grudnia 1990 r. • Aleksander Kwaśniewski, prezydent RP 1995-2005, wraz z żoną Jolantą podczas składania prezydenckiej przysięgi przed Zgromadzeniem Narodowym, 23 grudnia 1995 r.

Spis treści

Prolog. Barwy postkomunizmu	9
Przez wielkie H	17
Amerykański strażnik globalnego porządku	20
Rok 1989, Polska	24
Dekada zapomnianych marzeń	29
Narodziny III RP	37
Krzątanina przy fundamentach	46
Wolnoamerykanka	55
Jak za oceanem	61
Przypowieść o dekadzie	62
Zachodni format, wschodni budżet	69
Zapraszamy do reklamy	70
Z kraju pokemonów	72
Reglamentowane gwiazdorstwo	73
Kaczor Donald, Funky Koval	74
Każdy sobie rzepkę skrobie	76
Od punkowca do hipstera	78
Więcej grzechów nie pamiętam	86
Sieć optymizmu	90
Koniec świata amatorów	99
Czempioni końca wieku	106
Pershing wychodzi z cienia	108
Gorące tematy	114
Słodsza wersja pamięci	122

Detale

Francis Fukuyama	18
Błękitne hełmy	30
Światowa Organizacja Handlu	33
Lech Wałęsa	38
Lustracja	40
Nowa konstytucja	41
Polska w NATO	43
„Ślizg”	80
Napster. Muzyka z sieci	91
Kino. Przygody zabawek	92
Doom. Gra z użytkownikami	95
Cuda w tej budzie!	101
Kto i gdzie wskrzesza klimat dawnych lat	129

Z „Polityki” lat 90.

Na zakupach	10
Obywatelskie pogaduchy	12
Panowie bracia i towarzysze	13
Jarmark Europa na Stadionie Dziesięciolecia	16
W drodze do Europy	34
Czeczeńska lekcja	35
Lęk przed Europą	44
Giełda i prywatyzacja	49
Pieniądz i etyka	51
Rodowody biznesmenów	52
W kolejce po udziały	53
Pirackie wideo	56
Bazarowy stolik z kasetami	57
Apetyt na telewizję	59
Gorączka sobotniej nocy	60
Rock w polityce	64
Muza epoki komputera	66
Wyścig po widownię	67
Zobaczone w Jarocinie	80
Antymieszczanie z baraku	82
Na Jelonkach	84
Jak to z koncesjami było	96
Z życia kibiców	102
Zapasy narodowe	103
Jędruś padł	104
Strzały w George’u	111
Nie do ochrony	112
Lechu, wróć	116
Artyści biznesu	120



Na okładce: Popkulturowe symbole i gadżety z lat 90. XX w.

eprasa.pl fa89fff25f

Pulsar – serwis popularnonaukowy POLITYKI

POPULARYZATOR NAUKI 2024 i 2025

projektpulsar.pl

Wszystko, co warto wiedzieć o nauce:

- **naukowe newsy** – najważniejsze odkrycia, najnowsze wyniki badań
- artykuły naukowe z bieżących wydań **„Polityki”**
- aktualne wydania **„Wiedzy i Życia”** – pisma, które od ponad 100 lat przybliża zdobycze nauki i techniki
- aktualne wydania **„Świata Nauki”** – polskiej edycji renomowanego pisma „Scientific American”
- bogate **archiwum tekstów** najlepszych dziennikarzy naukowych oraz ekspertów i badaczy w swoich specjalizacjach

...i jeszcze więcej:

- recenzje najgorętszych książek popularnonaukowych
- cotygodniowy newsletter Pulsara
- podkasty **„Pulsar nadaje”** – już ponad 170 rozmów z najciekawszymi polskimi naukowcami

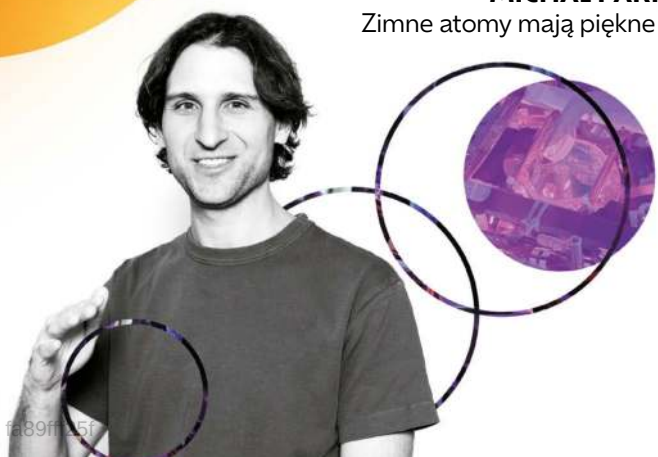
KAROLINA HANSEN:
Jak nas słyszą, tak nas widzą



GABRIELA CZARNEK:
AI ma też patent na wybory



MICHAŁ PARNIAK:
Zimne atomy mają piękne zalety



Zaprenumeruj nas:
projektpulsar.pl

eprasa.pl fa89ff...5f







Od lewej, od góry: Godło Polski w sali posiedzeń Sejmu; orzeł odzyskał koronę 31 grudnia 1989 r. • Reżyser Andrzej Wajda na planie zdjęciowym filmu „Pan Tadeusz" według Adama Mickiewicza, Łomianki, lipiec 1998 r. • Poetka Wisława Szymborska z medalem literackiej nagrody Nobla, Sztokholm, grudzień 1996 r.

Autorzy

Edwin Bendyk – publicysta zajmujący się problematyką cywilizacyjną, prezes zarządu Fundacji im. Stefana Batorego, dziennikarz POLITYKI.

Błażej Brzostek – dr hab., prof. UW, historyk, pisarz, Wydział Historii Uniwersytetu Warszawskiego.

Jakub Demiańczuk – krytyk filmowy i komiksowy, współpracownik POLITYKI.

Olga Drenda – etnolożka i antropolożka, eseistka, pisarka, tłumaczka, stała felietonistka „Tygodnika Powszechnego".

Malwina Dziedzic – dziennikarka POLITYKI.

Marcin Fatalski – dr, historyk, Zakład Amerykanistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Andrzej Fąfara – dziennikarz sportowy, pisarz.

Rafał Kalukin – publicysta, komentator polityczny, dziennikarz POLITYKI.

Marcin Kołodziejczyk – reportażysta, pisarz, dziennikarz POLITYKI.

Violetta Krasnowska – reportażystka, dziennikarka POLITYKI.

Jarosław Kuisz – historyk państwa i prawa, analityk polityki, eseista, pisarz, redaktor naczelny „Kultury Liberalnej".

Tomasz Nałęcz – dr hab., prof. Uniwersytetu Warszawskiego, historyk i polityk.

Mirosław Pęczak – dr hab., prof. UW, kulturoznawca, pisarz, kieruje Zakładem Interdyscyplinarnych Badań nad Kulturą na Wydziale Pedagogicznym Uniwersytetu Warszawskiego, współpracownik POLITYKI.

Piotr Sarzyński – krytyk sztuki, dziennikarz POLITYKI.

Joanna Solska – publicystka ekonomiczna, pisarka, dziennikarka POLITYKI.

Michał R. Wiśniewski – pisarz, publicysta, specjalizuje się w kulturze popularnej i cyfrowej, współpracownik POLITYKI.

Mateusz Witkowski – podkaster, krytyk muzyczny i popkulturowy, felietonista POLITYKI.

Łukasz Wójcik – publicysta zajmujący się tematyką światową, kierownik działu zagranicznego POLITYKI.

Aleksandra Żelazińska – publicystka, redaktorka naczelna serwisu internetowego Polityka.pl.

Oraz
Daniel Achenson, **Jan Wróbel**, **Łukasz Zelent** – studenci V roku Wydziału Historii UW, uczestnicy warsztatów dziennikarskich prowadzonych przez prof. Marcina Zarembę.

Roczniki POLITYKI z lat 90. przejrzała **Justyna Sadowska**, kierowniczka działu archiwum tygodnika.

eprasa.pl fa89fff25f

POLITYKA słuchaj i oglądaj

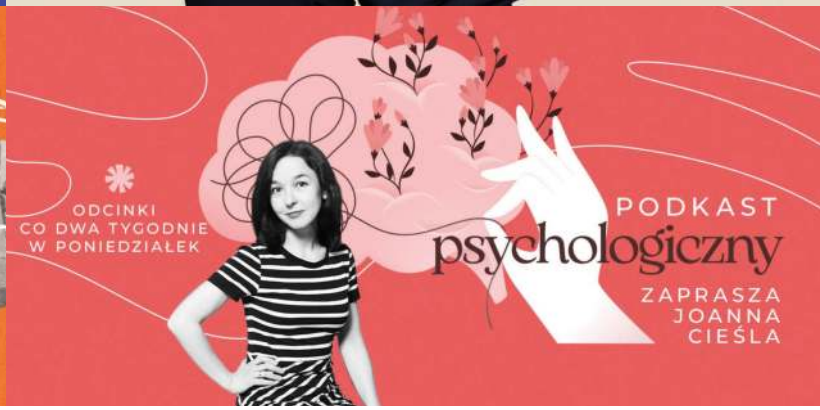












Rozmawiamy nie tylko o polityce.
Poruszamy sprawy, które mają znaczenie.
Szukamy odpowiedzi na trudne pytania.

youtube.com/@Tygodnik_Polityka **polityka.pl/podkasty**

eprasa.pl fa89fff25f



W centrum Warszawy, początek lat 90.

eprasa.pl fa89fff2

Prolog

Barwy postkomunizmu

Życie codzienne Polaków w ostatniej dekadzie XX w.

Błażej Brzostek

Wspomnienie nastolatka. Wrzesień 1991 r., wracam z ZSRR pociągiem Polonez po tygodniu na wymianie szkolnej. Utonęliśmy tam w szarości Moskwy, monumentalnej i smutnej. Sklepy były puste, w przedsionkach starsze kobiety trzymały spódnice i buty na sprzedaż. Jeden wieczór spędziłem u moskiewskiej rodziny. Dla gościa z zagranicy postarano się o dobrze zastawiony stół. Po raz pierwszy w życiu jadłem oliwki. Lecz nastrój był ciężki: wielka ojczyzna rozpada się, co dalej? I oto jestem w Warszawie, jadę z Dworca Centralnego taksówką (Škoda Favorit) i widzę budki, budeczki, stragany, stoiska – szyldy, reklamy, barwy!

To jedno z wyrazistych wspomnień, jakie mam z transformacji, epoki Balcerowicza, najntisów czy jak jeszcze się to dziś określa. Wspomnienie karłowatej, improwizowanej architektury budek i straganów, wciskającej się wszędzie jak dzika roślinność. Porastającej wyboiste chodniki, zapuszczone place, kostropate budynki. Kwitnącej wokół warszawskiego Pałacu Kultury, daru Stalina, symbolu upadłego systemu. Pod pałacem mówiono po rosyjsku – z ruin ZSRR przyjeżdżały kopcące autokary wyładowane towarem, osobowe Żyguli zgięte pod tobołami przytroczonymi do dachu.

Pasaże postkomunizmu. Handel nadawał kolor ulicy. Czerwone i kremowe kioski jugosłowiańskie, które właśnie zaczęto sprowadzać do Polski, choć projekt był z lat 60. (ładny, ale kto myślał o dizajnie?), różnobarwne kioski polskie, tzw. szczęki, czyli blaszane stragany zamykane na noc. Przyczepy kempingowe nie były nowością – pojawiły się w centrach miast już u schyłku Gierka. Po 1976 r. wśród galopującego kryzysu luzowano niektóre przepisy duszące prywatną inicjatywę. Pozwolono na to, co dziś nazywa się *street foodem*. Tak przyczepa, która miała zaspokajać turystyczne marzenia obywateli PRL, stała się okienkiem z zapiekankami albo hot dogami. Wtedy także otwierać się zaczęły liczniejsze warzywniaki i butiki, czyli małe prywatne sklepy z ubraniami, atrakcyjne i drogie.

Po 1989 r. zaczęły się rozrastać niczym roślinność subtropikalna. Budki pączkowały, tworzyły wianki, zlepy, ciągi. Niektóre nazywano pasażami. Oto „paryskie pasaże" postkomunizmu: kurczaki z rożna, kasety muzyczne, kosmetyki, buty, czapki, torebki, kuchnia wietnamska. Plastikowe stoliki i krzesła. Obok stragany z łóżek polowych: koszule, biustonosze, książki. Płachty rozłożone na chodniku – budziki, zegarki Mołnia, przedłużacze elektryczne, żarówki, ciuchy. Góry ciuchów na folii, w kartonach.





Od góry: Jarmark Europa, największy wówczas bazar nie tylko w Polsce na nieistniejącym już Stadionie Dziesięciolecia w Warszawie, 1995 r.

Kieleckie, 1990 r.

I uliczne stoiska mięsne, nieraz w towarzystwie okrwawionych pieńków z siekierą.

Handel ten miał wiele pięter. W ciągu miesięcy i lat kumulowały się kapitały, pojawiali się przedsiębiorcy zdolni rozstawiać swoich handlarzy w wielu punktach miasta, a potem budować dla nich bazary o dachach z poliuretanu. W latach 90. budki i bazary stanowiły pierwszy obraz polskiego miasta po opuszczeniu dworca. W Krakowie bazar otwierał się na wprost XIX-wiecznej głównej stacji kolejowej, spowijając dworzec PKS i peerelowski bar Smok. Przed stacją Łódź Fabryczna ciąg różnokolorowych budek jugosłowiańskich oferował ciepłe kanapki z pszennej buły, w której znajdowało się krojone mięso

eprasa.pl fa89fff25f

POLITYKI

Na zakupach

Po świątecznej przerwie ludzie znów ruszyli na – wydawałoby się – już opustoszałe sklepy. Kupowano wszystko, co można było jeszcze kupić po starej cenie. W czwartek 4 stycznia w warszawskim Sezamie została już tylko mąka krupczatka, a pani z hurtowni zapowiedziała, że następna dostawa cukru będzie już po 7 tys. W piątek (…) w Hali Mirowskiej cukier wystawiono po 7200 zł, a telewizja doniosła, że w Gdyni sprzedają po 10. (…)

Nie bardzo wiadomo, jak odnieść się do cen jajek i kurczaków. Tych pierwszych w sklepach nie ma (z wyjątkiem Uniwersamu, w którym stoją po 590 zł za sztukę). Z samochodu można kupić po 480, na bazarze po 700 zł. Kurczaki sklepy oferowały w czwartek jeszcze po 6300 zł za kilogram. Ci, dla których ta cena była nowa, odchodzili. Ale jedna pani usłyszała od innej pani, której sąsiadka pracuje w Poldrobie, że tam już mają nowe cenniki i jajka będą po tysiąc, a kurczaki po 20 tys. Dziś każda plotka jest prawdopodobna (…)

Na stacjach benzynowych zrobiło się luźno jak nigdy. W Warszawie – jak na Zachodzie! Podjeżdżasz, a tu pan pompiarz z uśmiechem już na ciebie czeka. (…) – *Ludzie przestali lać do kanistrów, a nawet do pełna* – powiada ajent. – *Miałem już klientów biorących po 5 litrów. Nie wszyscy zresztą wiedzieli o nowej cenie w wysokości 2400 zł i czasami zdumienie, gdy trzeba było płacić rachunek ponad 50 tys. zł.* (…)

W Warszawie za taksówkę (…) płaci się teraz: licznik razy 100. Pasażerów mało. (…) Za samo wejście płaci się teraz trzy tysiące złotych. Kurs z jednego krańca Warszawy na drugi, przy normalnej taryfie, musi kosztować około dwudziestu pięciu tysięcy. Za te pieniądze można dojechać ekspresem do Zakopanego. (…)

W banku na placu Powstańców w Warszawie kolejki nie mniejsze niż pod koniec ubiegłego roku. (…) Część klientów jest jednak wyraźnie zdezorientowana. Nie rozumie, co się tutaj dzieje ze skupem i sprzedażą dolarów. W banku jednocześnie, na tej samej sali, odbywa się skup po kursie oficjalnym, czyli po 9310 zł, działa kantor, który za dolara płaci 9200 zł, a przed drzwiami kłębią się konie, zachęcając obywateli do sprzedaży za 9100 zł. (…) Obok, w banku PKO SA, sytuacja jest jeszcze dziwniejsza. Teoretycznie wszystkie jego oddziały powinny kupować od ludności dolary po kursie oficjalnym. (…) dotychczas, z oczywistych względów (niski oficjalny kurs), nie było chętnych do takich transakcji. (…) Po raz pierwszy po wojnie oficjalny kurs dolara jest wyższy od wolnorynkowego. Bankowe okienka są oblężone. Jeśli czegoś brakuje, to nie dolarów, lecz złotówek. (…)



Otwarcie sklepu spożywczego w Skaryszewie, marzec 1990 r.

W renomowanej warszawskiej spółdzielni lekarskiej Medica (…) zawsze był tłok. (…) Dziś (…) przychodnia zieje pustką. (…) Ile kosztuje wizyta? Ta najdroższa, u profesora, 10 tys. zł. (…). Pani wychodząca właśnie z jednego z gabinetów Mediki nie kryje zadowolenia. – *Przyszłam i od razu weszłam! Wreszcie lekarz czeka na pacjenta, jak na całym świecie, a nie odwrotnie.* (…)

– *Widzi pan, jak się ludzie wycwanili?* – mówi kierowniczka dużej kwiaciarni. – *Kupować jeszcze kupują, ale co?* Faktycznie. Co kto wejdzie, mówi: – *Proszę jedną gerberę.* (…). – *Dla mnie jedna frezja.* Raz tylko oko kierowniczki rozbłysło: ktoś zamawiał wieniec; to już, skromnie licząc, kilkadziesiąt tysięcy złotych. Ludzie, chwała Bogu, umierają, jak należy. Ale cóż, z samych pogrzebów nawet ksiądz nie wyżyje, co dopiero kwiaciarka. Trudno więc, zmieni branżę. Tylko jaka dzisiaj branża jest dobra?

Joanna Solska, Andrzej Mozołowski, Paweł Tarnowski, „Sceny z życia gospodarczego", POLITYKA 2/1990

albo kotlet zalany majonezowym sosem i zasypany sałatą, w którą sprzedawcy wbijali plastikowy widelec. Podobne specjały sprzedawane w budkach wrocławskich nazywano knyszami.

Za dnia wokół budek roznosiły się zapachy roztopionego sera żółtego i kebabu, ale nocą martwe labirynty pasaży ulicznych stawały się schronieniami dla pijących i sikających. Dlatego niektóre skupiska takiego handlu zatrudniały ochroniarzy mających przepędzać intruzów. Kapitał dorodniejszy, ale wciąż rozproszony, anektował w tamtych latach również wnętrza podupadłych państwowych i spółdzielczych domów towarowych. Jak na ulicach, tam także rozwinęła się logika prywatnych stoisk. Zaprojektowana w latach 60. czy 70. otwarta przestrzeń zamieniała się w bazar pod dachem, chociaż raczej o standardzie butików niż budek. Nie pojawiały się jeszcze malle, będące implantami wielkich kapitałów międzynarodowych, więc kapitały małe i średnie rozpychały się w przestrzeniach, jakie zostawił PRL.

Przestrzenie te były siermiężne. Ciężkie i niedomykające się drzwi sklepów, ich posadzki, których ubytki zamazano zaprawą, na szybach obłażąca farba napisów „Sam Spożywczy", „Wędliny", „Nabiał", „Pralnia Alba". Niektóre wnętrza patroszono dla nowych sklepów, które miały być europejskie. Fragment szczerbatego chodnika przed wejściem zastępowano kolorową kostką betonową. Rzemieślniczo zrobione stare drzwi wyrzucano, wstawiając plastikowe. Posadzkę z mozaiki zastępowały panele. Gorszy materiał wypierał lepszy, ale było czysto i barwnie. Nowe sklepy nazywano salonami. Niektóre urządzano naprawdę kosztownie, na wzór magazynów berlińskich. Lecz Marszałkowska nie była Kurfürstendamm. Sklep Lord z kosztowną odzieżą błyszczał obcością w zgrzebnym otoczeniu. Luksus manifestowany przez Mercedesy, płaszcze Hugo Boss i buty Salamander nie znajdował podłoża. Jezdnie były dziurawe, spod obluzowanych płyt chodnikowych tryskało błoto.

Mentos to przyjaciel twój. Inflacja sięgnęła 250 proc. w 1989 r. i 585 proc. w roku następnym. Życie społeczne wpadło w zadyszkę – starano się jak najszybciej wydać zarobione pieniądze, bo następnego dnia były mniej warte. Stąd gorączkowy ruch na bazarach i rozkwit kantorów wymiany walut – oparciem dla gospodarki był dolar. Za dolary kupowano mieszkania i samochody. Kto zarabiał w tzw. walucie, czuł się pewnie. Reszta żyła z dnia na dzień. W 1991 r. inflacja wyniosła 70 proc., co przyniosło ulgę, a w następnych latach zmalała na tyle, że można było w 1995 r. skreślić na banknotach cztery zera i wprowadzić do obiegu nowe złote, zwane międzynarodowo PLN. Powrócił bilon. Inflacja wciąż przekraczała 20 proc., ale czym to było wobec niemal 200 proc. w Rosji (1995 r.) czy 1 tys. proc. w Bułgarii (1997 r.)? Inaczej mówiąc, od połowy dekady można było planować życie codzienne. Na przykład odkładać pieniądze w banku, i to nie w walucie.

W 1989 r. istniało w Polsce ok. 20 banków, obsługujących przede wszystkim interesy państwa i jego przedsiębiorstw. Kilka lat później działało już 80, które kredytowały przede wszystkim prywatny biznes. Natomiast u progu XXI w. pracowało już niemal 600 banków (wraz z oddziałami). Oznaczało to, że społeczeństwo zostało wprzęgnięte w system bankowy, który zaczął współtworzyć codzienność wraz ze swoimi sieciami bankomatów i kart płatniczych. Znikało też stopniowo określenie „ciułacz", odnoszące się do obywatela, który próbuje oszczędzać wśród niedoboru i bez perspektyw.

Perspektywy rysowały się teraz w kolorowych reklamach, które miały uwodzić szarych ludzi, naklejane na okna mnożących się oddziałów bankowych. Pierwszy

eprasa.pl fa89fff25f

w Polsce bankomat zainstalowano w Warszawie w 1987 r., do połowy następnej dekady istniały tylko w dużych miastach. Ale w 1999 r. działało ich już 12 tys., potem ta liczba podwajała się co dwa lata. Systemy Visa i Mastercard, powstałe na Zachodzie w latach 70., stały się powszechnie używane. Pierwszą kartę dla klienta indywidualnego (a nie firmy) wprowadził bank Pekao w 1991 r., a w ciągu 20 lat liczba używanych kart zbliżyła się do liczby mieszkańców. Pozostała jednak na tle Europy niska: w 2011 r. na obywatela Polski przypadać będzie 0,8 karty przy średniej europejskiej 1,5 (w Szwecji 2,15).

Wraz z rynkiem pojawił się konsument szukający w zakupach potwierdzenia swej wartości. Nie dla niego był warszawski Lord, wciąż raczej bazarowa budka. Lecz wielkie koncerny międzynarodowe interesowały się wschodzącymi rynkami, jak to nazywano, mierzyły lokalną siłę nabywczą i perspektywy wzrostu. Szykowały się do wchodzenia na nowe terytoria. Znakiem tego było pojawienie się supermarketów – Rema 1000 czy Billa – które stanowiły wyzwanie dla planktonu sklepikowego czyniącego polski biznes jednym z najdrobniejszych w Europie.

Po przeminięciu fali hiperinflacyjnej rozpoczęła się gorączka zakupów. Do dóbr najważniejszych należał kolorowy telewizor. W pierwszej połowie lat 90. pozbywano się ostatnich czarno-białych Antaresów czy Neptunów, zastępując je telewizorami Otake albo Curtis. Były to odbiorniki na pilota, co stanowiło wielką atrakcję. Można było z kanapy zmieniać kanały, których przybywało – zarówno możliwych do złapania na antenę prywatnych stacji, zwłaszcza z oferty kablówek (inne słowo klucz epoki), czy też dzięki mnożącym się na fasadach bloków talerzom telewizji satelitarnej. W 1991 r. pewien mieszkaniec niewielkiego miasta, który właśnie utracił pracę w branży budowlanej, pokazywał z dumą nowy kolorowy telewizor z pilotem: „Chodzi jak zegarek!". Spędzał teraz przed nim długie godziny. Pozorny paradoks, jakim było zaopatrywanie się przez gospodarstwa pogrążone w kryzysie w nowy sprzęt tv czy wideo, był zupełnie zrozumiały w perspektywie ich życia: próbowały zorganizować sobie jakiekolwiek przyjemności pozwalające zapomnieć o pustce dnia. Skakanie po kanałach stało się elementem małego domowego dobrostanu.

„Czy lubi Pani Atlas, czy Atlas Pani zna? Ja Pani wytłumaczę, co Atlas Pani da!" – śpiewał Andrzej Rosiewicz w telewizyjnej reklamie kleju. Mężczyźni tłumaczyli kobietom, dlaczego taki proszek do prania usunie wszelki brud, a taka pasta do zębów jest lepsza od innych (wtedy występowali w kitlach lekarskich). Przejęte i uszczęśliwione gospodynie z ekranu przyjmowały te dobrodziejstwa, wprowadzające do nowego życia, obowiązkowo rodzinnego, wokół stołu w pięknej kuchni. Bohaterowie reklam często poruszali ustami w rytm zdań niemieckich czy angielskich, a nie polskich, ale szczerze cieszyli się cukierkami Werthers Original albo wypranymi koszulami. Dziękuję ci, Omo, pasta Kiwi but ożywi, Cif prawdziwa świeżość w łazience, Chio Chips dla młodszych oraz starszych, Mentos to przyjaciel twój, Cola Cao to zdrowe kaloryczne kakao, Bounty smak raju, a kawy Jacobs filiżanka najlepsza chwila poranka.



Okolice dworca autobusowego Warszawa Stadion, grudzień 1993 r.

Odrobina luksusu. Reklamy przeplatały się z serialami, które także przedstawiały atrakcyjne elementy codziennego życia. Na rynku pojawiały się zaś dobra, które dotąd można było tylko zobaczyć na ekranie, jak masło orzechowe, bohater amerykańskich seriali dla młodzieży. Chodziło o odrobinę luksusu, jak w reklamie dezodorantu Fa orzeźwiającego jak poranna bryza. Trudno było mierzyć się z luksusem prawdziwym, ukazywanym w „Dynastii", chociaż „amerykańskie" domy budowano właśnie na obrzeżach miasteczek, często dzięki pieniądzom przysyłanym przez rodziny w USA. Przed nimi trawniki wymagające regularnego strzyżenia, zamiast poczciwego ogródka z malwami.

Domową odrobiną luksusu były sprzęty codziennego użytku. Pozbywano się starych sokowirówek i prodiży, kupowano czajniki elektryczne (dotąd rzadkość), ekspresy do kawy, nietłukące się szklanki Arcoroc. Poważniejszą inwestycją były baterie umywalkowe z dźwignią zamiast kurków (jak w McDonaldzie!), kabina prysznicowa zamiast żeliwnej wanny oraz plastikowe okna, których nie trzeba już było na zimę uszczelniać gazetami czy watą, a które zapewniały domowe ciepełko ulubione przez mieszkańców Polski. Otwierał się sezam z meblami: pierwszy sklep koncernu IKEA otwarto na warszawskim Ursynowie już w 1990 r. Ludzie oblegali pawilon, który z zewnątrz przypominał typowy peerelowski sklep o okratowanych oknach, ale wewnątrz oferował niezwykłe atrakcje. Na kanapach i krzesłach można było usiąść, a szafki otwierać, co dotąd nie wchodziło w zakres wyobrażeń o sklepie meblowym.

Meblościanki, na które jeszcze kilka lat wcześniej czekano w kolejkach społecznych, straciły swój urok. Usuwano boazerie, oznakę dobrostanu lat 70., a także ozdoby w rodzaju mat na ścianie z wpiętymi znaczkami klubów sportowych czy wiklinowe pająki. Likwidowano zasłonki z plastikowych kolorowych pasków albo drewnianych koralików, zastępujące drzwi do kuchni. Zrywano posadzki z lenteksu, kładziono panele. W drugiej połowie lat 90. by-



Guma do żucia.

eprasa.pl fa89fff25f

ła to już tendencja w dużych miastach powszechna, wzmocniona przez zmiany kulturowe, do których należało pojawienie się postaci singla i singielki, ludzi decydujących się na życie bez osobistych zobowiązań i bez dzieci. Ci przebudowywali mieszkania w blokach, likwidując małe pokoiki i kuchenki, tworząc jak największą przestrzeń otwartą. W nowych budynkach mieszkalnych, które zaczęto nazywać apartamentowcami, przestrzeń taka – często z wyspą kuchenną – była już rzeczą oczywistą.

Lecz po kres stulecia i dłużej znaczna część mieszkańców Polski miała mieszkania z lenteksem, meblami wyszkowskimi wystanymi w PRL i starą armaturą. Na tym także polegała relatywna deprywacja, zjawisko nasilające się w epoce postkomunizmu. Nie broniła przed nią nawet poprawa jakości własnego życia – bo jakość życia sąsiadów czy znajomych mogła poprawiać się szybciej. Oto wróg reklamowej satysfakcji! Nie dla nas nowy samochód, zabudowa kuchni, wycieczka do Tunezji czy Egiptu. Wedle badań z lat 90. większość pracujących nigdzie na urlopy nie wyjeżdżała. Spędzała je w domu.



Dyskietki komputerowe.

Nie musiało to oznaczać bezczynności i siedzenia przed telewizorem. Utrzymywał się peerelowski męski etos majsterkowania, ciągłego poprawiania we własnym zakresie wnętrza mieszkalnego. Nowym zjawiskiem było zaś nasilone wyrzucanie, pozbywanie się, likwidowanie złogów przez lata narastających, bo „jeszcze się przyda". Stare suszarki do włosów, grzałki do wody, gramofony i radioodbiorniki, pralki wirnikowe leciały na śmietnik, były wystawiane przed dom, wywożone do lasu lub wrzucane do smródki, czyli osiedlowego cieku wodnego. Nie znano pojęcia elektrośmieci, nie troszczono się przesadnie o plastik. Torebki plastikowe były wręczane darmo w każdym sklepie, a napoje sprzedawano w plastikowych butelkach, przed 1989 r. widywanych chyba tylko w sklepach dolarowych. Torebki unosiły się więc wokół bazarów, powiewały na gałęziach drzew, a butelki i puszki walały przy śmietnikach, tak jak

POLITYKI

Obywatelskie pogaduchy



Kolejka tirów do przejścia granicznego z Białorusią w Kukurykach, wiosna 1998 r.

Jak chcą niektórzy – to nie Solidarność czy kontrakt Okrągłego Stołu otwarły drogę ku demokracji i wolności. Uczyniło to radio CB (Citizen Band), czyli pasmo obywatelskie. (…) Wystarczy kupić radyjko (…) wraz z anteną, zamontować je w domu lub samochodzie (…), znaleźć 28. kanał, wywoławczy, jeden z czterdziestu udostępnionych dla CB i przedstawić się: tu „Wodnik", jestem nowy. Wszystkich nowych witają serdecznie, starzy *siberzy* pomagają wejść w ten świat (…). Powiedzą, jak dostroić antenę i odbiornik, żeby samemu być słyszanym najlepiej i nie przeszkadzać innym. (…) Używanie CB radia nie wymaga zezwoleń ani egzaminów. Wystarczy zarejestrować urządzenie w oddziale Państwowej Inspekcji Radiowej, gdzie wydają kartę z numerem. (…).

Siberzy mówią, że eter nie lubi ciszy. Więc gadają. O sprzęcie, na jakim pracują, słyszalności, nowinkach technicznych. Panie omawiają często menu, rozmawiają o strojach, zaopatrzeniu: przed świętami najpopularniejsze było pytanie, gdzie można kupić biały ser. Przez CB radio wzywa się taksówkę (kanał 2), policję, pogotowie – kanał 9. jest na całym świecie kanałem ratunkowym; można tą drogą poprosić o pomoc w każdej niemal sprawie. (…)

Radio CB stało się remedium na chorobę naszych czasów – atomizację społeczeństwa i znieczulicę. (…) Fala obywatelska zrodziła ruch obywatelski. (…) W Polsce, gdzie łączność telefoniczna jest szczątkowa, CB radio zastępuje telefony. Ludzie, którzy przez dziesięciolecia nie doczekali się instalacji, mają wreszcie możliwość kontaktu ze światem. Kupiła tę metodę zwłaszcza wieś (…). Coraz częściej słyszy się więc plotkujące sąsiadki, wołanie na obiad (…) czy gospodarskie rozmowy. (…)

Pierwsi byli hobbyści, tacy, których pasjonowały nowinki techniczne, krótkofalowcy (…) powracający z Zachodu. Powoli grono rozszerzało się (…) robił się tłok w eterze. (…) Lawina ruszyła – radia CB używali taksówkarze (…), biznesmeni, właściciele sklepów, handlu obwoźnego, lekarze. Początkowo była to zabawa dla bogatych, dziś coraz częściej słyszy się w eterze ludzi samotnych, chorych, inwalidów (…) Radio jest jedyną formą kontaktu dla Zdzisława z Częstochowy, unieruchomionego w łóżku, i Barbary z Włocławka, skazanej na wózek inwalidzki. (…)

„Rybka" mówi, że wraz z rosnącym tłokiem w eterze zaczęły się konflikty. (…) Często pogaduchy o niczym, *żucie szmat* – jak mawiają *siberzy* – trwa wiele godzin (…). Coraz częściej też ludzie stosują „dopały", dozwolona moc 4 waty już im nie wystarcza. „Dopały" dają tyle, że inni się nie słyszą. (…) Bywa jednak, że wolny obywatel bezwiednie zakłóca sąsiadom odbiór radiowy i telewizyjny (…). W Jaśle zdarzyło się, że podczas mszy w jednym z kościołów intymna rozmowa dwojga *sibistów* rozległa się niespodziewanie z głośników, wprawiając w osłupienie kaznodzieję, a w rozbawienie wiernych. (…)

Prawo w tej dziedzinie jest mizerne i niedopracowane. (…) Ale jest jeszcze kodeks honorowy, tego strzec muszą sami *sibiści*. W przeciwnym razie – nieodwracalnie pogrążą się w chaosie.

Jagienka Wilczak, „Magia czterdziestu kanałów", POLITYKA 12/1991

eprasa.pl fa89fff25f

rozliczne ulotki rozdawane na ulicach. Braki papieru, na jakie cierpiano w PRL? Zapomniano o nich zupełnie – papier królował wszędzie. W postaci plakatów łuszczących się na ścianach, darmowych gazetek i grubaśnych książek telefonicznych, które teraz podrzucano pod drzwi mieszkań, jak ulotek wyborczych i reklamowych przepełniających skrzynki na listy. „Nie mam kiedy odpisywać na korespondencję" – mówi Adaś Miauczyński, bohater „Dnia świra" Marka Koterskiego (2002 r.), gdy z jego skrzynki wysypuje się stos reklamówek.

Salonik prasowy. Prawdziwą instytucją życia społecznego PRL był kiosk Ruchu. Do malutkiego okienka trzeba było się pochylić, a co wyżsi obywatele zginali się w pół, prosząc o swoje codzienne papierosy i gazety. Po przełomie 1989 r. kiosk z gracją i pewnością siebie osiadł w nowej rzeczywistości. Otorbił się masą dodatkowego towaru, stosami czasopism, zachodnimi papierosami, gumami do żucia i długopisami Bic. Ba, podniósł się, traktując wreszcie swych klientów z pewną kurtuazją, nie każąc się tak schylać, a nawet pozwalając im wejść do środka i przeglądać czasopisma, jeśli zamienił się w salonik prasowy. Przede wszystkim zaś zmienił swój zapach, ponieważ zmienił się po 1990 r. rodzaj papieru i farby drukarskiej gazet codziennych. Trudno opisywać zapachy, ale każdy, kto pamięta tę dawną woń z okienka, rozumie, o co chodzi. Tamte gazety były szarawe, oferowały brudne i zamazane zdjęcia. Tygodniki natomiast stanowiły duże płachty o niewielu akcentach barwy, głównie czerwonej czy zielonej. Lecz oto pojawiły się nowe tytuły i nowe propozycje, zwykle efemeryczne.

Kto pamięta dzienniki „Glob 24", „Wiadomości Dnia", „Obserwator", „Nowy Świat"? Niektóre próbowały zyskać zachodni sznyt wydawniczy. „Glob 24" kusił w 1991 r. barwną grafiką, ba, winieta była w kolorach tęczy. „Obserwator", choć czarno-biały, postarał się o jasny papier i ostre reprodukcje fotografii. Dodatkowo przyciągano czytelników konkursami. Wycinając kupony z „Globu", można było wygrać samochód Daihatsu Charade. Na niewiele się to zdało. Jak nagle się pojawiały, tak nagle dzienniki znikały z rynku. Te natomiast, które przetrwały, bezustannie tyły. Obrastały dodatkami. Gdy bohater „Dnia świra" rozsiada się na kanapie z gazetą, oddziela najpierw stos dodatków od jej grzbietu: „Boli mnie, gdy wyrzucam dodatki z gazety, widząc oczami myśli padające lasy. »Dom« wyrzucam, dąb pada. »Turystykę«, lipa. »Komunikaty«, świerki jak zimowe kwiaty. »Auto-moto«, jak maszty upadają sosny. »Supermarket« to modrzew. Klon – »Nieruchomości«. »Mój komputer« – i buk się korzeniem nakrywa. A z każdym precz dodatkiem ich żywicą krwawię".

Większość informacji czerpali mieszkańcy po kres XX w. z mediów tradycyjnych, czyli gazet, telewizji i radia. Te konsolidowały się i rozwijały w dużej mierze dzięki obcym wzorom i kapitałom. Radio grało w domach, samochodach i barach, przed ekranem tv kończono dzień, gazety czytano prywatnie i publicznie, ponieważ bywały wykładane w kawiarniach, o czym dziś już właściwie zapomniano. W niektórych domach stały komputery, częściej służąc jednak do gry w Boulder Dash niż do obliczeń albo pisania tekstów. O internecie wiedziano, ale do życia społecznego zaczął wchodzić pod sam koniec lat 90., podobnie jak telefonia komórkowa. Choć uruchomiona w Polsce w 1992 r. (Centertel we współpracy z France Telecom), służyła bardzo elitarnym grupom. Przestrzeń publiczna pozadomowa pozostawała więc domeną kontaktów bezpośrednich, twarzą w twarz, a jedyną w miarę masową metodą zdalnego porozumiewania pozostawała telefonia dziś zwana stacjonarną.

Z POLITYKI



Ulica w Warszawie, plakaty wyborcze, 1991 r.

Panowie bracia i towarzysze

Urzędniczki z Wydziału VII Cywilnego Sądu Wojewódzkiego w Warszawie twierdzą, że co tydzień w sprawie zarejestrowania nowej partii przychodzi średnio dwóch interesantów. Uważają, że liczba organizacji ujętych w Rejestrze Partii Politycznych w najbliższym półroczu wzrośnie ze 154 do 200. Ludzie przyjadą z urlopów pełni pomysłów i dobrych chęci, więc zacznie się ruch w sądzie. (…) Do założenia własnego ugrupowania potrzeba niewiele: statut, program partii oraz osobiste stawiennictwo w sądzie kierownictwa wraz z dowodami tożsamości. Należy także mieć 15 zwolenników swojej linii politycznej. (…)

Przeglądając rejestr, łatwo podzielić partie na ogólnopolskie, a nawet globalne, oraz prywatne czy wręcz rodzinne. W jednych zasiadają zbawcy ludzkości i ojczyzny, w drugich małżeństwa, rodzeństwa, grupy sąsiedzkie. W swoich dokumentach programowych żadna z partii nie przyznaje się do chęci zdobycia władzy. (…) Katolików Partia Zakopiańska chce zbudować na ziemi Cywilizację Miłości (…). Członkowie Klubu Zachowawczo-Monarchistycznego uważają, że jedynie król zdolny jest dźwignąć kraj z ruiny, w jaką zmieniły Polskę rządy komunistyczne, a potem anarchia i miraże demokracji. (…)

Partia Niezadowolonych z Gdyni postanowiła zwalczać każdego, kto jątrzy (…). W razie całkowitego zniwelowania niezadowolenia członków partii zmieni ona opcję i stanie się Partią Zadowolonych. (…) Partia Rozumu domaga się Polski takiej, żeby nawet głupiec nie mógł jej zepsuć. Polska Partia Rzemiosła (…) opowiada się za zróżnicowanymi zasiłkami dla bezrobotnych: 100 proc. pensji dla pracowników zwolnionych z pracy, a 50 proc. zasiłku dla leni i pijaków. Unia Restytucji Monarchii, prócz celu tytułowego, chciałaby oddać szkoły w ręce zakonów. (…) Partia Siemienas (…), założona przez Feliksa Siemienasa, stawia sobie za cel upowszechnianie myśli swojego założyciela. (…) Partia Sukcesu i Uśmiechu mieści się w Parku Rozrywki Cricoland w Gdańsku, a ze spraw gospodarczych opowiada się za rozbudową wesołych miasteczek. (…). Prywatna Partia Obywateli Świata osiągnęła już częściowo swój cel: zniesienie wiz i granic na całym świecie. (…) Natomiast czego chce Unia Demokratyczna Ochotniczej Straży Pożarnej III Rzeczpospolitej z ulicy Janosika 158 w Łodzi nie wiadomo. W Unii Demokratycznej Tadeusza Mazowieckiego nie wierzą w istnienie takiej partii. (…)

Najciekawszą strukturę ma Unia Restytucji Monarchii. Przewidziano w niej funkcję kanclerza, podkanclerza, podkomorzego, podskarbiego, a władzę naczelną tworzy Wielkie Koło Rycerskie (Zjazd) i Małe Koło Rycerskie (Zarząd). Członkowie tego ugrupowania zwracają się do siebie „Panie bracie", a spory rozstrzygają, pojedynkując się. Na przeciwległym biegunie jest Związek Komunistów Polskich „Proletariat" z per „towarzyszu".

Jerzy Papuga, „Od orła do kosa", POLITYKA 37/1992

eprasa.pl fa89fff25f



Od góry:
Podczas IV pielgrzymki Jana Pawła II do Polski, Łomża, czerwiec 1991 r.

Mieszkanie w Mińsku Mazowieckim, koniec lat 90.

Stan tej telefonii był w 1989 r. opłakany, nie tylko na tle Zachodu: gęstość sieci nieco mniejsza niż w Rumunii, dwukrotnie mniejsza niż w Jugosławii i trzykrotnie – niż w Bułgarii. W Europie Zachodniej przypadało ponad 40 abonentów na stu mieszkańców, w Polsce – ośmiu. Na podłączenie domowego telefonu czekało się statystycznie 13 lat. W latach 90. uparcie tkano sieci, korzystając z inwestycji zachodnich, ale i tak na początku XXI w. liczba abonentów telefonicznych na 100 mieszkańców wynosiła w Polsce 30, gdy we Francji i Niemczech ok. 60. Lecz nowością postkomunizmu była możliwość zadzwonienia do ulicznej budki telefonicznej, dotąd widywana tylko w amerykańskich filmach: można było umówić się i czekać „na mieście" na telefon. Okazało się zarazem, że możliwe jest doprowadzenie do w miarę skutecznego działania publicznych aparatów, które w PRL kojarzyły się z urwaną słuchawką.

Czerwony asfalt. Budki telefoniczne, podobnie jak wiaty przystankowe czy latarnie, a także całe budynki, stały się w latach 90. nośnikami reklamowymi. Pokrywano je kolorowymi zachętami do kupowania papierosów albo żelków. Bardzo to przyspieszyło modernizację budek czy wiat, ponieważ monetyzowało przestrzeń, pozwalało na niej zarabiać. Na dobre i na złe. Okazywało się często, że nowe przystanki są może dobrymi stojakami reklamowymi, ale nie chronią pasażerów przed deszczem albo słońcem.

Nowa pstrokatość pejzażu miejskiego (i nie tylko, bo pejzaż przydrożny zmieniał się podobnie) wywoływała lamenty planistów i urbanistów. Walczyli przez dekady o ład przestrzenny i oto projektowane przez nich ulice i domy zamieniły się w nośniki. Czy jednak ten ład kiedykolwiek zaistniał w życiu codziennym? Osiedla tonęły w błocie, roboty instalacyjne wciąż rozorywały przestrzenie między blokami, które były dojmująco szare, jak Moskwa w 1991 r. Efektem ucieczka mentalna w przestrzeń, która poddawała się inwencji i kontroli: do mieszkania, w krąg własnych spraw. I marzenie o samochodzie, który także uwalniał od wartości publicznych, w tym wypadku zatłoczonych, spóźniających się autobusów i pociągów. Marzenie to zaczęło się na dobre spełniać właśnie w latach transformacji, ale czy stanowiło wyzwolenie?

„Gdy szykuję śniadanie, zwykle o korkach słucham, jak tkwią te ch… w tych j… autach", powiada Adaś Miauczyński. W 2002 r. sytuacja była rzeczywiście krytyczna – odziedziczone drogi i ulice nie mogły pomieścić ruchu.

eprasa.pl fa89fff25f

W 1990 r. zarejestrowanych było 5,2 mln samochodów osobowych, dekadę później prawie dwa razy więcej. Początkowo wielkie przyrosty wynikały z wlewania się do kraju aut używanych. W 1991 r. sprzedano 280 tys. nowych i sprowadzono 384 tys. używanych. Lecz niebawem proporcje się zmieniły – w 1997 r. kupiono 530 tys. nowych i tylko 165 tys. używanych. Wynikało to przede wszystkim z wielkiego wzrostu polskiej produkcji. Mówiono o tygrysie motoryzacyjnym.

Tygrys ten gryzł się jednak we własny ogon. W późnym PRL ginęło rocznie na drogach ok. 4,6 tys. ludzi, a w 1991 r. wskaźnik ten nagle zbliżył się do 8 tys. i do końca wieku oscylował wokół 7 tys. Stan dróg wciąż się pogarszał, autostrad nie budowano, ale tragiczne żniwo (wedle języka telewizji) wynikało z agresji i alkoholu. Samochód był narzędziem walki o swoje, demonstracji przewagi, a także po prostu klatką dla codziennego zmęczenia. W gęstym, pełnym tirów ruchu na szosach, który żłobił koleiny w złym asfalcie, każdy manewr bywał walką o przeżycie. W swoich klatkach kierowcy gonili za zarobkiem, przeżuwali niepowodzenia, liczyli w myśli odsetki od kredytu. Natykali się na blokady dróg, organizowane przez rolników protestujących przeciw bankom, niskim cenom skupu albo importowi żywności. Samoobrona organizowała marsze gwiaździste na stolicę, aby tam zatrzymać ruch i obrzucić mięsem polityków. Każda blokada wzmacniała animozje miasto–wieś wygrywane przez polityków. Lider PSL Waldemar Pawlak wołał, że gdy „w Warszawie asfalt malują na czerwono", na wsi brak podstawowych rzeczy. Rzeczywiście, pomalowano przejścia dla pieszych przy placu Trzech Krzyży w białe i czerwone pasy, co stanowiło uderzającą nowość. Łatwo było mobilizować niezadowolenie przeciw stołecznym fanaberiom. Na wsi często asfaltu nie było.



Walkman.

Kraty. Bezrobocie podwoiło się w latach 1990–91, osiągając ponad 12 proc., i potem długo utrzymywało na poziomie procent kilkunastu, z czego większość określano jako strukturalne, czyli niemożliwe do rozładowania. Po czym na przełomie wieków przyrosło nagle do 20 proc. (2003 r.), ponieważ wyczerpały się różne umowy ochronne, a koniunktura pogorszyła. Bezrobocie nie było równomierne. W dużym stopniu ukryte na wsi, było wyraźnie widoczne w upadłych Państwowych Gospodarstwach Rolnych i krzyczące w wielu miastach przemysłowych. Tworzyło ruiny społeczne, dzielnice zdegradowane, trójkąty bermudzkie.

Mężczyźni, którzy spadli z wysokiego konia – tracili pracę społecznie cenioną w dużych fabrykach czy kopalniach – nie umieli się podnieść. Zalegali w domu, gapiąc się w ekran, a co gorsza – pili. Kobiety były wytrenowane w domowej zaradności z czasów niedoboru, inwestowaniu swoich zasobów czasu w jak najlepszą opiekę nad bliskimi. Robiły to nadal – gdy traciły pracę, rzadziej poddawały się i czuły się mniej upokorzone zdobyciem innej, nawet niskopłatnej i niezbyt cenionej. Dlatego transformacyjna depresja mężczyzn i kobiet była odmienna. U kobiet częściej wynikała z zagonienia i zatroskania wokół spraw dzieci i domu, u mężczyzn miewała charakter bardziej egocentryczny. Polegała na przeżuwaniu swego upokorzenia i poczucia zbędności. Odreagowywali to często napadami gniewu, stawali się nieznośni. Objawiała się też w domu cała ich codzienna niewiedza i nieudolność, dotąd maskowana ważkim charakterem ich pracy. Dlatego lata 90. stały się okresem nasilenia przemocy domowej. W podupadłych ośrodkach przemysłowych i w dzielnicach wielkich miast zorganizowanych wokół dużych zakładów pracy agresja domowa wytwarzała cały cykl przemocy, w którą zaangażowana była – już w przestrzeni publicznej – młodzież wyrywająca się z toksycznych domów.

„Sylwuniu, to jednak samobójstwo było kupować ci jaskrawopomarańczową kurtkę Levisa… – Livajsa! – Livajsa. Jeszcze cię gdzieś zabiją przez nią…" – rozmawia z synem Adaś Miauczyński. Transformacja to okres tzw. krojenia: zabierania rówieśnikom sportowych butów i kurtek, ograbiania w biały dzień pod szkołami, za kioskami, na przystankach. Robiły to mniejsze i większe bandy nastolatków, które korzystały z rynkowej obfitości zapewniającej im coraz lepszy połów. Przemoc szkolna nie była nowością – doświadczały jej poprzednie pokolenia. Słynne były ekscesy subkultury gitowców z lat 70., wzorowanej na więziennej, która potrafiła terroryzować szkoły. Wiadomości o tym rozchodziły się zwykle między ludźmi bez wielkiego pośrednictwa mediów. W latach 90. wiadomości o uczniach narkotyzujących się, uczestniczących w przestępstwach czy zastraszających nauczycieli wypełniały środki przekazu. Wypełniały je zresztą wszelkiego rodzaju hiobowe wieści i wstrząsające historie, współtworząc atmosferę, o której mówiono, że strach z domu wyjść.

Media puchły od doniesień o mafiach taksówkowych i mafiach wyłudzających haracze od restauratorów, o grupach przestępczych dzielących się terytoriami miast i odcinkami dróg. Zjawisku sprzyjał napływ do Polski przestępczości, która rozkwitała na ruinach Związku Sowieckiego. To były sprawy najbardziej ponure: handel bronią, ludźmi, rynek pracy seksualnej, odzyskiwanie długów, zastraszanie, niszczenie konkurencji. Bohaterowie filmu „Dług" Krzysztofa Krauzego (1999 r.), opartego na faktach, to młodzi ludzie z głową, którzy chcieli uruchomić import włoskich skuterów, dostali się w ręce bandyty, który zaczął ich szantażować i wyłudzać fikcyjny dług. Zastraszeni i bezradni, nie otrzymawszy pomocy policji, zamordowali swojego dręczyciela, a ciało pozbawili głowy – żeby wyglądało to na „porachunki przyjaciół ze wschodu", jak to nazwał badający sprawę komisarz.

Polonezy i Nysy milicyjne przemalowano, ale pod napisem „Policja" brakowało wyposażenia, a na komisariatach stukały do połowy lat 90. maszyny do pisania. Obraz mundurowych naznaczony był przez wiadomości o ich nieudolności i przekupności. To właśnie napędzało klientów firmom od krat, a w szerszym znaczeniu – prowokowało do wygradzania przestrzeni wspólnych miast. Akwizytorzy tych firm cierpliwie obchodzili spółdzielnie mieszkaniowe i prywatnych lokatorów, przekonując, że kraty na oknach i balkonach, kraty dzielące korytarze bloków, podwójne drzwi do mieszkań, alarmy i łańcuchy są najlepszą rzeczą pod słońcem. Że wszyscy wokół już sobie je montują i nie można pozostać samotnie, bo to wskazówka dla złodziei i bandytów. Oczywiście, po zainstalowaniu krat przez mieszkańców parteru robili to ich sąsiedzi z góry, kraty stawały się przecież drabiną dla złodziei. Kratowali się także mieszkańcy najwyższych kondygnacji, obawiający się penetracji z dachu. Wszystko to było oznaką rosnącej społecznej nieufności, ale też powiększających się indywidualnych zasobów, które starano się lepiej ochronić. W piwnicach trzymano już nie tylko

eprasa.pl fa89fff25f



Handel uliczny na Placu Defilad, w samym środku stolicy Polski, grudzień 1990 r.

ziemniaki na zimę, ale też drogie rowery sportowe, atrakcyjny łup dla złodziei.

Mnożyły się wszelkiego rodzaju bariery przestrzenne – płoty i szlabany otaczające parkingi i towarzyszące im budki, w których przysypiali ochroniarze mający dawać namiastkę poczucia bezpieczeństwa. Do budki takiej bywał przywiązany pies.

Solpol. Z PRL, a zapewne i dawniejszych czasów, mieszkańcy Polski dziedziczyli nieufność wobec państwa i jego instytucji, czyli rzeczy publicznych. Mościli sobie własną przestrzeń do życia, odgradzając ją od zewnętrznej, na którą nie mieli wpływu. Zjawisko to uwyraźniło się jeszcze na początku lat 90. Frekwencja w pierwszych demokratycznych wyborach z jesieni 1991 r. wyniosła rozczarowujące 43 proc. Politykę przyjmowano zwykle biernie, z ekranu. A tam, niczym w „Dniu świra", posłowie przekrzykiwali się, która racja jest mojsza, a która najmojsza. Wielką publiczność telewizyjną miały niektóre transmisje obrad sejmowych, te najbardziej dramatyczne, związane z kryzysami rządowymi, tzw. nocą teczek w czerwcu 1992 r. czy zmianą prawa aborcyjnego. Z kolei poseł partii X Antoni Czajka żalił się z trybuny, że w czasie ulicznych manifestacji krzyczano „Posłowie osłowie!", a przecież mowa o przedstawicielach narodu.

Spoza tej wrzawy wyłaniały się nowe kształty świata. Prócz budek i szlabanów budowano przecież formy trwalsze. Niektóre uderzały jaskrawością, jak warszawski hotel Sobieski. Projektant jego fasady, wiedeński architekt Hans Picottini odpowiadał na krytykę, mówiąc o dojmującej szarości Warszawy, która potrzebuje barw. Może rzeczywiście fasada raziła oczy nieprzywykłe do kolorów. Nie sprawdzimy tego dziś, bo ją zniszczono. Przetrwała sama bryła zwieńczona szklaną kopułą, postmodernistyczną wariacją na temat dawnej architektury. Nie przetrwał też wrocławski dom towarowy Solpol z początku lat 90., który także bawił się historyczną formą, rozmawiając z sąsiednim gotyckim kościołem. Jego wyburzenie jest wstydem naszych czasów. Nie chcemy chaosu i brudu transformacji, ale nie umiemy zachować jej piękna.

BŁAŻEJ BRZOSTEK

POLITYKI

Jarmark Europa na Stadionie Dziesięciolecia

Wielu już na pierwszy rzut oka ocenia, że Swietłana musi być rozumną kobietą. Jeśli ktoś sprzedaje książki, to znaczy, że czyta. A jak czyta, to dużo wie. Więc ludzie przypuszczają na przykład, że Swietłana wie, jak interpretować aktualne przepisy względem ruchu przez wschodnią granicę. Jak odzyskać skradziony paszport. Jak przewieźć samochód z Polski do Armenii (…).

Nie ma na Stadionie i na żadnym bazarze w Polsce rosyjskiego księgarza bibliotekarza. Nie ma wśród handlowców ze szczęk nikogo, u kogo w towar zaopatrywaliby się naukowcy z poważnych instytucji naukowych, studenci z uniwersytetów (…), kolekcjonerzy i poszukiwacze literatury specjalistycznej. Bo choć Swietłana pracuje głównie na duchowe potrzeby rodaków handlowców, to znana jest już dość powszechnie w środowiskach filologów slawistów.

Nikomu nie jest dana ta satysfakcja, gdy klient bierze towar do ręki i widać, że jest wzruszony. Nikt się nie wzruszy, gdy znajdzie najpiękniejsze dresy i najtańsze adidasy pod słońcem, ale takim „Mistrzem i Małgorzatą" w oryginale znawca literatury się wzruszy. (…) Swietłana czasem przywozi coś na specjalne zamówienia (…) bo polskim bibliofilom rucysystom potrzebne jest np. paryskie wydanie wierszy Achmatowej (…). Jakoś to wszystko znanymi sobie sposobami zdobywa (…). I co kilka miesięcy wiezie ciężkie torby przez granicę, gdzie celnicy nadziwić się nie mogą, że to ani spirytus, ani papierosy. (…)

Cztery lata temu postanowiła zrobić to, co robiły już tysiące jej rodaków. Zdobyć tani towar u siebie, wsiąść do pociągu Brześć–Warszawa, sprzedać, kupić dolary (…). Zapytała znajomych: – *A co tam idzie?* – *Byle co* – odpowiedzieli. – *Cokolwiek zawieziesz, wszystko z korzyścią sprzedasz.* Nakupiła więc rzeczywiście byle czego i siedziała nad tym swoim byle czym na targu, a ponieważ ruch był słaby, zaczęła czytać książkę. (…) Siedzi więc z tą książką nad swoim byle czym, a tu podchodzi jakiś Rosjanin i mówi, żeby sprzedała mu książkę. Ona nie chce. On podbija cenę. (…) I tak narodził się pomysł.

Swietłana stara się zarazić Stadion swoim upodobaniem do współczesnej prozy rosyjskiej, a już najbardziej pisarzem Wladimirem Kuninem. (…) W prozie Kunina odnajdują się ludzie warszawskiego Stadionu, główni klienci Swietłany. Drobniejsi i poważniejsi przedsiębiorcy, którzy legalnie, półlegalnie i nielegalnie, ale zażarcie, nie dosypiając, nie dojadając, walcząc z biurokracją, z zaporami na granicach próbują przeżyć, zarobić, wybić się na handlu.

Ci w Warszawie są głównie hurtownikami (…). Hurtownicy wynajmują w Warszawie liche mieszkania, często w najgorszych (…) rejonach warszawskiej Pragi. Wstają niemal o północy, żeby o drugiej nad ranem zająć już kolejkę do wjazdu na Stadion. (…) O piątej–szóstej rano zjawiają się detaliści z prowincji. Muszą szybko (…) kupić towar, by za chwilę pędzić do miasteczek i uruchomić detal. W biegu mijają Swietłanę. Krzyczą (…), żeby im coś przygotowała. (…)

Ktoś niedawno zaproponował Swietłanie, żeby przeniosła się do centrum Warszawy, bo przecież to niepodobna, żeby tak marzła. Ale ona doskonale wie, że tylko tu na Stadionie interes będzie się kręcił.

Ewa Wilk, „Szczęki literackie", POLITYKA 12/1998

eprasa.pl fa89fff25f

Przez duże H

O prawdziwym końcu Historii Francisa Fukuyamy.

Jarosław Kuisz



Optymizm z umiarem. Latem 1989 r. w Polsce zniesiono kartki na mięso. Po częściowo wolnych wyborach czerwcowych klarowała się nowa sytuacja polityczna. Tadeusz Mazowiecki otrzymał misję sformowania pierwszego niekomunistycznego rządu. Na świecie zastanawiano się, dokąd zmierzają słabnący Związek Sowiecki oraz potężniejące Chiny, których władze w dniu polskich wyborów czerwcowych krwawo zdławiły wolnościowe ambicje ludu na placu Tian'anmen w Pekinie.

Właśnie wtedy, latem 1989 r., Francis Fukuyama, wówczas zastępca dyrektora ds. planowania polityki w Departamencie Stanu oraz były analityk w RAND Corporation, opublikował na łamach konserwatywnego pisma „The National Interest" esej „Koniec historii?" – uwaga, ze znakiem zapytania w tytule. Encyklopedyczna w stylu publikacja nie była raczej skierowana do szerokiego grona odbiorców. Tymczasem liczba reakcji, przychylnych i nieprzychylnych komentarzy, które wygenerował tekst poważanego, ale wówczas bliżej nieznanego autora, przerosła wszelkie oczekiwania. Fukuyama ewidentnie dotknął intelektualnego nerwu 1989 r.: ogłosił triumf liberalnej demokracji – uwaga! – na tle historii świata.

Wywód zaczynał od fotografii momentu dziejowego. Wraz z finałem zimnej wojny zastanawiał się, czy po blamażu faszyzmu i komunizmu, dwóch wielkich ideologii XX w., nie znaleźliśmy się w sytuacji, w której na placu boju pozostał jeden jedyny, optymalny ustrój. Rozważania Fukuyamy były zatem jednocześnie bardzo skromne i bardzo ambitne. Z jednej strony dotyczyły pewnego wąskiego wycinka wiedzy naukowej, tj. globalnej historii ustrojów, a dokładniej filozofii dziejów ustrojowych – z wyraźnym posmakiem idealizmu niemieckiego XIX w. Z drugiej zaś swoje rozważania o liberalnej demokracji jako najlepszym z ustrojów autor przedstawiał na tle całej historii ludzkości.

Od razu może dodajmy, że – aby uniknąć nieporozumień – w zasadzie w odniesieniu do hipotezy Fukuyamy powinno się pisać słowo historia wielką literą. Rozumienie jej bowiem nie miało tu nic wspólnego z potocznym pojmowaniem dziejów jako ciągu kolejnych zdarzeń, takich jak np. urodziny czy śmierć monarchy, wybuch wojny czy zawarcie pokoju, wybuch powstania czy rozbiory. Fukuyamę interesowała synteza dziejów ludzkości pod kątem realizacji dwóch ideałów – jednocześnie – a mianowicie ideału wolności oraz równości jednostek. Amerykanin na tym polu był na swój sposób epigonem filozoficznym albo, innymi słowy, kontynuatorem pomysłów Georga Wilhelma Friedricha Hegla, na dodatek w interpretacji innego filozofa, urodzonego w Moskwie, a wykładającego w Paryżu Alexandre'a Kojève'a.

Wiatr zmian w bibliotece. Z książkami tych autorów pod ręką na przełomie lat 80. i 90. XX w. Fukuyama zastanawiał się nad finałem Historii z punktu widzenia ustrojowej realizacji pewnych ideałów – wyobrażeń, o które ludzkość się dobijała od swoich początków. Amerykański teoretyk po prostu twierdził, że z tego punktu widzenia ludzkość niczego lepszego niż ustrój liberalnej demokracji nie wymyśliła – i raczej nie wymyśli. Ergo: być może zatem dopiero teraz – po pouczającym upadku ideologii faszyzmu i komunizmu czy wcześniej absolutnej monarchii dziedzicznej (wraz z ich ustrojami, które

Jeszcze przed ostatecznym wycofaniem oddziałów sowieckiej armii z Polski, Borne-Sulinowo, 1990 r.

eprasa.pl fa89fff25f

z nich praktycznie wywiedziono) – mamy do czynienia z końcem Historii.

Dzieło Fukuyamy to popis interdyscyplinarnej erudycji w czasach sypiącego się komunizmu. Na polu filozofii Fukuyama krytykował heglizm w ujęciu Karola Marksa, wyprowadzał ciosy w stronę dzieł Fryderyka Nietzschego i życzliwe spoglądał w stronę Alexisa de Tocqueville'a. Jednocześnie sypał faktami z historii stosunków międzynarodowych jak z rękawa. Nie można mieć wątpliwości, że „the Wind of Change", jak w 1990 r. balladowo śpiewał niemiecki zespół Scorpions, wpadał do biblioteki Fukuyamy.

Autor poruszał się sprawnie pomiędzy lawiną wydarzeń, którą zainicjował koniec zimnej wojny, a grubymi tomami filozoficznej klasyki. I – w zasadzie pojawiając się niemal znikąd – narzucił milionom ludzi swoją interpretację. Skoro faszyzm i komunizm się definitywnie skompromitowały, czego nikt na poważnie wówczas nie podważał, wygrała zachodnia demokracja liberalna. Stała się globalnie dominującym systemem politycznym. Ludzie rozglądali się po ówczesnym świecie, wielu się nie zgadzało z takim pomysłem, ale wielu było skłonnych głośno lub po cichu przyznać, że chyba coś jest na rzeczy. Jak byśmy dziś powiedzieli, był to gotowy hasztag, który w okolicach 1989 r. chwytał za serca i umysły osób, które obywały się bez lektury klasycznych dzieł niemieckich i francuskich filozofów czy słynnych paryskich seminariów Kojève'a. Siła przyciągania konkurencyjnych ustrojów była przecież wówczas bliska zeru. Niemal wszyscy z różnych powodów pragnęli stać się Zachodem pod względem instytucjonalnym, technologicznym, finansowym, wreszcie kulturowym. Owa fala podziwu i zazdrości przez moment nawet obejmowała rywali USA, czyli Rosję Michaiła Gorbaczowa i Borysa Jelcyna. Domagali się zmian w zachodnim stylu chińscy protestujący na Placu Niebiańskiego Spokoju. Przykłady można mnożyć.

Wścieklizna Historii. „Historia urwana z łańcucha pędzi w nieznane; ufajmy, że nie nabawi się po drodze, klucząc i kołując, wścieklizny" – w 1990 r. z perspektywy Neapolu gorzko komentował Gustaw Herling-Grudziński myśl o końcu Historii. Esej Amerykanina wywołał prawdziwą furię wielu koleżanek i kolegów po piórze. Owszem, Fukuyama dość zuchwale postanowił bieżące wydarzenia rzucić na tło historii myśli polityczno-ustrojowej, nie to jednak, jak się wydaje po latach, wywołało żywe reakcje. W końcu w Waszyngtonie popularnych, ambitnych autorów i wówczas nie brakowało. Z reakcji konkurentów po piórze wynikało, że tym, czego Fukuyamie wybaczyć niepodobna (rzecz jasna, poza globalną sławą), to filozoficzny optymizm dziejowy po dwóch totalitaryzmach. W wielu wypadkach nie dopuszczano możliwości, żeby XX w. puentować dobrą myślą, choćby kunsztownie i erudycyjnie uzasadnioną. Gdzie tragizm dziejów człowieka? Co z obawami o rozchwianą końcem zimnej wojny przyszłość?

Do polemiki z Fukuyamą ruszyły najtęższe głowy. Choćby na łamach „National Interest" ukazały się głosy m.in. Allana Blooma, Johna Graya czy Gertrude Himmelfarb. Od emocji aż parowało. Debata zatoczyła tak szerokie kręgi, że trudniej było znaleźć kogoś z liczących się wówczas intelektualistów, kto chociażby nie napomknął o „Końcu historii". Rzadko przychylnie, zatem – warto to podkreślić – w dużej mierze to globalna fala nie pochwał, ale krytyki przyniosła Fukuyamie sławę. My odnotujmy, że wobec pomysłów autora – z nutą wschodnioeuropejskiego sceptycyzmu – odnosił się choćby Zbigniew Brzeziński. Były doradca ds. bezpieczeństwa narodowego prezydenta Jimmy'ego Cartera, choć z Fukuyamą prywatnie się zaprzyjaźnił, wyrażał raczej publiczny niepokój przed lekceważeniem zagrożeń geopolitycznych, w tym ekscesami amerykańskiej pychy po 1989 r. Wobec dziejowego optymizmu kolegi zachowywał intelektualny dystans.

Znikający znak zapytania. Uczciwie rzecz biorąc, Fukuyama nie był ślepy na czarne scenariusze. W książce „Koniec historii i ostatni człowiek" (o której za chwilę) znajdziemy przecież błyskotliwą krytykę liberalnej demokracji, całą listę zagrożeń z początku lat 90. Ostrzegał choćby przed ryzykiem, które może przynieść lewicowa i prawicowa krytyka liberalizmu. Jednak Fukuyama z wyżyn swojej teorii nie tracił rezonu. Wówczas żadna lista obaw wewnętrznych czy zewnętrznych bynajmniej nie podważała jego wyjściowej tezy: obecnie to ustrój liberalnej demokracji najpełniej realizuje jednocześnie ideały wolności i równości. Mała historia toczy się dalej. Możliwe są, jak pisał Fukuyama, przyszłe wzloty i upadki liberalnej demokracji w praktyce. Kryzysy polityczne, okrutne zawirowania wojenne i przyszłe upadki demokracji – wszystko to się może zdarzyć w przyszłości.

Czy jednak czarne scenariusze albo popełnione przez polityków błędy podważają odkryty na tle historii ustrojowy ideał ludzkości? Fukuyama odpowiadał, że nie. Wielka Historia – w sensie filozofii dziejów polityczno-ustrojowych – może zostać uznana za zakończoną. Można było przecież powiedzieć, że demokracje liberalne kruszą się czy upadają, jednak odkryty na tle dziejowym ideał pozostaje niewzruszony.

Fukuyama chyba był zadowolony z rozgłosu. W odpowiedzi na głosy krytyków usunął znak zapytania z tytułu eseju. Zatem w rozbudowanej wersji, zamiast złagodzić ostrość tezy postawionej w eseju, postanowił ją dodatkowo wyostrzyć. W maju 1992 r. – po całej serii wcześniej-

Francis Fukuyama


Francis Fukuyama, 1992 r.

Z oddali kariera Francisa Fukuyamy (ur. 1952 r.) może przypominać los artysty rockowego z jednym przebojem. Niesłusznie. Od lat 90. XX w. autor regularnie publikuje poważne prace poświęcone problemom budowania państwa, kryzysowi liberalnej demokracji w praktyce czy zbiorowej tożsamości. Chociaż wiele z jego książek czy artykułów ma intelektualny rozmach i prezentuje ciekawe pomysły, Fukuyama nigdy nie dotknął znów nerwu epoki, jak w 1989 r. Być może „nic dwa razy się nie zdarza". To jednak myśliciel zbierający owoce lat pracy. Odrobinę wycofany, mimo globalnej fali krytyki, która na niego przez dekady spadała, pozostaje otwarty na dialog. To intelektualista pełną gębą po Harvard University, z doktoratem napisanym pod nadzorem innego giganta 2. poł. XX w., Samuela Huntingtona. Fukuyama pracował jako wykładowca m.in. na Johns Hopkins University oraz Stanford University, krótko mówiąc, profesjonalista myśli. Obsypany wyróżnieniami i doktoratami honoris causa, przyznanymi także w Polsce (Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu). Chociaż w Europie uchodzi za skończonego liberała, w USA w publicystyce bliższy jest środowiskom konserwatywnym (ale nie trumpizmowi). Proponuje teksty rozsądne, zrównoważone, osadzone w historii globalnej. Trudno przy takim podejściu, szczególnie w dobie social mediów, o jakiś skandal. Fukuyama gościł nad Wisłą kilkukrotnie.

(JK)

eprasa.pl fa89fff25f



Tablica rejestracyjna samochodu uciekinierów z NRD (niem. DDR), po przekroczeniu granicy czechosłowacko-zachodnioniemieckiej w Schirnding, listopad 1989 r.

szych, poważnych debat – ukazała się pełna wersja książki „Koniec historii i ostatni człowiek". I awantura wybuchła na nowo. Wówczas trwała wojna w Bośni. Oblegano Sarajewo. W Górskim Karabachu zmasakrowano ludność ormiańską. W Los Angeles wybuchły ogromne zamieszki na tle rasowym. Rozpadła się Czechosłowacja. Tymczasem Fukuyama dalej promował optymistyczną wizję Historii. Książka trafiła na listę bestsellerów. Nie można było długo czekać na reakcję.

Pesymizm Huntingtona. Najoryginalniejszy w gronie wszystkich krytyków był głos Samuela P. Huntingtona, politologa, założyciela dwumiesięcznika „Foreign Policy", który sam przecież wówczas popełnił książkę o „Trzeciej fali demokratyzacji". W swoim dziele Huntington opisywał – podobnie jak Fukuyama na wstępie „Końca historii" – zjawiska delegitymizacji reżimów autorytarnych w 2. poł. XX w., które obejmowały zarówno skanseny faszyzmu w Grecji, Portugalii i Hiszpanii, jak i postkomunistyczną część świata i wielu innych miejsc. Nie będzie przesadą powiedzieć, że Huntington w dużej mierze polemicznie do tez byłego ucznia, Fukuyamy, przygotował później swoje *opus magnum* „Zderzenie cywilizacji i nowy kształt ładu światowego" (1996 r.). Czasy karier medialnych były takie, że Huntington skopiował zawodową marszrutę Fukuyamy; najpierw opublikował na łamach czasopisma esej (także ze znakiem zapytania!), dopiero później zaś całą książkę (o podobnie podwójnym tytule), w której jednak przyjmował fundamentalnie odmienną wizję świata.

Optymizm dziejowy Fukuyamy kontrastował z pesymizmem Huntingtona, prognozującego wojnę nie państw, ale wielkich cywilizacji kulturowych. To ważne, albowiem kubeł pomyj wylał się na autora „Zderzenia cywilizacji", które wraz z „Końcem historii" wyrastają na dwa kontrastujące pomniki myśli dekady lat 90., jej nadziei, rozczarowań i obaw. Dwie strony tego samego medalu, który na szczyty popularności wyniosła żółć krytyków. Te prace od dekad są permanentnie krytykowane. Choćby ostatnio na łamach „Foreign Affairs" Michael Kimmage zżymał się, że Huntingtona opis przyszłych wojen cywilizacji nijak ma się do realiów, skoro obecnie walczą ze sobą np. prawosławna Ukraina i prawosławna Rosja.

Najważniejsza różnica intelektualna pomiędzy Fukuyamą a Huntingtonem polegała na czymś innym i przekładała się na polityczne konkrety. Autor „Końca historii" twierdził, że liberalna demokracja może być zuniwersalizowana. Chociaż ma swoje historyczne początki w kulturze Zachodu, podobnie jak np. odkryte na tym obszarze naukowe metody, może zostać zaadaptowana do lokalnych warunków w dowolnym miejscu na świecie, czego przykładem – dodajmy – jest choćby Tajwan czy Korea Południowa. Huntington natomiast upierał się, że każda część globu ma swoją specyfikę kulturową, co obejmuje także rozwiązania ustrojowe. O żadnym kopiowaniu na serio mowy być nie może, czego przykładem, znów my dodamy, byłby pewnie dzisiaj Afganistan. Co łączyło obu myślicieli, to przekonanie o ogromnym oddziaływaniu przeszłości, kultury politycznej na teraźniejszość. Tyle że obaj z tego punktu wyjścia wysnuwali radykalnie odmienne wnioski.

Donald Trump na końcu Historii? Nikt nie pamięta, że w książce Fukuyamy z początku lat 90. pojawia się… Donald Trump. Pod koniec dzieła autor – jak wspomnieliśmy – zastanawiał się nad możliwymi czarnymi scenariuszami dla liberalnej demokracji. Z jednej strony groźne dla ustroju politycznego wydawały się przemiany psychologiczne mas, takie jak pogrążenie w nudzie, wygodzie i egoizmie. Z drugiej nowoczesne techniki mogły ułatwić powrót brutalnej walki jednostek o wyobrażony prestiż. W ogniu walki – sugerował Fukuyama – mogła polec demokracja liberalna. Nie ideał, ale doczesne ucieleśnienie.

W tym właśnie kontekście nieoczekiwanie pojawia się (i to dwukrotnie) nazwisko Donalda Trumpa, spekulanta budowlanego – jak go określa Fukuyama. Biznesmen służył intelektualiście za przykład marnowania zasobów amerykańskiego idealizmu. Sprawy, o które w swojej walce o uznanie biją się Trump i ludzie do niego podobni, wydawały się filozofowi polityki marginalne. Jak pisał, nie należą one do „najpoważniejszych czy najsłuszniejszych". Trump wyznacza jak gdyby niski horyzont realizowania ludzkich możliwości. Autor ewidentnie nie cenił słynnego przedsiębiorcy. Jednak na podstawie uwag Fukuyamy nie można było wykluczyć, że ktoś taki jak Trump może prowadzić dalej swoją walkę o uznanie – tyle że na innych polach.



Nowojorski spekulant budowlany Donald Trump z ówczesną żoną Ivaną, 1990 r.

Owa rzucona mimochodem uwaga jest podwójnie ciekawa. Po pierwsze, Fukuyama miał nosa do zjawisk i osób, które mogą być ważne. Po drugie, doskonale pokazuje jego metodę filozofowania o polityce. Trump w latach 90. nie spełniał warunków, aby potraktować jego walkę o uznanie jako poważną. Jednak nie oznaczało to wcale, że kiedyś tych warunków nie spełni. Fukuyama niechcący przestrzegał zwolenników liberalnej demokracji przed nadchodzącą przyszłością o twarzy Trumpa.

JAROSŁAW KUISZ

eprasa.pl fa89fff25f

Amerykański strażnik globalnego porządku

Domniemany koniec historii miał jeden realny wymiar: pod koniec XX w. świat stał się jednobiegunowy.

Marcin Fatalski



eprasa.pl fa89fff25f

Triumfująca Ameryka. Stany Zjednoczone wkraczały w lata 90. XX w. jako mocarstwo, które zwyciężyło w zimnej wojnie. Był to triumf na każdym polu: ideologicznym, politycznym, wreszcie gospodarczym. Już w poprzedniej dekadzie ZSRR znajdował się w głębokim kryzysie, którego strukturalny charakter czynił daremnymi reformatorskie wysiłki podejmowane przez Michaiła Gorbaczowa – pierwszego sowieckiego przywódcę (1985–91), który był młodszy od rządzonego przez siebie państwa.



Wojskowa parada po zwycięstwie Stanów Zjednoczonych i ich 26 koalicjantów w operacji Pustynna Burza przeciw Irakowi, Nowy Jork, 1991 r.

Wyrazem załamania dotychczasowej pozycji ZSRR było przyzwolenie Kremla na wybór własnej drogi rozwoju przez państwa moskiewskiej strefy wpływów, innymi słowy porzucenie doktryny Leonida Breżniewa (władającego Związkiem Sowieckim w latach 1964–82). Najdobitniej ujął to kremlowski rzecznik MSZ, zaskakując w październiku 1989 r. w programie „Good Morning America" deklaracją, że Moskwa będzie się kierować w odniesieniu do niedawnych satelitów doktryną Franka Sinatry („I did it my way"). Załamanie sowieckiej hegemonii w Europie Środkowo-Wschodniej otworzyło drogę do zaangażowania Stanów Zjednoczonych w transformację państw tego regionu, z czasem zaś ich włączenia w struktury instytucjonalne świata zachodniego.

Niektórzy badacze zyskali wówczas sławę za sprawą głośnych tekstów, które obwieściły „koniec historii" (Francis Fukuyama) i „moment jednobiegunowy" (Charles Krauthamer). Szczególnie tytuł pracy Fukuyamy (właściwie część oryginalnego tytułu jego pracy, który brzmiał „The end of history and the last man", art. s. 17) stał się kluczem do interpretacji momentu historycznego, w jakim znalazł się Zachód i reszta świata. Dodać wypada, że rozpowszechnione, literalne odczytanie tego tytułu nie oddaje istoty poglądów Fukuyamy. Amerykański politolog nie proklamował zakończenia dziejów politycznych ludzkości. Głosił natomiast pogląd, że Zachód wypracował optymalny model ładu politycznego i gospodarczego. Liberalna demokracja i wolny rynek, przede wszystkim zaś stojąca za nimi liberalna idea, nie miały – stwierdzał autor – rzeczywistej alternatywy. Nastrój dominujący w USA i Europie po zakończeniu zimnej wojny odzwierciedlał pogląd Fukuyamy. Wydawało się, iż zimnowojenne teorie modernizacji czyniące amerykańsko-zachodnioeuropejski model rozwoju punktem odniesienia dla reszty świata (Globalnego Południa) znalazły ostateczne potwierdzenie.

Źródeł tego sukcesu upatrywano w przewadze amerykańskiego modelu politycznego i społeczno-ekonomicznego. Amerykańska republika i demokracja jawiły się jako systemy sprawne i niezawodne. Zdolność amerykańskiego systemu politycznego do przezwyciężania skutków takich kryzysów jak afera Iran-contras czy wcześniejsza i bardziej wstrząsająca afera Watergate były dowodem sprawności mechanizmu samooczyszczania się demokracji amerykańskiej i dojrzałości elit politycznych USA.

Owoce reaganomiki. Neoliberalizm. Zwycięstwo USA w rywalizacji z ZSRR dowodziło także w zgodnej opinii badaczy i społeczeństw wyższości wolnego rynku nad gospodarką socjalistyczną. To przewaga innowacyjnej i konkurencyjnej gospodarki nad centralnie sterowaną miała zdecydować o ostatecznej implozji ZSRR, który nie sprostał wyścigowi zbrojeń z Zachodem. Była to gospodarka ukształtowana w warunkach reaganomiki, czyli polityki gospodarczej zainicjowanej przez administrację Ronalda Reagana (prezydenta USA 1981–89) na początku lat 80. Reaganomika była odpowiedzią na kryzys i stagnację, jakiej gospodarka amerykańska doświadczyła w latach 70. Nieadekwatność wykorzystywanych od czasów Nowego Ładu (lata 30. XX w.) instrumentów interwencjonizmu państwowego skłaniała do poszukiwania nowych rozwiązań. Podsuwali je zwolennicy poglądów wywodzących się z klasycznej ekonomii liberalnej. Głosili potrzebę redukcji obciążeń fiskalnych i wydatków publicznych, pobudzenia inwestycji i deregulacji. W ten sposób formowały się zasady polityki neoliberalnej, która kształtowała gospodarkę USA, Wielkiej Brytanii, z czasem zaś innych państw Zachodu.

Aczkolwiek rzeczywista realizacja założeń reaganomiki pozostaje przedmiotem sporów, to właśnie prowadzonej

eprasa.pl fa89fff25f

w USA polityce gospodarczej opartej na teorii podażowej przypisywano przezwyciężenie stagnacji i wzrost gospodarczy lat 80. Dochód narodowy w USA wzrósł niemal 2,5-krotnie. Uznanie neoliberalizmu za model najbardziej sprzyjający wzrostowi gospodarczemu i zdominowanie przez neoliberałów dyskursu ekonomicznego miało doniosłe konsekwencje w latach 90., kiedy za sprawą hegemonii USA rozpowszechniły się na świecie rozwiązania neoliberalne. Wyraźnie ujawni się wpływ tych koncepcji podczas systemowej transformacji części krajów postkomunistycznych oraz walki z kryzysem zadłużenia w Ameryce Łacińskiej.

George H.W. Bush i Pax Americana. Sukces w rywalizacji z ZSRR oraz wzrost gospodarczy walnie przyczyniły się do wyboru w 1988 r. na urząd prezydenta USA George'a H.W. Busha, wiceprezydenta w administracji Reagana, wcześniej m.in. szefa misji w Chinach oraz dyrektora CIA. Ta prezydentura, będąca w wielu wymiarach kontynuacją ery reaganowskiej, otwierała okres zdecydowanej hegemonii Stanów Zjednoczonych w polityce światowej. Do 1992 r. wykuły się zręby świata postzimnowojennego, reguł Pax Americana.

George Bush – niesłusznie pozostający w cieniu charyzmatycznego poprzednika – odegrał istotną rolę w czasie wielkiej przebudowy porządku światowego. Był człowiekiem jasno sprecyzowanych poglądów na temat roli USA w polityce światowej. Twierdził, że to Stany Zjednoczone spowodowały zwrot świata ku demokracji, przedsiębiorczości i wolnemu rynkowi dóbr i idei. „Jesteśmy u progu nowego stulecia. Który kraj nada mu imię? Ja twierdzę, że będzie to kolejne amerykańskie stulecie" – mówił Bush na konwencji wyborczej.

Bush pragnął zakończenia zimnej wojny, jednak dynamika wydarzeń 1989 r. zaskoczyła go. Schyłek ZSRR był zjawiskiem oczywistym i prezydent wypracowywał politykę mającą odpowiedzieć na erozję sowieckiego imperium i przyspieszyć zmiany. Był zdecydowany wspierać reformatorską politykę Gorbaczowa, choć obawiał się, że pozwoli ona moskiewskiemu przywódcy ustabilizować państwo. Cel Waszyngtonu był odmienny. Intencje przywódcy USA wyrażał postulat „Europy scalonej i wolnej" („Europe Whole and Free"). Wypowiadając te słowa w przemówieniu wygłoszonym 31 maja 1989 r. w Moguncji, Bush wzywał do pojednania między Zachodem i Wschodem. Zimna wojna zaczęła się podziałem Europy, stwierdzał, i tylko jego przezwyciężenie może ją zakończyć. Centralne miejsce w przemówieniu zajmowała wolność, „ta jedna idea, z powodu której świat komunistyczny od Budapesztu do Pekinu jest w stanie wrzenia". Deklarował dalsze działania na rzecz samostanowienia narodów Europy Środkowo-Wschodniej, wyraźnie przy tym wspominając o całych Niemczech. „Ścieżka wolności wiedzie do większego domu, w którym Zachód spotyka się ze Wschodem, domu demokratycznego, wspólnoty wolnych narodów" – mówił Bush. Odwołał się także do genezy NATO, u którego źródeł znalazła się wizja „wolnych narodów Ameryki Północnej i Europy", chroniących wspólne wartości.

Mogunckie przemówienie Busha w sposób dobitny wyrażało wszystkie istotne dyrektywy amerykańskiej polityki zagranicznej u progu świata postzimnowojennego. Prezydent odwoływał się do tych samych wartości, które legły u podstaw wspólnoty transatlantyckiej po zakończeniu drugiej wojny światowej, do których nawiązywali niemal pół wieku wcześniej ówczesny prezydent USA Harry Truman i premier Wielkiej Brytanii Winston Churchill. Tym razem jednak Waszyngton przyjmował na siebie rolę nie tyle obrońcy tych wartości, ile gwaranta ich ostatecznego zwycięstwa. Bush, tak jak jego poprzednicy, widział Stany Zjednoczone jako przywódcę Zachodu promującego wolność i demokrację. Prezydenci USA ery zimnej wojny powstrzymywali ekspansję komunizmu w imię obrony wolności, demokracji i praw człowieka. W wielu przypadkach idealistyczne założenia tej polityki przegrywały z pragmatyzmem, który skłaniał kierownictwo Stanów Zjednoczonych do wspierania niedemokratycznych, niekiedy bardzo represyjnych, lecz proamerykańskich reżimów. Na przełomie lat 80. i 90. zarówno w Europie, jak i Ameryce Łacińskiej schyłek ZSRR i upadek dyktatur stworzyły Waszyngtonowi możliwość działania zgodnie z założeniami, jakie legły u podstaw powojennego sojuszu transatlantyckiego.



Charles Krauthammer, amerykański publicysta, autor tezy o momencie jednobiegunowym, 1985 r.



Joseph E. Stiglitz, amerykański ekonomista, krytyk konsensu waszyngtońskiego, 2006 r.

Wiara w transformację Rosji. Niejako w odpowiedzi na majową inicjatywę Busha Gorbaczow porzucił doktrynę Breżniewa (późniejsza wypowiedź Gierasimowa była już tylko efektownym potwierdzeniem decyzji genseka), otwierając drogę do niezależności państw Europy Środkowo-Wschodniej. Intencją ekipy Busha było stworzenie warunków pokojowej transformacji krajów postsowieckich ku demokracji i wolnemu rynkowi. Po utworzeniu rządu Tadeusza Mazowieckiego w Polsce zmiany w obszarze moskiewskiej strefy wpływów gwałtownie przyspieszyły. Polityka USA wobec regionu, zatem także wobec Polski, była konsekwencją stanowiska wobec sytuacji w ZSRR. Celem administracji amerykańskiej było zagwarantowanie pokojowego demontażu dyktatury komunistycznej w Polsce, tak by nie sprowokować gwałtownej reakcji aparatu władzy i nie osłabić pozycji Gorbaczowa. Stąd poparcie udzielone kandydaturze gen. Wojciecha Jaruzelskiego na urząd prezydenta w Polsce w 1989 r.; służyła temu m.in. wizyta Busha w Polsce.

Dla Waszyngtonu zawsze było istotne utrzymanie stabilizacji na obszarze postsowieckim. Bush działał ostrożnie, czego dowodem była powściągliwość, jaką okazywał w sprawie uznania niepodległości państw bałtyckich. Polityka USA wobec ZSRR, a później Rosji, nie była już uwarunkowana doktryną powstrzymywania, lecz dążeniem do uniknięcia reakcji sił starego porządku, niekontrolowanego rozpadu struktur państwowych oraz wolą wzmocnienia tendencji demokratycznych i modernizacyjnych w Rosji. Z tych powodów Bush udzielił ostatecznie poparcia Gorbaczowowi w czasie puczu Giennadija Janajewa w Moskwie (sierpień 1991 r.) oraz wspierał Wspólnotę Niepodległych Państw jako strukturę organizującą świat postsowiecki. Administracja amerykańska i prezydent osobiście wspierali też Borysa Jelcyna (prezydenta Federacji Rosyjskiej 1991–99). Stany Zjednoczone udzielały pogrążonej w głębokim kryzysie Rosji bezpośredniej pomocy żywnościowej oraz finansowej. Na początku lat 90. prywatne inwestycje amerykańskie w Rosji przekroczyły wartość 5 mld dol., co było wyrazem wiary w transformację Rosji.

Podejście Busha do ZSRR i Rosji wynikało z koncepcji, wedle której przeprowadzane w tym kraju zmiany polityczne i gospodarcze musiały uwzględniać udział reformistycznie nastawionych i zorientowanych na współpracę z Zachodem przedstawicieli reżimu komunistycznego. Była to gwarancja ciągłości i uniknięcia wstrząsów politycznych w warunkach kryzysu gospodarczego.

Patronat nad zjednoczeniem Niemiec. Stany Zjednoczone odegrały bardzo ważną rolę w zjednoczeniu Niemiec. Republika Federalna była jednym z kluczowych partnerów USA w Europie w okresie zimnej wojny. USA deklarowały wsparcie dla wolności Niemiec wschodnich i zjednoczenia Niemiec. Jednak w Waszyngtonie zdawano sobie sprawę z doniosłego znaczenia tego kroku dla

eprasa.pl fa89fff25f

Europy. Stąd dążenie USA do utrzymania silnej więzi Niemiec z najważniejszą strukturą bezpieczeństwa Zachodu, czyli NATO. Warto zauważyć, że w przedstawionym przez Helmuta Kohla (kanclerza 1982–98) planie zjednoczenia (którego nagłe ogłoszenie zaskoczyło Amerykanów) zagadnienie zobowiązań Niemiec wobec paktu zostało pominięte.

Ważnym warunkiem postawionym przez USA było także zagwarantowanie przez jednoczące się Niemcy istniejących granic. Takiej decyzji Niemiec oczekiwała przede wszystkim Warszawa, a uznanie wagi tego problemu dowodziło zasadniczej roli Stanów Zjednoczonych w kształtowaniu porządku europejskiego po zimnej wojnie. Autorytet USA ułatwił uwzględnienie interesów stron uczestniczących w negocjacjach 2 + 4 oraz sąsiadów Niemiec. Bush poparł starania Polski o uczestnictwo w dotyczącej jej części rozmów państw niemieckich z wielkimi mocarstwami. Stany Zjednoczone nie zamierzały się przy tym wycofywać z Europy. Przeciwnie, pozostawały w niej obecne politycznie i gospodarczo. Bardzo wcześnie Amerykanie zaczęli wykorzystywać szanse, jakie dla inwestycji prywatnych stworzyło otwarcie rynków środkowoeuropejskich.

Moment jednobiegunowy. W wydanym na zakończenie 1990 r. numerze cenionego periodyku „Foreign Affairs" ukazał się wspomniany już artykuł Charlesa Krauthammera „Moment jednobiegunowy". Autor dowodził, że po raz pierwszy w historii dominujące mocarstwo nie ma rywala zdolnego rzucić mu wyzwanie bądź podważyć jego pozycję. Tak w istocie było. Historia ZSRR formalnie dobiegła końca w grudniu 1991 r. Chiny nie stanowiły jeszcze wyzwania dla USA. Pozycja Stanów Zjednoczonych w Europie była niekwestionowana. Uwagę kierowano raczej ku rosnącej roli Japonii, w której dochód narodowy per capita przewyższył USA, giełda tokijska zaś konkurowała z nowojorską.

W okresie administracji Busha doszło do zaangażowania zbrojnego USA na Bliskim Wschodzie. W odpowiedzi na agresję Iraku na Kuwejt i okupację tego państwa (1990 r.) USA zareagowały interwencją wojskową. Uznano ją za kolejny, jeśli nie ostateczny dowód wejścia USA w rolę jedynego supermocarstwa, gwaranta ładu światowego i obrońcy prawa międzynarodowego. Operacje Pustynna Tarcza i Pustynna Burza w 1991 r. były manifestacją nie tylko sprawczości USA, ale także zdolności Waszyngtonu do budowania koalicji państw opartej na przeciwdziałaniu agresji i poszanowaniu prawa międzynarodowego. Wyrazem nowej sytuacji w stosunkach międzynarodowych było wspólne stanowisko USA i ZSRR w sprawie agresji irackiej. Podstawę prawną operacji wyzwolenia Kuwejtu zapewniała rezolucja Rady Bezpieczeństwa Organizacji Narodów Zjednoczonych. Zaangażowanie ONZ nie było dla Busha li tylko konieczną formalnością. Dążył do wzmocnienia roli tej organizacji w obronie pokoju światowego. Ład międzynarodowy opierał więc na początku lat 90. na normach wyraźnie osadzonych w amerykańskich koncepcjach ładu międzynarodowego, sięgających jeszcze idealizmu Woodrowa Wilsona (prezydenta USA 1913–21).

Konsens waszyngtoński i globalizacja. USA narzuciły także model rozwoju gospodarczego, kontrolując międzynarodowe instytucje finansowe i emitując dolara – walutę światowego obrotu gospodarczego. Wsparcie amerykańskie było zależne od gotowości do spełnienia kryteriów sformułowanych w tzw. konsensie waszyngtońskim. Był to program uzdrowienia gospodarek pogrążonych w kryzysie zadłużeniowym. Ogłoszony w 1989 r. przez Johna Williamsona, który w formie dziesięciu punktów ujął zalecenia reform, powstał z myślą o Ameryce Łacińskiej. Zasadniczymi założeniami zdrowej gospodarki miały być m.in. dyscyplina fiskalna, liberalizacja handlu, otwarcie na inwestycje zagraniczne, reforma systemu podatkowego, prywatyzacja, deregulacja. Równie istotna była nienaruszalność prawa własności. Williamson na próżno protestował przeciwko utożsamieniu jego programu z neoliberalizmem, ale istotne założenia konsensu rzeczywiście stanowiły dyrektywę dla Międzynarodowego Funduszu Walutowego uzależniającego udzielenie wsparcia od wdrożenia reform.

Reformy w duchu neoliberalizmu wprowadzano w warunkach globalizacji, która ułatwiała przepływ kapitału, pracowników, towarów. Uważano, że wolny handel jest gwarancją wzrostu gospodarczego i pokoju. Miał być dobry dla USA i dla świata. „Ameryka skupia 20 proc. światowego bogactwa i 4 proc. światowej populacji – mówił prezydent Bill Clinton, prezydent USA w latach 1993–2001. – Musimy sprzedawać coś pozostałym 96 proc. [populacji], jeśli mamy utrzymać nasz poziom życia. Jako demokrata pragnę także, by nasze relacje handlowe z innymi państwami służyły poprawie warunków życia zwykłych ludzi w tych krajach, ponieważ jest to jedyna droga wsparcia wolności i wolnego rynku i ich trwania w nowym stuleciu".



Prezydenci USA George H.W. Bush i ZSRR Michaił Gorbaczow, Camp David, czerwiec 1990 r.

Deregulacja i globalizacja ujawniały jednak swoje negatywne konsekwencje zarówno dla społeczeństw bogatego Zachodu, jak i rozwijającego się Południa. Konsens waszyngtoński stał się z czasem przedmiotem ostrej krytyki, m.in. ze strony Josepha E. Stiglitza. Ten ekonomista pracujący m.in. w Banku Światowym, doradca ekonomiczny Billa Clintona i laureat Nagrody Nobla w dziedzinie ekonomii, oskarżał MFW o kierowanie się przede wszystkim interesami kredytodawców, a zatem instytucji finansowych Zachodu (szczególnie USA). Miało to destabilizować gospodarkę światową. W warunkach globalizacji założenia konsensu i polityka MFW pogłębiały nierówności i utrwalały zapóźnienie. Prowadziły też do powstania rzeszy ludzi sfrustrowanych nierównościami i niemożnością poprawy warunków życia.

Początek dekady amerykańskiej supremacji to era optymizmu i wiary w ostateczne zwycięstwo liberalnej demokracji i wolnego rynku. Trudno było wówczas dostrzec zalążki kryzysu dominującego modelu rozwoju i ryzyko wzrostu znaczenia rywali USA. Świat uznał, iż zwycięstwo imperium wolności, jak USA nazwał Thomas Jefferson (prezydent 1801–09), zapewnia trwały pokój i obietnicę dobrobytu. Już jednak wydarzenia kolejnej dekady boleśnie zweryfikowały te optymistyczne założenia.

MARCIN FATALSKI

eprasa.pl fa89fff25f



Rok 1989, Polska

Pożegnanie z PRL, stan ducha w czasach przełomu, oczekiwania wobec przyszłości.

Rafał Kalukin

Ze wspomnień ówczesnego nastolatka. Niedługo po wyborach 4 czerwca 1989 r. rzucili do Centralnej Składnicy Harcerskiej przy ul. Długiej w Gdańsku czerwone krawaty Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej. Na wyprzedaż za psi grosz, bodajże symboliczną stówę z Waryńskim. Grzechem było nie skorzystać, oczywiście dla hecy. Nazajutrz zadawaliśmy szyku na szkolnym korytarzu, a nauczyciele z życzliwą wyrozumiałością pukali się w czoło. Był to już czas pożegnań. Końcówka roku szkolnego, naszej edukacji w podstawówce, Peerelu.

W lipcu obóz kolonijny w Mrągowie. Na mieście wisiały plakaty zapowiadające występ kabaretu Jana Pietrzaka w amfiteatrze nad jeziorem Czos. Wspólnie z wychowawcami rechotaliśmy z jędrnego monologu o wojach Lecha, którzy spuścili manto drużynie Wojciecha. A jeszcze rok wcześniej kazano nam sterczeć z chorągiewkami na trasie bratniej wizyty Michaiła Gorbaczowa… Stanowiliśmy zgraną paczkę, nasi rodzice pracowali w jednym przedsiębiorstwie. Było więc jak zawsze „do zobaczenia za rok", bo wiekowo kwalifikowaliśmy się na jeszcze jeden wyjazd. Skąd mieliśmy wiedzieć, że zakładowych kolonii więcej już nie będzie?

Tokarnia w gminie Chęciny, marzec 1989 r.

Wreszcie sierpień, czyli wyczekiwana od miesięcy objazdowa wycieczka po Europie. Wiedeń, Wenecja, Monachium… Już same nazwy wywoływały kolorowy zawrót głowy. Autokar rozgrzewał silnik na placu pod gdańskim NOT, kiedy nagle wyłonili się tuż obok zatopieni w rozmowie Bronisław Geremek z Tadeuszem Mazowieckim, mediewista z katolickim publicystą, obaj działacze opozycyjni w PRL, doradcy Lecha Wałęsy. Zapewne pokonywali trasę z dworca kolejowego do Wałów Piastowskich, gdzie zainstalowały się władze znowu legalnej Solidarności. Wycieczkowicze przykleili nosy do szyby, żeby przed odjazdem nasycić wzrok widokiem „naszych". Dwa tygodnie później, kiedy byliśmy już w drodze do kraju, na sta-

eprasa.pl fa89fff25f



Strajk w Stoczni im. Lenina, Gdańsk, maj 1988 r.

cji benzynowej gdzieś w zachodnich Niemczech dowiedzieliśmy się, że Mazowiecki właśnie został premierem. Radość ogromna i nawet powrót do socjalistycznej biedy nie bolał. Powtarzaliśmy sobie, że za pięć lat będzie u nas tak samo jak TAM.

We wrześniu początek liceum, dopiero poznawaliśmy się w nowym gronie. Dla rozrywki wyskakiwaliśmy na długiej przerwie do pobliskiego kantoru wymianu walut. Jednego z wielu, które zaczęły wyrastać jak grzyby po deszczu. Po drodze robiliśmy zakłady, po ile dzisiaj chodzi dolar. Ale mało komu udawało się trafić, bo nawet młodzieńcza fantazja nie nadążała za szaleńczo pikującą złotówką. W sklepach nadal pustki, ale mówiło się, że nowy rząd ma coś z tym zrobić. Oby.

Nastolatkowi z Trójmiasta wszystko wydawało się w tamtym roku świeże i ekscytujące. Po latach zorientuje się, że w każdym jego wspomnieniu świeci cudowne słońce. Miał świadomość historycznego przełomu, chociaż doświadczał go impresyjnie, mając mgliste pojęcie o realnie zachodzących procesach politycznych i ekonomicznych. Ogólnie był optymistą, nawet jeśli trudno byłoby mu jasno wyrazić, czego tak naprawdę oczekuje od przyszłości.

Ale czy on jeden miał z tym problem?

Stan wojenny w głowach. Rok 1988 był jeszcze straszliwie ponury, pomimo że na horyzoncie pojawiły się pierwsze jaskółki zmiany. W następstwie sierpniowych strajków władza uznała wreszcie opozycję za partnera do rozmów, odnowione zostały kontakty, krążyło już hasło Okrągłego Stołu. Potem pamiętna debata telewizyjna, w której triumfalnie powracający Lech Wałęsa wdeptał w ziemię Alfreda Miodowicza (szefa OPZZ, koncesjonowanych związków zawodowych). Rząd Mieczysława F. Rakowskiego właśnie brał ostateczny rozwód z obowiązującą doktryną, otwierając pole dla wolnej przedsiębiorczości. Dzisiaj byłoby na czym kręcić cyfrowe zasięgi, ale wtedy Polacy żyli w zupełnie innym świecie. Zrywającej się do galopu historii towarzyszył na starcie społeczny marazm i obojętność.

Jak pisał na łamach POLITYKI u progu 1989 r. dyrektor CBOS Stanisław Kwiatkowski, aż 60 proc. Polaków deklarowało brak zainteresowania polityką. Społeczeństwo nadal było pogrążone w letargu. W polskich głowach trwał stan wojenny (wprowadzony w grudniu 1981 r.), kiedy nadzieja została brutalnie podeptana i najprościej było udać się na emigrację wewnętrzną. A do tego żyło się coraz trudniej. Socjalistyczna gospodarka wchodziła już w fazę rozpadu. Na rynku brakowało dosłownie wszystkiego, a jeszcze rozkręcała się inflacja, gdyż władza ze strachu przed kolejnym buntem na potęgę drukowała pusty pieniądz. U schyłku 1988 r. aż 62 proc. badanych przez CBOS stwierdzało, że ledwo wiąże koniec z końcem. Jeszcze więcej, bo 80 proc., deklarowało chęć wyjazdu za granicę. Chociaż tylko nieliczni byli skłonni zniknąć na zawsze, co najczęściej motywowali powodami politycznymi. Zdecydowana większość marzyła, żeby wyrwać się tylko na kilka miesięcy, góra na kilka lat. Przede wszystkim w celach zarobkowych.

Najgorzej znosili osuwanie się w stagnację młodzi Polacy. Zaledwie co piąty spodziewał się w najbliższych latach poprawy ogólnej sytuacji w kraju. Co trzeci wierzył

eprasa.pl fa89fff25f



Przejście podziemne w okolicach bramy Uniwersytetu Warszawskiego, marzec 1989 r.

w możliwość realizacji w dorosłym życiu. „Zrobić karierę, czyli zapisać się do PZPR, jak najwięcej kłamać, łgać, okradać państwo, brać pieniądze, nic nie robiąc" – ironizował jeden z uczestników badania.

Taki obraz władzy był powszechny. Byli „oni" i byliśmy „my". Ci drudzy zamknięci w rozrastającej się słynnej próżni socjologicznej, którą jeszcze pod koniec gierkowskiej dekady opisał prof. Stefan Nowak. Odgrodzeni mentalnym murem od oficjalnego życia, obojętni na propagandę, krzątający się wokół prywatnych spraw, toczący codzienne potyczki z trudami życia. Toteż kiedy władza zaczęła wreszcie rozmawiać z opozycją, ciągle jeszcze panowała nieufność co do jej intencji, jak również realnych możliwości wydobycia się z kryzysu. Z raportów CBOS wynika zresztą, że liderzy Solidarności też nie budzili powszechnego entuzjazmu (w przypadku Lecha Wałęsy 48 proc. zaufania i 45 proc. nieufności), chociaż w ówczesnych realiach politycznych nie wszystkie deklaracje musiały być szczere.

Może nie będzie lepiej, ale będzie weselej. W listopadzie 1988 r. CBOS zapytał o szanse powodzenia dialogu przy projektowanym już Okrągłym Stole. Tylko 1 proc. badanych oceniło je jako bardzo duże; 11 proc. – jako duże; 51 proc. – jako niewielkie; 15 proc. – jako żadne. Z ambiwalencją przyjmowano postulat legalizacji Solidarności, z którym strona opozycyjna siadała do stołu. Z jednej strony cieszył się on poparciem trzech czwartych Polaków, z drugiej – perspektywa jego realizacji napawała lękiem. Komunikat CBOS ze stycznia 1989 r.: „Tak więc w opiniach o sytuacji w kraju przejawia się z jednej strony pragnienie poprawy, a co najmniej utrzymania dotychczasowych materialnych warunków bytu, trudne do spełnienia w obecnej sytuacji gospodarczej, z drugiej zaś obawa, że pragnienie to w skali społecznej może prowadzić do zakłócenia spokoju". Czyli ponownej fali strajków, które raz jeszcze skłonią władzę do sięgnięcia po knut i zrobienia powtórki z 13 grudnia 1981 r.

Niechętny dialogowi z opozycją ówczesny premier Rakowski miał zresztą sporo racji, kiedy zgryźliwie stwierdził, że marzenia Polaków bynajmniej nie krążą wokół Okrągłego Stołu, tylko suto zastawionego. Z badań opinii niezbicie wynikało, że społeczeństwo aż w dwóch trzecich uważało powstrzymanie kryzysu ekonomicznego (a szczególnie inflacji) za kwestię dużo pilniejszą od zmian politycznych. Już wkrótce popłynie z radiowego głośnika ikoniczna dzisiaj fraza „wolność kocham i rozumiem" (piosenka Chłopców z Placu Broni zadebiutowała na Liście Przebojów Trójki 10 czerwca 1989 r.), ale jej kariera trochę zaciemnia obraz. Bo jakkolwiek Polacy niewątpliwie pragnęli wolności, chwilowo bliższa im była potrzeba zapełnienia żołądka.

Obrady przy słynnym meblu śledzono z umiarkowaną uwagą, pod koniec wręcz nikłą. Co nie zmienia faktu, że już po zawarciu porozumienia nieśmiała nadzieja na lepsze zaczęła przeważać nad obawami, chociaż mało kto potrafił odpowiedzieć na pytanie, jaki właściwie program reform będzie realizowany. Wciąż dużo lepiej oceniano perspektywy przemian politycznych (blisko połowa wskazań, że w ciągu dwóch lat nastąpi poprawa) niż w gospodarce (odpowiedzi „poprawi się", „bez zmian" i „pogorszy się" rozkładały się mniej więcej po równo). Reasumując, do wyborów 4 czerwca 1989 r. społeczny optymizm pozostawał towarem reglamentowanym prawie tak samo jak masło. Najlepiej wyraził to w swoim niepodrabialnym stylu Wałęsa, kiedy oświadczył, że „może nie będzie lepiej, ale będzie weselej".

Poeta i felietonista Tomasz Jastrun pisał: „Każdy mógłby szybko zrobić swój inwentarz braku nadziei. I właśnie ten brak jest powodem, że już nic nie budzi naszego entuzjazmu. A zbiorowy pesymizm fatalnie wróży na przyszłość, bo uruchamia prawo samospełniającej się przepowiedni". (Cytat z książki Aleksandry Boćkowskiej „Można wybierać. 4 czerwca 1989"). Z kolei Krzysztof Teodor Toeplitz zauważał w POLITYCE na temat kampanii wyborczej: „Krytyce teraźniejszości i przeszłości, którą słyszymy ze wszystkich nieomal stron, ogromnie rzadko towarzyszy równie wyraźne wskazanie celów, do których należy dążyć, wizji, którą każde zdrowe społeczeństwo powinno mieć przed sobą, żeby jego działanie stało się zborne i dynamiczne. Mówi się o celach doraźnych – jak na przykład równowaga rynkowa, przedsiębiorczość czy wreszcie regulowanie lub nieregulowanie liczby urodzeń – lub też o celach ogólnikowych – jak demokratyzacja, sprawiedliwość, wolność. Natomiast prawie nikt nie stara się zadać sobie pytania, jak to, co przeżywamy, ma się do dotychczasowego biegu historii albo też jaka powinna być wizja finalna obecnych przeobrażeń. Biegniemy nieomal na oślep, mało troszcząc się o to, dokąd".

Demokracja, czyli dobra rzecz. Obserwacja KTT była trafna. Kiedy po latach przegląda się ówczesną prasę, niemożność wskazania konkretnych celów i nazwania ich po imieniu wręcz kłuje w oczy. Dramatycznie brakowało pojęć pozwalających określić podstawowe parametry nowej rzeczywistości, która już czekała za rogiem. Z koniecz-

eprasa.pl fa89fff25f

ności posługiwano się dotychczasowymi, chociaż ich termin przydatności do spożycia właśnie się kończył.

Widać to zresztą nie tylko w języku publicznych debat, ale nawet po sposobie konstruowania ankiet socjologicznych. Kiedy próbowano zdiagnozować oczekiwania wobec reformy gospodarczej, w kwestionariuszu nadal figurowały socjalistyczne dziwolągi. Jak choćby „poprawa dyscypliny pracy", czyli popularne w mijającej dekadzie zaklęcie, które miało stanowić panaceum na wszelkie dolegliwości gospodarki rozdzielczo-nakazowej. Albo „uregulowanie rynku", który przecież wymagał forsownej deregulacji. Źle postawione pytania oczywiście nie mogły prowadzić do trafnych odpowiedzi.

Słowo „kapitalizm" już nie było może zakazane, ale wciąż niestosowne. W to miejsce pojawiały się enigmatyczne zamienniki, np. „nowy ład systemowy podporządkowany filozofii pracy i racjonalnej konstrukcji moralnej". Zamiast prywatnej własności „pluralistyczna struktura własnościowa". Czyli trochę prywatna, trochę państwowa, ale w większości uspołeczniona, czyli pod kontrolą samorządu pracowniczego. Wyłaniała się z tego zamętu mglista i nienazwana hybryda starego z nowym, która nie miała odpowiednika w realnym świecie. A skoro nie było materiału do porównań i analizowania konkretnych doświadczeń, świadomość przyszłych zagrożeń pozostawała nikła.

Ale nawet słowo „demokracja" było wymawiane jeszcze półgębkiem, gdyż skupiano się jedynie na projektowaniu ewolucyjnego procesu dochodzenia do niej. Taktyka przesłaniała strategię. Po części wynikało to pewnie z lęku, że Okrągły Stół okaże się kolejną socjalistyczną odwilżą, która skończy się jak zawsze nawrotem przymrozków, więc nie warto rozbudzać nadziei. Chociaż przemilczenia chyba w jeszcze większym stopniu brały się z deficytu wyobraźni, który ograniczał nawet tych mniej strachliwych. Pod pojęciem demokracji nie kryła się zresztą wizja żadnego konkretnego systemu politycznego. Był to jedynie zestaw potocznych odniesień kulturowych, co w pierwszych miesiącach 1989 r. znalazło wyraz w natarczywie lansowanych hasłach powrotu do normalności bądź Europy. Oba kierunki oznaczały zresztą mniej więcej to samo.

„»Normalnie« znaczyło – tak jak na Zachodzie. Jednym z oczywistych składników owej normalności, obok pełnych półek, kilkudziesięciu kanałów telewizji i paszportu trzymanego w szufladzie, musiała być także demokracja. Oczywistym także dlatego, że nigdy wcześniej nie zadawano sobie specjalnego trudu, aby zdefiniować to pojęcie, aby postawić pytanie, jaka ma być ta demokracja" – pisał już z perspektywy dekady Dariusz Gawin, filozof i konserwatywny publicysta. I dalej: „Nie ma zresztą w tym nic dziwnego. Roztrząsanie szczegółowych kwestii ustrojowych czy tropienie zagrożeń, na jakie demokracja może narazić tradycyjne wartości, musiało wydawać się społeczeństwu pozbawionemu przez dziesiątki lat elementarnych swobód nieosiągalnym luksusem. W konsekwencji pojęcie demokracja, mgliste i nieostre, zawierało ogromną dozę idealizmu. W czasie październikowej odwilży 1956 r. Leszek Kołakowski w »Po prostu« dał słynną definicję socjalizmu – socjalizm, jak pisał, to »taka dobra rzecz«. Dokładnie to samo można powiedzieć o wyobrażeniach społeczeństwa i elit opozycyjnych na temat demokracji w momencie upadku PRL. Demokracja, której wszyscy wyglądali, była po prostu »dobrą rzeczą«".


W NUMERZE: Ze sprawozdania na KKD ◆ Zaangażować się w walkę wyborczą ◆ Gra o jutro ◆ Czy nowa warstwa średnia? ◆ Olimpiada bez stadionu ◆ Vademecum sekretarza – Indeksacja

Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

życie partii

dwutygodnik 9/547 1989. 05. 03. Cena 40 zł

PZPR KKD

KRAJOWA KONFERENCJA DELEGATÓW PZPR

4 – 5 maja 1989

Owocnych obrad, towarzysze delegaci!

Dla przyszłości Polski


gazeta WYBORCZA

NASZ PREMIER!

Nie ma wolności bez Solidarności

Koalicji dzień pierwszy

Pierwsze strony dwutygodnika „Życie Partii" z 3 maja 1989 r. i dziennika „Gazeta Wyborcza" z 22 sierpnia 1989 r.

I dodajmy, że przy okazji kolejną utopią. Projektem z jednej strony nieokreślonym, odbieranym jedynie intuicyjnie. Z drugiej – zamkniętym konstruktem. Niestopniowalnym w tym sensie, że można mieć mniej lub więcej demokracji, i po to jest właśnie polityka, żeby takie sprawy na bieżąco regulować. Nawet zdystansowanemu wobec solidarnościowej metafizyki publicyście i pisarzowi Piotrowi Wierzbickiemu zdarzało się napisać, że „demokrację można wprowadzić w jeden dzień, a naprawa gospodarki to zadanie na lata". Bo w 1989 r. jedynym punktem odniesienia nadal pozostawał PRL, który mimo tylu podjętych w przeszłości prób nie dawał się dostosować do lokalnych gustów, gdyż w gruncie rzeczy był tylko sowiecką franczyzą. Należało więc wystawić ją teraz za drzwi i w to miejsce zbudować nowy ład, o którym wiedziano ledwie tyle, że powinien być zaprzeczeniem starego.

Narodowe czary-mary. W wydanej w połowie lat 90. książce „Po komunizmie" Marcin Frybes i Patrick Michel przeprowadzili dekonstrukcję zapętlonej świadomości czasów przełomu. Wyodrębnili trzy wzajemnie powiązane wielkie mity, które zaważyły na kształcie nowej umowy społecznej w przededniu transformacji.

Mit jedności obozu solidarnościowego zrodził się jeszcze w czasach politycznego karnawału z lat 1980–81, kiedy Solidarność uważano za emanację całego społeczeństwa, ucieleśnienie polskich aspiracji i wyrazicielkę narodowego ducha. I chociaż minęła prawie dekada, wciąż był on silny. W kampanii wyborczej prawnik i działacz opozycyjny Andrzej Wielowieyski zapowiadał „powrót do sytuacji, w której struktury ekonomiczne i społeczne będą wyrażały potrzeby ludzi". Tak jakby wszyscy ludzie mieli identyczne potrzeby i nie zachodziły pomiędzy nimi konflikty interesów… Ale bynajmniej nie był to lapsus jednego z ważniejszych doradców Wałęsy, lecz wyraz uogólnionego przekonania. W publicystyce czasów przełomu trudno znaleźć choćby okruchy świadomości istnienia społecznych różnic. Powtarzano za to do znudzenia slogan o odzyskiwaniu podmiotowości społecznej, cokolwiek miałoby to realnie oznaczać.

Z tej wiary urodził się mit nowej polityki z jej dogmatem jedności drużyny Wałęsy, co w praktyce polegało na obcięciu solidarnościowych skrajności w konstruowaniu list wyborczych przed 4 czerwca. Był to polityczny błąd, który już rok później doprowadzi do tzw. wojny na górze. Ale w 1989 r. Polacy wyobrażali sobie jeszcze politykę w sposób idealistyczny. Znalazło to wyraz w erupcji entuzjazmu towarzyszącego powołaniu rządu Mazowieckiego. Oto objawił się nowy Pan Tadeusz, wcielenie najlepszych polskich tradycji. Jeszcze przez wiele miesięcy starsi ludzie będą na jego widok nabożnie klękać. W figurze bowiem naszego premiera został ożywiony kolejny z mitów

eprasa.pl fa89fff25f





Od góry: Budowa legendarnego Okrągłego Stołu, Zakłady Wytwórcze Mebli Artystycznych, Henryków k. Warszawy, październik 1988 r.

Ul. Warszawska w Kielcach, kwiecień 1990 r.

– wspólnoty narodowej. Oparty na romantycznych kodach, z wiodącą rolą Kościoła.

Z tego wszystkiego wykluwała się wielka narodowa misja zerwania z dziedzictwem komunizmu i „powrotu do normalności". Kolejny z wielkich dziejowych projektów, który wymaga ofiar. Świetnie wstrzelił się w takie myślenie młody ekonomista z Harvardu Jeffrey Sachs, który przybył do Polski latem 1989 r. z misją przekonania solidarnościowej elity do radykalnej transformacji rynkowej. Przemawiał do niej w Sali Kolumnowej Sejmu niczym rasowy coach: „Zróbcie coś odważnego, (…) pomyślcie, ile może wytrzymać społeczeństwo, a potem poruszajcie się trzy razy szybciej".

To właśnie tamtego dnia zaczął się rodzić romantyzm reform. Bez mitu jedności raczej nie dałoby się przekonać wymęczonego kryzysem społeczeństwa do akceptacji dalszych trudów. Frybes i Michel określili to mianem polityki zaczarowanej, w sumie doceniając jej wartość jako środka znieczulającego ból transformacji na pierwszym jej etapie. Tym gwałtowniejszy był jednak później moment odczarowania, kiedy morfina przestała działać.

Szklanka pusta czy pełna? Ale jesienią 1989 r. Polacy jeszcze wierzyli, że Tadeusz Mazowiecki sobie poradzi. Tak przynajmniej uważało 72 proc. respondentów CBOS. Na co liczyli? Przede wszystkim na poprawę zaopatrzenia i obniżenie inflacji (58 proc.). Same tylko zmiany polityczne wciąż mało kogo interesowały (poniżej 3 proc. wskazań). Inteligencja trochę kręciła nosem. Historyk idei i działacz opozycyjny Marcin Król ze zdziwieniem konstatował, że osobiście nie zna nikogo, komu zależy na pieniądzach. Bo w PRL można było przecież żyć praktycznie bez nich. Ot, żeby wystarczyło na książki i coś do jedzenia, ale po co komu więcej? Po latach w głośnym pamflecie „Byliśmy głupi" bił się w piersi w imieniu całej „republiki inteligenckiej", która nie rozumiała społecznych potrzeb.

Chociaż jej dawni obywatele nawet dziś ulegają jeszcze pokusie uogólnienia swojego ówczesnego optymizmu na postawy ogółu Polaków. Naprawdę przecież wierzyli, że wystarczy tylko przejść przez już ostatnie załamanie pogody, po czym na dobre zaświeci słońce i zrobi się jak w bajce o szczęśliwym Zachodzie. W badaniach społecznych z epoki trudno jednak tę iluzję odnaleźć. Pod koniec 1989 r. tylko 13 proc. Polaków spoglądało w przyszłość z niezmąconą nadzieją. W przypadku 20 proc. już mieszała się ona z obawami, chociaż nadzieja pozostawała silniejsza. Kolejne 15 proc. równoważyło oba te stany, deklarując niepewność. Taki sam odsetek przyznawał się do przewagi obaw nad nadziejami. Z kolei aż 28 proc. dostrzegało już wyłącznie zasnuty czarnymi chmurami horyzont.

Tymczasem trwała już wschodnioeuropejska jesień ludów w całym sowieckim bloku, po której komunizm ostatecznie wyzionął ducha. Polacy niewątpliwie mieli powody do dumy jako ci, którzy wprawili w ruch kostki domina. Ale zarazem obawiali się geopolitycznych skutków rewolucyjnych tąpnięć. Co ciekawe, niedługo po upadku muru berlińskiego obawa przed zjednoczeniem Niemiec była nawet silniejsza (53 proc. wskazań) niż przed rozpadem ZSRR (39 proc.). Aż 60 proc. obawiało się wybuchu wojny (dwa lata wcześniej – jedynie 43 proc.). Tamte lęki zostaną szybko wyparte i zapomniane, chociaż ich wpływ na społeczną świadomość był zapewne istotny.

W końcówce roku krwawa rumuńska rewolucja przebijała kołkiem ostatniego komunistycznego wampira. W Polsce Sejm właśnie uchwalił pakiet ustaw, które przejdą do historii jako plan Balcerowicza. Tuż przed sylwestrem POLITYKA opublikowała sondaż z pytaniem: „Czy w ciągu najbliższych pięciu lat nastąpi zdecydowana poprawa warunków życia?". 43 proc. było na tak, a 44 proc. na nie. I chyba nikt tak naprawdę nie był w stanie stwierdzić, czy szklanka jest w połowie pusta, czy może jednak pełna.

Już w nowym roku prozaik, kompozytor i felietonista Stefan Kisielewski w „Tygodniku Powszechnym" wbił typową dla siebie szpilę realizmu: „Panuje u nas swoista, bo szczera »propaganda sukcesu«, że owszem, jest ciężko, ale jak przezwyciężymy trudności, to przyjdzie Wolny Rynek, a wtedy już będzie bardzo dobrze. Otóż uwaga: wolny rynek, gospodarka rynkowa, to nie jest żadna gwarancja dobrobytu (…). Wolny rynek to niezbędna metoda, ale bez gwarancji, bo do jej sukcesu potrzeba wielu jeszcze rzeczy: kadr produkcyjnych, produkcji oryginalnej, (…) kapitału inwestycyjnego, rynku kapitałowego – wszystkiego, czego my nie mamy i nie przygotowujemy".

Inaczej socjolog Ireneusz Krzemiński, który na łamach „Odry" podzielił się z kolei swoim optymizmem: „Przełamane zostało panujące od wielu lat społeczne poczucie rozpaczy i bezradności. Wydawało się, że komunistom po 13 grudnia udało się zabić ludzką nadzieję. Dlatego wielkim zwycięstwem jest fakt, uporczywie potwierdzany przez sondaże opinii publicznej [sic!], że większość ludzi – mimo spodziewanych dla siebie niewygód i niedostatków – patrzy w przyszłość z wiarą w lepsze życie".

RAFAŁ KALUKIN

Dziękuję za pomoc Marcinowi Kucharskiemu z CBOS.

eprasa.pl fa89fff25f

Dekada zapomnianych marzeń

Świat pod koniec XX w.: od wielkich nadziei do globalnego rozgardiaszu.

Łukasz Wójcik

Trzy wizje. Lata 90. XX w. na świecie rozpoczęły się od wielkiej nadziei, potem spłynęły krwią. Z perspektywy czasu stały się ostatnią oazą spokoju i zostawiły nas w rozgardiaszu, z którego już się chyba nie wygrzebiemy.

Gdy rozpoczynała się zimna wojna, sprawa była prosta: na Zachodzie szybko przeważyła zaproponowana przez amerykańskiego dyplomatę i sowietologa George'a Kennana doktryna powstrzymywania (1947 r.). Zakładała ona, że druga strona – czyli sowiety – jest ze swej natury agresywna i ekspansywna, dlatego trzeba ją powstrzymywać. Bywało z tym różnie, ale się udało. Przyszedł jednak 1989 r. i sprawy się skomplikowały.

Pierwszy był Francis Fukuyama z „Końcem historii" (art. s. 17). Ten amerykański politolog związany z Departamentem Stanu argumentował po heglowsku, że światowy porządek od zawsze był wypadkową starcia różnorodnych systemów politycznych. I że po 1989 r. doszło do ostatecznego triumfu systemu zwanego demokratycznym kapitalizmem. Nie trzeba było długo czekać na reakcję. Już rok później inny amerykański politolog John Mearsheimer, dziś kapłan geopolitycznego realizmu, zapowiedział, że wkrótce świat zatęskni za stabilnością zimnej wojny. Przekonywał, że nie będzie żadnego pokoju, że powrót do geopolitycznej wielobiegunowości – szczególnie w Europie – wywoła chaos, niekontrolowaną proliferację broni atomowej i zgubną rywalizację między państwami narodowymi znaną z pierwszej połowy XX w.

Wkrótce obaj panowie spotkali się z kontrą tego trzeciego. W 1992 r. Samuel Huntington (znów amerykański politolog; jakże Ameryka wymyśliła nam świat!) zaprezentował tezę o zbliżającym się zderzeniu cywilizacji. Jego zdaniem nową politykę międzynarodową nie będą kształtować ani ścierające się ideologie, ani równowaga sił, ale kulturowe i religijne różnice tworzące odrębne cywilizacje, które będą ze sobą wojować.

Czy dziś, z perspektywy trzech dekad, możemy stwierdzić, który z nich miał rację w sprawie lat 90.? To skomplikowane…



Wschodnioniemiecki strażnik graniczny przy wyłomie w murze berlińskim, Berlin, luty 1990 r.

eprasa.pl fa89fff25f

Kostki domina. Chyba najbardziej optymistyczny słuchacz berlińskiego przemówienia Ronalda Reagana z 1987 r., w którym prezydent USA wzywał sowieckiego genseka Michaiła Gorbaczowa do „zburzenia tego muru", nie wyobrażał sobie, że dwa lata później komunistyczne reżimy Europy Wschodniej przewrócą się niczym kostki domina.

Pierwsza była Polska, gdzie latem 1988 r. pod presją strajków reżim generała Wojciecha Jaruzelskiego zgodził się na rozpoczęcie negocjacji z Solidarnością. Doprowadziły one do tzw. okrągłego stołu i porozumienia otwierającego drogę do częściowo demokratycznych wyborów 4 czerwca 1989 r. Solidarność wygrała je zdecydowanie i we wrześniu utworzyła pierwszy niekomunistyczny rząd Tadeusza Mazowieckiego.

Potem przyszła kolej na Węgry. Tamtejszy rząd, już wówczas najbardziej liberalny z komunistycznych, zezwolił na wolność zrzeszania się i zgromadzeń oraz nakazał otwarcie granicy z Zachodem. W ten sposób otworzył też drogę ucieczki dla coraz większej liczby obywateli Niemiec wschodnich, co będzie miało rychłe konsekwencje. Partia komunistyczna odsunęła od władzy swojego wieloletniego przywódcę, Janosa Kádára, zgodziła się na rozmowy z opozycją. Latem 1989 r. odbyły się wolne wybory, które komuniści przegrali.

Ci uciekający przez Węgry obywatele NRD rozpoczęli reakcję łańcuchową we własnym kraju. Do jesieni 1989 r. tysiące z nich wyjechało do Niemiec zachodnich, kolejne tysiące występowało o azyl w ambasadach RFN w Pradze i Warszawie i domagało się transportu na zachód. W samej NRD doszło do masowych, prodemokratycznych demonstracji. W Dreźnie obserwował je z bliska agent KGB Władimir Putin i zapewne płakał wewnętrznie.

Błękitne hełmy

Po zakończeniu zimnej wojny zaczęło do głosu dochodzić przekonanie, że teraz przyszedł czas na liberalny porządek. A w jego ramach ponadnarodowe organizacje – nie kierując się już interesem potęg, lecz pomyślnością ludzkości – przypilnują pokoju. Ich zbrojnym ramieniem miałyby być tzw. błękitne hełmy, czyli jednostki wojskowe oddane do dyspozycji ONZ przez jej państwa członkowskie. Żołnierze w charakterystycznych jasnoniebieskich hełmach (dla odróżnienia się od stron konfliktu) mieli egzekwować postanowienia Rady Bezpieczeństwa: rozdzielać walczące strony, chronić miejscową ludność, rozminowywać teren i wspierać organizacje charytatywne.

Jakby na zachętę w 1988 r. błękitne hełmy otrzymały Pokojową Nagrodę Nobla, a ONZ – wyzwolona od amerykańsko-sowieckiej rywalizacji – postanowiła stać się centrum zarządzania nowego multilateralizmu. W latach 1989–94 Rada Bezpieczeństwa wydała zgodę na 20 misji pokojowych. W tym okresie liczba wojskowych w błękitnych hełmach wzrosła siedmiokrotnie. W szczytowym momencie, w 1993 r., ponad 80 tys. żołnierzy sił pokojowych reprezentujących 77 krajów – w tym Polskę – zostało wysłanych na misje na całym świecie.

Zaczęło się od serii udanych misji w Afryce – w Namibii i Mozambiku (nadzorowanie rozejmu i wyborów), a potem w środkowoamerykańskim Salwadorze (m.in. rozbrajanie partyzantki). Sukcesy z początku dekady były związane z dobrymi chęciami stron konfliktu. I, jak się później okazało, doprowadziły do nadmiernej pewności siebie *peacekeeperów*.

Porażki przyszły już w 1993 r. Najpierw w Somalii, gdzie Amerykanie – wysłani, aby odblokować dostawy żywności – podczas ulicznej bitwy w Mogadiszu stracili 18 żołnierzy, 73 zostało rannych (tamta interwencja w zasadzie położyła kres udziałowi USA w misjach pokojowych ONZ). Potem przyszła kolej na Rwandę – wysłani wojskowi mieli słabe uzbrojenie i słaby mandat ONZ, a mieli chronić członków plemienia Tutsi przed liczniejszymi bojówkami Hutu. Gdy sytuacja się pogorszyła, żołnierze ONZ, głównie Belgowie, dostali rozkaz odwrotu i ubezpieczenia wyjeżdżających z kraju obcokrajowców. W ciągu kolejnych 100 dni z rąk Hutu zginęło nawet milion Tutsi.

Rok później w Bośni holenderskim siłom pokojowym nie udało się powstrzymać Serbów przed zamordowaniem w Srebrenicy 8 tys. muzułmańskich mężczyzn, którzy przebywali na terenie oenzetowskiej strefy bezpieczeństwa. Oba przypadki pokazały oczywiste ograniczenia sił pokojowych ONZ w miejscach, gdzie strony konfliktu nie akceptują ich obecności.

W drugiej połowie lat 90. przyszło rozczarowanie błękitnymi hełmami. Ale chociaż nastąpił gwałtowny spadek liczby uczestników misji pokojowych, liczba żołnierzy wysłanych na misje inne niż pokojowe faktycznie wzrosła – przede wszystkim w ramach operacji antyterrorystycznych. Poszczególne państwa albo sojusze wojskowe brały sprawy w swoje ręce, przyznając pośrednio, że multilateralizm zawiódł. Z dzisiejszej perspektywy Siły Zbrojne ONZ pozostają więc jednym z symboli optymizmu pierwszej połowy lat 90.

(ŁW)



Zbiorowa mogiła ofiar mordu Serbów na mieszkańcach Srebrenicy w 1995 r., badana przez ekspertów medycyny sądowej MTK w Hadze, 1996 r.

eprasa.pl fa89fff25f

Próbując ratować sytuację, w październiku partia komunistyczna wymieniła jednego twardogłowego przywódcę, Ericha Honeckera, na innego, Egona Krenza. Pod jego kierownictwem władze próbowały jeszcze powstrzymać kryzys emigracyjny, ale wieczorem 9 listopada jeden z działaczy partyjnych omyłkowo ogłosił w telewizji, że rząd zezwoli na nieograniczony wjazd na zachód. Powszechnie zinterpretowano to jako decyzję o natychmiastowym otwarciu przejść granicznych już tego samego wieczoru. Nieprzygotowani strażnicy graniczni musieli ustąpić.

Ostateczna przeszkoda na drodze do zjednoczenia upadła w lipcu 1990 r., kiedy kanclerz RFN Helmut Kohl przekonał Gorbaczowa do wycofania sprzeciwu wobec zjednoczenia Niemiec – w zamian za znaczną pomoc finansową dla ZSRR. Warunkiem formalnego zjednoczenia była zgoda czterech zwycięskich mocarstw drugiej wojny światowej: Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Francji i Związku Sowieckiego. Została ona zawarta w traktacie 2 + 4, podpisanym w Moskwie 12 września 1990 r. Umowa zjednoczeniowa weszła w życie 3 października 1990 r. Niemiecka Republika Demokratyczna dołączyła do Republiki Federalnej jako pięć dodatkowych landów, a dwie części podzielonego Berlina stały się jednym landem.

Równocześnie historia rozkręcała się w Pradze, gdzie w październiku 1989 r. policja aresztowała setki osób po nielegalnej demonstracji, ale tydzień później pojawili się nowi. Właśnie wtedy Aleksander Dubček, reformatorski komunista, jeden z przywódców tzw. praskiej wiosny z 1968 r., po raz pierwszy od ponad dwóch dekad wystąpił publicznie, wspierając demonstrantów. 5 grudnia nowy, niekomunistyczny rząd objął władzę w kraju, a 29 grudnia Václav Havel, słynny dramaturg i dysydent, został wybrany na prezydenta.

Tylko w Rumunii wydarzenia przybrały gwałtowny obrót. Tamtejszy przywódca Nicolae Ceaușescu, coraz bardziej osobliwy relikt czasów stalinowskich, zablokował jakiekolwiek reformy mimo kolejnych przewrotów w sąsiedztwie. 17 grudnia 1989 r. w Timișoarze wojsko i policja otworzyły ogień do antyrządowej demonstracji, zabijając dziesiątki osób. Nie powstrzymało to kolejnych protestów i gdy 21 grudnia Ceaușescu znów kazał strzelać do ludzi, opuścili go ostatni współpracownicy. Następnego dnia rumuński dyktator musiał uciekać z Bukaresztu, wkrótce jednak został aresztowany przez żołnierzy. Rząd tymczasowy, kierowany przez reformatorskiego komunistę Iona Iliescu, przeprowadził krótki proces pokazowy obalonego przywódcy, Ceaușescu i jego żona zostali straceni 25 grudnia.

Potem w Europie Wschodniej historia gnała nadal: błyskawiczna transformacja od rządów komunistycznych do demokratycznych, rozwiązanie Układu Warszawskiego i RWPG, wycofanie jednostek Armii Czerwonej, strukturalna reintegracja z Zachodem w różnym tempie i z różnym powodzeniem – w zależności od państwa. Kraje tego regionu porzuciły gospodarkę centralnie planowaną na rzecz systemów rynkowych, a transformacja często przybierała postać tzw. terapii szokowej, której przykład dał Leszek Balcerowicz w Polsce. Początkowo doprowadziło to do skokowego wzrostu bezrobocia i spadku produkcji gospodarczej, po którym nastąpił okres ożywienia, znów: o różnym nasileniu w różnych krajach.

Lepiej oddzielnie. Związek Sowiecki nie pozostał na to wszystko obojętny. Wiosną 1989 r. odbyły się częściowo wolne wybory do Zjazdu Deputowanych Ludowych ZSRR, a przez cały 1990 r. trwały wybory lokalne. Siły niekomunistyczne wygrały w trzech republikach bałtyckich oraz w Armenii, Gruzji i Mołdawii. W marcu 1990 r. niepodległość ogłosiła Litwa.

Nasilała się walka o władzę między demokratycznie wybranymi władzami Federacji Rosyjskiej a resztkami sowieckiej struktury władzy oraz osobisty konflikt między Gorbaczowem i szefem Rady Najwyższej Rosyjskiej Republiki Sowieckiej Borysem Jelcynem. Do symbolicznego załamania się systemu doszło w sierpniu 1991 r., gdy grupa radykalnych komunistów i wojskowych przeprowadziła nieudany zamach stanu zwany puczem Janajewa – od Giennadija, wiceprezydenta ZSRR, który stanął na jego czele. Wkrótce potem rozwiązano Komunistyczną Partię Związku Radzieckiego, a 8 grudnia 1991 r. prezydenci Białorusi, Federacji Rosyjskiej i Ukrainy podpisali układ białowieski, tworząc luźną Wspólnotę Niepodległych Państw (WNP). ZSRR oficjalnie przestał istnieć.

Nie był to jedyny rozpad w tej części Europy. Jugosławia, choć rządzona przez komunistów, nie należała do bloku sowieckiego i miała częściowo rynkową gospodarkę. Napięcia między jej republikami składowymi i federalnym centrum utrzymywały się od lat 60., ale były trzymane pod kontrolą represjami. Demokratyczne wybory w republikach w 1990 r. zapoczątkowały jednak dezintegrację. Najpierw, w czerwcu 1991 r., Słowenia i Chorwacja ogłosiły secesję z federacji jugosłowiańskiej. Macedonia (obecnie Macedonia Północna) zrobiła to samo w grudniu. Już po wybuchu wojny domowej, w kwietniu 1992 r., Serbia i Czarnogóra utworzyły nową federację.



Na ulicach Bukaresztu, grudzień 1989 r.

Do najkrwawszych walk doszło w Bośni i Hercegowinie (BiH). Jej populacja obejmowała najliczniejszych Boszniaków (muzułmanów bośniackich) oraz Serbów i Chorwatów. W grudniu 1990 r. odbyły się tam wybory, utworzono trójstronny rząd koalicyjny, którego wspólnym prezydentem został boszniacki polityk Alija Izetbegović. Rosły jednak napięcia wewnętrze, napędzane głównie przez lokalnych Serbów, którym przewodził Radovan Karadžić. W 1991 r. zaczęła się serbska rebelia wspierana przez Belgrad. Karadžić wycofał swoich ludzi z bośniackiego parlamentu i utworzył własny – taki stan utrzymywał się przez prawie rok.

Na przełomie lutego i marca 1992 r. odbyło się referendum niepodległościowe, które miejscowi Serbowie zbojkotowali. Izetbegović ogłosił niepodległość kraju. W kwietniu Serbowie pod dowództwem gen. Ratko Mladicia rozpoczęli ostrzał Sarajewa i oblegali inne miasta, dopuszczając się na Boszniakach czystek etnicznych. Przez następne dwa lata front się ustabilizował, choć armia BiH wspierana przez miejscowych Chorwatów stopniowo słabła. ONZ utworzyła wtedy strefy bezpieczeństwa dla

eprasa.pl fa89fff25f

prześladowanej ludności. W lipcu 1995 r. nie zdołała jednak ochronić takiej strefy w Srebrenicy, gdzie bośniaccy Serbowie zamordowali ponad 7 tys. Boszniaków.

Kilka propozycji pokojowych podczas wojny upadło – głównie ze względu na nieustępliwość Serbów. W końcu w 1994 r. NATO atakowało serbskie pozycje. Bośniaccy Serbowie, pod jednoczesną presją boszniacko-chorwackiej ofensywy, zgodzili się na rozmowy pokojowe w amerykańskim Dayton, gdzie reprezentował ich Słobodan Milošević. W rezultacie doszło do federalizacji BiH, gdzie część boszniacko-chorwacka miała objąć 51 proc. powierzchni, a na pozostałej miała powstać Republika Serbska. Szacuje się, że w czasie tej wojny zginęło ok. 100 tys. osób, a ponad 2 mln zostało przesiedlonych.

Jednocześnie tlił się konflikt w kontrolowanym przez Belgrad Kosowie, gdzie stanowiący większość Albańczycy domagali się autonomii, a nawet przyłączenia do Albanii. Wojna wybuchła w 1998 r. – w odpowiedzi na kolejne sukcesy serbskiej ofensywy przeciwko Armii Wyzwolenia Kosowa w marcu 1999 r. NATO odpowiedziało bombardowaniami serbskich pozycji i samego Belgradu. Wtedy Milošević zarządził kampanię czystek etnicznych, w wyniku których setki tysięcy kosowskich Albańczyków musiało emigrować. W czerwcu 1999 r. osiągnięto porozumienie pokojowe, a serbskie wojska wycofały się z Kosowa.



Manifestacja z logo euro na placu przed siedzibą Europejskiego Banku Centralnego we Frankfurcie nad Menem, 1999 r.

Rubikon przemocy. To był jednak dopiero początek konfliktów zbrojnych kończących lata 90. Następna w kolejce była sowiecka Czeczenia. Nastroje secesjonistyczne tliły się tam od XIX w., ale eksplodowały wraz z rozpadem ZSRR w 1991 r. W sierpniu tego roku Dżochar Dudajew, były sowiecki generał, dokonał zamachu stanu przeciwko lokalnym władzom komunistycznym i wkrótce ogłosił niepodległość Czeczenii. Wojska rosyjskie wkroczyły do zbuntowanej republiki w grudniu 1994 r. i po kilku miesiącach ciężkich walk zdobyły stolicę – Grozny. W 1996 r. Dudajew zginął podczas rosyjskiego ostrzału, a jego miejsce zajął inny partyzancki przywódca Asłan Maschadow, bardziej chętny do rozmów z Rosjanami. Dzięki temu w maju 1997 r. Jelcyn, wówczas już prezydent Federacji Rosyjskiej, i Maschadow podpisali rozejm bez uregulowania najważniejszych sporów.

Rosjanie wrócili do Czeczenii pod koniec 1999 r., po tym jak nowy premier Władimir Putin oskarżył czeczeńskich secesjonistów o przeprowadzenie zamachów bombowych na budynki mieszkalne w Rosji, m.in. w Moskwie (do dziś nie ma dowodów na czeczeński trop). Gdy przeważające siły rosyjskie opanowały całą republikę, Czeczeni – chowając się w górach – rozpoczęli nową wojnę partyzancką. Obie pacyfikacje Czeczenii były dla Rosji jak przekroczenie Rubikonu przemocy, twierdzi Thomas de Waal, znany brytyjski ekspert ds. Kaukazu. A druga interwencja przygotowała grunt pod błyskawiczną karierę Putina. Oficjalna liczba ofiar wśród rosyjskich żołnierzy wynosiła prawie 6 tys., ale według większości niezależnych szacunków rzeczywista lista jest co najmniej dwukrotnie wyższa. Liczbę ofiar cywilnych szacuje się nawet na 100 tys.

Amerykanie w latach 90. prowadzili inne interwencje, czego przykładem była pierwsza wojna w Zatoce Perskiej. 2 sierpnia 1990 r. Saddam Husajn nakazał swoim generałom zająć roponośny Kuwejt, jak sam mówił: 19. prowincję Iraku. Jego oddziały wykonały zadanie w niecałą dobę i ustawiły się do ataku na kolejnego sąsiada, Arabię Saudyjską. Gdyby udało im się zająć północno-wschodnią część tego kraju, Husajn kontrolowałby połowę światowych zasobów ropy naftowej. Sprawa więc nabrała międzynarodowego znaczenia, zaczęła zagrażać fundamentalnym interesom Stanów Zjednoczonych. Wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. ONZ potępiła agresję Iraku, zażądała natychmiastowego wycofania się z Kuwejtu, a następnie nałożyła embargo gospodarcze, gdy Bagdad nie zastosował się do żądania. Amerykanie – na zaproszenie Saudyjczyków – rozstawili wojska wzdłuż granicy z Kuwejtem i Irakiem. Pod koniec sierpnia ONZ postawiła Husajnowi ultimatum w sprawie wycofania wojska z nieprzekraczalną datą 15 stycznia 1991 r. Irak nie zareagował.

Dwa dni później Amerykanie, dowodzeni przez gen. Normana Schwarzkopfa i w świetle kamer raczkujących dopiero telewizji informacyjnych (CNN), rozpoczęli operację Pustynna Burza – najpierw bombardowania lotnicze, a dwa tygodnie później inwazję lądową, która w trzy dni odbiła Kuwejt, a potem wdarła się 190 km w głąb Iraku. 3 marca było po wszystkim, Irakijczycy – wypchnięci już z Kuwejtu – poprosili o rozejm. Operacja ta do dziś określana jest jako pokaz szczytowej amerykańskiej potęgi przy często debiutanckim zastosowaniu nowych technologii takich jak samoloty stealth i inteligentne bomby.

Amerykańska interwencja miała długofalowe reperkusje. Wycofujące się siły irackie podpaliły pola naftowe, doprowadzając do katastrofy ekologicznej. Ale Amerykanie w końcu zatrzymali się z innego powodu – Bush senior nie chciał obalenia reżimu Husajna, bo obawiał się, że to może doprowadzić do rozpadu podzielonego etnicznie i religijnie państwa, co ponad dekadę później stało się za sprawą interwencji jego syna Busha juniora. W końcu Osama bin Laden i jego zwolennicy podawali ówczesną obecność wojsk USA w Arabii Saudyjskiej – na świętej ziemi islamu – jako jeden z powodów wojny ze Stanami Zjednoczonymi, co skończy się dla Amerykanów m.in. atakami z 11 września 2001 r.

Globalne zarządzanie. W latach 90., równolegle do kolejnych wojen, zbrodni ludobójstwa, takich jak w Rwandzie, gdzie w 1994 r. w ciągu zaledwie 100 dni zginęło ponad 800 tys. osób, czy niekończących się rozmów pokojowych, jak te izraelsko-palestyńskie, które miały się zakończyć po porozumieniach z Oslo z 1993 r., świat rozwijał się ekonomicznie jak nigdy wcześniej, nie oglądając się na kolejne kryzysy.

Do rangi symbolu urasta uruchomienie w 1991 r. World Wide Web, co przekształciło internet z niszowego narzędzia akademickiego w zjawisko globalne, na nowo definiujące komunikację, handel i kulturę. Wkrótce okazało się też, że można na tym zarobić. Dzisiejsza gospodarka cyfrowa, media społecznościowe, a nawet praca zdalna – wszystko to bezpośrednio wynika z internetu, który połą-

eprasa.pl fa89fff25f

czył ludzi i firmy na całym świecie, przyspieszając zjawisko, które w latach 90. rozpędziło się już na całego.

Właśnie wtedy globalizacja objęła w zasadzie wszystkie dziedziny życia. Tu przełomem w sensie gospodarczym – i do pewnego stopnia rozwiązaniem modelowym – było zawarcie w 1994 r. Północnoamerykańskiej Umowy Wolnego Handlu (NAFTA) między Stanami Zjednoczonymi, Kanadą i Meksykiem. A globalne zarządzanie stało się nowym słowem kluczem w stosunkach międzynarodowych, pociągając za sobą osłabienie suwerenności tradycyjnych państw narodowych.

Nie wszyscy na tym skorzystali. Przez całą dekadę nabrzmiewał antyglobalistyczny bunt, który miał swój widowiskowy finał w listopadzie 1999 r., gdy dziesiątki tysięcy osób protestowało przeciwko Światowej Organizacji Handlu (WTO) podczas jej konferencji w Seattle. Bitwa o Seattle, jak ją nazwano, zainspirowała ruchy postępowe na całym świecie. Żadna książka nie oddała lepiej tamtych nastrojów niż „No logo" Naomi Klein. Autorka piętnuje w niej wszechwładzę największych beneficjentów globalizacji – takich międzynarodowych korporacji jak Nike, Starbucks i McDonald's, które zdawały się wchodzić w rolę rządów.

Do nieco innej, bo politycznej globalizacji w kontynentalnej skali doszło w Europie, gdzie w lutym 1992 r. traktat z Maastricht powołał do życia Unię Europejską. Nie poszło tak łatwo, np. w Danii wyborcy dopiero rok później przyjęli zrewidowany nieco traktat, gwarantując sobie pewne wyłączenia. We Francji traktat przeszedł kilkoma punktami procentowymi, podobne problemy pojawiły się w Wielkiej Brytanii. Ale się udało – było to zwieńczenie prób zintegrowania powojennej Europy, które korzeniami sięgały do lat 50.

Traktat z Maastricht tworzył trzy główne filary integracji: wspólne polityki zagraniczna i bezpieczeństwa oraz wzmocniona współpraca w sprawach wewnętrznych i wymiarze sprawiedliwości. Zmienił też nazwę Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej na Wspólnotę Europejską (WE), która stała się głównym elementem nowej Unii Europejskiej. Umowa nadała WE szersze uprawnienia, szczególnie w ramach polityk społecznych. Traktat z 1992 r. ustanowił również obywatelstwo UE, które wiązało się z prawem obywateli UE do głosowania i kandydowania w wyborach lokalnych i wyborach do Parlamentu Europejskiego. 1 stycznia 1995 r. Szwecja, Austria i Finlandia przystąpiły do UE, pozostawiając Islandię, Norwegię i Szwajcarię jako jedyne duże kraje Europy Zachodniej poza organizacją. Norwegia dwukrotnie (1992 i 1994 r.) próbowała przystąpić do UE, ale jej obywatele w referendach odrzucali ten pomysł. Szwajcaria złożyła wniosek na początku lat 90.

Traktat z Maastricht sformalizował i również przyspieszył rozpoczęte pod koniec lat 80. prace nad wspólną walutą, a także określił warunki, jakie państwo członkowskie musiało spełnić, aby móc nią zastąpić waluty krajowe. Ostatecznie, mimo że kilka krajów nie spełniło tych warunków (np. Włochy i Belgia), Komisja Europejska zakwalifikowała niemal wszystkich członków do unii walutowej i 1 stycznia 1999 r. 11 krajów – Austria, Belgia, Finlandia, Francja, Niemcy, Irlandia, Włochy, Luksemburg, Holandia, Portugalia i Hiszpania – przyjęło wspólną walutę, euro.

Odzyskać państwo. Tak szybki rozwój technologiczny połączony z gwałtowną globalizacją zaskoczył świat polityki. W książce „The Roaring Nineties" z 2003 r. noblista Joseph Stiglitz pisze, że ożywienie gospodarcze po recesji w 1991 r. „zdawało się przeczyć temu, czego powszechnie uczono na kursach ekonomii". Powróciły czasy prosperity, usługi finansowe zaczęły zastępować tradycyjną produkcję. A Bill Clinton oświadczył w swoim orędziu

Światowa Organizacja Handlu

Ta organizacja stała się w latach 90. świątynią gospodarczego liberalizmu. Światowa Organizacja Handlu (ang. skrót WTO) powstała w 1995 r. z przekształcenia, a w zasadzie z pogłębienia Układu Ogólnego w sprawie Taryf Celnych i Handlu (GATT); przejęła nie tylko kompetencje rozsądzania międzynarodowych sporów handlowych, ale również zajęła się koordynacją obniżania międzynarodowych stawek celnych – aż do zera, jeśli to było możliwe.

Od początku WTO przyświecały dwie idee. Pierwsza dotyczyła tzw. przewag komparatywnych – jeśli państwa wyspecjalizują się w konkretnej branży, to mogą produkować taniej i lepiej, co podbija ich eksport, a zyski z niego można przeznaczyć na to, co z kolei inne kraje produkują taniej i lepiej – w rezultacie skorzystać mieli wszyscy. I druga idea: związki handlowe, wymiana towarów i usług oraz wynikające z tego kontakty międzyludzkie sprawią, że wojny przestaną się opłacać. Doskonale wpisywało się to w ducha czasu – nieco wcześniej zaczęły prężnie działać dwie inne świątynie wolnego handlu, czyli przyspieszająca integrację Starego Kontynentu Unia Europejska, powstała formalnie w 1993 r., oraz zrzeszający Kanadę, Meksyk i Stany Zjednoczone Północnoamerykański Układ o Wolnym Handlu z 1994 r.



Demonstracja przeciw posunięciom WTO, Seattle, 1999 r.

Wywołany w ten sposób bezprecedensowy rozwój handlu światowego, w którym wzrost eksportu towarów znacznie przewyższał wzrost PKB, przy jednoczesnym jego przekierowaniu – np. w Europie Wschodniej wyzwolonej od kontaktów z ZSRR – najbardziej sprzyjał najsilniejszym, USA i UE. W obu przypadkach dominowała intensywna promocja własnych interesów, co dość szybko zmniejszyło korzyści słabszych państw z przewag komparatywnych. Jednocześnie napędzana przez WTO liberalizacja globalnej gospodarki doprowadziła do stopniowej ucieczki producentów z krajów rozwiniętych do tych rozwijających się, czego symbolem stały się wielkie amerykańskie firmy odzieżowe przenoszące produkcję do krajów z tanią siłą roboczą, np. do Wietnamu, nieprzestrzegających praw pracowniczych i zasad ochrony środowiska.

Efektem był narastający bunt organizacji pracowniczych w krajach rozwiniętych, do którego z czasem przyłączyły się lewicowe organizacje polityczne. I kiedy ogłoszono, że kolejna konferencja WTO odbędzie się w 1999 r. w Seattle – dawniej robotniczym mieście, które stało się siedzibą globalnych potworów, jak mówili aktywiści, czyli Microsoftu, Starbucksa i Amazona, doszło do społecznej eksplozji. Wydarzenia z Seattle dziennik „The Washington Post" nazwał największym buntem społecznym w historii USA. Przez miasto przetoczyły się masowe protesty antyglobalistów, związkowców, ekologów i anarchistów. Brutalna reakcja policji doprowadziła do krwawych starć, a miasto ogłosiło stan wyjątkowy.

Protesty przerwały konferencję WTO i pierwszy raz w takiej skali zwróciły uwagę świata na ruchy antyglobalizacyjne i ich hasła. Zapoczątkowały też zmianę tonu w dyskusjach na temat handlu międzynarodowego. Ale nie zatrzymały jego dalszej liberalizacji, której symbolem stało się przyjęcie Chin do WTO w 2001 r. Trzeba było dopiero Donalda Trumpa, aby zatrzymać te procesy.

(ŁW)

eprasa.pl fa89fff25f

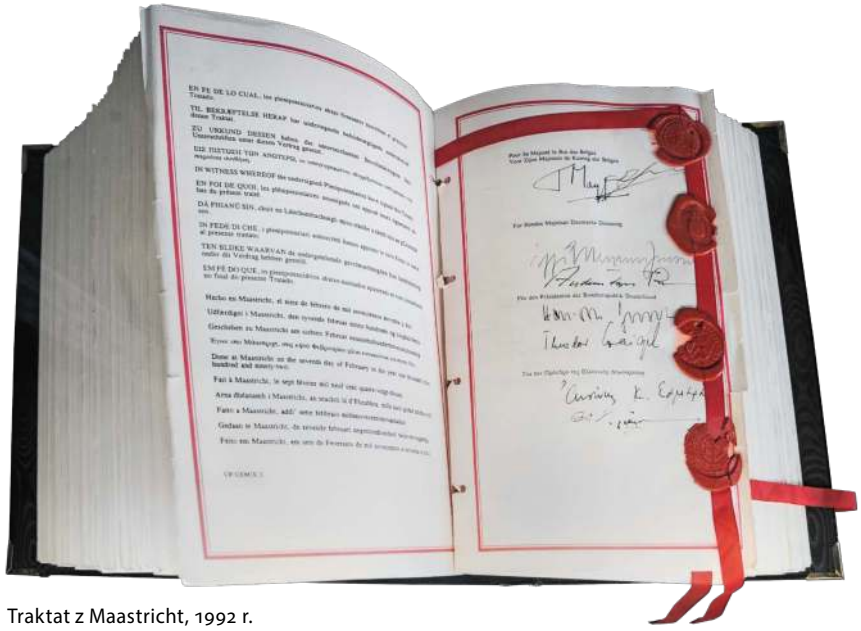
o stanie państwa z 1996 r., że „era wielkiego rządu dobiegła końca". Problem w tym, że boom gospodarczy lat 90. uczynił jednych bogatymi, a innych bardzo bogatymi. Brakowało jednak stabilności. Kolejne kryzysy finansowe – Meksyk (1995 r.), Malezja, Korea, Tajlandia, Indonezja (1997 r.), Rosja (1998 r.) i Brazylia (1999 r.) – pokazały, że choć ekonomicznie rzecz biorąc, globalizacja była historią sukcesu, to jednak nie była bezbolesna. Im więcej krajów było włączonych w globalny system gospodarczy, tym bardziej niestabilna stawała się sytuacja.

W wielu miejscach wywołało to polityczną reakcję. To wtedy powstały pierwsze partie wypełniające definicję populistycznych, takie jak włoska Liga Północna (zał. 1991 r.), brytyjska UKIP (1993 r.) czy grecki Złoty Świt (1993 r.). Wykorzystały one rosnące napięcia społeczne, wywołane m.in. imigracją, przyciągając do siebie część wyborców z klasy robotniczej, którzy wcześniej popierali socjaldemokratów i socjalistów. Front Narodowy Jeana-Marie Le Pena zaczął zdobywać poparcie w robotniczych miastach północnej Francji, gdzie całkiem niedawno panowali komuniści. To samo dotyczyło Austrii, gdzie wielu robotników głosowało na Partię Wolności Jörga Haidera – w wyborach 1999 r. to ugrupowanie zdobyło rekordowe 47 proc. głosów.

Podobnie w Stanach Zjednoczonych. W Partii Republikańskiej do głosu doszedł Newt Gingrich odrzucający idealizm późnego Reagana i zamiast tego głoszący wizje upadku narodu, które rozprzestrzeniały się w amerykańskich kościołach, stowarzyszeniach broni palnej, radiostacjach i stowarzyszeniach weteranów. W 1990 r. w magazynie „National Interest" reformator konserwatyzmu Pat Buchanan domagał się „nowego nacjonalizmu, który stawia Amerykę na pierwszym miejscu". Jakieś skojarzenia? To może jeszcze tu – w 1992 r. Buchanan pisał: „Kiedy odzyskamy Amerykę, uczynimy ją znów wielką". Ta radykalizacja polityczna współbrzmiała z radykalizacją społeczną. W amerykańskiej przestrzeni publicznej zaczęła dochodzić do głosu przemoc i polaryzacja. Antyaborcyjni ekstremiści wysadzali w powietrze kliniki i mordowali lekarzy; doszło do brutalnych starć między policją i rady-

z POLITYKI

W drodze do Europy



Traktat z Maastricht, 1992 r.

Stowarzyszenie Polski, Czecho-Słowacji i Węgier z EWG to początek naszej kolejnej „europeizacji". Jej cel – pełne członkostwo we Wspólnocie – będzie miał dla naszego kraju znaczenie tak przełomowe, jak tysiąc lat temu chrzest otrzymany z rąk czeskich, jak sześćset lat temu unia z Litwą. Chcemy się stać częścią zjednoczonej Europy, choć tak naprawdę nikt jeszcze nie wie, jak ona będzie wyglądać (…).

W Polsce można spotkać się z dwoma poglądami: według jednego „wracamy do Europy" po latach banicji, według drugiego nigdy z niej nie wypadliśmy oparci na fundamencie „kultury śródziemnomorskiej" i katolicyzmu. Jak często w życiu oba poglądy są słuszne: katolicyzm i tradycja polskiej kultury pomogły obronną ręką przejść przez stalinowskie struktury. Ale prawdą też jest, że dopiero teraz musimy niemal od zera budować „normalne" europejskie instytucje, demokrację parlamentarną, gospodarkę rynkową i (…) system zabezpieczeń socjalnych. W tej dwoistej sytuacji znajdujemy własne rozwiązania – od Okrągłego Stołu, poprzez ułomny układ sił politycznych w parlamencie, aż po ideowe spory – aborcja, dekomunizacja – które (…) już nam przysparzają przepytywanek na forum Rady Europy, jak to tam jest z naszym rozumieniem praw człowieka. (…)

Brakuje zasadniczej dyskusji, jaka ma być demokracja i jak się włączyć do instytucji europejskich, czym ma być niepodległość w zjednoczonej Europie, a czym ciała przedstawicielskie w sytuacji, gdy kraje EWG (…) stworzą już Unię Polityczną, z własną walutą (ecu), własną polityką zagraniczną i własną armią, to znaczy ze wspólną dla wszystkich polityką bezpieczeństwa. Jak to z nami (…) będzie, gdy zamienimy Kreml na Brukselę (…). To już nie tylko kwoty wołowiny (…), ale polityka podatkowa, przepisy wykonawcze polityki socjalnej i wiele innych dziedzin życia nie będą zależeć od parlamentów krajowych, lecz od decyzji podejmowanych (…) przez Radę Europy lub przez aparat biurokratyczny w Brukseli. (…) Nierozwiązane są też dylematy nie tylko geograficzne – jak daleko na wschód ma się posunąć Wspólnota i w jakim tempie, ale i strukturalne, jaka ma być wewnątrz: „Europa regionów", jak chcą Niemcy, rozpuszczając w silnych strukturach lokalnych państwo narodowe, czy „Europa ojczyzn" jak chcą Francuzi (…).

Nie są to jeszcze nasze spory. (…) Ale przynajmniej w wyobraźni do tych norm już się powinniśmy przymierzać (…) może dobrze się dzieje, że do władzy w Polsce dochodzą ugrupowania raczej „narodowo-niepodległościowe" niż „europejskie", ponieważ to one będą musiały się wewnętrznie przemóc, otworzyć i przejść od chełpliwych zapewnień, że „Polska nigdy z Europy nie odeszła" do „samoeuropeizacji". Ten proces będzie bolesny i nie taki szybki, ale realia dogonią również naszą prawicę ufającą bardziej Narodowi niż chrześcijańskiemu Uniwersalizmowi.

Pytanie, czy my ten czas mamy, czy jednocząca się Europa Zachodnia nie zatrzaśnie przed nami drzwi, skwapliwie wykorzystując nasze narodowe fobie i lęki przed nową utratą niepodległości.

Adam Krzemiński, „W kolejce do Europy", POLITYKA 50/1991

eprasa.pl fa89fff25f

kałami religijnymi. Dla wielu obywateli państwo stało się wrogą instytucją ucisku i siedliskiem wszelkich spisków.

Ta nieufność wobec państwa w ekstremalnej formie przerodziła się w terroryzm. To właśnie w latach 90. doszło do serii krwawych aktów, których symbolicznym finałem były zamachy z 11 września 2001 r. Osiem lat wcześniej nowojorskie wieże WTC były miejscem innego ataku terrorystycznego. Pod wieżą północną eksplodowała ciężarówka pułapka, zabijając sześć osób i raniąc ponad tysiąc. I chociaż eksplozja nie była tak niszczycielska jak ta z 2001 r., to celem organizacji, która ją zaplanowała – również powiązanej z Al-Kaidą – było zburzenie wież.

Początkiem tej terrorystycznej serii w USA był policyjny szturm w Waco w lutym 1993 r. W tym teksańskim miasteczku swoje ranczo miała radykalna sekta Gałąź Dawidowa. Jej członkowie – w oczekiwaniu na rychły koniec świata – zaczęli gromadzić ogromne ilości broni. Gdy dodatkowo pojawiły się informacje o produkowanej wewnątrz metamfetaminie, policja zaczęła oblężenie rancza, które trwało 51 dni. 19 kwietnia 1993 r. agenci FBI rozpoczęli szturm, a członkowie sekty niemal natychmiast dokonali samospalenia. W sumie zginęło 86 osób, w tym czterech agentów.

Z tragedią Waco wiąże się największy zamach terrorystyczny przeprowadzony przez Amerykanina. Chodzi o Timothy'ego McVeigha, który 19 kwietnia 1995 r., czyli dokładnie dwa lata po Waco, wysadził w powietrze budynek federalny w Oklahoma City, zabijając w ten sposób 168 osób i raniąc prawie 700, głównie urzędników. McVeigh zradykalizował się po powrocie ze służby w Iraku. Uważał, że państwo amerykańskie jest skorumpowane i ogranicza wolność obywateli, szczególnie w dostępie do broni. Atak agentów FBI w Waco uważał na zbrodnię. Wyrok śmierci wykonano na nim w 2001 r.

Jakieś przekonania? Dziś można zapytać: jak to wszystko (nie)mieści się w teoriach Fukuyamy, Mearsheimera i Huntingtona? Historia się nie skończyła, a demokratyczny kapitalizm jest w kryzysie (Fukuyama). Zjednoczone Niemcy nie stały się mocarstwem atomowym, a Stany Zjednoczone nie ewakuowały się z Europy, przynajmniej do końca lat 90. (Mearsheimer). I w końcu, podział na cywilizacje wydaje się dziś karkołomny, a dla niektórych wręcz obraźliwy (Huntington).

Ale z drugiej strony… Każdy z nich miał trochę racji. Wciąż nie wymyślono lepszego systemu niż demokratyczny kapitalizm. Nadal wielkie mocarstwa rządzą światem. A nacjonalizm oparty na kulturze i radykalne ruchy religijne triumfują. Poza tym, dziś trudno o podobne spory, tak rozgrzewające politologiczną debatę. Dlatego z pespektywy 2025 r. lata 90. wydają się okresem szczególnie rozdyskutowanym, z wyraźnie zakreślonymi granicami i stronami sporu.

Przemawiając przed Kongresem 11 września 1990 r., prezydent George Bush senior przekonywał, że wyłania się nowy porządek świata, „bardziej wolny od zagrożenia terrorem, silniejszy w dążeniu do sprawiedliwości i bezpieczniejszy w dążeniu do pokoju. Era, w której narody świata, Wschodu i Zachodu, Północy i Południa, mogą prosperować i żyć w harmonii". I rzeczywiście, na początku lat 90. Zachód mógł cieszyć się z upadku muru berlińskiego, a niedługo potem z upadku apartheidu w RPA. Ale przeważało przekonanie, że nowy porządek świata w niczym nie przypominał krain marzeń obiecanych przez zimnowojenną pogoń za wolnością. Demokracja i wolny rynek mogły zwyciężyć, ale – jak pytał Zbigniew Brzeziński w 1991 r. – „co w obliczu tego wielkiego ideologicznego zwycięstwa jest dziś istotą naszych przekonań?". Czy już wiadomo po ponad 30 latach?

ŁUKASZ WÓJCIK



Wojna w Czeczenii, 1994 r.

Z POLITYKI

Czeczeńska lekcja

Rosja jest wciąż nieobliczalna. W pięćdziesiąt lat po szturmie Berlina żołnierze rosyjscy z ogromnymi stratami dom po domu zdobywają stolicę Czeczenii, bombardując z samolotów i dział ludność cywilną. (...)

Świat przygląda się masakrze przez telewizję i po raz kolejny zastanawia się nad strategią mniejszego zła: wspierać nadal Jelcyna, którego kanclerz Kohl nazywa swoim przyjacielem, a premierzy najbardziej rozwiniętych państw przemysłowych zaprosili do grupy G7, czy raczej przenieść zainteresowania przede wszystkim na demokratyczną opozycję w Moskwie (...). Ale czy zerwanie z Jelcynem nie oznaczałoby nawrotu zimnej wojny, rosyjskiego izolacjonizmu, a może także i ponownego zbierania siłą „bliskiej zagranicy". Nie ma powodu, by lekceważyć ostrzeżenie Kowaljowa: „Dziś Grozny, jutro Grodno, a pojutrze Warszawa". Odziana w panterki grupa kremlowska, do której dołączył również Jelcyn tracący szansę na ponowny wybór na prezydenta, jeszcze pewnie nie myśli tak daleko na kierunku zachodnim, ale żadnych reguł demokratycznych i parlamentarnych zdaje się nie uznawać. (...)

Dla świata zewnętrznego z masakry w Czeczenii wynikają dwa różne wnioski. Z jednej strony w duchu tradycyjnej Realpolitik – nie zrywać za żadną cenę kontaktu z grupą rządzącą aktualnie w Rosji (...). Z drugiej jednak strony mobilizacja nieufności i wyraźne nawoływanie przez miarodajnych komentatorów do zwiększania dystansu wobec ubranej w panterki grupy kremlowskiej. Nie ma jeszcze mowy o sankcjach gospodarczych, do których nawołują niektórzy z rosyjskich demokratów („Wy jeszcze dajecie im pieniądze na tę wojnę"), niemniej coraz więcej głosów domagających się wyraźnych – również gospodarczych – sygnałów wobec Kremla. (...)

A co z tego wszystkiego wynika dla Polski (...)? Nie brak u nas głosów – zarówno tych wywodzących się z tradycji endeckiej, jak i tych o korzeniach pezetpeerowskich – że Polska wcale nie powinna tak nalegać na wejście do Europy Zachodniej, która nami gardzi i w gruncie rzeczy jest nam obca zarówno etnicznie, jak i gospodarczo, ponieważ zawsze byliśmy Europą B, a obecnie jesteśmy na dodatek obciążeni tym samym spadkiem po socjalizmie, co Rosja. Otóż Czeczenia jest nauczką, dokąd takie myślenie prowadzi. Polska jak najusilniej powinna się starać o wejście do struktur zachodnich. Czy się w nich znajdzie, zależy nie tyle od tego, czy uda nam się wprosić do zamożnego i egoistycznie bezpiecznego Pierwszego Świata, ile od tego, czy sami stworzymy odpowiednie warunki wewnętrzne, by nas tam przyjęto – przejrzystą demokrację parlamentarną, bez owego chodzenia na granicy prawa, stabilną gospodarkę, a przede wszystkim wiarygodne zachowanie elit politycznych.

W tym roku możemy przejść przez ucho igielne na Zachód, ale możemy też obrócić się ku błotom pińskim...

Adam Krzemiński, „Bliska zagranica", POLITYKA 2/1995

eprasa.pl fa89fff25f



eprasa.pl ta20ff05f

Narodziny III RP

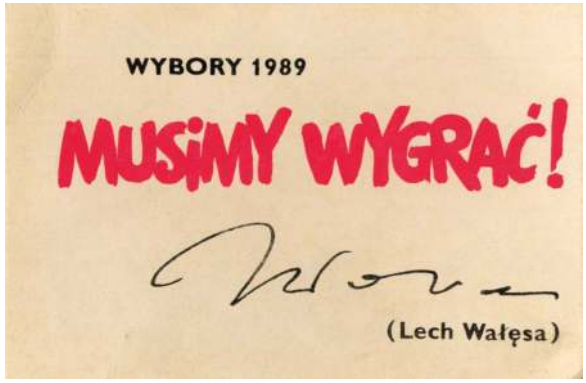
Wielkie oczekiwania, wielkie przemiany, wielkie koszty.

Tomasz Nałęcz

Preludium. Wskazówki dziejów rozpoczęły odliczanie nowej epoki w Polsce już w 1989 r. Ruszyły 4 czerwca 1989 r. wraz z wyborami parlamentarnymi, w których Polacy po raz pierwszy w nieskrępowany sposób mogli pokazać swój stosunek do reżimu komunistycznego, narzuconego im przez Józefa Stalina w 1945 r. Taką szansę dała umowa Okrągłego Stołu, zawarta 5 kwietnia 1989 r. przez władze PRL i opozycyjną Solidarność. Skorzystali z niej i pokazali komunizmowi czerwoną kartkę. Do 100-osobowego Senatu, wybieranego demokratycznie, nie wszedł żaden nominat władzy. Dostali też oni tęgie lanie w głosowaniu do Sejmu, choć tej reduty stracić nie mogli, bo kontrakt Okrągłego Stołu zapewniał im większość mandatów.

Ludzie dosyć mieli życia w systemie tłumiącym wolność, pełnym zakłamania, arogancji rządzących, niewydolnym ekonomicznie, marnotrawiącym zasoby kraju i społeczną energię. Chcieli decydować o swoim losie, wykorzystywać własne talenty, swobodnie podróżować, być częścią rozwijającego się Zachodu, od którego po drugiej wojnie światowej odgrodziła Polskę jałtańska żelazna kurtyna.

System komunistyczny nie był w stanie tego wszystkiego zapewnić, a i osłabł na tyle, że nie mógł już, tak jak przez kilka dziesięcioleci, przemocą egzekwować posłuszeństwa. Niewydolna gospodarka – oparta na ideologicznych dogmatach, a nie racjonalnej ekonomice – nie zaspokajała podstawowych potrzeb, czego świadectwem były puste sklepowe półki i długie kolejki. Kraj pilnie wymagał reform, które trzeba było opłacić wyrzeczeniami, więc przeprowadzić tę operację mogła tylko władza ciesząca się obywatelskim zaufaniem.



Ulotka wyborcza, wiosna 1989 r.



Tadeusz Mazowiecki, premier 1989–91, w Sejmie, wrzesień 1989 r.

Zalecana ostrożność. 4 czerwca 1989 r. pokazał, że takim mandatem dysponuje wyłącznie Solidarność. Jednak jej liderzy, na czele z Lechem Wałęsą, działali ostrożnie, bo Polska ciągle stanowiła część sowieckiego imperium. Wprawdzie i ono pod rządami Michaiła Gorbaczowa próbowało się modernizować, tyle tylko że Moskwa od 45 lat krwawo tłumiła próby usamodzielnienia się satelitów.

Na stronie obok: Demontaż pomnika Feliksa Dzierżyńskiego w Warszawie, listopad 1989 r.

Rozwagę zalecali Solidarności wpływowi mentorzy. W kraju byli to hierarchowie Kościoła katolickiego, wspierani z Rzymu przez Jana Pawła II, zaś za granicą Amerykanie, na czele z republikańskim prezydentem George'em H. Bushem. Ich presja sprawiła, że 19 lipca 1989 r., za cichym przyzwoleniem Solidarności, posłowie i senatorowie wybrali na prezydenta PRL generała Wojciecha Jaruzelskiego, niedawnego dyktatora stanu wojennego, a teraz gwaranta kontraktu Okrągłego Stołu.

Jaruzelski, Mazowiecki, Balcerowicz. Urząd prezydenta przywróciła znowelizowana w kwietniu 1989 r. konstytucja PRL, wyposażając go w ogromną władzę. Jego zgody wymagało powstanie i funkcjonowanie rządu. Sejm dyscyplinował groźbą skrócenia jego kadencji i wetem blokującym ustawy, uchylanym trudną do zgromadzenia większością 2/3 głosów. Jako zwierzchnik sił zbrojnych kontrolował struktury siłowe państwa. Sprawował nadzór nad radami narodowymi, administrującymi krajem na szczeblu lokalnym oraz nad prokuraturą i bankami. Krótko mówiąc, nie można było rządzić krajem wbrew jego woli.

Silny tymi uprawnieniami Jaruzelski próbował ratować walący się system, ale szybko zrozumiał, że dążenia rodaków do wolności, suwerenności i demokracji zablokować się nie da. Psuła mu szyki ta sama obywatelska energia, która uskrzydliła Wałęsę i popchnęła w jego stronę satelitów PZPR: Zjednoczone Stronnictwo Ludowe oraz Stronnictwo Demokratyczne. Dzięki nowym sojusznikom Solidarność zyskała w Sejmie bezwzględną większość i mogła stworzyć rząd. 24 sierpnia 1989 r. stanął na jego czele Tadeusz Mazowiecki, pierwszy premier niekomunista od 1945 r.

Jaruzelski nie oponował, zadowalając się czterema ministerstwami dla PZPR, w tym dwoma kluczowymi dla wiernych mu generałów. Szefem MSW pozostał Czesław Kiszczak, a obrony Florian Siwicki. Komuniści musieli oddać MSZ, które Mazowiecki powierzył profesorowi prawa międzynarodowego Krzysztofowi Skubiszewskiemu.

Premier wraz z solidarnościową częścią ekipy przystąpił do rozbiórki systemu komunistycznego. Podobnie jak Wałęsa działał rozważnie, by nie drażnić Moskwy i jej satelitów zewsząd otaczających Polskę. Sądził też, że szybciej i łatwiej przywróci wolność i suwerenność, jeśli ten wysi-

eprasa.pl fa89fff25f

Lech Wałęsa

Tego jednego z tysięcy robotników Stoczni Gdańskiej historia wzięła na swoje skrzydła w sierpniu 1980 r. Został przywódcą zwycięskiego strajku, a potem Solidarności będącej największym polskim zrywem wolnościowym. Zasłużył tym na Pokojową Nagrodę Nobla (1983 r.) i podziw świata. Sprawdziły go najtrudniejsze lata stanu wojennego. Utrwaliły tę pozycję twardo prowadzone negocjacje Okrągłego Stołu, wyborcze zwycięstwo z 4 czerwca 1989 r. i objęcie w sierpniu 1989 r. władzy przez solidarnościowego premiera.

Miliony Polaków widziały w nim pogromcę komunizmu i bohatera narodowego. Dysponując takim kapitałem, skutecznie sięgnął w 1990 r. po prezydenturę. Walcząc o nią, podzielił obóz solidarnościowy i zantagonizował się z wieloma ważnymi współpracownikami, w tym z Tadeuszem Mazowieckim i Bronisławem Geremkiem. Bez nich wiodło mu się gorzej, i to czasie, kiedy dzięki rozległym uprawnieniom prezydenckim zyskał największe możliwości działania.

Zemścił się na nim sposób sprawowania najwyższego urzędu. Nie zakorzenił prezydentury, w przeciwieństwie do swojej wcześniejszej aktywności, w wielkim ruchu społecznym, ujętym w ramy dobrze zorganizowanego obozu politycznego. Zwalczał tworzące się partie, także te, które gotowe były z nim współpracować. Nie miał należytego oparcia nawet w swojej kancelarii, bo dopuścił, by zdominowała ją dworska kamaryla wyżywająca się w intrygach i załatwianiu własnych interesów. Stanowczość wykazał tylko raz, dymisjonując szefa kancelarii Jarosława Kaczyńskiego, za co ten szczerze go znienawidził i bezpardonowo zwalczał, m.in. fałszywym oskarżeniem o zdradzenie solidarnościowej rewolucji.

Kaczyński świadomie robił z igły widły. Od dawna wiedział, że Wałęsa jako młody robotnik dał się w 1970 r. usidlić bezpiece, z którą zerwał po paru latach i bez reszty poświęcił się walce z komunizmem. Kiedy przywódca Solidarności dołączył go w 1988 r. do grona swoich współpracowników, uznał to za zaszczyt i szansę zaistnienia w polityce. Dopiero kiedy został odtrącony, zaczął grzmieć, że legendarny pogromca komunizmu to tylko agent realizujący scenariusze ubeckich mocodawców, od lat 70. aż po czasy prezydentury.



Lech Wałęsa, prezydent 1990–95, podczas kampanii prezydenckiej, Kraków, październik 1990 r.

O wiele skuteczniejszy niż w polityce wewnętrznej prezydent był na forum międzynarodowym. Procentowało, że cały świat – nie tylko politycy, ale i miliony zwykłych ludzi – widział w nim ikonę walki o wolność. Jego wizyty zagraniczne odbijały się ogromnym echem i poświadczały triumfalny powrót Polski do wspólnoty demokratycznych państw Zachodu. Prozachodniego kursu pilnował w każdej dziedzinie życia, w tym roztaczając parasol nad krzepnącą gospodarką rynkową, atakowaną przez różnej barwy populistów.

Rozstrzygającą batalię, jaką były wybory prezydenckie w 1995 r., jednak przegrał. Wraz z nim klęskę poniosła idea prezydentury władczej, dominującej nad całym życiem publicznym, co niedługo potem znalazło potwierdzenie w przepisach konstytucji z 1997 r.

(TN)

łek wesprze całe społeczeństwo, włącznie z częścią związaną wcześniej ze starym reżimem.

Zadanie było niebywale trudne. W pierwszej kolejności należało ratować bliską zawału gospodarkę. Mazowiecki powierzył to młodemu ekonomiście Leszkowi Balcerowiczowi, który został wicepremierem i ministrem finansów. Miał zdemontować centralnie sterowany system nakazowo-rozdzielczy i zastąpić go gospodarką rynkową. Towarzyszyło temu wielkie ryzyko, bo jak mówiła ówczesna anegdota, wielu kucharzy potrafi przygotować z ryby zupę, ale żadnemu nie udało się jeszcze z zupy rybnej zrobić ryby.

Ferwor entuzjazmu. Zmiana konstytucji. Szybko wyszło na jaw, że reforma Balcerowicza stawia w bardzo trudnej sytuacji sprawujący rząd dusz obóz solidarnościowy. Zrodził go przecież w 1980 r. wielki strajk broniący interesów bytowych ludzi pracy, choć upominający się też o wolność i demokrację. Te ogólnospołeczne cele w 1989 r. osiągnięto, ale interesy bytowe znowu były zagrożone, bo to pracownicy mieli zapłacić najwyższą cenę za przebudowę gospodarki.

Jesienią 1989 r. mało kto zdawał sobie z tego sprawę, a odosobnione głosy krytyki ginęły w ferworze entuzjazmu towarzyszącego demontażowi komunizmu. Serca milionów Polaków przepełniała nadzieja szybkiej odmiany losu. Całe zło przypisywano obalanemu właśnie reżimowi i jego moskiewskim mocodawcom. Wierzono, że skoro system upada, to wszystko zmieni się na lepsze, bo rządząca z mandatu obywateli władza będzie kierowała się ich interesem.

Podsycał takie nastroje przewrót w polityce światowej. Polski triumf nad komunizmem okazał się zaraźliwy. 9 listopada 1989 r. runął mur berliński, a w następnych tygodniach niczym domki z kart wywróciły się reżimy komunistyczne w całej Europie Środkowo-Wschodniej. System jałtański legł w gruzach, co 3 grudnia 1989 r. wprost potwierdziła deklaracja Gorbaczowa i Busha złożona podczas szczytu na Malcie.

Pełne już zwycięstwo Solidarność podsumowała 29 grudnia 1989 r. zmianą konstytucji. Komunistyczne rygory zastąpiono zasadami państwa prawa strzegącego wolności, demokracji i swobód obywatelskich. Ochrona własności prywatnej i swobody działalności gospodarczej położyła fundament pod gospodarkę rynkową. Usunięto ograniczający suwerenność przepis o przyjaźni z ZSRR. Państwo znowu nazywało się Rzeczpospolita Polska, a widniejący w godle orzeł odzyskał koronę.

Rewolucyjnej zmiany dokonano także głosami posłów PZPR. Jeszcze tego samego dnia nowe zasady ustrojowe zaakceptował prezydent Jaruzelski, porzucając rolę strażnika starego porządku. PZPR dogorywała i 29 stycznia 1990 r. na swym ostatnim zjeździe zakończyła działalność.

Wojna na górze. Bankructwo przeciwnika nie wpłynęło korzystnie na obóz solidarnościowy. Wręcz przeciwnie, przyniosło kłopoty. Zniknięcie wymuszającego jedność zagrożenia wyzwoliło od dawna istniejące ruchy odśrodkowe, podsycone przez napięcia społeczne, wywołane uruchomioną 1 stycznia 1990 r. reformą Balcerowicza. Wielotysięcznym rzeszom pracowników coraz bardziej dokuczał spadek dochodów. Niepokojąco rosła liczba bezrobotnych.

Solidarności ziemia zaczęła usuwać się spod nóg. Koszty reformy Balcerowicza w pierwszej kolejności dotknęły jej bastiony, czyli wielkie zakłady pracy stanowiące filary komunistycznej gospodarki. Nie potrafiły one dostosować się do reguł wolnego rynku i popadały w coraz większe kłopoty. Rewolucja pożerała własne dzieci, czyli walczą-

eprasa.pl fa89fff25f



Jacek Kuroń, minister pracy i polityki socjalnej 1989–91 i 1992–93, rozdaje grochówkę potrzebującym, Warszawa, czerwiec 1991 r.





Od lewej: Jan Krzysztof Bielecki, premier 1991, podczas towarzyskiego meczu piłki nożnej, Warszawa, czerwiec 1991 r.

Jan Olszewski (w środku), premier 1991–92, w towarzystwie Jana Parysa (po lewej) i Antoniego Macierewicza, Warszawa, sierpień 1992 r.

cą do tej pory w pierwszym szeregu wielkoprzemysłową klasę robotniczą.

Wzbierające niezadowolenie pierwszy wyczuł Lech Wałęsa i sięgnął po nową dawkę nadziei. Winą za trudną sytuację obarczył ludzi starego systemu i zaczął grzmieć o przyspieszeniu, czyli szybkim usunięciu ich z aparatu władzy. Zło nadal miało kojarzyć się z komunizmem, a nie z reformami przeprowadzanymi przez nową Polskę. Było to celną reakcją na sytuację, w której robotnicy zaciskali pasa, a dawni partyjni aparatczycy, teraz w rolach biznesmenów, czerpali korzyści z prywatyzacji, nabywając państwowy majątek za marne pieniądze lub niespłacane kredyty.

Wałęsa postanowił usunąć Jaruzelskiego i objąć prezydenturę. Gotów był dalej współpracować z Mazowieckim, jeśli ten poprze jego plan. Premier źle ocenił sytuację i w działaniu Wałęsy dostrzegł jedynie populizm zagrażający reformom rządu. Naciskany przez otoczenie, sam podjął walkę o najwyższy urząd. Zapoczątkowało to tzw. wojnę na górze, która trwale zantagonizowała obóz nowej władzy.

Podział swymi korzeniami sięgał znacznie głębiej. W Solidarności od dawna istniały dwa nurty. Jeden, utożsamiany z Mazowieckim, Bronisławem Geremkiem, Jackiem Kuroniem i Adamem Michnikiem, dążył do parlamentaryzmu, gospodarki rynkowej i okrzepnięcia społeczeństwa obywatelskiego. Drugi obóz, na czele z Wałęsą, stawiał na silną władzę, dominującą nad społeczeństwem i dyscyplinującą scenę polityczną. Łączył on ludowo-robotniczy egalitaryzm z katolicko-narodowym tradycjonalizmem.

Prezydentura Wałęsy. Rząd Bieleckiego. Wojna na górze, rozpoczęta wiosną 1990 r., osłabiła obie strony. Pokazały to 25 listopada 1990 r. wyniki pierwszej tury wyborów prezydenckich, powszechnych i całkowicie wolnych. Największym przegranym okazał się Mazowiecki, który z 18 proc. głosów nie wszedł do drugiej tury. Najwięcej głosów, 37 proc., otrzymał Wałęsa, ale było to pyrrusowe zwycięstwo. Bardzo wielu Polaków wybrało kandydatów spoza Solidarności. Na Stanisława Tymińskiego, przybysza z Peru mamiącego hasłami populistycznymi, padło 23 proc. głosów, na Włodzimierza Cimoszewicza z postkomunistycznej lewicy – 9,2 proc., a na Romana Bartoszcze, prezesa Polskiego Stronnictwa Ludowego, nowej szaty ZSL – 7,2 proc.

eprasa.pl fa89fff25f

Lustracja

Wśród trudnych problemów, z którymi musiała zmierzyć się suwerenna i demokratyczna Polska, było rozliczenie komunistycznego aparatu represji, w tym przeprowadzenie lustracji. Tym terminem – w starożytnym Rzymie oznaczającym obrzęd oczyszczenia – nazwano procedurę sprawdzającą, czy osoby pełniące funkcje publiczne lub chcące je zająć były funkcjonariuszami i tajnymi współpracownikami służb specjalnych prześladujących przeciwników reżimu. Chodziło o wymierzenie sprawiedliwości, ale i o bezpieczeństwo państwa. Osoby ukrywające przeszłość mogły być obiektem szantażu wymuszającego działania sprzeczne z interesem publicznym.

Rozwiązania prawne regulujące tę kwestię przyjęły wszystkie państwa, które porzuciły komunizm. W Polsce towarzyszyła temu największa awantura. Zabrano się bowiem do tego problemu nie po to, by go uczciwie załatwić, tylko aby zdobyć bat na politycznych przeciwników. Po tak rozumianą broń lustracyjną sięgnął w 1992 r. Antoni Macierewicz, szef MSW w rządzie Jana Olszewskiego. Zaraz po objęciu resortu powołał specjalną komórkę gromadzącą informacje, który z polityków figuruje w archiwach komunistycznych służb jako tajny współpracownik. Kiedy ekipa Olszewskiego zaczęła tonąć, chwyciła się tej brzytwy.



Teczka personalna z zasobów IPN.

28 maja 1992 r. poseł Janusz Korwin-Mikke złożył projekt uchwały o przeprowadzeniu lustracji. Jeszcze tego samego dnia została ona przyjęta, głównie przez prorządowych posłów. Nie zważali oni, że uchwała była sprzeczna z konstytucją oraz kilkoma ważnymi ustawami, co potwierdził Trybunał Konstytucyjny. 4 czerwca 1992 r., w trzecią rocznicę zwycięskich wyborów, Macierewicz przekazał szefom klubów poselskich koperty z nazwiskami 64 polityków zarejestrowanych przez komunistyczne służby jako tajni współpracownicy. Drugą listę, z nazwiskami prezydenta Wałęsy i marszałka Sejmu Wiesława Chrzanowskiego, minister doręczył tylko pięciu najwyższym dostojnikom państwowym. Oba dokumenty szybko wyciekły do opinii publicznej, wywołując gigantyczną awanturę.

Działaczy solidarnościowej opozycji oburzało napiętnowanie towarzyszy walki sprawdzonych w najtrudniejszych sytuacjach. Argumentowali, że niezweryfikowane ubeckie papiery nie mogą oznaczać wyroku cywilnej śmierci dla ludzi pozbawionych szansy obrony swego dobrego imienia. Gra lustracją była szyta tak grubymi nićmi, że wywołała dezaprobatę większości polityków i opinii publicznej. Po burzliwej nocnej debacie, tuż po północy 5 czerwca 1992 r., Sejm odwołał rząd Olszewskiego.

Rabunkowe sięgnięcie po lustrację skompromitowało jej prawicowych architektów. Obywatele chcieli rozwiązania tej kwestii, ale przyzwoitego. W lutym 1997 r. na pytanie, czy lustracja jest ważnym problemem, który trzeba niezwłocznie rozwiązać, pozytywnie odpowiedziało aż 76 proc. badanych. Pod presją takich nastrojów Sejm 11 kwietnia 1997 r. uchwalił ustawę lustracyjną głosami wszystkich klubów, poza postkomunistycznym SLD, który nie chciał się narazić wyborcom broniącym dziedzictwa PRL. W kolejnych latach prawica, kiedy tylko zyskiwała większość w Sejmie, zaostrzała te przepisy.

Kwestia traciła jednak na politycznym znaczeniu. Każdego roku na scenę publiczną wkraczało kilkaset tysięcy młodych wyborców, dla których lustracja była sporem o definitywnie zamkniętą przeszłość.

(TN)

W drugiej turze, 9 grudnia 1990 r., Wałęsa rozgromił Tymińskiego. Objął prezydenturę, gotowy używać jej ogromnych uprawnień do reformowania Polski. „Z tą chwilą – zadeklarował – zaczyna się uroczyście III Rzeczpospolita Polska". W wielu sercach odżyła nadzieja. Gospodarka rynkowa funkcjonowała od roku i oczekiwano zapowiadanych plonów. Podtrzymywał tę wiarę zależny od Wałęsy premier – liberał Jan Krzysztof Bielecki i kontynuujący swoją misję wicepremier Leszek Balcerowicz.

Zmiany się jednak ślimaczyły, także w sferze polityki, gdzie oczekiwano rozwiązania kontraktowego Sejmu i demokratycznych wyborów parlamentarnych. Wałęsie przestało się spieszyć. Wolał rządzić sam. Nie bardzo mu to wychodziło, bo nie wiedział, jak uczynić państwo bardziej nowoczesnym, lepiej zorganizowanym, w większym stopniu solidarnym i wyczulonym na potrzeby obywateli. Wyżywał się w organizowanych ad hoc spotkaniach w zakładach pracy. Niewiele dawały, bo obiecywał rozwiązanie problemów, a po jego wyjeździe wszystko zostawało po staremu. Wypalał się odnowiony społeczny entuzjazm. Dominowało życie z dnia na dzień, pełne trosk, ale i przebłysków radości z zakorzeniającej się powoli normalności.

Złowrogi cień padł na Polskę w sierpniu 1991 r. W Moskwie władzę przejęli twardogłowi chcący przywrócić dawne porządki. Na szczęście pucz szybko się załamał, przyspieszając upadek komunizmu i rozpad sowieckiego imperium. Wchodzące w jego skład republiki zaczęły ogłaszać deklaracje niepodległości. Usankcjonowała to deklaracja prezydentów Rosji, Ukrainy i Białorusi z 8 grudnia 1991 r. o powstaniu w miejsce ZSRR Wspólnoty Niepodległych Państw, do której akces zgłosiła większość dotychczasowych republik związkowych. Wyłamały się Litwa, Łotwa i Estonia, podążające kursem zapoczątkowanym nad Wisłą. Nie tylko Polska, ale i świat odetchnęły z ulgą, bo nikt nie sądził, że krach sowieckiego imperium może mieć tak łagodny przebieg.

Rozdrobniony parlament. Rządy Olszewskiego i Suchockiej. O nastrojach przesądzało jednak narastające zmęczenie kosztami wychodzenia z komunizmu. Pokazały to pierwsze wolne wybory do parlamentu z 27 października 1991 r. Większość, bo aż 57 proc. obywateli, nie poszła głosować. Ci aktywniejsi raz jeszcze zawierzyli obozowi solidarnościowemu, bardzo już wtedy podzielonemu. Unia Demokratyczna zwolenników Tadeusza Mazowieckiego zdobyła 13,5 proc. głosów, Porozumienie Centrum Jarosława Kaczyńskiego – 9,6 proc., centrowy Kongres Liberalno-Demokratyczny Donalda Tuska i premiera Bieleckiego – 8,0 proc., Wyborcza Akcja Katolicka, będąca koalicją kilku mniejszych ugrupowań prawicowych – 10,9 proc., Konfederacja Polski Niepodległej Leszka Moczulskiego – 11 proc. Nieźle wypadły ugrupowania zakorzenione w PRL: powstały na gruzach PZPR Sojusz Lewicy Demokratycznej Aleksandra Kwaśniewskiego i Leszka Millera – 13 proc. i Polskie Stronnictwo Ludowe Waldemara Pawlaka, który zastąpił Romana Bartoszcze – 11 proc. Ponad dwudziestu drobnych stronnictw nie ma co wymieniać, bo okazały się efemerydami.

Przy tak rozdrobnionym Sejmie tworzenie rządu nie było łatwe. Wiatr w żaglach poczuł Wałęsa, przekonany, że narzuci swoją wolę posłom. Bardzo się rozczarował. Skuteczniejszy okazał się walczący z nim Jarosław Kaczyński, który doprowadził do powstania centroprawicowej koalicji. Zaszachowany prezydent mianował premierem jej kandydata, Jana Olszewskiego, ale życia nie zamierzał mu ułatwiać.

Nie był to jedyny kłopot gabinetu. Osłabiały go też spory pomiędzy partiami, dopiero uczącymi się rządzenia. Brakowało zgody, jak wywiązać się ze złożonej wyborcom

eprasa.pl fa89fff25f



Hanna Suchocka, premier 1992–93, podczas udzielania wywiadu gazecie „New York Times", Warszawa, styczeń 1993 r.

obietnicy skorygowania liberalnej polityki gospodarczej i społecznej. Szyk zwierano tylko w walce z Wałęsą, m.in. usiłując ograniczyć jego wpływy w MON i MSW. Uznawał to za zamach na jego uprawnienia, więc przesilenie stawało się nieuchronne.

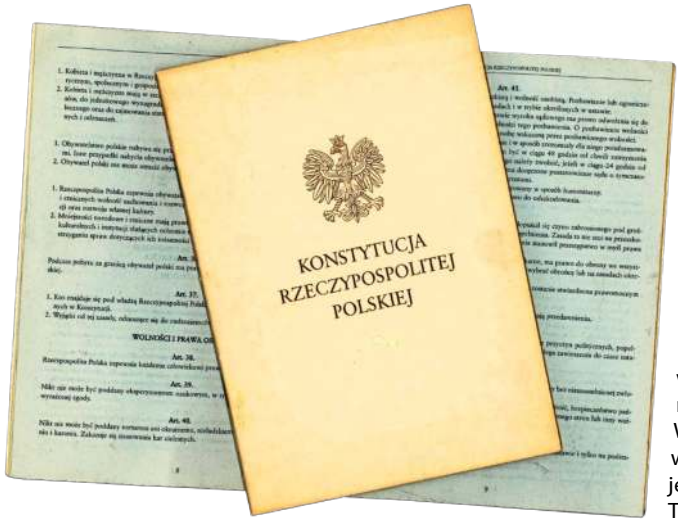
Czarę goryczy przepełniły działania premiera utrudniające Wałęsie zawarcie porozumienia w sprawie wycofania wojsk rosyjskich. 22 maja 1992 r. prezydenci Wałęsa i Borys Jelcyn podpisali w Moskwie umowę, ale po powrocie do kraju prezydent poinformował Sejm, że stracił zaufanie do rządu. Dobrze wiedział, że większość posłów ma już dosyć gabinetu Olszewskiego.

Desperacko broniąc się przed upadkiem, Olszewski i szef MSW Antoni Macierewicz chwycili się brzytwy. 4 czerwca 1992 r. oskarżyli adwersarzy, w tym Wałęsę, o współpracę z komunistycznymi tajnymi służbami. Pogrążyli się jeszcze bardziej. Oburzona większość posłów

Nowa konstytucja

Polska pierwsza wkroczyła na drogę wolności, suwerenności i demokracji. Jednak nową konstytucję uchwaliła jako ostatnia. Inne państwa porzucające komunizm uczyniły to już na początku lat 90. W Polsce robiono to stopniowo. Najobszerniej już 29 grudnia 1989 r., zastępując system komunistyczny państwem prawa, szanującym wolność, demokrację, swobody obywatelskie, własność i gospodarkę rynkową. 8 marca 1990 r. przywrócono samorząd terytorialny na poziomie gmin. 27 września 1990 r. skrócono urzędowanie Wojciecha Jaruzelskiego i wprowadzono powszechne, równe, bezpośrednie i tajne wybory prezydenta. Tymi aktami tzw. Sejm kontraktowy (wybrany na mocy porozumień okrągłostołowych) zmienił ustrój, ale uchwalenie nowej ustawy zasadniczej pozostawił parlamentowi pochodzącemu z wolnych wyborów.

Ten był tak podzielony, że 17 października 1992 r. przyjął jedynie tzw. małą konstytucję, uszczuplającą uprawnienia prezydenta i wzmacniającą rząd. Skuteczną konstytuantą okazał się dopiero kolejny parlament. Dzięki Aleksandrowi Kwaśniewskiemu i Tadeuszowi Mazowieckiemu doszło w nim do porozumienia pomiędzy rządzącymi SLD i PSL oraz opozycyjnymi Unią Wolności i Unią Pracy. 2 kwietnia 1997 r. Zgromadzenie Narodowe ogromną większością, bo głosami 451 posłów i senatorów,



Konstytucja RP uchwalona 2 kwietnia 1997 r.

uchwaliło konstytucję. Przeciw było 40 osób, a 6 wstrzymało się od głosu.

Znacznie większa różnica zdań panowała w społeczeństwie, którego jedna trzecia w wyniku błędu wyborczego solidarnościowej prawicy z 1993 r. nie miała reprezentacji parlamentarnej. Tych ludzi skupiła pod swoimi sztandarami AWS, odsądzając nową konstytucję od czci i wiary. Równie ostro zwalczało ją duchowieństwo Kościoła katolickiego. Walczono zaciekle, bo żeby przyjęty przez Zgromadzenie Narodowe tekst wszedł w życie, musiał zostać przegłosowany w referendum zarządzonym na 25 maja 1997 r. Konstytucję poparło w nim 53,45 proc. głosujących. 17 października 1997 r. stała się najwyższym prawem RP.

Jej fundamentem uczyniono przyrodzoną i niezbywalną godność ludzką, stanowiącą źródło wolności i praw człowieka i obywatela. W kwestiach politycznych strzegła tego demokracja gwarantowana przez zasady suwerenności narodu i trójpodziału władzy na ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą. W sprawach bytowych taką rolę odgrywała zasada sprawiedliwości społecznej, potwierdzona szeroko zakrojonymi prawami socjalnymi.

Władzę ustawodawczą sprawowały Sejm i Senat wybierane na czteroletnią kadencję. Władzę wykonawczą złożono w ręce prezydenta oraz rządu, jemu zapewniając przewagę. To rząd prowadził politykę zagraniczną i wewnętrzną państwa, a wspierająca go większość parlamentarna uchylała prezydenckie weto wanie ustaw większością już nie dwóch trzecich, lecz trzech piątych głosów. Premier miał niemalże kanclerski status i w pewnych warunkach mógł przesłonić pozycję prezydenta. Bezstronne rozstrzyganie spraw i ochronę praw obywatelskich gwarantowały niezależne sądy i niezawiśli sędziowie, odseparowani od polityków, nad czym czuwała apolityczna Krajowa Rada Sądownictwa. Strzegł tych reguł Trybunał Konstytucyjny, którego sędziowie byli powoływani przez Sejm na dziewięć lat, co miało uodpornić ten organ na falowanie koniunktur politycznych. Trybunał czuwał nad przestrzeganiem zasady nadrzędności konstytucji, w myśl której kwestii rangi konstytucyjnej nie wolno było uregulować ustawą, a kwestii ustawowych przesądzić rozporządzeniem. Chodziło o to, by państwo nie zostało zawłaszczone przez polityków wykraczających poza mandat zaufania zdobyty w wyborach.

(TN)

eprasa.pl fa89fff25f









Od lewej i od góry: Aleksander Kwaśniewski, prezydent 1995–2005, podczas kampanii przed drugą kadencją, Warszawa, 2000 r.
• Waldemar Pawlak, premier 1993–95, we włazie okrętu podwodnego ORP „Orzeł", Gdynia-Oksywie, grudzień 1993 r.
• Józef Oleksy, premier 1995–96, ze świadectwem udziałowym z Programu Powszechnej Prywatyzacji, Warszawa, listopad 1995 r.
• Włodzimierz Cimoszewicz (po lewej), premier 1996–97, podczas pikniku lotniczego, Góraszka, 1977 r.

kilkanaście godzin później przegłosowała wotum nieufności dla rządu. Poparła je część klubów solidarnościowych, a także postkomunistyczne SLD i PSL. Szefa ludowców Waldemara Pawlaka prezydent mianował za zgodą Sejmu nowym premierem. Nie stworzył on jednak rządu. Ostatecznie powołało go siedem partii solidarnościowych, w tym część popierających wcześniej Olszewskiego. Premierem po raz pierwszy została kobieta Hanna Suchocka z Unii Demokratycznej. Na margines trafił Jarosław Kaczyński, od tej pory śmiertelny wróg Wałęsy.

Trumf SLD i PSL. Burza ucichła, ale kraj ciągle znajdował się w trudnej sytuacji, borykając się z kosztami trwających już dwa lata przekształceń gospodarczych. Dokuczała recesja i rosło bezrobocie. W lipcu i sierpniu 1992 r. przetoczyła się fala strajków, najdotkliwszych w górnictwie. Burzyła się też wieś, gdzie protestowali rolnicy nieradzący sobie ze spłatą kredytów. Bojówki Samoobrony stworzonej przez Andrzeja Leppera stosowały przemoc anarchizującą państwo.

Najbardziej destabilizowała je wojna domowa wyniszczająca obóz solidarnościowy. W styczniu 1993 r. stolicą wstrząsnęła demonstracja, z Kaczyńskim w roli głównej, w czasie której spalono kukłę prezydenta. Zaufanie do władzy podkopywały też afery z udziałem solidarnościowych polityków. Alternatywę dla nich rosnąca część społeczeństwa widziała w ugrupowaniach wywodzących się z PRL: SLD i PSL.

Rządzić było coraz trudniej, a obóz solidarnościowy popełniał błąd za błędem. 28 maja 1993 r. Sejm, przewagą jednego głosu, uchwalił wotum nieufności dla gabinetu Suchockiej, bezrozumnie zgłoszone przez posła własnego zaplecza. Rozwagi zabrakło też Wałęsie, który zamiast wesprzeć rząd, rozwiązał parlament i zarządził przyspieszone wybory. Miały się odbyć według nowych zasad, bo Sejm jedną z ostatnich decyzji ustanowił próg wyborczy wynoszący 5 proc. dla partii i 8 proc. dla koalicji. Większym ugrupowaniom sprzyjało też zmodyfikowane przeliczanie głosów na mandaty systemem D'Hondta.

Partie solidarnościowe, które dokonały tej zmiany, nie wyciągnęły z niej wniosków dla siebie i poszły do wyborów bardzo rozdrobnione. Tymczasem Polacy mieli już dosyć trwającej od trzech lat wojny na górze, szkodzącej

eprasa.pl fa89fff25f

Polska w NATO

Przewrót ustrojowy z 1989 r. spowodował też zasadniczą zmianę miejsca Polski na arenie międzynarodowej. Strategicznym celem stało się geopolityczne przesunięcie ze Wschodu na Zachód. Działać trzeba było roztropnie, żeby nie narazić się na odwet ZSRR, zwłaszcza w ważnej dla Polski kwestii zjednoczenia Niemiec. Tak właśnie postępował prezydent Lech Wałęsa wspierany przez Krzysztofa Skubiszewskiego, szefa MSZ w rządach Tadeusza Mazowieckiego, Jana Krzysztofa Bieleckiego, Jana Olszewskiego i Hanny Suchockiej. Realizacji tego kursu sprzyjał rozpad ZSRR, choć jego sukcesorka Rosja też próbowała torpedować polski marsz do NATO. Znaczący krok w przełamywaniu tej blokady stanowiła umowa podpisana 22 maja 1992 r. w Moskwie przez prezydentów Lecha Wałęsę i Borysa Jelcyna w sprawie wycofania wojsk rosyjskich. Prawdziwym zaś majstersztykiem było wydębienie przy biesiadnym stole od Jelcyna w czasie jego rewizyty w Warszawie 24–26 sierpnia 1993 r. deklaracji potwierdzającej prawo Polski do członkostwa w NATO. Wprawdzie Moskwa po paru tygodniach wycofała się z tego stanowiska, ale zachód, w tym Waszyngton i nowy prezydent demokrata Bill Clinton inaczej już patrzył na rosyjski opór.

Tych dążeń nie osłabiło przejęcie w 1993 r. władzy przez SLD i PSL, zakorzenione w PRL. Presja społeczna zmusiła SLD do porzucenia koncepcji finlandyzacji Polski i przejścia na pronatowskie pozycje. Pilnował tego prezydent Wałęsa, uznawany przez rodaków i Zachód za gwaranta takiego kursu. W styczniu 1994 r. na spotkaniu z prezydentami Grupy Wyszehradzkiej w Pradze Clinton oświadczył: „Pytanie nie brzmi już, czy NATO przyjmie nowych członków, ale kiedy i jak".



Wciąganie na maszt flagi NATO, Warszawa, marzec 1999 r.

Na panewce spaliła rosyjska intryga z lat 1994–95, mająca podważyć zaufanie do Polski, a polegająca na podsunięciu polskim służbom specjalnym spreparowanych dowodów o agenturalnej służbie premiera Józefa Oleksego na rzecz Moskwy. Skandal wybuchł w grudniu 1995 r., kiedy było już jasne, że prezydenta Wałęsę zastąpi Aleksander Kwaśniewski. Tuż po objęciu władzy zdymisjonował on Oleksego i umożliwił Richardowi Holbrookowi, specjalnemu wysłannikowi Clintona, niczym nieskrępowane śledztwo. Ten stwierdził, że „cała afera to jest bullshit" i droga do NATO pozostała otwarta.

Ułatwiło to Kwaśniewskiemu pójście śladem Wałęsy w zabieganiu o przyjęcie Polski do NATO i Unii Europejskiej. Ujął tym traktującego go z rezerwą prezydenta Czech Václava Havla, legendę antykomunistycznej opozycji, prezydenta Clintona, z którym szybko znalazł wspólny język. W 1996 r. aż trzykrotnie odwiedził USA. Nie zaniedbał też relacji z Niemcami i Francją, czyniąc z nich adwokatów Polski w NATO i UE.

8–9 lipca 1997 r. na szczycie NATO w Madrycie Polskę oficjalnie zaproszono do negocjowania członkostwa. Z Hiszpanii prezydent Clinton przyleciał do Warszawy, by uroczyście poinformować o otwarciu drzwi do najpotężniejszego sojuszu na świecie. Starań nie spowolniła kolejna zmiana polityczna i objęcie rządów w październiku 1997 r. przez koalicję AWS-UW. Koabitacja prezydenta Kwaśniewskiego z AWS nie była aksamitna, ale odpowiadająca za MSZ i MON Unia Wolności dbała o dobre relacje z głową państwa. Wspólnym wysiłkiem przezwyciężono ostatnie przeszkody na drodze ratyfikowania rozszerzenia sojuszu we wszystkich ówczesnych 16 państwach członkowskich. 12 marca 1999 r. minister Bronisław Geremek przekazał władzom USA akt przystąpienia Polski do NATO, dającego najsolidniejszą gwarancję bezpieczeństwa.

(TN)

załatwianiu spraw ważnych dla społeczeństwa. Odżył peerelowski stereotyp władzy nieliczącej się z potrzebami obywateli. Jak na ironię, sprzyjało to partiom wywodzącym się z tamtej epoki.

W wyborach z 19 września 1993 r. SLD zdobył 20,4 proc. głosów, a PSL – 15,4 proc. Z partii solidarnościowych próg przekroczyła tylko Unia Demokratyczna, otrzymując 10,6 proc. Nowa lewicowa partia, Unia Pracy, zbudowana ponad historycznym podziałem, zyskała 7,3 proc., a KPN – 5,8 proc. Próg sprawił, że w Sejmie zabrakło reprezentacji 30 proc. wyborców głosujących na rozdrobnione partie solidarnościowe. Utracone mandaty przypadły zwycięzcom. SLD miał ich aż 37,2 a PSL – 28,7 proc.

Na demokratycznej i prozachodniej ścieżce.

Zmarginalizowani w wyniku własnych błędów politycy wszczęli alarm, strasząc nawrotem komunizmu. Tymczasem rząd utworzony przez SLD i PSL (kolejni premierzy: Waldemar Pawlak, Józef Oleksy, Włodzimierz Cimoszewicz) kontynuował wszystkie ważne zmiany realizowane od 1989 r. Dobrze odczytał wolę społeczeństwa, które miało dosyć polityków grzęznących w partyjnych waśniach, ale nie życzyło sobie odwrotu od demokratycznego i prozachodniego kursu.

Los sprzyjał nowej władzy, bo objęła ster, kiedy reformy okupione wieloma wyrzeczeniami zaczęły procentować wyraźnym wzrostem dochodu narodowego. W 1994 r. PKB zwiększył się o 5 proc., a w 1995 r. aż o 7 proc. Ludzie więcej zarabiali i łatwiej znajdowali pracę. Zmalała inflacja. Plony solidarnościowego zasiewu politycy SLD i PSL przypisywali sobie, choć wcześniej ostro te zmiany krytykowali.

Nic nie zagrażało też demokratycznemu ustrojowi państwa. SLD i PSL wręcz stroiły się w szaty strażników broniących demokracji przed autorytarnymi zapędami prezydenta Wałęsy. Ułatwiał to, deklarując, że będzie bronił przed komunistami solidarnościowej rewolucji „choćby miał zastosować wariant Jelcyna". Nie brzmiało to dobrze, bo prezydent Rosji posłał w październiku 1993 r. czołgi na parlament próbujący ograniczyć jego władzę i w krwawym starciu narzucił swoją hegemonię.

Utrzymany został również prozachodni kurs polityki zagranicznej. 8 kwietnia 1994 r. rząd złożył wnio-

eprasa.pl fa89fff25f

sek o członkostwo w Unii Europejskiej, zaakceptowany w grudniu 1994 r. przez szczyt w Essen. Konsekwentnie też wdrażał strategię akcesyjną wytyczoną przez Radę Europejską. Prezydent i rząd zabiegali również, choć na ogół osobno, o członkostwo Polski w NATO. Bardziej liczył się tu głos szanowanego na Zachodzie Wałęsy, ale SLD i PSL umiejętnie dyskontowały składane jemu obietnice, prezentując się w roli architektów włączenia Polski do euroatlantyckiej przestrzeni bezpieczeństwa i demokracji.

Prezydentura Kwaśniewskiego. To zawłaszczanie owoców solidarnościowej rewolucji bardzo bolało Wałęsę. Niewiele mógł zrobić, bo popadał w coraz większe kłopoty, zmuszony do walki na dwa fronty. SLD, szykując grunt pod kampanię prezydencką Aleksandra Kwaśniewskiego, zarzucało mu, że jest autokratą niszczącym demokrację. Natomiast solidarnościowi radykałowie oskarżali go o agenturalną przeszłość ciągle uzależniającą od ludzi starego systemu. Zwłaszcza Jarosław Kaczyński ciskał błotem tak długo, aż stężało i zamieniło w kokon krępujący normalną aktywność. Na początku 1995 r. sondaże nie dawały Wałęsie żadnych szans na reelekcję. Ciągle bardzo zatomizowany obóz solidarnościowy bezskutecznie usiłował uzgodnić kandydata mogącego wygrać z przodującym w sondażach liderem SLD.

Wykorzystał to Wałęsa i sięgnął po broń, którą władał po mistrzowsku. Ruszył do szarży pod sztandarem walki z powracającą zmorą komunizmu, sprzymierzoną z Kremlem. „To jest targowica" – grzmiał o premierze Jó-

Z POLITYKI

Lęk przed Europą

Poseł Henryk Goryszewski z rządzącej partii ZChN zaproponował, aby Polska, zamiast pchać się do EWG, „ramię w ramię z Irlandią" budowała Europę ojczyzn. Jako przeciwwagę „strasznego skartelizowanego świata", „rządzącego się wilczymi prawami". Zdaniem posła Leszka Moczulskiego z KPN układ o stowarzyszeniu z EWG „może wywołać podobny wstrząs gospodarczy jak w NRD po przyłączeniu do RFN". Wniosek: nie spieszmy się tak do Brukseli, „renegocjujmy" układ, odłóżmy go na półkę, nicujmy w komisjach.

W wielu innych parlamentach trwa właśnie dyskusja nad wspólną Europą. Pada w niej wiele ostrych słów, zgłaszanych jest wiele obaw. Niemcy martwią się o losy mocnej marki, kiedy zastąpi ją wspólna waluta; Francuzi o bezpieczeństwo wewnętrzne, kiedy znikną granice między krajami Dwunastki; Margaret Thatcher ostrzega, że „polityków z wyboru zastąpią anonimowi eurobiurokraci, którzy nie ponoszą żadnej odpowiedzialności przed elektoratem". Nie ma co kryć: EWG nigdy nie była oazą kurtuazji, uśmiechów i bezkonfliktowej szczęśliwości. Farmerzy coś o tym wiedzą. Zresztą sama, od czasów traktatu rzymskiego, potrzebowała wielu lat, żeby zrozumieć, że warto zrezygnować ze znacznej części narodowej suwerenności na rzecz wzbogacającej wspólnoty; że taka jest cena, jaką trzeba zapłacić, aby sprostać wyzwaniom i dorównać światu w rozwoju, aby stworzyć skuteczny system zbiorowego bezpieczeństwa. (…) Spory toczą się o setki szczegółów, nie o samą zasadę integracji.

W polskim parlamencie wpływowe ugrupowania podważają sens polskiego stowarzyszenia z EWG. Dostaliśmy od historii, która Polaków zwykle nie rozpieszcza, niesłychany prezent. Za Solidarność, za Wałęsę, za niepokorność i postęp w reformach rynkowych znaleźliśmy się w trójce środkowoeuropejskich liderów. Mamy EWG w zasięgu ręki, dziesięcioletni okres przejściowy i asymetryczne, korzystne dla Polski, zasady współpracy. Czy mogłyby być jeszcze bardziej korzystne? Zapewne, ale kto liczy się ze słabym? EWG ze „szczególnym egoizmem" nie chce naszych towarów? A po co im buble? Stowarzyszenie z EWG nie oznacza cudu ani rogu obfitości, nie oznacza także rzeki pieniędzy – nikt ich nie ma. Daje natomiast szansę na nieco większą pomoc, niż jej doświadczamy i na miejsce przy pierwszym stole Europy, gdzie zapadają najważniejsze decyzje polityczne. Stanowi czek *in blanco* i wyzwanie: na ile Polska się zmieni w ciągu tych dziesięciu lat, tyle zwojuje w EWG. Ale najpierw musi chcieć. Wspólna Europa jest szansą, nie przymusem.

Nie ma magicznych rozwiązań i samych zysków. Coś za coś. Za miejsce w EWG musimy zapłacić: właśnie ograniczoną suwerennością, penetracją obcego kapitału, po części – sprzedażą narodowego majątku. Czy istnieje jednak inna – lepsza – droga? Czy lepiej powoli kisnąć, za wysokim narodowym murem, w dumnej Najjaśniejszej, ojczyźnie godnych prowincjuszy?

Witold Pawłowski, „W zasięgu ręki", POLITYKA 22/1992



Członkowie Samoobrony blokujący drogę pod Białymstokiem, styczeń 1999 r.

eprasa.pl fa89fff25f

zefie Oleksym, wybierającym się do Moskwy na obchody 50-lecia sowieckiego sukcesu w drugiej wojnie światowej. We wrześniu 1995 r. miał już w sondażach 16 proc. i drugie miejsce za Kwaśniewskim. Wspierało go coraz więcej dawnych wyborców Solidarności, kierując się przekonaniem, że tylko pogromca komunizmu może sprawić lanie jego spadkobiercom.

Rywalizacja stawała się coraz bardziej wyrównana, jednak w drugiej turze, w listopadzie 1995 r., Wałęsa przegrał z Kwaśniewskim niewielką różnicą głosów 48,28 do 51,72 proc. Wśród przyczyn, które się na to złożyły, znaczną rolę odegrało przekonanie zwłaszcza młodszych wyborców, że nie ma już co kruszyć kopii o przeszłość. Ważniejsze są nowe perspektywy. Hasło zwycięzcy: „Wybierzmy przyszłość" dobrze oddawało ducha epoki.

Kwaśniewski zamierzał dotrzymać tej obietnicy. Skupił się na zadaniach dla przyszłości najważniejszych. W polityce wewnętrznej było to kontynuowanie wzrostu gospodarczego, utrzymanie pokoju społecznego i stabilności państwa. Zapewnić to miała konstytucja, wieńcząca dekadę wielkich przemian i stanowiąca fundament rozwoju w XXI w. Na arenie międzynarodowej równie ambitnym celem było członkostwo w NATO i Unii Europejskiej.

Podejmując te wyzwania, Kwaśniewski jako pierwszy polityk lat 90. zaczął przełamywać podział na obóz postsolidarnościowy i postkomunistyczny. W prezydenckiej kancelarii ważne stanowiska zajęli działacze antykomunistycznej opozycji. Szefem Biura Bezpieczeństwa Narodowego został Jerzy Milewski, kierujący w stanie wojennym biurem Solidarności w Brukseli, a sekretarzem stanu – Barbara Labuda, działaczka KOR, solidarnościowa posłanka od 1989 r. Niezmienione pozostały kapituły najwyższych orderów, powołane przez Wałęsę. Stałym gościem Pałacu Prezydenckiego ciągle był ordynariusz polowy WP biskup Sławoj Leszek Głódź, zadomowiony tu od czasów poprzednika.

Politykę wyciągniętej dłoni do obozu solidarnościowego prezydent kontynuował, patronując pracom nad konstytucją. Tonował władcze zapędy SLD i wzmacniał rolę Unii Wolności, powstałej z połączenia Unii Demokratycznej i Kongresu Liberalno-Demokratycznego. Szczególnie cenił doświadczenie i poglądy Tadeusza Mazowieckiego, dzięki którego wysiłkom przełamany został impas wywołany ostrym sporem o preambułę.

Spokojna i pojednawcza prezydentura, choć zaczęła się od ostrego przesilenia związanego z oskarżeniem premiera Józefa Oleksego o szpiegostwo na rzecz Rosji, stabilizowała państwo i łagodziła napięcia polityczne. Rosło zaufanie do Kwaśniewskiego, dyskontowane przez lewicę i nowy rząd premiera Włodzimierza Cimoszewicza.



Plakat Akcji Wyborczej Solidarność, 1997 r.

Koalicja AWS i UW, rząd Buzka. Liderzy postsolidarnościowej prawicy zrozumieli, że jeśli nie połączą sił, ponownie przegrają wybory parlamentarne. Skorzystał z tego przewodniczący NSZZ Solidarność Marian Krzaklewski i w czerwcu 1996 r. skonsolidował tę część sceny politycznej, tworząc Akcję Wyborczą Solidarność. Przypominała ona spółkę akcyjną, w której NSZZ Solidarność uzyskał 50 proc. udziałów, dających lwią część władzy. W programie AWS mocno brzmiały hasła socjalne, w tym obietnica walki z wykluczeniem społecznym, ciągle dotykającym wielu Polaków.



Jerzy Buzek (w środku), premier 1997–2001, z Marianem Krzaklewskim (po lewej), liderem AWS i Leszkiem Balcerowiczem, liderem UW, po zawarciu koalicji rządowej, Warszawa, listopad 1997 r.

Wybory z 21 września 1997 r. wygrała AWS, zdobywając 33,8 proc. głosów i dzięki premii za zjednoczenie aż 43,7 proc. posłów. SLD mimo poprawienia wyniku z 1993 r. o 7 pkt musiał zadowolić się drugim miejscem, z 27,1 proc. głosów i 35,7 proc. posłów. Dobrze wypadła Unia Wolności, z 13 proc. głosów i posłów. Klęskę poniosło PSL, uzyskując zaledwie 7,3 proc. głosów i tracąc ponad 100 mandatów.

Centroprawicową koalicję stworzyły AWS i UW. Nie przyszło to łatwo, bo rozbudowany program socjalny AWS należało pogodzić z twardym liberalizmem Leszka Balcerowicza ponownie, już w roli szefa UW, grającego pierwsze skrzypce w polityce. Z kłopotami, ale uzgodniono wspólny plan, który realizować miał rząd na czele z premierem Jerzym Buzkiem, wskazanym przez AWS, i wicepremierem, ministrem finansów Leszkiem Balcerowiczem. Mocno postawiono na modernizację kraju.

Cztery wielkie reformy. W XXI w. miały go wprowadzić cztery wielkie reformy rewolucjonizujące najważniejsze dla ludzi kwestie: edukację, opiekę zdrowotną, system emerytalny oraz funkcjonowanie administracji publicznej, w tym samorządowej. Połączono to z ograniczeniem liczby województw z 49 do 16 i przywróceniem powiatów, zlikwidowanych jeszcze w PRL, w 1975 r. Miało to sens, choć wywołało ogromne napięcia, zwłaszcza w ponad 30 miastach tracących status siedziby województwa.

Nie zważając na protesty, reformy wprowadzono w życie i – jak się okazało – były one ostatnim elementem wielkiej przebudowy dokonanej w końcowej dekadzie XX w. Na arenie międzynarodowej nie mniej ważnym osiągnięciem było członkostwo w NATO, uzyskane w 1999 r. Brakowało już tylko przynależności do Unii Europejskiej, nad czym zresztą intensywnie pracowano.

Skuteczne zagospodarowanie odzyskanej w 1989 r. wolności i suwerenności nie przyszło łatwo. Cena za przemiany płacona przez tych, którzy gorzej radzili sobie w nowych warunkach, była niejednokrotnie zbyt wysoka. Jednak nie ulegało wątpliwości, że w nowe tysiąclecie Polska wkraczała jako państwo niepodległe i demokratyczne, rozwijające się ekonomicznie i cywilizacyjnie, i, co najważniejsze, bezpieczne dzięki opuszczeniu strefy imperialnego oddziaływania Rosji i wejściu do wspólnoty euroatlantyckiej.

TOMASZ NAŁĘCZ

eprasa.pl fa89fff25f



Krzątanina przy fundamentach

Wielka przebudowa polskiej gospodarki.

Joanna Solska

Balcerowicz na scenie. Kiedy zachodnie gospodarki włączyły turboładowanie i globalizacja zaczęła nabierać tempa, PRL właśnie bankrutowała. Polacy czuli się częścią Europy, ale mieli niewydolną, centralnie sterowaną gospodarkę, zupełnie niepasującą do rynkowej. Jak ją przestawić z głowy na nogi? Musiało boleć, choć wcale nie musiało się udać. Prof. Leszek Balcerowicz, od niedawna wicepremier i minister finansów, 17 grudnia 1989 r. w Sejmie krótko wyjaśnił, o co mu chodzi: „Trzeba zerwać z fałszywą grą, w której ludzie udają, że pracują, a państwo udaje, że płaci". Hasło podobało się Solidarności, ale parasol ochronny, jaki rozpięła nad reformami, szybko zaczął przeciekać. Ci bowiem, którym zawdzięczano zmianę ustroju, pierwsi stali się jej ofiarami.

Terapia szokowa zaczęła się 1 stycznia 1990 r. Kiedy kilka tygodni wcześniej świeżo mianowany solidarnościowy szef rządu Tadeusz Mazowiecki zaproponował Balcerowiczowi funkcję reformatora gospodarki, 42-letni wówczas naukowiec z SGPiS (dziś SGH) odmówił, jak kilku przed nim. Zadanie było karkołomne, nikt na świecie nie zamieniał socjalizmu w kapitalizm, socjalizm mógł przejść – jak głosili jego wyznawcy – tylko w wyższą fazę rozwoju, czyli w komunizm. Ale odwrotnie? To tak, jakby ktoś próbował z puszki konserw zrobić akwarium z żywymi rybkami. Rozgoryczony odmowami premier ponowił prośbę, gdy usłyszał od Waldemara Kuczyńskiego, swego doradcy, że przecież Balcerowicz już kiedyś próbował wymusić reformę socjalizmu, aby uczynić go nieco bardziej efektywnym, trochę na wzór ówczesnej Jugosławii. Wtedy jego plany pozostały na papierze. Za drugim razem naukowiec z SGH się zgodził, żeby nie było, że stchórzył.

Mięso bez kartek, na każdej wręcz ulicy, Warszawa, 1990 r.

Peerelowski kamień w lawinie. To jednak nie Balcerowicz popchnął kamień uruchamiający lawinę zmian w gospodarce. Zrobił to w sierpniu 1989 r., już po prze-

eprasa.pl fa89fff25f

granych w czerwcu przez PZPR wyborach, ówczesny (od września 1988 r.) premier, wcześniej naczelny redaktor POLITYKI Mieczysław F. Rakowski, uwalniając ceny żywności. Rząd poddał się rynkowi, bo mimo doskonalenia systemu kartkowego żywności brakowało coraz bardziej. Oznaczało to koniec wieloletniej reglamentacji nie tylko cukru (na ten towar jako pierwszy wprowadzono w 1976 r. tzw. kartki) czy mięsa (reglamentacja od 1981 r.), ale wszelkich dóbr, masła, a nawet wódki i papierosów. Oznaczało to również galopującą inflację. Czy ostatni premier PRL miał świadomość, że konsekwencją urynkowienia musi być wyjście z Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej, do której należały wszystkie kraje moskiewskiego obozu?

Oprócz uwolnionych cen żywności nowy wicepremier zastał też sławetną ustawę Mieczysława Wilczka, ministra przemysłu w rządzie Rakowskiego, według której „wszystko, co nie było zakazane, było dozwolone". Wtedy jeszcze nie wiedziano, że pobudziła ona w narodzie nie tylko przedsiębiorczość, ale także chęć do szybkiego zarobienia łatwych pieniędzy, według reguły: „Nie masz pieniędzy? Załóż sobie bank". Na mocy bowiem tej ustawy można było już założyć prywatny bank, oczywiście jeśli się miało odpowiednie kontakty. Kiedy władzę obejmował rząd solidarnościowy, takich banków było już kilkadziesiąt i przybywały następne.

Bez władzy, ale z kapitałem. Szybko zaczęto podejrzewać, że nagła liberalizacja tak wrażliwego sektora gospodarki miała wyposażyć w pieniądze tych, którzy zdali sobie sprawę, że tracą władzę. Zapewnić im miękkie lądowanie w nowej rzeczywistości. Pierwszą licencję na założenie prywatnego banku w PRL odchodząca już władza wydała trzy dni po przegranych przez PZPR wyborach. Mimo że wymagany kapitał był wtedy śmiesznie niski (równowartość obecnych kilkudziesięciu tysięcy złotych), założyciele nie wyłożyli prywatnych pieniędzy. Zrobiły to państwowe przedsiębiorstwa, m.in. PZU, Poczta Polska, centrala handlu zagranicznego Universal, a także dwie spółki nomenklaturowe: Transakcja, której udziałowcem był Komitet Centralny PZPR, oraz Interster, powiązany z Ireneuszem Sekułą, politykiem PZPR. Animatorem i długoletnim prezesem Banku Inicjatyw Gospodarczych, bo tak go nazwali, był Bogusław Kott, prawdziwy bankowiec. Drugim prywatnym bankiem, który powstał dzięki funduszom państwowych przedsiębiorstw, był Kredyt Bank, kierowany przez Stanisława Pacuka. Jego udziałowcem była m.in. Posnania, kontrolowana przez twórcę Elektromisu, a lata potem także Biedronki i Żabki, Mariusza Świtalskiego.

Oba banki, dzięki swoim prezesom, przetrwały lata. Reszta padała, ponieważ ich prywatni właściciele zakładali je głównie po to, aby ściągać depozyty i udzielać sobie kredytów, które nigdy nie zostały spłacone. Głośnym echem odbił się upadek banku Davida Bogatina, ściganego za przestępstwa w USA. Leszek Balcerowicz, jako wicepremier, podniósł sumę kapitału, którą musieli dysponować udziałowcy, aby ubiegać się o licencję na założenie banku. Społeczeństwo nie bardzo miało pojęcie, co się dzieje w sektorze, który w gospodarce rynkowej jest uważany za krwiobieg gospodarki. Zwykli Polacy z usług banków wtedy nie korzystali. Gdy po urynkowieniu cen żywności rozszalała się inflacja, państwowe banki nie dopisywały do lokat odsetek, więc pieniądze błyskawicznie topniały. Kredyty, też nieoprocentowane, dostawali wybrani. Ludzie zaufania do banków nie mieli. Obdarzyli nim natomiast Lecha Grobelnego, twórcę Bezpiecznej Kasy Oszczędności, który obiecywał kosmiczne oprocentowanie. Wielu straciło wtedy wszystko.



Leszek Balcerowicz, wicepremier i minister finansów, przed gmachem Sejmu, Warszawa, grudzień 1990 r.

eprasa.pl fa89fff25f





Od góry: Bogusław Kott, animator i długoletni prezes Banku Inicjatyw Gospodarczych, Warszawa, 1997 r.

Jeden z pierwszych stołecznych kantorów, w okolicach Domów Towarowych Centrum, 1990 r.

Masa upadłościowa i konsens waszyngtoński. Prof. Leszek Balcerowicz przejął stery nad gospodarką, która była faktycznym bankrutem. Jeszcze pod rządami gen. Wojciecha Jaruzelskiego (premier 1981–85) Rada Ministrów zawiesiła spłatę długów zaciągniętych w czasach Edwarda Gierka (1970–80), nie było dewiz. To, że samoloty LOT mogły lądować na zachodnich lotniskach i nie rekwirowano statków pod polską banderą, Polska zawdzięczała temu, że spłacała odsetki bankom komercyjnym. W 1990 r. zagraniczne zobowiązania PRL wynosiły 48,5 mld dol.; nie do spłacenia. Głównym polskim towarem eksportowym był wtedy węgiel.

Balcerowicz wiedział, że nic z powrotu Polski do Europy nie wyjdzie, jeśli nie dogada się ona jakoś z wierzycielami. Zachód popierał polskie reformy, więc wicepremier zagrał o wysoką stawkę – czyli umorzenie jak największej części długów. Stosunkowo szybko dogadano się z tzw. klubem paryskim, zrzeszającym rządy wierzycieli, które były bardziej skłonne do ustępstw, gdy spod żelaznej kurtyny wyrwała się najpierw Polska, a wkrótce potem zburzono mur berliński. Zachód chciał pomagać, potrzebne mu były nowe rynki zbytu, inwestycji. Umowę z klubem paryskim o redukcji połowy długu Polska podpisała już w 1991 r. Negocjacje z bankami prywatnymi, zrzeszonymi w tzw. klubie londyńskim, trwały do 1994 r. Zakończyły się nieco gorszymi, ale i tak korzystnymi dla Warszawy warunkami. Gierkowskie długi, choć zredukowane, Polska spłacała do 2012 r. Kiedy później zarzucano Balcerowiczowi, że zaordynował Polakom terapię zbyt szokową, zapominano, że na ręce patrzyli mu wierzyciele zainteresowani powodzeniem reform.

To był czas, kiedy za sprawą głównie Stanów Zjednoczonych w gospodarkach krajów rozwiniętych zapanował tzw. konsens waszyngtoński. Jego wskazówkami kierował się zarówno Bank Światowy, jak i Międzynarodowy Fundusz Walutowy, wspierające polskie reformy. Prof. Grzegorz Kołodko, największy krytyk Balcerowicza, przesłanie konsensu upraszczał potem tak: „Liberalizuj tak wiele, jak tylko się da, prywatyzuj tak szybko, jak możesz, i bądź twardy w sprawach fiskalnych i pieniężnych" (podajemy za tekstem Zbigniewa J. Stańczyka z Akademii Ekonomicznej w Krakowie, „Zeszyty Naukowe" nr 2, PTE). Stańczyk nie zgadzał się z tezą Kołodki, że pozytywne efekty reform Balcerowicza pojawiały się wtedy, gdy odchodzono od zaleceń konsensu. Do jego argumentów warto dorzucić jeszcze jeden. Polska rozpoczęła reformy jako pierwsza, a jej gospodarka była w stanie najbardziej tragicznym. Powiedzenie, że trzeba ją było przestawić z głowy na nogi, nie było przesadzone. Swoich krytyków Balcerowicz już wtedy pytał: „Chcecie, żeby w Polsce było tak jak na Ukrainie?". Czas pokazał, że to Polska osiągnęła największy sukces w transformacji, choć cena była wysoka.

Jak to ogarnąć? Adam Tański, ostatni minister rolnictwa w rządzie PRL, który uwolnił ceny żywności z polecenia premiera Rakowskiego, został – na prośbę Balcerowicza – zaproszony także do rządu Mazowieckiego. Tego, co działo się w gospodarce żywnościowej w latach 80., młodzi naukowcy z SGPiS nie byli w stanie zrozumieć, Tański to ogarniał.

Prof. Jadwiga Seremak-Bulge z Instytutu Ekonomiki Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej wyliczyła, że pod koniec lat 80. dotacje państwa do przemysłu mleczarskiego sięgały już 90 proc. wartości jego produkcji. Tania żywność nakręcała popyt i zachęcała do marnotrawstwa; z kolei podwyżki cen, ustalanych centralnie, doprowadzały do strajków i wymiany ekipy rządzącej. Prof. Seremak-Bulge: „W Polsce centralnie sterowanej i realizującej politykę taniej żywności spożycie było zawyżone ze względu na bardzo wysokie subwencje. W efekcie ceny detaliczne przetworów były niższe od cen skupu, co skutkowało wykorzystywaniem znacznej części przetworów, jak mleko i twarogi, na pasze". Polacy wypijali i zjadali aż o 25 proc. mleka i przetworów mniej, niż podawał GUS. Reszta albo się marnowała z powodu złej jakości, albo zjadały ją świnie.

Urynkowienie cen żywności przez rząd Rakowskiego polegało na tym, że cenę przestało odgórnie ustalać państwo, wyznaczał ją ten, kto miał towar, w socjalizmie robiły to „baby z cielęciną" i bazary, na których handel mięsem oficjalnie był zakazany. Tylko w sierpniu 1989 r. ceny wzrosły o 40 proc., ale nawet to nie spowodowało, że towar stał się dostępny, półki sklepowe nadal świeciły pustkami. Odchodząca bowiem władza spełniała żądania rozwścieczonych ludzi, domagających się rekompensat, i podniosła również płace, o 90 proc. Gasiła ogień benzyną. Rozszalała się inflacja, taką sytuację zastał wicepremier Balcerowicz. Jak ją opanować, skoro musiał dolać jeszcze więcej benzyny, czyli uwolnić pozostałe ceny? Także węgla i energii elektrycznej, które napędzały wszystkie inne. Departament ustalania cen został zlikwidowany. Na sklepowych półkach szybko zmieniały się ceny, towaru nadal brakowało.

Reporterzy POLITYKI ruszyli do sklepów w styczniu 1990 r. „W warszawskim Sezamie została już tylko mąka krupczatka, a pani z hurtowni zapowiedziała, że następ-

eprasa.pl fa89fff25f

na dostawa cukru będzie już po 7 tys. zł za kilogram. Słowo ciałem się stało, w Hali Mirowskiej cukier wystawiono po 7,2 tys. zł, a telewizja doniosła, że w Gdyni sprzedają po 10 tys. (…) Złowroga cisza zapadła wokół nabiału. Nie wiadomo, czego się bardziej bać; czy tego, że lada moment rolnicy zażądają podwyżki cen skupu (na razie mleko dostarczają po ubiegłorocznych), czy że towaru nie będzie po żadnej cenie? Budżet nie wypłaca bowiem dotacji mleczarniom, te z kolei zalegają z zapłatą transportowcom i tamci nie mają pieniędzy na ropę, która też podrożała. Należy oswajać się z myślą, że towar do sklepów nie dojedzie".

Krajobraz po RWPG. ZSRR nieprzychylnie patrzył na to, co wyprawia Polska, wtedy jeszcze członek Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej (RWPG). Benzynę Polska kupowała rosyjską, płynęła Rurociągiem Przyjaźń do rafinerii w Płocku. Rozliczała się w wirtualnej walucie, jaką był rubel transferowy (odpowiednik ecu, waluty Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej). W przeciwieństwie do ceny budowanych dla Rosjan statków, do których Polska musiała kupić za dolary wyposażenie, ceny ropy były dla Rosji niekorzystne. Po wprowadzeniu reformy Balcerowicza towarzysze z Moskwy zażądali od Warszawy zapłaty za ropę w dolarach. Benzyna w Polsce stała się towarem luksusowym. Eksport polskich towarów do Związku Sowieckiego, na przykład bardzo tam popularnych kosmetyków Polleny, załamał się. Oni w dewizach płacić nie chcieli. Podobnie jak pozostali członkowie RWPG, która została rozwiązana w połowie 1991 r. Polska nagle straciła rynki zbytu.

Reporterzy POLITYKI pisali: „Ludzie w mieście biegają po sklepach, a rolnicy jakby zamknęli się w chałupach. Węgiel, pasze, nawozy, maszyny, ropa – za wszystko od stycznia trzeba płacić inaczej. Na wsi trwa więc wielkie liczenie, a w mieście haki puste. Konkurencji nie widać. Rolnicy, którzy jeszcze w sierpniu byli wielkimi entuzjastami urynkowienia, bo przyjeżdżali Żukami i domowe kiełbasy oraz świeżo ubitą wieprzowinę sprzedawali prosto z bagażników, nie przejmując się muchami, wkrótce staną się jej przeciwnikami. Rynek najpierw pozwolił im za swoje mięso czy sery brać tyle, ile zażądali, teraz każe płacić coraz więcej za środki produkcji. Więc czekają, a wkrótce zażądają, żeby to, co wyprodukują na swoich polach i w chlewikach, po cenach ich satysfakcjonujących skupiło państwo".

Były też dobre wiadomości. LOT przestał od polskich obywateli na dolarowych trasach żądać części opłaty w dewizach, natomiast bardzo podniósł ceny. Dolar po raz pierwszy stał się wymienialny, można go było kupić w kantorach po 9,5 tys. zł. Stała cena miała być kotwicą stabilizującą pozostałe ceny, ale rząd nie wiedział, kiedy złotego trzeba będzie osłabić. Kurs oficjalny stał się taki sam jak czarnorynkowy. Twardą walutę można było kupić w kantorach, jeśli ktoś miał pieniądze. Jako pierwszy licencję na otwarcie kantoru dostał Aleksander Gawronik. W 1990 r. otwierał ranking najbogatszych Polaków tygodnika „Wprost".

Dlaczego jaja nie tanieją? Balcerowicz chciał się dowiedzieć, co ludzie naprawdę myślą o jego reformach i jak reagują na zmiany. Powołano Zespół Badania Opinii Publicznej o Rządzie pod kierownictwem Jerzego Koźmińskiego. Zaproszono do niego socjologów, dziennikarzy, politologów, a także szefów sejmowych działów listów. W gabinecie wicepremiera pod kierownictwem Teresy Hildebrandt działała grupa, która miała dostarczać informacje z życia. Dostawcą wiedzy był też sam Balcerowicz, który codziennie uprawiał marszobiegi z gabinetu ministra finansów przy ul. Świętokrzyskiej do Urzędu Rady Ministrów, zaglądając przy okazji do sklepów.

Z POLITYKI

Giełda i prywatyzacja

Tydzień temu w gmachu byłego KC PZPR odbyła się pierwsza sesja giełdy kapitałowej. Wszystko tu było nowe, począwszy od farby na ścianach, a skończywszy na maklerach Banku PKO SA ubranych – służbowo – w białe koszule i czerwone szelki. Budynek pachniał mniej pieniędzmi, a więcej lakierem. Zdaje się, że nie tylko roboty budowlane kończono tu na ostatni dzwonek. A wszystko po to, aby podać notowania akcji pięciu zaledwie przedsiębiorstw. Oto i skala naszego kapitalizmu.

Do tej pory Ministerstwu Przekształceń Własnościowych udało się, kilkoma drogami, sprywatyzować 8 firm. Pięć słynnych już dzisiaj w całej Polsce zakładów przemysłowych ogłosiło publiczną sprzedaż akcji: Fampa utworzyła joint venture i poszła w obce ręce, warszawski Budokor i zakłady mięsne w Inowrocławiu zostały wykupione na kredyt przez załogi. Przygotowanie oraz realizacja tych projektów zajęły prawie rok. Metod prywatyzacji uczyli się przy tym wszyscy: przedsiębiorstwa, firmy doradcze i samo ministerstwo. Jeśli przyjąć – dość zresztą optymistycznie – że droga została przetarta, pozostaje problem skali i tempa kolejnych przekształceń. Losy polskiej reformy zależą dziś – w dużym stopniu – od „przepustowości" Ministerstwa Przekształceń Własnościowych.



Pierwsza sesja Giełdy Papierów Wartościowych, Warszawa, kwiecień 1991 r.

Na MPW spadło zadanie przygotowania zasad reprywatyzacji nieprawnie zagarniętego majątku, komercjalizacji przedsiębiorstw państwowych, a później ich sprzedaży, prywatyzacji poprzez upadłość, selekcji kandydatów do różnych przekształceń, organizacji giełdy, Biura Komisji Papierów Wartościowych itd. Ten urząd staje się mimo woli wąskim gardłem całego procesu prywatyzacji. (…) W ministerstwie pracuje się długo. Kłopot wielu osób polega tu na tym, że doba ma tylko 24 godziny. Na bok idą sprawy rodzinne. (…) Mimo takiej intensywności zawodowego życia i tak na wiele rzeczy nie starcza czasu. Czy 240 ludzi (to pracownicy merytoryczni), na dodatek bez doświadczenia, może szybko sprywatyzować pół polskiego przemysłu? (…)

Pierwsza „piątka na piątkę" była prowadzona za rączkę przez 4 banki angielskie i jeden duński. W wielu innych przypadkach też są angażowani zachodni konsultanci. (…) W najbliższym czasie, nie tylko zresztą z powodu niewydolności technicznej ministerstwa, nie należy więc spodziewać się nagłego przyśpieszenia tempa wyprzedaży państwowego majątku. W planach na najbliższy kwartał jest publiczna sprzedaż akcji dwóch kolejnych przedsiębiorstw oraz 10 małych i średnich zakładów, które kupią inwestorzy strategiczni (duże firmy) z kraju lub z zagranicy. Wypuszczenie bonów prywatyzacyjnych to bliżej nieokreślona przyszłość. (…)

Nadzieje, że w państwie o nieustabilizowanej i nierozwiniętej gospodarce rynkowej, jakim stała się obecnie Polska, można redukować i zmniejszać administrację, okazują się więc płonne. Dopiero teraz potrzeba nam znakomicie wykwalifikowanych urzędników, o bardzo specyficznych umiejętnościach i dobrze opłacanych. Wykształcenie pierwszego pokolenia polskich yuppies wymaga jednak czasu.

Na razie wielka operacja prywatyzacyjna zawisła na jednym słabym resorcie, niczym spodnie naszych nowych maklerów na czerwonych szelkach.

Paweł Tarnowski, „Czerwone szelki", POLITYKA 17/1991

eprasa.pl fa89fff25f





Od lewej: Rolnicy demonstracyjnie wyrzucają masło na biurko ministra rolnictwa, Warszawa, kwiecień 1994 r.

Pierwszy McDonald's w Polsce, Warszawa, skrzyżowanie ulic Marszałkowskiej i Świętokrzyskiej, czerwiec 1992 r.

Ceny nie chciały spadać, spadała natomiast produkcja. Pierwszy komunikat GUS, który pojawił się 8 lutego 1990 r., potwierdził uliczne obserwacje. Spadek produkcji w przemyśle okazał się dużo wyższy, niż się spodziewano. Fabryki, nie tylko żywności, ustalały na swoje towary tak wysokie ceny, żeby im się opłacało produkować mniej, bez ryzyka. Pomagała w tym odziedziczona monopolizacja przemysłu. Jeśli była w kraju jedna fabryka pralek czy lodówek, to po co druga? Socjalizm nie przewidywał, że jeden państwowy producent będzie konkurował z innym, uważano to marnotrawstwo. Handel też był zmonopolizowany. Żywność sprzedawały sklepy Społem, towary przemysłowe placówki podległe Centrali Przemysłu Handlu Wewnętrznego (CPHW).

Według GUS w styczniu 1990 r. siła nabywcza Polaków zmalała o 40 proc. Półki zaczęły się zapełniać po trzech miesiącach od wprowadzenia planu Balcerowicza, zniknęły kolejki, horrendalne ceny pozostały. Zespół monitoringu oraz sam wicepremier w czasie marszobiegów wypatrywali, kiedy „drgnie w jajach", co miało być sygnałem stabilizacji cen. Pierwsza informacja, że staniały, okazała się nieprawdziwa, następne już tak. Polacy pokazali swoją przedsiębiorczość. Na chodnikach pojawiły się łóżka polowe, na których rozkładano artykuły spożywcze i przemysłowe. Najbardziej przedsiębiorczy ruszyli na Zachód po towar, szybko też zamienili polówki na szczęki, stragany zamykane na noc. Nowa gospodarka zakwitła na ulicach.

W sierpniu POLITYKA zanotowała, że mamy już rynek konsumenta. Prosto z samochodów dostawczych można było kupić przed bazarami w całym kraju nie tylko mięso i wędliny, ale także olej, masło, kasze, wkrótce także artykuły przemysłowe. Nagle wszystkiego zrobiło się za dużo. Na bazarach pojawili się inspektorzy sanepidu, nie odważając się jednak wymierzać mandatów, tylko tłumacząc, że handel mięsem z samochodu jest niehigieniczny, niezdrowy i niezgodny z prawem. Z Żuka czy z polówki było jednak taniej niż w sklepie, dla biedniejącego społeczeństwa ten argument był wtedy najbardziej istotny.

Przeklęty popiwek. Handel żył, ale przemysł zamierał. Ceny rosły, produkcja spadała. Uzwiązkowionym zakładom wicepremier podpadł, obniżając cła, ucieszyli się właściciele szczęk i polówek handlujący importowanym towarem. Import miał wymusić konkurencję krajową, ale strategii przetrwania państwowych zakładów, polegającej na „mniej, ale drożej" nie udało się zmienić. Załogi żądały rekompensat za inflację. Wiadomo było, że jeśli nie zatrzyma się spirali płac goniących ceny, reforma nie wypali.

Grono ekspertów MFW, doradzających Balcerowiczowi, było wtedy spore, nazywano ich brygadami Marriotta, bo często zatrzymywali się w tym hotelu. Podobno z funduszy pomocowych dla Polski płacono im 2 tys. dol. dziennie. (Próbował dostać tę robotę Jan Krzysztof Bielecki, ale go nie przyjęli, niedługo potem został premierem). Najbardziej znanym doradcą był wtedy Jeffrey Sachs. W wydanych w 1992 r. wspomnieniach Leszka Balcerowicza, spisanych przez Jerzego Baczyńskiego, były już wicepremier przypomina, że Sachs uważał, iż aby opanować galopującą inflację, należy… zamrozić płace. Nietrudno sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby w roku, w którym inflacja wyniosła 560 proc., wprowadzić w życie taką radę. Na szczęście Balcerowicz z niej nie skorzystał. Zdecydował się na rozwiązanie łagodniejsze, polegające na wprowadzeniu podatku od ponadnormatywnych wynagrodzeń, zwanego popiwkiem. Czyli – płace mogą rosnąć, ale nie za bardzo.

Ale to nie ten popiwek spowodował, że wielkie zakłady przemysłowe zaczęły padać jak muchy. W socjalistycznej gospodarce nikt nie liczył kosztów, nie mierzył wydajności, nie było przecież konkurencji, dzięki której konsumenci mogliby wybrać towar lepszy i tańszy, zamiast gorszego i droższego. Tak naprawdę nie było wiadomo, ile co kosztuje. I nagle to wszystko się zmieniło. Ani szefowie dużych zakładów pracy, ani tym bardziej ich załogi nie umieli się w nowej rzeczywistości odnaleźć. Np. fabryka obuwia dla dzieci Fosco robiła świetne buty spełniające wymogi ortopedów. Miała spory eksport. W PRL każdy dolar czy marka były bezcenne, ale według oficjalnego kursu jednak tanie. Fabryce opłacało się sprzedawać po każdej cenie. I nagle, gdy każdy koszt trzeba było policzyć, buciki Fosco okazały się niesprzedawalne, bo za drogie. Fabryka padła, ale w społecznym odbiorze zamknął ją Balcerowicz. Podobnie jak wiele innych.

W PRL nie było bezrobocia, etat miał każdy, kto tylko chciał pracować. Absolwenci niektórych uczelni, m.in. SGPiS (dziś SGH), dostawali po dyplomie nakazy pracy, żeby im nie przyszło do głowy jechać na Zachód na saksy. (Jednym z bohaterów książki „80-te", autorstwa niżej podpisanej, był absolwent tej właśnie uczelni, dostał nakaz pracy w Centralnym Związku Spółdzielczości Pracy. Przez cały rok adresował koperty do podległych spółdzielni).

eprasa.pl fa89fff25f

W 1991 r. i kilku następnych bezrobocie sięgnęło 20 proc. Argumenty wicepremiera, że za PRL bezrobocie było ukryte, a teraz jest jawne, nie trafiały do ludzi. Władze Polski Ludowej o nieefektywności gospodarki niedoboru wiedziały, łagodziły coraz gorsze nastroje wysyłaniem ludzi na wcześniejsze emerytury, na renty. Nawet ci nieprzydatni mieli z czego żyć, a inni żyli w iluzji, że są potrzebni. Nowa Polska pozbawiła pracy wielu tych, którzy o nią walczyli.

Giełda mniejsza od warzywniaka. 16 kwietnia 1991 r. w byłej sali zebrań Komitetu Centralnego PZPR przy komputerach uwijali się maklerzy w czerwonych szelkach, na oczach widzów obliczający kursy dnia, po parkiecie kręcili się inwestorzy, a wszystko nagrywała TVP. Giełda Papierów Wartościowych została otwarta! Następnego dnia pożyczone komputery oddano, a prezes giełdy Wiesław Rozłucki poczuł się jak Paul Newman po sławnym przekręcie w filmie „Żądło". GPW jednak ruszyła naprawdę, choć obroty pierwszego dnia były mniejsze niż w warzywniaku. Komisja Papierów Wartościowych i Giełd dopiero się tworzyła pod wodzą Lesława Pagi, żadnych regulacji jeszcze nie było.

Przedsiębiorstwa państwowe do wejścia na parkiet się nie paliły, ich załogi jeszcze mniej. Jacek Chwedoruk z Ministerstwa Przekształceń Własnościowych, które zajęło budynek przy ul. Mysiej po zlikwidowanej cenzurze, miał spore trudności z wytypowaniem kandydatów do debiutu. Żeby ludzie chcieli kupić akcje firm, powinny one produkować towary znane i poszukiwane – kombinował. Powinny mieć też niezłą sytuację finansową, żeby za chwilę nie padły, a ich dyrektorzy mieć jakieś pojęcie o funkcjonowaniu gospodarki rynkowej. Dla zagranicznych doradców z Know-How Fund, brytyjskiego funduszu pomocowego, którzy przygotowali prospekt emisyjny, najbardziej ekscytujące okazało się odkrycie, że dyrektorzy polskich przedsiębiorstw nie wiedzieli, „gdzie i jak powstają koszty, które produkty są rentowne, rzadko generowana jest jakakolwiek informacja ułatwiająca zarządzanie, np. badania marketingowe" – raportowali do MPW.

Bariery okazały się trudne do przeskoczenia. Jedyny, który sam chciał i w dodatku spełniał kryteria, był Exbud z Kielc, kierowany przez Witolda Zaraskę. Dołączono do niego Tonsil z Wrześni, którego głośniki w PRL były poszukiwane, dopóki nie pojawiły się zachodnie, odzieżowy Próchnik, Hutę Szkła Krosno oraz Śląskie Kable. Autorzy poufnych raportów ostrzegali przed klapą. Zapowiadał się duży popyt na akcje Exbudu i Kabli, chętnych na resztę mogło zabraknąć. Witold Zaraska postanowił sam nagonić klientów i jako jedyny postarał się o inwestora strategicznego. To była ITI, firma polonijna prowadzona przez Jana Wejcherta i Mariusza Waltera, wyłożyli 2,5 mln dol. – opowiadał Zaraska Jerzemu Baczyńskiemu w książce „Jestem pierwszy". Pieniądze z emisji nie popłynęły do kasy przedsiębiorstw, zainkasował je budżet państwa. W roczniku statystyki giełdowej giełdowa wycena Exbudu (po ówczesnym kursie dolara i późniejszej denominacji) wyniosła niewiele ponad 318 tys. dol. W tym samym roku największa firma na świecie, Exxon Mobil, była wyceniana na 75,9 mld dol.

W cieniu globalizacji. Od gospodarki kapitalistycznej dzieliły Polskę lata świetlne. Podpisanie w 1992 r. traktatu z Maastricht o Unii Europejskiej jeszcze ten dystans zwiększyło. Wspólnota Europejska tworzyła jednolity rynek wewnętrzny. Rok później powstała Światowa Organizacja Handlu, w ciągu nadchodzącej dekady cła na świecie miały spaść o 40 proc. Globalizacja nabierała tempa. W wyniku porozumienia z Schengen kontrole na grani-



Banknoty o wysokich nominałach sprzed denominacji w 1994 r.

z POLITYKI

Pieniądz i etyka

Najważniejszym problemem dzisiejszej Polski są pieniądze i one są źródłem wszystkich innych problemów. Do takiego przynajmniej wniosku można dojść, obserwując scenę polityczną i społeczną, a także wsłuchując się w to, co ludzie mówią. (…) Kształtujący się na naszych oczach (…) system ocen, prestiżu i jakości opiera się tak naprawdę tylko na pieniądzach. (…) Pieniądze stały się jedynym, prawdziwie żywym społecznie, układem odniesienia. Przykro powiedzieć, ale wszystkie inne bądź się rozpadły, bądź właśnie z pieniędzmi się związały, bądź istnieją oddalone o mile od problemów doczesności i niewiele mają z nimi wspólnego. (…)

Polska przechodzi przez historyczny przełom i liczą się tylko cele strategiczne. Muszą więc być i ofiary, i niesprawiedliwości społeczne. Chodzi przecież o to, by pieniędzy było – tak ogólnie – zdecydowanie więcej. Wtedy biedni będą relatywnie bogatsi niż bogacze wczorajsi. (…) Tak można spojrzeć na sprawę z góry, od dołu widziana jest ona zgoła inaczej. Po pierwsze – ludzie nie mają pieniędzy i boją się, że nie będą mieć ich jutro. Ta prawda dotyczy znakomitej większości społeczeństwa. Całe grupy i środowiska są zagrożone i nie wiedzą, co ze sobą zrobić. Do pieniędzy nie mają szansy dojść (…), bo ich umiejętności, profesje i zdolności nie przekładają się na pieniądze, na sposoby ich pozyskiwania w dzisiejszej Polsce. (…) Czy tym ludziom można wmawiać, że będą mieli lepiej, gdy mają coraz gorzej, a apele – weź swoje życie w swoje ręce – brzmią dla nich jak szyderstwo? (…)

Tyle razy mówiliśmy, aż do znudzenia, o potrzebie wykreowania w naszym społeczeństwie klasy średniej, która miałaby być efektem i zarazem siłą pociągową polskiego kapitalizmu (…). Klasy średniej jakoś jeszcze nie widać, choć tu i ówdzie spotkać można rodzimą imitację zachodniego biznesmena i „fachowca". Ten proces kreacji potrwa dłużej, niż się wydawało, życia chyba nie starczy. Dlatego również, że naturalne rodowodowo dla klasy średniej środowiska inteligenckie nie są do nowej roli zmuszane i przygotowywane. Nie następuje zjawisko unowocześniania i poszerzania swoich profesjonalnych umiejętności, a ich redukcja i niszczenie. (…) Mamy tu do czynienia z jakimś gigantycznym marnotrawstwem, choć niektórzy mówią, że to tylko zdrowe dostosowywanie się do wymogów rynku. (…)

Pieniądze mogą być regulatorem życia społecznego i zdrowym, sprawiedliwym układem odniesienia – jego tkanką nerwową. Ale muszą krążyć w systemie etycznym, który jest dla ludzi do przyjęcia i który jakoś amortyzuje odwieczny konflikt między bogatymi i biednymi. (…) Po pierwsze – pieniądze w Polsce będą zdrowe, gdy dla wszystkich będą dostępne wedle czytelnych i zrozumiałych powszechnie zasad. (…) Po drugie – gdy świat polityki będzie wobec pieniędzy całkowicie przejrzysty, jawny i łatwo dający się kontrolować, a najlepiej żeby miał z nimi jak najmniej bezpośrednich kontaktów. Po trzecie – potrzebna jest polityka interwencjonizmu cywilizacyjnego, tak jak już staje się oczywiste, że potrzebny jest interwencjonizm gospodarczy.

Wiesław Władyka, „Pieniądze", POLITYKA 22/1992

eprasa.pl fa89fff25f

cach zniosły Francja, Belgia, Hiszpania, Holandia. Niemcy, Luksemburg i Portugalia. Chiny i Rosja (ZSRR już się rozpadł); zaniepokojone dominacją USA państwa te zaczęły się do siebie zbliżać.

Polacy długo nie mogli się przekonać do giełdy. Inwestorów zaczęło przybywać wraz z malejącą inflacją. W 1990 r. wyniosła rekordowe 560 proc., w 1991 r. spadła do 70 proc., a w 1992 do 30 proc. Kiedy na parkiet wchodził w 1994 r. bank ING BŚ, wybuchła pierwsza afera giełdowa. Cena emisyjna akcji okazała się 13,5 razy niższa niż w czasie pierwszego notowania. Premier Waldemar Pawlak odwołał prezesa oraz wiceministra finansów Stefana Kawalca bez konsultacji z jego szefem Markiem Borowskim. Ten na znak protestu złożył dymisję.

Bilonu już nie dało się używać, na banknotach nie sposób było się doliczyć zer. NBP zdecydował się na denominację, w 1995 r. cztery zera po prostu skreślono.

Złote dzieci transformacji. W nowej rzeczywistości nie potrafiły się odnaleźć kolebki Solidarności. Fabryka Samochodów Osobowych na Żeraniu uchodziła za jedno ze sreber rodowych, kolejne rządy nie mogły



Demonstracja górników i hutników przed URM, Warszawa, maj 1995 r.

POLITYKA

Rodowody biznesmenów

Żyli cicho, bez ostentacji. Tak było w czasach komuny, gdy manifestowany sukces i bogactwo mogły prowadzić co najmniej do wymierzenia rujnujących domiarów. Podobnie – choć na znacznie wyższym poziomie – większość żyje dziś. (…) W tej sytuacji o zarobkach biznesmenów mówi się z trudem, a najczęściej wcale. (…) Myliłby się jednak, kto sądzi, że gigantyczne obroty, duży i luksusowy styl życia przynoszą jakiekolwiek korzyści fiskusowi. Wielu biznesmenów opanowało bowiem do perfekcji sztukę podatkowych i prawnych manipulacji. Gdy więc dochodzi do bankructw, często okazuje się, że jedyny majątek do zajęcia u rodzimego multimiliardera stanowi parę biurek i aparatów telefonicznych.

Prawdziwymi protoplastami dzisiejszego polskiego prywatnego kapitału byli – tak niegdyś wzgardzani i dyskredytowani – badylarze i prywaciarze. Swego czasu tworzyli elitę pieniądza w kraju, dziś dość kiepsko znaleźli się. (…) Natomiast często dzisiejsi czołowi biznesmeni okazują się mieć „rodzinne, prywaciarskie korzenie". (…) Nowy rozdział w budowaniu dzisiejszego dużego polskiego kapitału otworzył Edward Gierek przyzwoleniem na firmy polonijne. (…) Zaczęły powstawać firmy i pojawiać się przedsiębiorcy, stanowiący dziś czołówkę polskiego prywatnego biznesu. (…) Swoje „imperia" budowali powoli, ale konsekwentnie, koncentrując się przede wszystkim na wymagającej sporych inwestycji produkcji i przetwórstwie. (…)

Po 1989 r. w rodzimym wielkim kapitale prywatnym pojawiła się dość nagle nowa, potężna grupa biznesmenów, pod wieloma względami całkowicie różniąca się od swych poprzedników.



Ireneusz Sekuła i Aleksander Gawronik, Warszawa, grudzień 1993 r.

Przede wszystkim są to ludzie, którzy zdobyli gigantyczne niekiedy – jak na polskie warunki – fortuny w bardzo krótkim czasie – roku, dwóch. Stało się to możliwe dzięki temu, że podstawą ich tworzenia w większości przypadków okazał się handel, a nie – jak to bywało poprzednio – produkcja. Wyjątkowo był to handel wewnętrzny, znacznie częściej – import. Oczywiście najbardziej kapitałotwórcze okazało się sprowadzanie do kraju komputerów, ropy i benzyny, odzieży, papierosów, alkoholu. (…) Zdaniem osób znających to środowisko, 90 proc. nagłych karier zbudowanych zostało dzięki starannemu omijaniu prawa, a już w najlepszym przypadku – dzięki umiejętnemu balansowaniu na jego granicy. (…) Autorami tych sukcesów są z reguły ludzie bardzo młodzi. (…) niekiedy zaczynali od turystyki handlowej (…) lub obrotu walutami. (…) Biznesmeni poprzedniej generacji z reguły odbierali staranne wykształcenie. (…) Tym, którzy robili wielkie pieniądze w ostatnich latach, szkoły z reguły okazały się niepotrzebne. (…)

Osobną, interesującą grupę stanowią kapitaliści z socjalistycznym rodowodem. (…) W kapitalistycznych elitach szczególną podgrupę stanowi „uwłaszczona nomenklatura". Niektórzy aktywnie działali w polityce aż po ostatnie dni starego porządku. Dzięki wcześniejszym znajomościom lub własnej głowie szybko przeobrazili się w biznesmenów. (…) Inni uwłaszczyli się niejako „przy okazji" zmian zachodzących w polskiej gospodarce. Dyrektorowali potężnym firmom państwowym, które następnie zostały sprywatyzowane w sposób, który z zarządów uczynił współwłaścicieli lub właścicieli.

Ewa Szemplińska, Piotr Sarzyński, „Apetyt na pieniądze", POLITYKA 15/1993

eprasa.pl fa89fff25f

się zdecydować na prywatyzację. Niemców się bano, choć czeska Skoda związku z Volkswagenem do dziś nie żałuje. W Warszawie wybrano Daewoo, azjatyckiego czebola. MFW, który pomógł krajom Azji uporać się z kryzysem, zażądał jednak likwidacji czeboli, Daewoo rozczłonkowano. FSO zniknęła z rynku.

Warto przypomnieć, że zarówno Stocznia Gdańska, jak i Ursus, fabryka traktorów, zatrudniały po kilka tysięcy ludzi. Kiedy więc 26-latek Bogusław Bagsik, stroiciel fortepianów, poinformował wspólnika Andrzeja Gąsiorowskiego, laryngologa, że kupił 7 tys. traktorów, czyli roczną produkcję, stwierdzając, że „jakoś to sprzedamy", nawet tamten musiał się zdziwić. Był kwiecień 1991 r., obaj artyści biznesu, od tego nazwa ich spółki Art-B, byli już właścicielami holdingu wielu byłych państwowych przedsiębiorstw, choć nikt nie wiedział, za co je kupili. Wyjaśniło się za trzy miesiące.

Mając gotówkę w jednym banku, właściciele Art-B brali z niego czek potwierdzony i samolotem albo samochodem udawali się z nim do banku w innej części kraju. Nie było jeszcze internetu, telefony działały fatalnie, ludzie mogli z własnego konta wziąć pieniądze tylko w tej placówce, w której je mieli. Przekazywanie informacji między bankami trwało nawet dwa tygodnie. Artyści wozili czeki szybciej i w dużych ilościach. Te same pieniądze były przez pewien czas oprocentowane w wielu bankach, a inflacja szalała. W ustawie Wilczka nie było napisane, że oscylator jest zabroniony. Artyści zarobili krocie, Polacy na lokatach tracili jeszcze więcej. (Przy okazji chcieli się pożywić politycy Porozumienia Centrum Jarosława Kaczyńskiego, jeden z nich miał uprzedzić artystów o zbliżającym się aresztowaniu).

Na prywatyzacyjnej ścieżce. Jak z takimi bankami budować gospodarkę rynkową? Skąd wziąć środki na ich unowocześnienie? Prywatyzacja wydawała się jedynym wyjściem. Nie dawało się budować kapitalizmu bez kapitału. Tym bardziej że polskim bankowcom brakowało kompetencji, oni także nie umieli funkcjonować w gospodarce rynkowej. Samo wyodrębnienie z NBP dziewięciu banków państwowych, które stały się bankami komercyjnymi, nie wystarczyło. Wcześniej udzielały państwowym przedsiębiorstwom kredytu na telefon z KC czy KW, żeby uspokoić protestującą załogę. Teraz i one musiały nauczyć się liczyć koszty, niespłacone kredyty mogły zakończyć się upadkiem. Bankom brakowało środków na inwestycje.

Prywatyzację banków politycy wpisali później na listę najpoważniejszych zarzutów pod adresem Leszka Balcerowicza. Zapomnieli, że to on stworzył też profesjonalny nadzór bankowy, wtedy Inspekcję Nadzoru Bankowego, i drugi oscylator już się nie zdarzył. Chętnych na kupno polskich banków nie brakowało, zagraniczni bankierzy wiedzieli, że kupują nie instytucje, ale udziały w polskim rynku. Zdawali sobie sprawę, że w gospodarce rynkowej klientów na usługi finansowe zacznie szybko przybywać.

Ewa Śleszyńska-Charewicz, twórczyni, a później szefowa nadzoru, tak wspominała ten czas: „Przychodzili posłowie z inwestorami, kapitał z reguły z Nigerii albo taki, o którym wiadomo, że był rejestrowany w miejscach, gdzie na pewno było pranie pieniędzy. Namawiali, by dać bankowi licencję. Nie było wtedy umów międzynarodowych, które by pozwalały na wymianę informacji. Miałam sygnały od swoich zagranicznych kolegów. Nigdy ich oficjalnie nie mogłam wykorzystać" (cytat z „Reforma polskiego systemu bankowego w latach 1987–2004").

Amerykański Procter & Gamble wszedł do Polski już na początku transformacji. Najpierw z proszkami do prania przywożonymi jeszcze z Włoch. Dystrybutorzy firmy równie poważnie traktowali przedstawicieli Społem, któ-



Świadectwo udziałowe NFI, 1993 r.

z POLITYKI

W kolejce po udziały

Proces „uczłowieczania" bezdomnych, czynienia z nich pełnoprawnych obywateli III RP, rozpoczął się 15 września br. Z ulotki Ministerstwa Skarbu patrzy brodaty, pogodnie uśmiechnięty Wit – bez stałego miejsca zamieszkania. „Mam prawo do świadectwa udziałowego" – głosi podpis pod zdjęciem. Wit był jedną z dziewięciu osób wytypowanych do kampanii reklamowej Ministerstwa Skarbu przez Radę Opiekuńczą dla Bezdomnych przy Prezydencie Miasta Warszawy. (...) – *Ze strony ministerstwa nie było żadnych prób manipulowania tymi ludźmi* – mówi Dariusz Teresiński z Departamentu Funduszy Inwestycyjnych Ministerstwa Skarbu Państwa, – *Przyszli ubrani, jak chcieli, zachowywali się, jak chcieli.*

Przed kasą warszawskiego oddziału PKO BP przy ul. Sienkiewicza, jednego z 49 uprawnionych do wydawania świadectw udziałowych NFI [Narodowych Funduszy Inwestycyjnych] osobom bez stałego zameldowania, kłębi się tłum. Obok siebie stoją zalatujący alkoholem mieszkańcy Dworca Centralnego i schludni, choć ubogo ubrani ludzie, którzy mają jeszcze dach nad głową, ale wkrótce czeka ich eksmisja. – *Trochę nam klientów wystraszyli* – przyznaje anonimowy pracownik banku (...).

Od okienka odchodzi 40-letni mężczyzna w starej dżinsowej koszuli. Kiedyś był żonaty, ale jego małżeństwo okazało się pomyłką. Po rozwodzie przepisał mieszkanie na żonę i ruszył w Polskę. Teraz mieszka na Centralnym. O wydawaniu świadectw dowiedział się z telewizji. Świadectwa nie sprzeda. – *Niech nabiera wartości* – mówi i puszcza oko do reszty kolejki. (...)

Niska, ciemnowłosa kobieta jest zdecydowana: zostawi, żeby jej dzieci miały lepsze życie. – *Z jednego świadectwa nic nie będą miały* – tłumaczy jej właścicielka prochowca. (...)

Jednak znaczna część mieszkańców Centralnego stawia sprawę jasno: sprzeda świadectwa, a pieniądze przeznaczy na wódkę. W pierwszych dniach wydawania świadectw komisariat dworcowy Warszawa Centralna nie zanotował jednak zwiększonej liczby nietrzeźwych, nie było żadnych awantur ani prób odebrania siłą świadectw udziałowych bezdomnym. Przynajmniej żaden mieszkaniec dworca nie zgłosił się z takim problemem do policji.

Bezdomni mogą sprzedać świadectwa niemal zaraz po odejściu od kasy. Na naiwnych czekają uczynni, oferując za świadectwo o trzydzieści, czterdzieści złotych mniej niż w kantorach. Ale z każdym dniem koników jest coraz mniej. – *Przegoniliśmy* – tłumaczy pracownik banku. – *To nie Bazar Różyckiego.*

Właściciele kantorów położonych w pobliżu Dworca Centralnego spodziewają się napływu świadectw z nowej transzy, ale bezdomni jeszcze się u nich nie pojawili.

Halina Kluz, „Niecodzienna kolejka", POLITYKA 40/1997

eprasa.pl fa89fff25f

rzy reprezentowali całe miasto, a nawet województwo, jak i hurtowników garażowych, o wiele bardziej dynamicznych. „Każdego pytaliśmy, ile ma ciężarówek, wszyscy mówili: jedną – wspomina ówczesny pracownik firmy. – Tylko jeden odpowiedział, że dwie. Zdziwiłem się, że już zarobił na dwie. A tamten mówi: Bo drugą wy mi kupicie. Lubiliśmy takich". Kiedy Procter zamierzał wprowadzić do Polski podpaski *Always*, najpierw dał je grupie dziewczyn do testowania, nie były podobne do tych produkowanych w PRL. Potem zgromadzili te dziewczyny na grupie fokusowej, pytając o wrażenia. W grupie była też Ania Patrycy i to ona zaczęła „z pewną taką nieśmiałością". To hasło reklamowe wielu pamięta do dziś. Potem Procter & Gamble wybudował w Polsce dwie ogromne fabryki. Kiedy stało się jasne, że Polska stanie się członkiem Unii Europejskiej, zagranicznych inwestorów przybywało. Rosły prywatne firmy rodzime.

Upadało jednak wiele państwowych. Załogom tych mniejszych wydawało się, że ratunkiem będzie tzw. prywatyzacja pracownicza. Przejmowały zakład, a najczęściej prezesem zostawał były dyrektor, to on miał chęć i jakie takie pojęcie o zarządzaniu. Nierzadko okazywało się, że zbyt małe, by firma przetrwała. Te, które się uratowały, zyskały miano spółek nomenklaturowych.

Potem powstał Program Powszechnej Prywatyzacji, który miał zrobić kapitalistów ze wszystkich Polaków. Świadectwa udziałowe, coś na kształt akcji wytypowanych przedsiębiorstw, otrzymało 25,7 mln Polaków. Prawie 70 proc. tych świadectw szybko skupiły przedsiębiorcze grupy, przejmując w ten sposób kontrolę nad majątkiem. Większość rodaków nie została kapitalistami, chętnie sprzedając swoje udziały.

Intratne kontrakty z państwem. W rankingach najbogatszych Polaków czołowe miejsce w latach 90. zajmowali jednak ci, którzy dorobili się dzięki państwu. Liderem przez lata pozostawał Jan Kulczyk. Z przedstawicielami władzy zaczął się zaprzyjaźniać jeszcze w PRL jako szef firmy polonijnej. Z równą łatwością przekonywał do siebie przedstawicieli elit solidarnościowych, jak i lewicowych. Nie robił z tego tajemnicy, ponieważ chodziło o to, aby potencjalni inwestorzy wiedzieli, że każda wielka prywatyzacja najlepiej się uda przy pomocy Doktora Jana. W kolorowej prasie nie brakowało jego zdjęć z przedstawicielami najwyższych władz, premierem, prezydentem. Przekonał się o tym France Telecom. Pierwsze podejście francuskiego telekomu do prywatyzacji Telekomunikacji Polskiej SA skończyło się niepowodzeniem. Przy drugim poproszono o pomoc Kulczyka. Wspólnie kupili udziały. Kilka dużych prywatyzacji i nabycie pakietów akcji (m.in. browarów), z którymi po jakimś czasie się korzystnie rozstawał, uczyniły z Jana Kulczyka najbogatszego Polaka.



Jajko niespodzianka.

Aleksander Gudzowaty fortunę zawdzięczał premierowi Rosji Wiktorowi Czernomyrdinowi. Tylko Gudzowatemu, z nieznanych dotąd powodów, wolno było kupować od Gazpromu gaz za polską żywność i sprzedawać go Polskiemu Górnictwu Naftowemu i Gazownictwu. Odsunięcie patrona od władzy zakończyło hossę Gudzowatego. Ryszard Krauze, twórca informatycznej firmy Prokom, także dorobił się na kontraktach z państwem. Czas zweryfikował prawdziwe biznesowe kompetencje najbogatszych Polaków; z czasem na czołowe miejsca w rankingach zaczęli trafiać przedsiębiorcy, którzy bliskich kontaktów z politykami woleli unikać. W Polsce lat 90. nie powstała – jak w innych krajach pokomunistycznych – spleciona z władzą polityczną biznesowa oligarchia.

Pamięć dekady. Lata 90. rozpoczęły się galopującą inflacją i 20-procentowym bezrobociem. Wielu wspomina ten czas jako jeden z najtrudniejszych okresów w życiu. Ale to, jak się ta dekada zakończyła, wielu będzie wspominać z coraz większą nostalgią. Ustabilizowanie produkcji i wolnego rynku. Cztery wielkie reformy państwa. Wejście do NATO. Potem droga do UE. Wydawało się, że Polacy wiedzą, czego chcą i naprawdę doszlusowali do Europy. Polska stała się światowym symbolem pokomunistycznej transformacji. Ceną była frustracja znacznej części społeczeństwa.

JOANNA SOLSKA



Pejzaż polski w połowie dekady, Lubelszczyzna, 1994 r.

eprasa.pl fa89fff25f



Wolnoamerykanka

Znak czasu w świecie polskiej kultury: rozkwit prywatnej inicjatywy, komercjalizacja, złote żniwa dla piratów.

Jakub Demiańczuk

Wolny rynek i technologia. Do Polski Ludowej docierał zaledwie ułamek interesującej – czyli z ówczesnego punktu widzenia przede wszystkim zachodniej – produkcji. Ograniczenia finansowe i licencyjne, nieznajomość języków obcych, zamknięte dla wielu obywateli granice, a także państwowa cenzura sprawiały, że do wielu wartościowych płyt, książek i filmów przeciętny Polak nie miał dostępu. Trzeba było liczyć przede wszystkim na znajomych wracających z zagranicznych podróży, bazarowe transakcje (kto mieszkał w Trójmieście, ten miał większe szanse, bo marynarze chętnie handlowali przywiezionymi z Zachodu dobrami). Największym szczęśliwcom udawało się zdobyć bilety na filmowe Konfrontacje, gdzie pokazywano najgłośniejsze produkcje z całego świata, albo na koncerty zachodnich gwiazd, które bardzo rzadko zaglądały za żelazną kurtynę – choćby ze względu na kłopoty z rozliczeniami, artystom bowiem nie płacono w dewizach.

Przydomowe anteny satelitarne tv, tzw. talerze, Będzin, wrzesień 1995 r.

Przemiana ustrojowa wywróciła ten stan rzeczy do góry nogami. To okres wielkich paradoksów i jeszcze większych wyzwań, gdy o losach danego dzieła, a często także twórcy, decydowały przede wszystkim pieniądze (odbiorców i mecenasów), nie zaś artystyczna jakość. Sektor prywatny śmiało wkroczył na teren do tej pory zagospodarowany przez państwo. Zaczął się okres poszukiwania kulturowej tożsamości i podejmowania trudnych decyzji: czy odwoływać się do korzeni, czy szukać szczęścia w naśladowaniu zachodnich wzorców. Jednak nie tylko dlatego, że uwolniono rynek, zniesiono cenzurę, a podróże zagraniczne stały się łatwiejsze. Z pomocą przyszła też technologia: dzięki kasetom wideo filmy trafiały do większej

eprasa.pl fa89fff25f

liczby odbiorców, kasety magnetofonowe były względnie tanie i łatwe w kopiowaniu, a przy tym służyły (często nielegalnemu) kolportowaniu nie tylko muzyki, lecz również gier i programów komputerowych.

Zmiana kulturowa, jaka zaszła w Polsce potransformacyjnej, zaczęła się jednak znacznie wcześniej. Nielegalna dystrybucja w latach 80. nie ograniczała się przecież do samizdatów i nieoficjalnych przekładów zakazanej przez cenzurę klasyki. W drugim obiegu funkcjonowała także kultura masowa: rozprowadzane na kasetach wideo filmy czy tzw. klubowe wydania zachodniej fantastyki. Szczególnie młodzi ludzie pragnęli kontaktu z zachodnią popkulturą, nawet jeśli jej namiastką były plakaty aktorów i zespołów rockowych drukowane przez „Zielony Sztandar" i fotosy publikowane w „Świecie Młodych".

W kinach pustki. W PRL Polacy kochali kino, choć mogli narzekać na repertuar, do którego częściej trafiały sowieckie produkcyjniaki niż amerykańskie przeboje. Dystrybucja była co prawda sterowana przez Centralę Wynajmu Filmów, ale – jak zauważał krytyk Jerzy Płażewski – Polska miała, przynajmniej do czasu, najlepszy repertuar w Europie. Jeśli film chwycił, waliły na niego tłumy: oczywiście ponad 30 mln widzów na „Krzyżakach" czy „W pustyni i w puszczy" to ewenementy, ale wiele tytułów gromadziło widownię sięgającą 2–3 mln odbiorców. Na przełomie lat 50. i 60. w Polsce funkcjonowało ponad 3 tys. kin i choć później ich liczba malała, wciąż była to najpopularniejsza forma rozrywki.

W latach 80. liczby nie były już tak imponujące, choć zdarzały się wielkie wyjątki: gdy w 1982 r. na ekrany trafiło „Wejście smoka" – dziewięć lat po premierze amerykańskiej i tragicznej śmierci Bruce'a Lee – bilety kupiło ponad 17 mln widzów. Do kin zaczęły coraz częściej przedostawać się zachodnie hity: „Poszukiwacze zaginionej arki", „E.T.", „Powrót do przyszłości", „Gwiezdne wojny", „Elektroniczny morderca" (jak barwnie przetłumaczył ktoś tytuł „Terminatora" z Arnoldem Schwarzeneggerem). Mogłoby się więc wydawać, że po 1989 r. – gdy dystrybucja została uwolniona z państwowego i cenzuralnego nadzoru – będzie tylko lepiej. Tymczasem pierwsza połowa lat 90. była najgorszym okresem w historii dystrybucji filmowej w Polsce.

Na rynku pojawiły się nowe podmioty, często mające podpisane umowy z wielkimi zachodnimi studiami. ITI, Syrena, Imperial miały do dyspozycji wielkie przeboje z hollywoodzkimi gwiazdami. W 1990 r. jeszcze magia kina działała: ponad 32 mln sprzedanych biletów, choć na największy hit roku (komedię „I kto to mówi" z Johnem Travoltą) poszło niewiele ponad milion widzów. W kolejnych latach jednak liczba kin gwałtownie malała, w pewnym momencie w kraju działało ich mniej niż 700 (dziś jest ich nieco ponad 500, jednak wiele z nich to multipleksy, więc łączna liczba ekranów wynosi ponad 1600). A ludzie po prostu przestali do nich chodzić. W 1992 r. bran-

Z POLITYKI

Pirackie wideo

Zajęcie polegające na nielegalnym przegrywaniu filmów wideo znane jest policjom całego świata. (…) Na przykład stopień piractwa w Indonezji ocenia się na 100 proc. (…) Polska ze swymi ok. 40 procentami nielegalnych kaset na rynku plasuje się (…) w grupie „specjalnego nadzoru" (…)

Początki rynku wideo w Polsce wiążą się z żywiołowym, amatorskim powielaniem w niedużych ilościach, na dość podłym sprzęcie. Te produkty (…) kupić można było na straganach ulicznych, bazarach, niedzielnych targach. (…) Obecnie prawdziwym problemem jest wysoko zorganizowana masowa produkcja nastawiona na rozprowadzanie w sieci kilkudziesięciu tysięcy wypożyczalni wideo w całym kraju. Zdaniem ludzi z branży 60 proc. właścicieli wypożyczalni przyjmujących do obrotu piracki nagrania ma pełną świadomość, co dostaje do ręki. (…)

O ile piractwo dystrybucyjne opiera się na stwarzaniu formalnoprawnych pozorów legalności, o tyle istnieje również cała gama wymyślnych fałszerstw dokonywanych przez wideopodziemie. Polegają one na rozprowadzaniu kaset, które udają, że są czymś zupełnie innym. (…) Innym sposobem jest umieszczanie na obwolutach kaset pełnych nazw i adresów firm dystrybucyjnych, które faktycznie... wcale nie istnieją. Gdy ścigający piratów kontrolerzy trafiają pod wskazany adres, zastają tam zazwyczaj puste pole, urzędy państwowe, a zdarzyło się już także, że i cmentarz.



Piracka kopia filmu „Gwiezdne wojny. Część I – Mroczne widmo", czerwiec 1999 r.; obraz miał trafić do warszawskich kin za trzy miesiące.

Chyba jednak najbardziej kuriozalną i przebiegłą formą lekceważenia sobie praw dystrybutorów jest działalność powołanej do życia w Gdańsku w 1990 roku Partii V – Partii Posiadaczy Magnetowidów. Jej przewodniczącym jest Antoni Gabański, znany z prezesowania w spółdzielni Vega, przeciw której prowadzone są obecnie trzy procesy i pięć postępowań prokuratorskich w sprawach o rozpowszechnianie pirackich kopii. W swych materiałach programowych partia wzywa do „swobodnego korzystania z dziedzictwa kultury światowej", neguje istnienie praw autorskich i potrzebę ochrony własności intelektualnej. Warto chyba zacytować fragment obrazujący tę wysoce oryginalną filozofię: „Nawet pamiętnik nie jest wyłączną własnością jego autora. Zawiera opis rzeczy, które nie są jego. Tak samo jak nie należą do autora użyte w nim słowa. Prawo dostępu do filmu zarejestrowanego na taśmie magnetowidowej jest tym samym prawem, które umożliwia twórcy filmu dostęp do dzieł architektury mających bezpośredni wpływ na wartość utworu".

W praktyce zatem partia zajęła się organizowaniem na terenie całego kraju Klubów V. Członkiem takiego klubu zostaje każdy, kto przekaże jedną kasetę magnetowidową i zapłaci składkę członkowską w wysokości 50 tys. miesięcznie. W zamian może do woli bezpłatnie korzystać z zorganizowanych tam wideotek. Nazywa się to „rozpowszechnianiem materiałów partyjnych. (…) Współczesne piractwo wideo jest zajęciem wysoce opłacalnym. Jak obliczono nielegalna kopiarnia wyposażona w 40 magnetowidów (a tyle można zmieścić w standardowej kawalerce), przy dobrym hicie potrafi przynieść dzienny zysk w wysokości 100 mln zł. Trzeba dodać: bez opodatkowania, opłat skarbowych i innych tego typu uciążliwości.

Piotr Sarzyński, „Złota żyła", POLITYKA 20/1992

eprasa.pl fa89fff25f

ża sięgnęła dna: zaledwie 13,2 mln sprzedanych biletów i to mimo obecności w repertuarze takich hitów jak „Terminator 2", oscarowe „Milczenie owiec" czy „Psy" Władysława Pasikowskiego. Rok później było niewiele lepiej: 14,9 mln widzów, z czego prawie jedna piąta (2,8 mln) wybrała „Park jurajski" Spielberga. I choć w kolejnych latach sytuacja nieco się poprawiła, a do gry weszli kolejni dystrybutorzy zarówno kina komercyjnego, jak i artystycznego, prawdziwe odbicie przyszło dopiero pod koniec dekady, gdy dwie narodowe epopeje biły rekordy oglądalności. Na „Ogniem i mieczem" Jerzego Hoffmana poszło 7 mln widzów, na „Pana Tadeusza" Andrzeja Wajdy – 6 mln i jak dotąd są to liczby, których po transformacji nie pobił nikt. W XXI w. polskie kino wkraczało więc wzmocnione, choć mijająca dekada była dla niego trudnym wyzwaniem.

Lata 90. przyniosły też znaczące zmiany w systemie produkcyjnym: po przełomie część państwowych studiów filmowych wpadła w finansowe kłopoty, zaczęli za to działać producenci prywatni. Choć zaczęło się skromnie, od zaledwie kilku podmiotów, w ciągu dekady pojawiło się ponad 400 firm produkcyjnych, a w 1993 r. powołano do życia Stowarzyszenie Niezależnych Producentów Filmowych. I choć większość z nich to były małe przedsięwzięcia, pojawili się na rynku gracze, którzy mieli rozdawać karty przez lata: Heritage Films Lwa Rywina miał na koncie nawet współpracę ze Stevenem Spielbergiem przy „Liście Schindlera" i wielu innych zachodnich produkcjach realizowanych w Polsce, lecz działalność



Wypożyczalnia kaset wideo, Katowice, styczeń 1996 r.

firmy skończyła się w wiadomych okolicznościach. Inne, jak Akson Studio czy Apple Film Production, z powodzeniem działają do dziś.

Największe sukcesy polskiego kina lat 90. nie byłyby jednak możliwe bez prywatnych inwestorów. Pieniądze w produkcję filmową zaczęły wkładać zarówno potężne instytucje, jak banki (Kredyt Bank współfinansował m.in. „Ogniem i mieczem", „Pana Tadeusza" i „Quo vadis", PKO

Z POLITYKI



Bazarowe stoisko z pirackimi kasetami z muzyką, Warszawa, wrzesień 1998 r.

Bazarowy stolik z kasetami

Komuś, kto kulturę popularną kojarzy wyłącznie z tym, co promuje radio, telewizja i oficjalna fonografia, nic nie mówią nazwy zespołów w rodzaju Grupa Amora, Dystans, Atlantis czy Crazy Boys. (…) Wystarczy jednak przejść się na jakikolwiek bazar, niekoniecznie w Warszawie, by z głośników usłyszeć produkcje wymienionych wyżej wykonawców. Czasem jest to pseudoludowe (…) brzmienie Polskich Orłów, częściej nowe wersje podwórkowo-więziennych szlagierów w wykonaniu Top One.

Struktura bazarowego stolika z kasetami wygląda zazwyczaj tak: jeden brzeg zajmują nowości rockowe (…); w środku, bliżej sprzedawcy hity, które są na fali od zawsze lub od niedawna (…); dalej leci disco z gołymi panienkami na „koszulkach" kaset. Drugi brzeg stołu to właśnie ten nowy polski folklor uzupełniony nagraną satyrą – kasetami z dowcipami o Masztalskich, monologami Smolenia i temu podobnymi ucieszynymi pogwarkami. Sprzedawcy handlujący kasetami na warszawskim Stadionie Dziesięciolecia zgodnie twierdzą, że rzeczy z tej właśnie części stolika idą w sumie najlepiej. (…)

Wiosną tego roku zorganizowano w Sali Kongresowej „Galę piosenki chodnikowej". Największym przebojem tej dziwniej imprezy była piosenka „Biały miś", a główną gwiazdą dyskotekowy Top One. (…) Podobnie jak kiedyś Laskowski, został wylansowany przez bazary. Mimo to kaseta z piosenkami Top One osiągnęła ponoć milion egzemplarzy nakładu (!). (…) Dla porównania – nakłady kaset zespołów z czołówki polskiego rocka zwykle nie przekraczają 50 tys. Top One wykonuje, jak głoszą adnotacje na kasetach, głównie piosenki „twórców ludowych", ale folklorysci zajmujący się kulturą ludową mieliby nie lada problemy z identyfikacją kategorii ludowości w tych piosenkach. Niewątpliwie bardzo daleko tu nie tylko do Kolberga, ale nawet do folklorystycznych trawestacji PRL-owskich zespołów pieśni i tańca. Ale też „świat przedstawiony" piosenek znakomitej większości wykonawców z obiegu bazarowego (…) nie jest światem rustykalnym. Jest to świat miasta lub przedmieścia (…). Uczciwiej byłoby jednak powiedzieć, że ów „świat" nie jest realnie umiejscowiony i konkretne miejsca, choćby w prostej opozycji wieś–miasto, tu się nie liczą. Liczą się za to uczucia wyrażane standardowym językiem tradycyjnej piosenki o miłości. (…)

Nie znam co prawda badań opisujących skład społeczny nabywców bazarowej rozrywki, ale na podstawie własnych obserwacji mogę stwierdzić, że jest to typowa publiczność dzisiejszej, obecnej w Polsce od paru lat kultury masowej, a zatem trzon publiczności telewizyjnej. I ta publiczność właśnie musi czerpać jakieś satysfakcje z produktu oferowanego przez bazar, satysfakcje, których akurat telewizja nie zapewnia (…). Jest ta piosenka i ta kultura konglomeratem elementów archaicznych i współczesnych, wschodnich i zachodnich. Pozory wysokiej technologii (…) mieszają się z rękodziełem przypominającym, że w XIX w. też była jakaś cywilizacja. W kasetowej ofercie bazaru sentymentalizm miesza się z wulgarnością, seks ludowy z zachodnią pornografią (…).

Ten bazar dzisiejszy jest taki jak dzisiejsze czasy polskie, które w zachodniej prasie nazywa się „czasem przejścia". Jeszcze nie kapitalizm, ale już wolny rynek, przynajmniej na poziomie handlu konfekcją, meblami, książkami, kasetami.

Mirosław Pęczak,
„Kultura bazaru", POLITYKA 35/1992

eprasa.pl fa89fff25f



Studio firmy fonograficznej profesjonalnie nagrywającej pirackie kasety magnetofonowe, Łomianki, 1990 r.

Niszczenie 5 tys. pirackich płyt kompaktowych, Urząd Celny w Łodzi, czerwiec 1998 r.



BP – „Pragnienie miłości", czyli filmową biografię Chopina), jak i mniejsi przedsiębiorcy, co często odbywało się ze stratą dla widzów, którzy musieli na ekranach oglądać mało błyskotliwy product placement.

Wraz z prywatyzacją kin szła również prywatyzacja teatrów. Choć najważniejsze sceny były i wciąż są dotowane z pieniędzy publicznych, jeszcze pod koniec lat 80. zaczęły powstawać teatry prywatne (początkowo działające jako spółki z o.o.), a już w połowie lat 90. było ich w całym kraju ponad 60.

Rozrywka domowa. Przyczyn zapaści kinowej było wiele, od wymuszonego przez inflację cięcia domowych wydatków przeznaczonych na rozrywkę, po zmniejszającą się liczbę kin, lecz bez wątpienia znacząco przyczynił się do niej również fakt, że od lat 80. Polacy przerzucili się na oglądanie filmów w domu. Czego nie dawała im telewizja państwowa (a prywatnych jeszcze nie było), zapewniały im kasety VHS. Pierwsze magnetowidy w Polsce pojawiły się na przełomie lat 70. i 80., ale w powszechnej świadomości zaistniały gdzieś w połowie dekady: „Papierowy księżyc z nieba spadł, skończył się wideo film", śpiewała Halina Frąckowiak w 1985 r. Choć sprzęt był drogi, jego popularność szybko rosła: „Jeżeli wierzyć Polskiej Kronice Filmowej, to barierę miliona magnetowidów Polska przebiła już w 1988 r., a więc jeszcze przed zmianą ustroju", pisze Grzegorz Fortuna Jr w książce „Elektroniczny bandyta. Rynek wideo w Polsce okresu transformacji" (Słowo/obraz terytoria, 2025).

W tamtym czasie pojawiały się również pierwsze, jeszcze państwowe wypożyczalnie wideo, lecz przędły raczej cienko, bo brakowało atrakcyjnej oferty. Po 1989 r. sprawy wzięli więc w swoje ręce prywatni przedsiębiorcy. Jedni otwierali malutkie wypożyczalnie, często mieszczące się w piwnicach bloków mieszkalnych, inni powoływali do życia firmy dystrybucyjne. Grzegorz Fortuna podaje, że do 1992 r. Komitet Kinematografii wydał ponad 32 tys. pozwoleń na prowadzenie wypożyczalni kaset wideo. A firm zajmujących się produkcją kaset było grubo ponad dwieście, choć zdecydowana większość nie wypuściła więcej niż kilka tytułów, wiele z nich wydawało też filmy bez stosownych licencji.

Boom na rynku wideo zaczął wygasać w połowie lat 90. Odbiorcy czuli już przesyt, uchwalona w 1994 r. ustawa o prawach autorskich znacząco ukróciła działanie piratów, od 1992 r. działał już Polsat, sprawnie funkcjonowały też telewizje kablowe (art. s. 69), więc oferta filmowo-rozrywkowa dostępna w każdym domu była o wiele bogatsza (choć wciąż niespecjalnie ambitna) niż parę lat wcześniej. Małe, lokalne wypożyczalnie dobiło potem pojawienie się wielkich sieci w rodzaju Beverly Hills Video, a kolejne rozdziały tej historii znaczyły porzucenie VHS na rzecz DVD, rozwój internetu (i piractwa sieciowego), wreszcie pojawienie się streamingu.

Pod wieloma względami podobna sytuacja panowała na rynku fonograficznym: w próżnię po państwowej dystrybucji wkroczyli wydawcy prywatni: firmy Polton, Izabelin Studio czy Pomaton nie tylko wydawały polskich artystów, lecz także podpisywały umowy z największymi zachodnimi koncernami muzycznymi. Były legalne płyty, trasy koncertowe, nad Wisłę zaczęły przyjeżdżać popularne gwiazdy, zaczęły się kształtować nowoczesne festiwale muzyczne. Polscy artyści rockowi i popowi chętnie czerpali wzorce z muzyki amerykańskiej, oddolnie kształtował się natomiast szeroki i niezmiernie popularny nurt muzyki chodnikowej, którą wkrótce zaczęto nazywać disco polo. Nieważne jednak, jakimi dźwiękami zabawiali publiczność, przez pierwszą połowę dekady musieli stawiać czoła potężnej fali nielegalnych kopii i podróbek.

eprasa.pl fa89fff25f

Pod czarną banderą. Piratowano na potęgę wszystko, co tylko spiratować się dało. Legalnie działających wydawców zobowiązywały umowy licencyjne, piratów nie zobowiązywało nic – a do czasu ustawy o prawach autorskich z 1994 r. większość z nich nie musiała nawet obawiać się konsekwencji. Dawali słuchaczom, widzom, a czasami nawet czytelnikom pozornie ten sam produkt: nieco gorszej jakości, bo kopiowany na słabszym sprzęcie, brzydko wydawany, ale za to znacznie tańszy. Otwarcie działały nawet przegrywalnie płyt, takie jak warszawski Digital. Choć funkcjonował także jako komis płytowy, to za niewielką opłatą można było obsłudze zlecić skopiowanie albumu z płyty CD na czystą kasetę magnetofonową. Argument ekonomiczny dla nabywców pirackich kaset był w tym przypadku najważniejszy.

Dla nielegalnych producentów to był w zasadzie czysty zysk: inwestycja w sprzęt i czyste nośniki zwracała się szybko, a ryzyko, przynajmniej przez jakiś czas, było niewielkie. Zdarzało się nawet, że z pirackich przedsiębiorstw wyrastały legalne: Takt, jeden z wiodących producentów nielegalnych kaset z początku lat 90. (każdy, kto kupował muzykę z bazarowych szczęk i łóżek polowych, prędzej czy później musiał natknąć się na logo tej firmy), zmienił się ostatecznie w bardzo dobrą, działającą legalnie i funkcjonującą do dziś tłocznię nośników fonograficznych. Doszło do tego m.in. dzięki temu, że właściciel przedsiębiorstwa dogadał się z dużymi, legalnie działającymi wytwórniami. Zamiast toczyć ze sobą wojnę, wypracowali kompromis.

Na rynku fonograficznym z reguły szło jednak na noże. Nic dziwnego, skoro szacunki Międzynarodowej Federacji Przemysłu Fonograficznego IFPI mówią – być może z przesadą, jednak raczej niewielką – że w pierwszych latach dekady nawet ponad 90 proc. muzyki było sprzedawanej na nielegalnych nośnikach. Powołany do życia w 1991 r. ZPAV, Związek Producentów Audio-Video, od początku szukał sposobu na ukrócenie pirackiego procederu. Organizowane koncerty antypirackie, protesty artystów, a nawet akcje policji niewiele jednak zmieniały. Oryginalne kasety zaczęto oznaczać specjalnymi hologramami (później pojawiły się także na biletach na koncerty, dość powszechnie podrabianych), sprzedaż poszła mocno w górę, ale nawet ustawa o prawach autorskich nie ukróciła piractwa fonograficznego. Walka z czarnym rynkiem trwała jeszcze przez długie lata – po drodze pojawiały się nawet tak karkołomne pomysły jak Złota Blacha, wyróżnienie za najskuteczniejsze działania antypirackie policji, czy Złote Szlabany dla celników, którzy zatrzymali najwięcej pirackich produktów – ale piraci na dobrą sprawę przestali działać na szeroką skalę dopiero wtedy, gdy internet umożliwił zarówno legalną, jak i nielegalną wymianę plików.

Sytuacja na rynku fonograficznym była dramatyczna, ale w pierwszej połowie dekady piratowali niemal wszyscy. Pirackie kasety wideo, pirackie wydania popularnych książek, pirackie gry komputerowe były dostępne bez większych problemów na bazarach i targowiskach – obok podróbek ubrań czy sprzedawanego bez zezwoleń sanepidu mięsa. Czasami działalność piratów była w jakimś sensie wymuszona okolicznościami. Gdy na początku działalności wypożyczalni kaset wideo oferta legalnych tytułów była mniej niż skromna, większość oferty stanowiły zwykłe taśmy VHS z kopiami filmów i amatorsko dogranym lektorem. Często jakość była podła – każda kolejna oznaczała pogorszenie dźwięku i obrazu – ale były to filmy i tak niedostępne w jakikolwiek inny sposób. Kaseta o długości 180 minut mieściła zazwyczaj film i jeden odcinek jakiegoś sensacyjnego serialu w rodzaju „Policjantów z Miami" czy „Drużyny A", czasami z niemieckim dubbingiem, bo nagrany z telewizji zachodnich sąsiadów.

Na początku boomu wideo większość wypożyczalni upadłaby bez wspomagania piratami. Wspomniany już Grzegorz Fortuna Jr przytacza jedną z takich historii: „Wiesław Workowski, który prowadził wypożyczalnię w Koszalinie, wspominał, że nie mógł patrzeć na pustki w swoim lokalu: – Załatwiłem skądś bazarową kopię *Rambo* i wywiesiłem wielki szyld: »Do każdego wypożyczenia *Chłopów* GRATIS *Rambo*«. Nagle ludzie zaczęli przychodzić. Skutek był taki, że po miesiącu dostałem telefon, że mam natychmiast jechać do Warszawy. Gdy trafiłem do siedziby CDF, zobaczyłem za biurkiem spoconego urzędnika czytającego statystyki, które przesłałem. Spojrzał na mnie i wydukał: »Jak pan to robisz, że jedną kasetę z *Chłopami* wypożyczasz pan, ku. a, czternaście razy dziennie!?«. Proceder oczywiście szybko ukrócono, a *Chłopi*, pozba-

POLITYKI

Apetyt na telewizję



Nicola Grauso, włoski przedsiębiorca i wydawca, 1995 r.

Do czasu wejścia w życie nowej ustawy o Radiofonii i Telewizji w Ministerstwie Łączności leżały 242 podania o koncesje na uruchomienie stacji telewizyjnych. Dziś już wiadomo, że większość ubiegających się miała mętne pojęcie o kosztach planowanych przedsięwzięć, licząc prawdopodobne na łatwy zysk przy pirackiej emisji programów satelitarnych i filmów z wideokaset. Tymczasem trzeba dysponować sporą sumą już na samym początku. (…) Przyszły właściciel stacji ogólnopolskiej przed jej uruchomieniem musi uiścić opłatę w wysokości 90 mld zł.

Z pewnością znajdą się tacy, dla których wymieniona suma nie będzie trudnym progiem do przekroczenia. W rozmaitych spekulacjach wymienia się najczęściej zagranicznych potentatów – Berlusconiego, Murdocha, Turnera, ostatnio koncern Bertelsmanna, a z krajowych Nową Telewizję Polską Gabriela Meretika i ITI. Wejście nowej ustawy o RiTV zakończyło prawną prowizorkę, zaś Krajowa Rada ds. RiTV przygotowuje się już do rozpatrywania podań o koncesję, a przy okazji do rozstrzygnięcia, co zrobić ze stacjami, które nadawały i nadają dotąd bez zezwolenia. Piraci liczą na dobre serce Marka Markiewicza. Wszak w pierwszych swoich oświadczeniach po desygnowaniu go na przewodniczącego Rady nie zapowiadał drastycznych rozwiązań w tej kwestii.

Na przychylność Rady liczy także Nicola Grauso, Sardyńczyk z Cagliari (…) W Polsce ma udziały w „Życiu Warszawy" i 12 lokalnych, prywatnych stacjach telewizyjnych, z których tylko jedna – wrocławskie Echo nadaje legalnie. (…) Utrzymanie stacji, nawet o niewielkim zasięgu, wymaga sporych pieniędzy. Zaoferowanie w miarę atrakcyjnego programu z licencją na emisję – jeszcze większych. To dlatego warszawski Top Canal piratuje podwójnie: nie dość, że nadaje bez koncesji, to jeszcze emituje programy nie posiadając do nich praw. (…)

Wiadomo, że Rada ds. RiTV rozważa możliwość przyznania 1–2 koncesji na ogólnopolski kanał komercyjny. Ten, kto taką koncesję otrzyma, stanie się najpoważniejszym konkurentem w walce o widza dla telewizji publicznej i faktycznym monopolistą w dziedzinie tv komercyjnej w Polsce.

Mirosław Pęczak, „Gra w monopol", POLITYKA 24/1993

eprasa.pl fa89fff25f

wieni towarzystwa umięśnionego Sylvestra Stallone'a, wypożyczali się jakoś gorzej".

My już są Amerykany. Piratowano także książki. Zdarzały się – jak w przypadku muzyki – nielegalne kopie szczególnie chodliwych tytułów, np. „Przerwanej dekady", wywiadu rzeki Janusza Rolickiego z Edwardem Gierkiem. Niekoniecznie szczera, za to mocno podkoloryzowana spowiedź byłego pierwszego sekretarza to największy hit wydawniczy w dziejach wolnej Polski – książka rozeszła się w nakładzie przekraczającym rzekomo 1mln egzemplarzy. Podrabianie książek raczej się jednak nie opłacało: koszty papieru i druku były zbyt wysokie, na dodatek nowe wydawnictwa powstawały w niezwykłym tempie. Szacuje się, że w samym 1989 r. rozpoczęło działalność ok. 200 nowych oficyn, choć nie wiadomo, ile z nich realnie publikowało książki. Jakaś część legalnie działających wydawnictw korzystała jednak z chaosu panującego w polskim prawie i wydawała poszukiwane przez czytelników tytuły – literaturę piękną, rozrywkową, a także komiksy – bez stosownych licencji (a często oszczędzając dodatkowo na kosztach redakcji i korekty). „Zjawiskiem wartym odnotowania jest ówczesne piractwo: wydawanie książek bez licencji czy praw do tłumaczenia oraz ich sprzedaż w szarej strefie dystrybucyjnej. Działania tego rodzaju wynikały z realnego zainteresowania konsumentów kultury tekstami, które wcześniej nie mogły, wskutek działania cenzury, ukazać się w Polsce. W pierwszych latach Trzeciej Rzeczpospolitej zainteresowanie odbiorców było stymulowane czynnikami kulturowymi i – co ciekawe – nie zawsze szło w parze z rozwiniętymi kompetencjami czytelniczymi. Sam fakt pojawienia się artefaktów, które w percepcji społecznej funkcjonowały jako niedostępne czy wręcz zakazane, stanowił wystarczający impuls do rozbudzenia potrzeb konsumenckich. Jedną z odpowiedzi na to zapotrzebowanie były nieuczciwe praktyki wydawnicze", pisał Grzegorz Jankowicz w książce „Literatura polska po 1989 r. w świetle teorii Pierre'a Bourdieu. Raport z badań".



Discman.

Polacy szukali zakazanych w czasach Polski Ludowej książek takich jak „Rok 1984" George'a Orwella i opracowań historycznych na temat zbrodni katyńskiej, lecz zdecydowanie większą popularnością cieszyła się drugorzędna literatura rozrywkowa: tanie horrory, powieści sensacyjne i erotyczne, romanse, sprzedawane często poza księgarskim obiegiem na bazarach i ulicznych stoiskach, zaspokajały czytelniczy głód odbiorców spragnionych tego, co zachodnie i amerykańskie, podobnie jak wydawane na kasetach VHS kino klasy B czy prędko rosnący w siłę nurt muzyki chodnikowej. „My już są Amerykany/ Mamy glany, my są pany/ Gramy rocka, rap i reggae/ Jezu, jest jak w niebie", szydził zespół Piersi na płycie wydanej w 1993 r. Wielu szanowanych publicystów także narzekało na marniejący gust Polaków, lecz lata 90., naznaczone gorączkowym pościgiem za zachodnią rozrywką masową, w znaczącym stopniu ukształtowały rodzimą popkulturę także na kolejne dekady.

JAKUB DEMIAŃCZUK

Z POLITYKI

Gorączka sobotniej nocy

Gorączka sobotniej nocy zaczyna się w Białymstoku wczesnym wieczorem w okolicach dworca PKS. Stąd odjeżdżają darmowe autobusy do klubów disco-polo na Podlasiu. Miejscowy „Kurier Poranny" drukuje nawet specjalny rozkład jazdy dyskotekowego transportu. Na przednich szybach autobusów wiszą nazwy klubów. (...)

Zabawa – o to tylko chodzi. Nikt tu nie udaje, że przyjeżdża, by posłuchać muzyki. I na tym chyba polega zasadnicza różnica między disco-polo a koncertem rockowym. Nie chodzi także o trans tak charakterystyczny dla supermodnych dziś, metropolitarnych dyskotek techno, których pomysł ściągnięto z Zachodu. Disco-polo ma być bezpretensjonalne, a zarazem swojskie. (...)

Wszystko zaczęło się od „Panderozy" w Janowie, 50 km na północ od Białegostoku. Pierwszy w Polsce klub disco-polo – na 1500 ludzi – stworzył w 1991 r. właściciel firmy Green Star Jerzy Suszycki, budowlaniec z zawodu. Pieniądze z saksów w USA zainwestował w sklepik muzyczny w Białymstoku. Pojawiły się pierwsze kasety z muzyką chodnikową i mimo fatalnej jakości nagrań ich sprzedaż szybko zaczęła bić na głowę Madonnę czy Michaela Jacksona. (...) Wkrótce „Piosenka chodnikowa", która okazała się tak znakomicie sprzedającym się towarem, przeistoczyła się w disco-polo. Skąd ta nazwa? – To proste – mówią najbardziej obeznani z tą muzyką – kiedyś bardzo podobało się italo-disco, a czy my, Polacy, mamy być gorsi? Lepsze jest nasze disco-polo, czyli polska muzyka dyskotekowa.

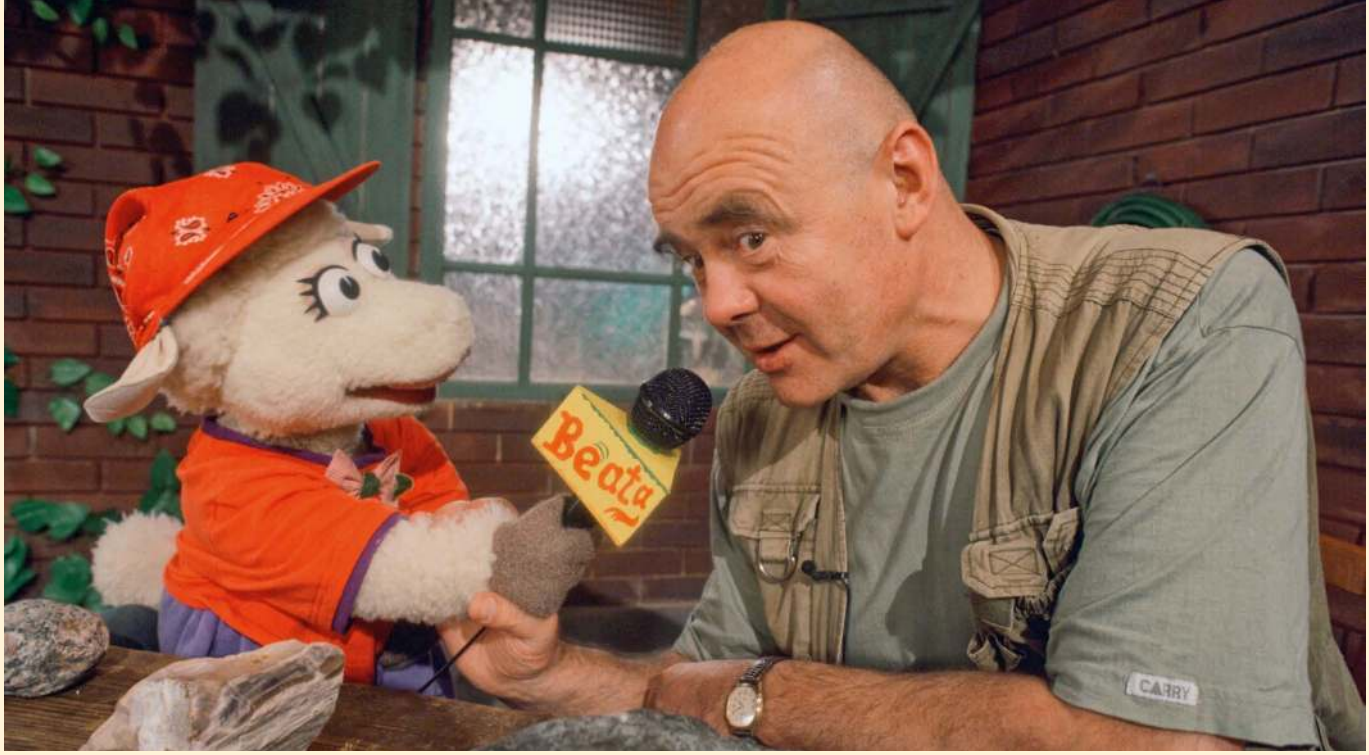
Poczucie swojskości okazuje się bardzo ważne, tak jak ważna jest polska gościnność. (...) Czym więc miałaby być owa polska gościnność? Ano, wspólną zabawą, z nieodzownym alkoholowym wsparciem. (...) Ale myliłby się ten, kto by sądził, że kultura, czy może jeszcze podkultura disco-polo powiela schemat pijanych dansingów z zapachem śledzia w tle. (...). Choć alkoholu różnorodnego zawsze jest w dyskotece w bród, tańcująca młodzież nie wychodzi poza piwo. Co bardziej pijanych gości, tak jak i tych bardziej agresywnych, sprawni bramkarze elegancko, acz stanowczo wyprowadzają na zewnątrz. (...)

W Janowie Suszycki znalazł pieczarkarnię i przerobił ją na dyskotekę. Młodzi zareagowali aż za dobrze. Co tydzień pojawiało się 500 osób, 150 samochodów i pomieszczenia pękały w szwach. Ale zaczęli protestować sąsiedzi. Suszycki postanowił zbudować własną dyskotekę, z dala od zabudowań. (...) „Panderoza" okazała się wielkim sukcesem, który przyciąga ludzi chcących spróbować podobnej działalności. Pół roku po otwarciu (...) w regionie działało już oprócz niej pięć nowych klubów. (...)

Czym tłumaczyć fakt, że Białystok i generalnie rzecz biorąc „ściana wschodnia", albo jeszcze inaczej: Polska B, to kolebka, a zarazem główny teren ekspansji disco-polo? Ten region od zawsze uchodził za kulturowo zaniedbany i zapomniany przez zapatrzone w siebie wielkomiejskie centrum. (...) Dzisiaj młodzież warszawsko-krakowska nadal dotrzymuje kroku zachodnim modom, ale Białystok wychodzi ze swoim własnym, arcyrodzimym modelem rozrywki. Prowincja ta zdaje się w ten sposób odgrywać za długotrwałą pogardę, jaką darzyła ją reszta Polski.

Marcin Meller, Mirosław Pęczak, „Światła małego miasta", POLITYKA 43/1995

eprasa.pl fa89fff25f



Stanisław Tym w polskiej odsłonie „Ulicy Sezamkowej", 1996 r.

Jak za oceanem

McKultura, McWychowanie i McPolityka.

Głównym towarem eksportowym Stanów Zjednoczonych Ameryki były zawsze marzenia, fikcje i mity. Kraj wolności, w którym można przejść od pucybuta do milionera, fascynował wszystkich. Zwłaszcza ze względu na dolary i ich siłę nabywczą; szerokie szosy pełne samochodów, ten przepych wylewający się z ekranów telewizorów. Chociaż Adam Ważyk pisał w wierszu z 1950 r., że „my wam przerwiemy sen Coca-Cola, my, co pijemy wodę nadziei", to właśnie ten słodki napój kojarzył się z wolnością. Obrazek obyczajowy – zakładowa sylwestrowa potańcówka kończy się na tyle wcześnie, żeby wszyscy zdążyli na telewizyjne kino nocne: amerykański film. Gdy w latach 90. runęła tama postawiona przez żelazną kurtynę, amerykanizacja Polski ruszyła na całego.

Ameryka przybywała do Polski na pirackich kasetach VHS, w latach 90. dołączyły do nich telewizje satelitarne i kablowe. Wypożyczalnie kaset oferowały amerykańskie hity – zarówno kinowe, jak i klasy B, kino akcji pozbawione większej ambicji. Były to czasy przyśpieszonego nadrabiania zaległości, połączonego z konsumpcją najnowszych zjawisk. Wraz z dostępem do MTV dostawało się dostęp do globalnej, zdominowanej przez Amerykę popkultury – znacznie różniącej się od tej kształtowanej przez gusta prezenterów polskiego radia. Polska transformacja nałożyła się na czas amerykańskich przemian – pop lat 80. został wyparty przez grunge i takie zespoły jak Nirvana; coraz większą popularność zdobywały też hip-hop i R'n'B. Polacy zaczęli się interesować koszykówką w wydaniu NBA; inne amerykańskie sporty jak baseball czy futbol aż tak się nie przyjęły, z przyczyn zarówno kulturowych, jak i logistycznych.

Wszystkie te trendy wpływały na polskich odbiorców i twórców, dla których USA było punktem odniesienia. Wyraził to w satyrycznej piosence z 1992 r. zespół Big Cyc: „Woody Allen to miał szczęście/ Że urodził się w tych Stanach/ Bo nad Wisłą chlałby czystą/ I miał tylko jeden krawat". Tymczasem w tym samym roku nad Wisłą otworzył się pierwszy lokal sieci McDonald's, do którego ustawiła się kilometrowa kolejka Warszawiaków. Chociaż hamburgery można było wówczas dostać w budkach prywaciarzy w całym kraju, to oficjalny lokal amerykańskiej sieci był oznaką prestiżu (do dziś otwarcie lokalu na prowincji świadczy o pewnym awansie).

Przeciętny polski dzieciak urodzony na przełomie lat 70. i 80. może dziś powiedzieć, że wychowała go ulica. „Ulica Sezamkowa", klasyczny program edukacyjny został wyemitowany w polskiej telewizji, z lektorem, ale uczył angielskich liczb i alfabetu dzięki licznym piosenkom śpiewanym przez muppety. Mieszkańcy przaśnych polskich podwórek oglądali amerykańskie suburbia w serialu „Cudowne lata", a najlepsze liceum znajdowało się pod adresem „Beverly Hills 90210". Ojcowskich porad udzielał (dziś niesławny) Bill Cosby, a w dorosłe życie wchodziło się, śledząc miłosne perypetie nowojorskich „Przyjaciół". Wiedziało się nie tylko, kim chce się zostać – ambitną młodzież Krzysztof Ibisz zapraszał do „Klubu Yuppies", ale i od jakich przegrywów odcinać – „Beavisa i Butt-Heada" z MTV, nieco przygłupiego ojca rodziny „Simpsonów" i bohaterów „Świata według Bundych".

Koniec PRL miał przynieść koniec siermiężności i biedy, ale skoro nie przyniósł każdemu, wystarczyło włączyć telewizor, oglądać kolorowe reklamy słodyczy, perfum i zabawek – i śledzić losy bohaterów „Dynastii", i czekać, aż i nam skapnie nieco z amerykańskiego bogactwa Carringtonów. Polscy twórcy wyśmiewali te marzenia – w kinie i serialach pojawiały się liczne figury bogaczy, którym brakuje ogłady, jako i brakowało jej ówczesnym polskim nowobogackim, biznesmenom w kolorowych garniturach i białych skarpetkach. Im bardziej inteligencji brakowało kapitału materialnego, tym bardziej kurczowo trzymała się kapitału kulturowego.

Największy wpływ USA – zarówno tego prawdziwego, jak i z popkulturowych fantazji – można było zauważyć w polityce. Upadek ZSRR i bloku komunistycznego był traktowany jako zwycięstwo nie tyle demokracji, ile wolnego rynku i doktryny neoliberalnej. Jej symbolem był Ronald Reagan, architekt zwiększenia nierówności i faktycznego upadku klasy średniej, w Polsce do dziś uznawany za bohatera. Polska prawica była wpatrzona w USA jak w obrazek, starając się naśladować najgorsze amerykańskie pomysły (jak prywatyzacja służby zdrowia czy edukacji, prawo do posiadania broni); jednocześnie budując niechęć do europejskich, zwłaszcza skandynawskich rozwiązań (Szwecja z raju pokazanego w filmie „300 mil do nieba" nagle stała się państwem upadłym). Dużą rolę odegrali w tym młodzi polscy korespondenci zagraniczni, którzy w USA wpadali w objęcia środowisk prawicowych. Z Ameryki w ten sposób przyszedł antyfeministyczny *backlash* (i postawy antyaborcyjne) czy histeria na punkcie poprawności politycznej. Zapatrzenie w Amerykę było też paliwem nastrojów antyunijnych – USA przeciwstawiano spętanej biurokracją Unii Europejskiej.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

eprasa.pl fa89fff25f

Przypowieść o dekadzie

Kluczowe punkty na mapie kultury lat 90.

Olga Drenda



5

Sławomir Świerzyński, lider zespołu Bayer Full, w swoim gospodarstwie w Woli Łąckiej, 1998 r.

Nowe wyzwania i kłopoty. Po 1989 r. w polskiej kulturze nadszedł kres nieustannych gier z cenzurą, pojawiły się jednak nowe wyzwania i kłopoty. Czasem prozaiczne, jak pieniądze i ich dość powszechny brak, czasem artystyczne, jak pokusa komercjalizacji albo zupełnie nowe bariery dla obiecanej wolności wypowiedzi. Wszyscy mierzyli się z koniecznością znalezienia właściwej formuły dla nowych czasów. Praktykowano to na różne sposoby – akceptację reguł rynkowych lub pielęgnowanie etosu undergroundu; programowe prowokowanie dyskusji o strefach tabu albo umiłowanie banału; zaangażowanie społeczne albo olewcza ironia.

1 Muzyka środka. Zdobna w cekiny, afektowana muzyka estradowa lat 80. ustąpiła miejsca miękkim brzmieniom radiowego popu i łagodnego rocka, rozpowszechnianym przez nowo powstałe prywatne wytwórnie płytowe, takie jak Izabelin Studio czy Zic Zac. Instrumentem dekady należy mianować saksofon, ulubiony przez De Mono, Varius Manx, ale przede wszystkim kojarzony z milionowym nakładem „Sax&Sex" Roberta Chojnackiego, płyty nagranej z Andrzejem Piaskiem Piasecznym. Najchętniej słuchano nowych, charyzmatycznych wokalistek, takich jak bluesowo-melancholijna Kasia Kowalska, poetycka Anita Lipnicka czy Edyta Bartosiewicz z jej autorską marką rocka. Jajcarze z Big Cyc podsumowali ten stan rzeczy refrenem „nie ma na to żadnej rady, dziś śpiewają tylko baby".

2 Rock jajcarski. Niepoważna muzyka sprzedawała się w całkiem poważnych nakładach. Szczególnie gdy chodziło o wspomniany punkowy zespół Big Cyc, wywodzący się jeszcze z tradycji absurdalno-politycznych happeningów Pomarańczowej Alternatywy. Pomiędzy hitami o serku topionym z łupieżu i miłości w klozecie przemycali nieraz poważne przesłanie w kabaretowym kostiumie. Jajcarski, a zarazem mocno krytyczny wobec ówczesnej rzeczywistości (por. „Rodzina słowem silna") epizod miał także późniejszy poseł Paweł Kukiz z folk-punkowym zespołem Piersi, T. Love w czasach „Chłopaki nie płaczą", a także Kazik, zwłaszcza w czasach współpracy z kolek-

eprasa.pl fa89fff25f



Robert Chojnacki, 1996 r.



Kazik Na Żywo w warszawskiej Agrykoli, 1997 r.



Edyta Górniak w konkursie Eurowizji, 1994 r.



Katarzyna Nosowska i Hey podczas festiwalu Odjazdy, Katowice, 1995 r.

tywem El Dupa. Za dalszych kuzynów tego stylu można uznać też Elektryczne Gitary z ich miejskim folkiem o poetyckim, ale też momentami wyraźnie jajcarskim odcieniu.

3 Polska diva sceny. W 1994 r. Polska dołączyła do grona uczestników konkursu Eurowizji i od razu niemal go wygrała za sprawą popisowego występu Edyty Górniak. Znakomity głos i sceniczna charyzma wokalistki wywodzącej się z musicalu „Metro" uczyniły z niej kandydatkę na wymarzoną gwiazdę eksportową, o czym bardzo wówczas marzono. Niestety, obrano pechową strategię wożenia drewna do lasu: na swoim międzynarodowym albumie Edyta Górniak śpiewała profesjonalnie skomponowany i wyprodukowany, lecz wtórny pop. Na domiar złego napisaną dla Polki piosenkę „Perfect Moment" spopularyzowała angielska aktorka serialowa Martine McCutcheon.

4 Katarzyna Pierwsza. Gdy w 1991 r. MTV zagrała „Smells Like Teen Spirit" Nirvany, jasne stało się, że nadeszła epoka nowej muzyki – grunge. Kraciaste koszule z Seattle oferowały młodym trafną odmianę buntu, opartą na swoistej dumie z bycia programowym przegrywem, wypisującym się z wyścigu szczurów. W Polsce głosem generacji została Katarzyna Nosowska ze szczecińskiej grupy Hey, doskonale skraplająca w swoich tekstach zagubienie i ból codzienności. Ta pozornie niełatwa, chropowata muzyka trafiała do wszystkich, którzy mogli podpisać się pod słowami „nadwrażliwość to mój wróg, przerost duszy nad rozumem". W drugiej połowie dekady Nosowska podjęła się – z powodzeniem – wyprawy na niełatwy teren eksperymentalnej elektroniki, z fajnej Kaśki w glanach przeobrażając się w enigmatyczną cesarzową polskiej muzyki.

5 Disco polo. Uliczny wolny handel początku dekady rozbrzmiewał muzyką chodnikową – oddolnym gatunkiem, w którym łączyły się melodie biesiadne, polonijne, sentymentalne przeboje rodem z Koncertu Ży-

eprasa.pl fa89fff25f

czeń, chłodne syntetyczne brzmienia italo disco, a nawet szczypta poezji śpiewanej i piosenki turystycznej. Kasety zespołów klawiszowych, wydawane przez prywatne wytwórnie, sprzedawano w olbrzymich nakładach praktycznie bez pomocy radia i telewizji. Do czasu, ponieważ ten gatunek, już pod nową, poważniejszą nazwą – disco polo, doczekał się dwóch własnych programów w prywatnej telewizji Polsat. Gatunek szybko się profesjonalizował i po kilku latach stał się po prostu lokalną odmianą muzyki dance, choć z ukłonem w stronę miłośników złotych przebojów i tradycyjnej biesiady.

Yass. Dziwne miazmaty unoszące się najwyraźniej w trójmiejskim (a także bydgoskim) powietrzu zrodziły polski gatunek muzyczny – yass, czyli miksturę jazzu, awangardowego rocka á la Zappa, punka i improwizowanej „współczechy". Jego serce biło w Mózgu (bydgoskim klubie o tej nazwie). Nurt ten wyróżniał absurdalny słowotwórczy humor i tendencja do spontanicznego namnażania krótko żyjących zespołów: Miłość, Masło, Łoskot, Kury, NRD. Niezapomnianym dziełem, które wyszło z yassowych odmętów, był „P. O. L. O. V. I. R. U. S." Kur, poczynający sobie bez pardonu z rozmaitymi stylami muzyki polskiej.



6 Ryszard Tymon Tymański podczas koncert zespołu Kury, Sopot, 1998 r.



7 Okładka „brulionu", 1990 r.

POLITYKI

Rock w polityce

Rock jest niepokorny. Lubi szydzić, drwić i prowokować. Niby wszystkim to wiadomo, a jednak gdy Kazik Staszewski zaśpiewał w Sopocie „Wałęsa, dawaj moje sto milionów", sam prezydent poczuł się w obowiązku skomentować ten występ, podkreślając, że młody autor piosenki zupełnie nie rozumie jego intencji. Ostatnio zaś piosenka Pawła Kukiza i zespołu Piersi „ZChN zbliża się" wywołała gniewną reakcję Kościoła, ZChN i jednego posła z Unii Demokratycznej (…).

Polscy rockmani w zasadzie mało interesują się polityką. Przynajmniej do niedawna w piosenkach rockowych obowiązywał schemat traktowania polityki *en block* jako sfery fałszu i wyzysku. (…) Polityka była, owszem, negatywnym układem odniesienia, jednak pozostawała czymś abstrakcyjnym (…). Ostatnio przebojem stała się piosenka „ZChN zbliża się" z płyty „Piersi". Płyta znana jest fanom od dłuższego już czasu, lecz jej popularność wzrosła po interwencji posła Kisiliczyka z UD, który usłyszał „ZChN zbliża się" w audycji „Radio Brum" (III pr. PR), po czym zażądał zakazu emisji utworu tudzież sankcji wobec kierownika audycji i prezenterów. Prezes Radiokomitetu zwolnił szefową „Radia Brum" Alicję Leszczyńską, po czym na interwencję innych posłów z Unii Demokratycznej przywrócił ją do pracy. Podobny los spotkał dwóch prezenterów, Piotra Klatta i Sławomira Gołaszewskiego. Trwa dochodzenie prowadzone przez prokuraturę przeciwko „Radiu Brum" oraz Radiu Eska, które emituje piosenkę Piersi w swojej liście przebojów. Obie audycje zostały oskarżone o obrażanie uczuć religijnych.

Piosenka Pawła Kukiza parodiuje śpiewaną przez dzieci podczas pierwszej komunii pieśń „Pan Jezus już się zbliża". Dlatego może razić uczucia religijne katolików. Kontrowersje wywołuje też co innego. Otóż są zespoły rockowe, takie np. jak Inkwizycja, które wprost, a nie poprzez pastisz i parodię atakują Kościół oraz kler. Inkwizycja nie jest jednak tak popularna jak Paweł Kukiz, doskonale znany fanom rocka jeszcze jako lider formacji Aya RL. Narzuca się pytanie, które zadawałem sobie w „poprzedniej epoce", kiedy co ostrzejsze kawałki niepokornego rocka można było usłyszeć w oficjalnej, lecz dysponującej mniejszym zasięgiem Rozgłośni Harcerskiej, mniej ostre w radiowej Trójce, a te zupełnie grzeczne prezentował red. Szewczyk w telewizji. Pytanie dotyczy gradacji swobody w zależności od zasięgu emisji i cenzury.

Tak jak pięć i dziesięć lat temu, również dziś polski rock szuka swojej tożsamości w opozycji wobec świata instytucji. Im silniejszy jest w potocznej opinii – wpływ Kościoła na życie publiczne, tym bardziej Kościół poddawany jest kontestacji ze strony rocka. Im wyraźniejsze stają się wpływy działaczy ZChN, tym bardziej anarchiczne stają się teksty piosenek rockowych traktujących o polityce i roli tego ugrupowania. Tendencje konserwatywne stają się doskonałym materiałem dla niepokornych piosenek rockowych. Bo też rocka innego niż niepokorny, krnąbrny, nie ma.



Paweł Kukiz i Piersi w warszawskim klubie Remont, 1993 r.

Mirosław Pęczak,
„Rockowa wizja Polski",
POLITYKA 47/1992

eprasa.pl fa89fff25f



8 Katarzyna Kozyra przed swą „Piramidą zwierząt" z 1993 r., Zachęta, 2010 r.



9 Mur przy ul. Adama Struga w Radomiu, 1997 r.



10 William Wharton po raz trzeci w Polsce, Bydgoszcz, maj 1997 r.



11 Portret zbiorowy Grupy Ładnie, 1999 r.

7 „brulion". Niezależne krakowskie czasopismo początkowo literackie, z którego wyszło umowne pokolenie: Marcin Świetlicki, Jacek Podsiadło, Manuela Gretkowska, Natasza Goerke czy Piotr Siemion. Rozczarowani płaskością literatury oficjalnej i napompowaną etosowością obiegu niezależnego, twórcy brulionowi zwracali się w stronę odświeżającego banału życia, nowych, choćby i plastikowych zjawisk popkultury i alternatywy, subkultur, reklamy, pączkujących dookoła nowych ruchów religijnych. Czasopismo w pewnym momencie obrało strategię taktyki szoku, programowo publikując materiały wysoce prowokacyjne – by wkrótce dokonać kolejnej wolty, tym razem w stronę katolicyzmu. Ewolucja tak czasopisma, jak i jego redaktora Roberta Tekielego – od maksymalnej wolności we wszystkim do religijnej ortodoksji – może posłużyć za małą przypowieść o całej dekadzie.

8 Sztuka krytyczna. To nieprawda, że tzw. zwykłego człowieka sztuka współczesna nie obchodzi. W latach 90. dyskutowała o niej cała Polska. Taki był zresztą cel: sprowokować, nawet przy pomocy drastycznych środków, spór wokół tego, „o czym się nie mówi" w III RP. W orbicie tematów artystów krytycznych – Katarzyny Kozyry, Zbigniewa Libery, Artura Żmijewskiego – znalazły się zatem ciało, starość, choroba, przemoc, władza, religia. Zgodnie z zamierzeniem prace te prowokowały odzew społeczny i polityczny, testowały granice wolności i tematów tabu. Po latach, jak na ironię, stały się muzealnym kanonem, który nie wywołuje już emocji – choć nowe czasy zachęcają do zadawania pytań bliskich współczesnym wyzwaniom, np. o kwestię prywatności.

9 Ulica mówi. Nieoficjalną galerią sztuki czasów transformacji stała się ulica. Kontrkulturowcy i załoganci posługiwali się graffiti i szablonem, kontynuując tradycje rozpoczęte przez Pomarańczową Alternatywę.



12 Musical „Metro", 1991 r.

Warszawskie mury stały się przestrzenią oddolnego happeningu, którego bohaterem został niepozorny woźny, Józef Tkaczuk. Do „mądrości murów" dołączyły niebawem bardziej profesjonalne wrzuty graffiti. Nowy element codziennej polskiej ikonosfery, czyli wielkoformatowe reklamy, bywał wykorzystywany jako nośnik zaangażowanych treści – kampanii społecznych i wypowiedzi artystów. Najgłośniejsze z nich to plakaty „Bo zupa była za słona" Tomasza Sikory dla Niebieskiej Linii i „Nawracanie, oswajanie, tresowanie" Jadwigi Sawickiej.

eprasa.pl fa89fff25f

Z POLITYKI

Muza epoki komputera



Festiwal muzyki techno Parada Wolności, Łódź, 1998 r.

Szamański obrzęd odprawiany przy jednostajnym rytmie bębnów, połączony z narkotyczną psychodelią przełomu lat 60. i 70., przetworzony komputerowo – to byłaby najkrótsza definicja stylu techno.

Techno to subkultura pokolenia, dla którego pierwszą zabawką był komputer, mówiącego językiem reklamy, żeglującego po internecie; pokolenia zafascynowanego technologią i cywilizacją. Dotychczasowe subkultury wyrastały ze sprzeciwu wobec świata dorosłych. Techno jest pierwszą, która się nie buntuje. Pokolenie lat 90. stworzyło sobie osobny, równoległy świat przy pomocy zabawek, które wymyślili ich rodzice. Ich bunt to ucieczka w świat komputerów. Świat, w którym granice między rzeczywistością realną i wirtualną stają się coraz bardziej umowne. (...)

Animatorami polskiej sceny techno są przede wszystkim ludzie, którzy dorastali w latach 80. Nie wychowywali się na komputerach, ale są zafascynowani możliwościami, jakie otwierają. Znudzeni gitarowym brzmieniem zaczęli szukać czegoś nowego i odnaleźli techno. Ale dopiero nastolatki, które słuchają ich muzyki i przychodzą na organizowane przez nich imprezy, są pełnoprawnymi mieszkańcami cyberprzestrzeni. Tu są u siebie. Koncert rockowy nuży ich jak przygody Matysiaków.

Z głośników płynie potężny, pulsujący łomot, jakby biło olbrzymie serce kosmosu. Migające światła kreślą przedziwny elektrokardiogram. Monotonny rytm automatycznych perkusji działa na najbardziej pierwotne warstwy świadomości, jak bębny szamana. Wprowadza w trans falujący tłum. Tańcząc z przymkniętymi oczami, poddają się rytmom muzyki i świateł. Tu każdy jest sam, a jednocześnie stanowi cząstkę pulsującej całości.

– *To jest właśnie magia techno* – mówi siedemnastoletnia Justyna. – *Niesamowita zabawa, a może coś więcej. Odreagowanie stresów z domu, szkoły, ulicy. Tu się zapomina o wszystkim.*

– *Zabawa?* – zastanawia się dwudziestoletnia Agnieszka. – *Raczej mistyczne oczyszczenie i ekstaza. Narkotyki? Tak, trawa, amfetamina i przede wszystkim extasy, czasem LSD, ale nie za często. To pomaga w podróżach do wnętrza. Indianie także brali peyotl podczas świętych obrzędów. Alkohol? Nie, to prostacka używka dla mas. Najwyżej jedno piwo, kiedy schodzi marihuana.* (...)

Z zewnątrz impreza techno wygląda jak dantejskie piekło. Huk, dym i ludzie zastygający w dziwnych pozach na ułamki sekund. (...) – *Brudne sprawy: polityka, wojna, afery nie interesują techno-ludzi* – mówi Krzysztof Kługo, muzyk zespołu Millenium z Piły. – *To jest subkultura akceptacji, a nie buntu. Akceptacji siebie i świata.*

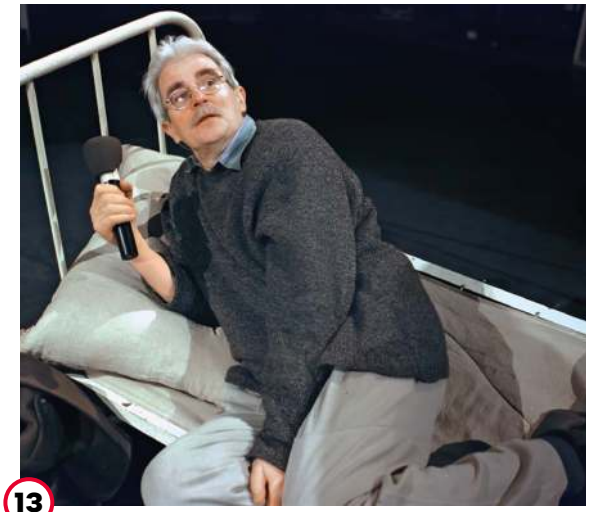
Joanna Podgórska, „Technoobrzęd" POLITYKA 1/1997

10 Big in Poland. Polscy fani muzyki słyną z oddanego uwielbienia dla zespołów umiarkowanie znanych w swoich rodzinnych stronach. Budgie, Porcupine Tree czy Archive cieszyli się w Polsce gwiazdorskim statusem nieporównywalnie większym niż gdzie indziej. W latach 90. taką sławę zyskało tu kilku zachodnich pisarzy. Przede wszystkim mowa o Williamie Whartonie, autorze autobiografizującej prozy psychologicznej. Cenio-no go na Zachodzie, zwłaszcza po popularnej ekranizacji „Ptaśka", lecz to w Polsce stał się autorem prawdziwie kultowym. Wielokrotnie tu gościł, a jego powieści sprzedawały się w ogromnych nakładach. Z kolei Jonathan Carroll, pisarz z nurtu opowieści niesamowitych, najbardziej znany z cenionej przez Stanisława Lema „Krainy Chichów", rozgościł się w Polsce tak bardzo, że napisał nawet teksty piosenek dla Budki Suflera.

11 Grupa Ładnie. Banał codzienności, ironia, komercja, reklama – malarze tworzący luźną, lecz owianą potężnym mitem krakowską grupę Ładnie czerpali z ducha lat 90. Malarstwo figuratywne, z życia wzięte, o swobodnym, nieco komiksowym wdzięku łączyli z akcjami artystycznymi i zinami. Z charakterystyczną dezynwolturą pożyczali sobie język nowej Biblii dekady – biznesu i marketingu. Rafał Bujnowski, Marcin Maciejowski i Wilhelm Sasnal już solo stali się gwiazdorami światowej sztuki.

12 Musical „Metro". Fani koczujący pod teatrami, podróżujący po całej Polsce, by po raz kolejny usłyszeć swoich idoli, oglądający „Metro" po raz setny – musical Janusza Józefowicza do libretta Agaty i Maryny Miklaszewskich oraz z muzyką Janusza Stokłosy był wielkim sukcesem nowego, komercyjnego teatru. Spektakl o grupie zapaleńców, którzy na stacji metra organizują własny teatr, doskonale złapał częstotliwość marzeń i nadziei nowej Polski. Krytycy (polscy i amerykańscy) byli sceptyczni wobec scenicznego show, ale „Metro" i jego zakochana na zabój publiczność stały się fenomenem socjologicznym. Przede wszystkim musical pozwolił rozwinąć skrzydła późniejszym gwiazdom, Edycie Górniak, Katarzynie Groniec czy Katarzynie Skrzyneckiej.

13 Nowy język w teatrze. Za najbardziej wpływową postać polskiego teatru lat 90. należy prawdopodobnie uznać Krystiana Lupę, reżysera aktywnego od lat 70. Jego niezmiernie długie, wymagające, eksploru-



13

Krystian Lupa, reżyser i scenograf „Powrotu Odysa", Teatr Dramatyczny w Warszawie, 1999 r.

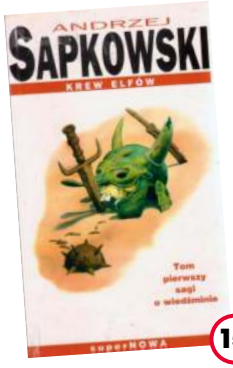
eprasa.pl fa89fff25f



14 Festiwal Malta w Poznaniu, 1999 r.

jące psychologię spektakle, zwłaszcza te oparte na twórczości Thomasa Bernharda, wytyczyły znaczący kierunek rozwoju polskiej sceny. Druga połowa dekady to czas twórców nazywanych wówczas młodszymi zdolniejszymi – Anny Augustynowicz, Krzysztofa Warlikowskiego, Grzegorza Jarzyny. Wprowadzili oni do teatru dyskursy emancypacyjne i dążenie do konfrontacji z tym, co ukryte i wyparte.

14 Ulica jest sceną. Ulice polskich miast stały się w latach 90. sceną powszechnej ekspresji. Nie chodziło jedynie o częste w tej trudnej dekadzie protesty, strajki, starcia młodzieży z policją, bitwy subkultur, ale także o działania twórcze. Niemal wszędzie można było natrafić na muzyków, tych polskich – z gitarą, lecz także andyjskich z fletnią Pana. Towarzyszyły im korowody rozśpiewanych krisznowców. W tę scenerię naturalnie wpisywał się teatr uliczny. Początek dekady był okresem triumfu alternatywnych zespołów plenerowych wywodzących się z ducha kontrkultury, jak teatr Biuro Podróży oraz poświęconych tej formie teatru festiwali, jak poznańska Malta czy kłodzkie Zderzenie Teatrów.



15 Okładka „Krwi elfów" Andrzeja Sapkowskiego, 1994 r.

15 Czas wiedźmina. Droga do rodzimej marki narodowej, jaką obecnie jest saga o wiedźminie, zaczęła się na łamach czasopisma „Fantasty-

POLITYKI

Wyścig po widownię

Dziś młodzi zdolni reżyserzy nie rozmawiają o ideach, tylko liczą pieniądze. Jedno nie ulega wątpliwości – na polskim filmie da się nieźle zarobić. W Warszawie ostatnio wciąż słyszy się, że kolejny młody zdolny reżyser buduje sobie okazały dom, inny zaś kupił wielką willę wraz ze służbą. (...)

Przełomowe znaczenie miał „Kiler" Juliusza Machulskiego, który odniósł niesamowity sukces frekwencyjny (...). Machulski udowodnił, że polski film może tak samo dobrze się sprzedać jak amerykański, a nawet jeszcze lepiej, ponieważ wprowadzane w tym samym czasie na ekrany importowane hity przegrywały z „Kilerem". Moda na polskie kino akcji zaczęła się zresztą wcześniej, kiedy setki tysięcy widzów kupowały bilety na „Nocne graffiti" Macieja Dutkiewicza, „Sarę" Macieja Ślesickiego czy nawet „Sztos" Olafa Lubaszenki, w telewizji zaś rekordy powodzenia bił serial Wojciecha Wójcika „Ekstradycja". Ci twórcy wypracowali standardy rodzimej odmiany filmu akcji, który na pierwszy rzut oka przypomina nieco amerykański oryginał. Niestety, jak się pójdzie do kina na takie amerykańskie filmy jak „Tajemnice Los Angeles" czy „Cop Land" (...) – widać dotkliwie nędzę naszych imitacji.

Ale te porównania nie deprymują krajowych reżyserów, którzy, mówiąc językiem handlowym, szybko zorientowali się, jaki towar najlepiej się dzisiaj sprzedaje i dla kogo. Jest to mianowicie robione z myślą o młodocianym widzu, który kina uczył się w wypożyczalni kaset wideo w sklepie za rogiem, gdzie kobiety proszą o coś ładnego, mężczyźni zaś wybierają w ciemno filmy byle jakiej akcji. (Andrzej Wajda opowiadał kiedyś, iż był świadkiem sceny, kiedy klient wypożyczalni, oddając kasetę, poprosił o następną, mówiąc: „To samo!").

Zrozumiałe jest zatem, że cała kampania promocyjna skierowana jest w stronę niepełnoletnich, czego wspaniały przykład mieliśmy niedawno, gdy na ekrany wprowadzano „Młode wilki ½" Jarosława Żamojdy, który w radiowych reklamach występował jako Jarek, wśród gwiazdorskiej obsady znajdowali się zaś tacy wspaniali wykonawcy jak Jarek Jakimowicz, Krzyś Antkowiak i Ania Mucha. Zresztą z aktorami bardziej dorosłymi jak Linda czy Pazura młodociany widz również jest na ty, wyrażając się o nich pieszczotliwie: Boguś, Czarek. (...)

Następnym chwytem promocyjnym akcji Małolat jest używanie w filmie aktualnie modnych kapel rockowych, czasem bez żadnego związku z fabułą. Śpiewany kawałek przydaje się w reklamie dźwiękowej, popularność zespołu znanego z list przebojów działa jak magnes. Reguły gry są więc wyraźne, trwa wyścig, kto zgromadzi większą widownię?

Zdzisław Pietrasik, „Psy na wojnie", POLITYKA 13/1998



Jan Nowicki i Cezary Pazura na planie zdjęciowym filmu „Sztos" Olafa Lubaszenki, Pułtusk, 1997 r.

eprasa.pl fa89fff25f



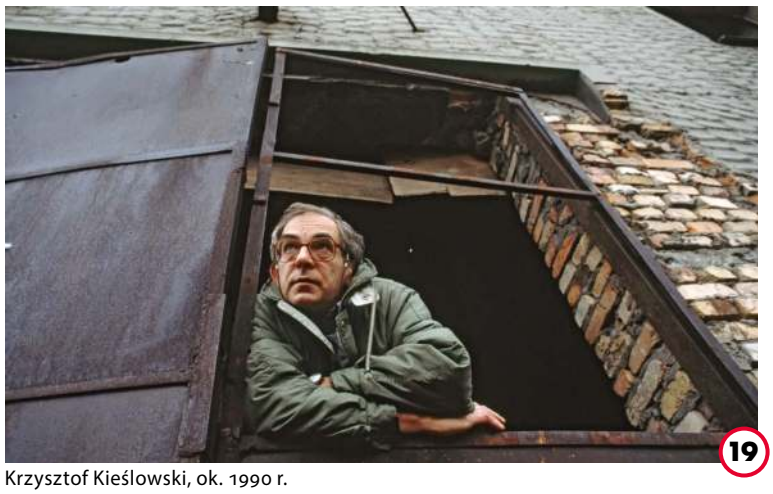
Jerzy Pilch w kawiarni Vis à Vis przy Rynku Głównym w Krakowie, 1998 r.



Bogusław Linda w filmie „Psy 2. Ostatnia krew" Władysława Pasikowskiego, 1994 r.



Cezary Pazura i Jerzy Bończak w filmie „Nic śmiesznego" Marka Koterskiego, 1995 r.



Krzysztof Kieślowski, ok. 1990 r.

ka", gdzie pierwsze opowiadania publikował Łodzianin Andrzej Sapkowski. Fantastyka zawsze cieszyła się uznaniem polskich czytelników, ale być może musiała nadejść dekada komputerów i gier fabularnych, by właściwy oddźwięk znalazła monumentalna saga fantasy. Rozpoczęty w 1994 r. „Krwią elfów" pięcioksiąg przyniósł Sapkowskiemu Paszport „Polityki" – nagrodę po raz pierwszy wręczoną wówczas autorowi prozy gatunkowej.

16 Historie lokalne, historie prywatne. Literatura małych ojczyzn – takim określeniem posługiwano się czasami w odniesieniu do nowej prozy lat 90. Pisarze chętnie zwracali się w stronę tego, co lokalne czy wręcz prywatne. Ówczesna proza korzeni, oprócz tej intymności, niosła ze sobą ton odsłaniania tajemnicy, czasem odcień nostalgii. Taki Gdańsk opowiadali Paweł Huelle i Stefan Chwin, Beskid – Andrzej Stasiuk. Za pokrewne temu nurtowi można uznać też późniejsze powieści Wiesława Myśliwskiego, nasycone niezwykłością krajobrazy Olgi Tokarczuk czy powroty do Wisły Jerzego Pilcha.

17 Kino sensacyjne. Po seansie „Psów" Andrzej Wajda mówił, że Władysław Pasikowski „wie o polskiej widowni coś, czego on sam nie wie i być może nie chce wiedzieć". Chodziło o wyraźne zapotrzebowanie na brutalne kino sensacyjne na wzorcach amerykańskich, które widzowie znali już z klasyków kina VHS, ale które pasowało także do opowiadania o pełnej przemocy dekadzie. W późniejszych latach nie udawało się reżyserom stworzyć filmu w tym gatunku tak udanego jak „Psy", powstawały dzieła często wtórne i nadmiernie zapatrzone w Zachód, choć niektóre z nich cieszyły się kultowym statusem. Aż do „Długu", wstrząsającego thrillera opartego na faktach. Krzysztof Krauze zawarł w nim elementy, które definiowały zbyt często ówczesną rzeczywistość – pieniądze, zbrodnię, bezsilność prawa.

18 Polska się śmieje. Koniec PRL nie oznaczał zakończenia dobrej koniunktury dla komedii. W ulubionym przez polską publiczność gatunku komedii sensacyjnej specjalizował się Juliusz Machulski. „Kilera", w którym żarty z nowobogackich i gangsterów przeplatały się z bystrym dialogiem z klasyką kina, obejrzały dwa miliony widzów. Powołany do życia przez Marka Koterskiego jeszcze w latach 80. wieczny malkontent Adaś Miauczyński powrócił na ekran w „Nic śmiesznego". I dostawcę pizzy wplątanego w kryminalną intrygę, i prześladowanego przez pech reżysera zagrał Cezary Pazura, dzięki bogatemu repertuarowi mimicznemu nazywany wówczas polskim Jimem Carreyem.

19 Poeci za kamerą. W 1994 r. Złotą Palmę w Cannes otrzymał film „Pulp Fiction" Quentina Tarantino – ku powszechnemu zaskoczeniu, gdyż spodziewano się, że nagrodę zdobędzie Krzysztof Kieślowski za „Czerwonego". Reżyser święcił wówczas światowe triumfy za sprawą metafizycznych, pełnych niedopowiedzeń obrazów: „Trzech kolorów" i „Podwójnego życia Weroniki". Niestety, „Czerwony" okazał się ostatnim dziełem w jego życiu. Lata 90. stały się płodnym okresem dla reżyserów, u których autorska wizja pozwalała przezwyciężać częste ograniczenia budżetowe. Mowa tu o osadzonym w wiejskim krajobrazie realizmie magicznym Jana Jakuba Kolskiego czy konsekwentnym outsiderstwie Janusza Kondratiuka.

OLGA DRENDA

eprasa.pl fa89fff25f

Zachodni format, wschodni budżet

Media lat 90.: ciuchy po starszym bracie.



Zbigniew Klewiado, założyciel pierwszej w Polsce prywatnej telewizji Sky Orunia, 1996 r.



Ernest Skalski, Adam Michnik i Helena Łuczywo z pierwszym numerem „Gazety Wyborczej", maj 1989 r.

Tam, gdzie brakuje kapitału, niezbędna jest pomysłowość. Choć powyższe zdanie brzmi jak mantra rodem z wydanego naprędce poradnika biznesu (a takowych w najntisowych księgarniach nie brakowało), doskonale oddaje stan polskich mediów z okresu transformacji. Wystarczy wspomnieć, że historia Sky Orunia, jednej z pierwszych prywatnych telewizji w Polsce, zaczęła się w warsztacie naprawy telewizorów. W 1989 r. Zbigniew Klewiado, właściciel takowego przybytku w Gdańsku, chcąc wzmocnić sygnał anteny satelitarnej (zwanej talerzem), włożył do niej gwóźdź. Sygnał zaczął docierać do odbiorników w całej dzielnicy Orunia, co dało asumpt do rozpoczęcia produkcji własnej o, rzecz jasna, pirackim charakterze.

Odwróćmy jednak wcześniejszą sentencję: gdy brakowało pomysłów, z pomocą przychodził kapitał. Jeszcze w pierwszej połowie dekady doszło do wyścigu o tytuł pierwszej prywatnej ogólnopolskiej stacji telewizyjnej. (Notabene: aż do 1993 r. coś takiego jak koncesja telewizyjna nawet nie istniało). W szranki stanęli sardyński biznesmen Nicola Grauso oraz modelowy wręcz finansowy nuworysz Zygmunt Solorz, który zbił fortunę m.in. na handlu samochodami. Włoch musiał obejść się smakiem, ale jego Polonia 1, podobnie jak startujący niemal równolegle Polsat, ugruntowały model polegający na bombardowaniu widza zagranicznymi produkcjami nie pierwszej świeżości.

Wbrew bowiem temu, co mogłoby sugerować pojawienie się na polskim gruncie młodzieżowych czasopism w rodzaju „Popcornu" czy „Bravo", pod względem popkulturowym lata 90. to w zasadzie zachodnie lata 80. „MacGyver" czy „Drużyna A" stanowiły przykład przechodzonych ikon, które zajęły wyobraźnię Polaków z wieloletnim poślizgiem. Innymi słowy: chodzono nad Wisłą w ciuchach po starszym bracie, ale zarazem nadrabiano zaległości.



Mariusz Szczygieł i Katarzyna Laskowska, współprowadzący talk-show „Na każdy temat" w nowej, prywatnej telewizji Polsat, Warszawa, 1999 r.

Swoje miejsce w annałach polskiej prasy ma niewątpliwie założone w 1990 r. wydawnictwo TM-Semic, które jako pierwsze legalnie publikowało w Polsce amerykańskie historie o superbohaterach (art. s. 74). Pierwszy komiks, który ukazał się nakładem tej firmy („Spider-Man" 1/1990), ma na okładce aż dwie literówki. W numerze drugim, ze względu na zgubioną kliszę, jeden z kadrów został odtworzony przez redaktorów w schematyczny sposób za pomocą linijki. Po przejęciu sterów przez redaktora naczelnego

eprasa.pl fa89fff25f

Marcina Rusteckiego i asystującego mu Arkadiusza Wróblewskiego TM-Semic rosło jednak w siłę i przez kilka lat pozwalało polskiemu czytelnikowi na kontakt z amerykańskim komiksem pozbawiony obligatoryjnego, kilku–kilkudziesięcioletniego opóźnienia.

TM-Semic to jednak zaledwie kropla w morzu, jeśli chodzi o rynek prasowy lat 90. Likwidacja cenzury oraz biznesowy potencjał prasy (jak dziwnie brzmi dziś połączenie tych słów!) skutkowały nieprzebraną ofertą, w której zawierały się czasopisma specjalistyczne, obsceniczno-satyryczne (sukces tygodnika „NIE"), branżowe, kobiece czy rodzinne (jak „Poradnik Domowy"). Miało to rzecz jasna swoją ciemną stronę: obok tabloidowego „Super Expressu", który wystartował w 1991 r., można było bez trudu natrafić w kiosku na antysemickie baliwernie publikowane przez Leszka Bubla czy wydawane co tydzień brukowce.

Nowe czasy wymagały nie tylko nowych twarzy i piór, ale też nowych głosów, a także nowego podejścia do rzemiosła. Komercyjne stacje radiowe często stawały się kuźnią medialnych talentów. Dobry przykład stanowi tu Szymon Majewski, rozpoczynający karierę w Radiu Zet. Niedoskonały pod względem warsztatowym, nieco rozedrgany, przy tym jednak pełen uroku i naturalności, w niczym nie przypominał eleganckich spikerów sprzed lat czy muzycznych guru z radiowej Trójki.

Majewski szybko okazał się postacią intermedialną, by wspomnieć tylko jego występy w „Wieczorze z Alicją", talk-show na zachodnią modłę. Podobny charakter miał też stworzony przez Witolda Orzechowskiego program „Na każdy temat" – przejawiający pretensje do amerykańskości, usilnie poszukujący sensacyjnych tematów, przy tym jednak zgrzebny i tchnący duchem improwizacji. Telewizja najsilniej zdradzała zresztą rodzime aspiracje, a jednocześnie demaskowała niedostatki: ramówka lat 90. to Ameryczka ze sklejki, próba przetłumaczenia zachodniego formatu na wschodni budżet.

Z czasem zaczęto jednak minimalizować ryzyko i sięgać po sprawdzone rozwiązania. Nie chodziło tylko o gatunek – choć sitcomowa gorączka Polsatu, zainspirowana być może przez „13 posterunek", była trudna do przeoczenia. Raczej o to, że ryzyko zostało wyparte przez format: w ślad za polskimi edycjami zagranicznych czasopism pojawiły się masowo kupowane licencje teleturniejowe i nie tylko. I choć nie brakuje tu doniosłych przykładów, takich jak rodzima wersja „Milionerów", gdzieś wyparował czynnik humanistyczny, który dawał przestrzeń do improwizacji, niespodzianki czy nawet nieporadności. Stare media bowiem bywały nużące, nieco amatorskie – ale jakieś takie ludzkie, nasze.

MATEUSZ WITKOWSKI



Talk-show TVP „Wieczór z Alicją", na pierwszym planie satyryk Szymon Majewski, w tle rysownik Szymon Kobyliński i prowadząca Alicja Resich-Modlińska, 1995 r.



Reklama margaryny, Olsztyn, 1995 r.

Zapraszamy do reklamy

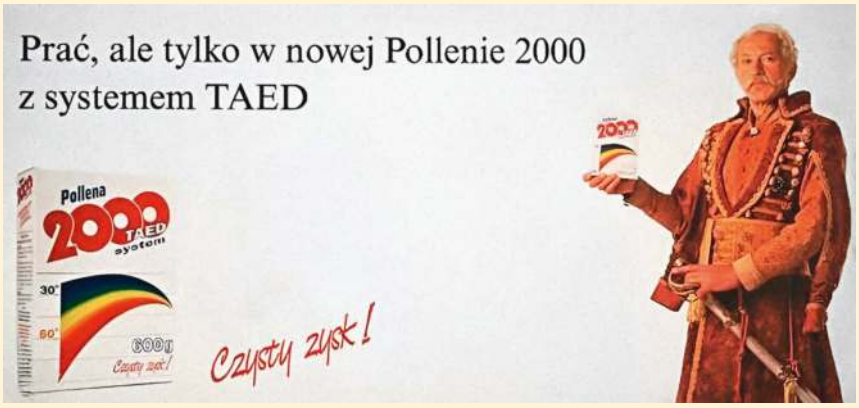
Przyczółki wolnorynkowego konsumeryzmu.

W Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej reklamowało się głównie Polską Rzeczpospolitą Ludową, przepisy BHP (czas między dobranocką a „Dziennikiem Telewizyjnym" wypełniały plansze z napisami „Dziecko plus zapałki równa się pożar"), reklamę („Reklama dźwignią handlu"), Coca-Colę (w ramach otwierania na zachodnie dobra przez gierkowską propagandę sukcesu) oraz – Prusakolep. Prospekty reklamowe, torby (do dziś plastikową jednorazówkę na zakupy nazywa się reklamówką), katalogi domów towarowych i wysyłkowych, a także naklejki („Dear sirs, please send naleps", pisała w listach polska młodzież) stanowiły przewiezione z zagranicy artefakty cywilizacji konsumpcyjnej, zupełnie niepojętej dla wychowanków kultury niedoboru – jakże to, trzeba zachęcać do kupowania. I to mimo wysiłków szerzenia antykonsumpcyjnego podejścia do życia w pismach dla dzieci (jak „Świerszczyk") czy popularnych piosenkach („Telewizor, meble, mały Fiat, oto marzeń szczyt").

Kapitalistyczny konsumeryzm nie przyszedł z dnia na dzień, ale powoli rozbijał swoje przyczółki. Jedne z pierwszych reklam przedstawiały ofertę Baltony, w czasach PRL dewizowego skle-

eprasa.pl fa89fff25f





Od góry, od lewej: Reklama podpasek („Z pewną taką nieśmiałością"), 1991 r. • Reklama proszku do prania („Ojciec, prać?"), 1992 r. • Reklama napoju („No to Frugo"), 1996 r. • Reklama czekolady („A świstak siedzi i zawija je w te sreberka"), koniec lat 90.

pu dla marynarzy, takie jak magnetowidy Hitachi. Otwierały się nowe możliwości finansowe, które kusiły znanych twórców filmowych i aktorów. Powstawały studia specjalizujące się w produkcji reklam (jak ITI) czy grafice komputerowej, wówczas jeszcze dość prymitywnej. Reklamowano nie tylko dobra luksusowe, jak perfumy, samochody czy sprzęt RTV AGD – wręcz przeciwnie, symbolem luksusu mógł stać się nawet odpowiednio zaprezentowany pumeks. I kto by dziś wpadł na pomysł prezentowania oferty wózków widłowych w porze największej oglądalności?

Reklama odgrywała funkcję edukacyjną, pokazując codzienne udogodnienia, jakie nikomu nie przyszły nawet do głowy. Pokolenia wychowane w tetrowych pieluchach dowiedziały się o wygodnych jednorazowych Pampersach; szamponie z hasłem „No more tears", który nie szczypie dzieci w oczy. Młodzież dowiedziała się, że nie wypada mieć pryszczy. Obyczajową rewolucją okazała się reklama podpasek Always, w której bohaterka wypowiadała się „Z pewną taką nieśmiałością". Wszystko było bardzo eleganckie – w prezentacji zamiast krwi użyto przecież błękitnej cieczy, ale i tak narobiła wiele zamieszania; może dlatego, że kobiety wyszły z roli czysto erotycznych obiektów znanych z innych spotów. Nagie piersi modelki z reklamy mydła stały się nawet tematem satyrycznej piosenki „Mydełko Fa".



Tworząc reklamy, polscy twórcy starali się dowieść, że potrafią konkurować z Zachodem (reklamy piwa EB puszczano w MTV Europe), zwłaszcza że mieli konkurencję w postaci spolszczanych reklam np. z Niemiec. Niekiedy było to bardzo nieporadne, jak w przypadku hasła „To wie się, co się ma"; zbyt wiernego tłumaczenia niemieckiego sloganu. Zagranica wyznaczała wówczas horyzont marzeń – wejście na rynek zachodnich firm oznaczało walkę z tradycyjnymi polskimi markami. „Mamo, mam nowego przyjaciela" – deklarowała dziewczyna w reklamie płynu do mycia naczyń. „A co z Ludwikiem?" – dziwiła się mama, co słusznie uznano za nielegalną reklamę porównawczą i w kolejnych emisjach imiona zmieniono. Aby pokazać, że Polak potrafi, sięgnięto po Sienkiewicza – proszek Pollena 2000 reklamowano rycerzami i hasłem „Ojciec, prać?". Tak nowoczesność połączono z tradycją.

Reklama była jak dzisiejsze memy internetowe – infekowała język i sposób myślenia o świecie. Reklamowe hasła funkcjonowały niczym powiedzonka z kultowych filmów („A łyżka na to niemożliwe", „A świstak siedzi i zawija je w te sreberka", „Trzeba mieć fantazję, dziadku", „Mamo, ale ja jeszcze rysuję") – zwłaszcza że znał je każdy. Nawet ci, którzy uważali, że są ponad sztuczki marketingowe („Reklama, reklama, pranie mózgu już od rana" - śpiewał K.A.S.A.). Pracownicy agencji reklamowych byli kojarzeni z wielką kasą i niebezpiecznym życiem (film „Billboard" z 1998 r.).

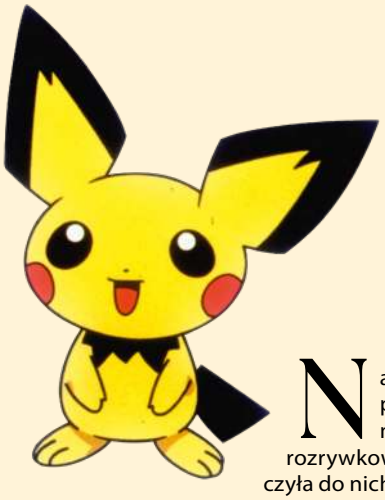
Coraz dłuższe bloki reklamowe – zwłaszcza te przerywające emisję w stacjach prywatnych – budziły niechęć. Z drugiej strony reklamożercy oglądali spoty na festiwalu w kinie, a POLITYKA publikowała nawet recenzje reklam. Marketingowe bowiem filmiki stały się poligonem artystycznej swobody – oczywiście, kiedy udało się przekonać klienta, że ciekawy filmik przełamujący bariery pozwoli wyróżnić się z szumu. Niekiedy przesadzano, jak z reklamą piwa ukazującą orgię sowieckich generałów. Reklamy alkoholu balansowały zresztą na granicy prawa – niekiedy w sposób bezczelny, puszczając oko do widza („Piwo, oczywiście, bezalkoholowe") lub pokazując produkty zastępcze, jak sponsorowane imprezy czy będąca zwieńczeniem zjawiska „łódka Bols". Reklamowano też nieco zdrowsze napoje, jak wypromowany od zera młodzieżowy napój Frugo.



Reklamie telewizyjnej towarzyszyły spoty radiowe, siłą rzeczy bardziej skupione na zabawach słownych i dialogach. Odmieniła prasę – czarno-białe płachty zastąpiły kolorowe strony. I przede wszystkim pożarła przestrzeń wspólną – miasta i pobocza dróg zaroiły się od billboardów. Szarobury PRL zamienił się w pstrokatą reklamową płachtę.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

eprasa.pl fa89fff25f



Z kraju pokemonów

Fala japońskiej popkultury.





Najpierw Zachód podbiły japońskie samochody i elektronika rozrywkowa. W latach 90. dołączyła do nich popkultura. Przykład japońskiego *softpower* doskonale ilustruje związki kultury i techniki. Np. popularność magnetowidów otworzyła w latach 80. nowe możliwości dla twórców animacji. Obok niskobudżetowych seriali telewizyjnych, często służących głównie reklamie zabawek, i drogich filmów kinowych znalazła się przestrzeń pozbawiona ograniczeń. Powstawały dzieła eksperymentalne, dla dojrzałego odbiorcy, z przeróżnych gatunków, od komedii erotycznych po dramaty science fiction. Ta bogata wideoteka stała się później potężnym zasobem kulturowym, który fascynował zachodniego widza, wcześniej kojarzącego animację głównie z disneyowskimi baśniami.

O ile na początku lat 80. japońskie gry (takie jak „Pac-Man") podbijały salony gier, o tyle w połowie dekady rozpoczął się podbój salonów w domach. Lata 90. przyniosły rewolucję – bohaterowie gier, do tej pory przedstawiani jako abstrakcyjne piksele (przez co łatwo można było zataić ich japońskie pochodzenie, przez zmianę tytułu i okładki) trafili na nową generację konsol. Super NES i SEGA Megadrive (w USA znana jako Genesis) były symbolizowane przez dwie ikony – hydraulika Mario i superszybkiego jeża Sonica. Ten pierwszy był artefaktem czasów prostej grafiki poprzedniej dekady, ten drugi zadebiutował w 1991 r. i był z miejsca projektowany jako maskotka, która ma podobać się zachodniej młodzieży. Japońskie produkcje wciąż doskonale radziły sobie na automatach. Hitem okazała się bijatyka „Street Fighter II" z 1991 r. Do 1994 r. w USA zagrało w niego 25 mln osób.

Japońska *softpower* po raz kolejny została wsparta japońskim *hardware'em* wraz z premierą kolejnych generacji konsol. Ton nadawała nowa platforma, Sony Playstation, z wbudowanym czytnikiem CD-ROM. Produkcje stały się multimedialne – animacje w filmach przerywnikowych nie były już abstrakcyjne. I chociaż wiele popularnych dzieł z tamtego okresu było tworzone z inspiracji zachodnią popkulturą (niezwykłą popularnością w Japonii cieszył się serial „Twin Peaks") i kinem (szpiegowski thriller „Metal Gear Solid" Hideo Kojimy), to przełomowe dzieła epoki multimedialnej, siódma i ósma część cyklu „Final Fantasy", były przesycone japońską estetyką i mentalnością wykraczającą poza dotychczasowe skojarzenia z Godzillą, yakuzą i samurajami z filmów Kurosawy.



Konsola PlayStation do gier wideo.
Powyżej: Pokemony z lat 90.

Cykl „Final Fantasy" pojawił się w momencie, gdy Zachód odkrywał anime. Początek lat 90. był czasem poznawania japońskiej animacji przez fanów i dystrybutorów. Popularnością cieszyły się zwłaszcza produkcje s.f. i cyberpunkowe (jak „Akira"), znacznie ciekawsze i poważniejsze od hollywoodzkich blockbusterów. Brytyjski dystrybutor Manga Entertainment zainwestował nawet w produkcję „Ghost in the Shell" Mamoru Oshii (1995 r.), licząc na zainteresowanie zachodniego odbiorcy. Film okazał się jednym z najbardziej wpływowych obrazów lat 90. – zachwycał się nim James Cameron i zainspirował siostry Wachowskie do stworzenia kultowego „Matrixa".

O ile „Final Fantasy" i cyberpunk trafiały do miłośników mrocznych wizji, o tyle Japonia eksportowała też swój koncept *kawaii*, czyli rzeczy słodkich i uroczych, takich jak Hello Kitty, dziś wszechobecna, albo elektroniczne maskotki Tamagotchi. Kolejnym fenomenem był serial „Sailor Moon", czyli „Czarodziejka z Księżyca", opowieść o zwykłej gimnazjalistce, która może zamienić się w magiczną wojowniczkę walczącą z siłami ciemności. Jej popularność w Japonii zainteresowała amerykańskich dystrybutorów, którzy najpierw próbowali nakręcić własną wersję, łączącą animację i sceny aktorskie. Ostatecznie zdecydowano się jedynie na lokalizację – zmianę imion bohaterek na zachodnie. Do Polski i Europy serial trafił w niezmienionej wersji i stał jedną z sił napędowych fandomu anime. Odwiedzający konwenty poznawali nie tylko anime, ale także muzykę (dużą rolę odegrały w tym gry rytmiczne, jak „Dance Dance Revolution"), kuchnię i historię.

Kultura kawaii, konsole i anime stały się fundamentem ostatecznego japońskiego boomu, który zmienił oblicze światowej popkultury. Pokemony (kieszonkowe potworki) zadebiutowały jako gra na przenośną konsolę Nintendo Gameboy, ale szybko dołączyły do nich serial animowany, komiksy, kolekcjonerska gra karciana i oczywiście maskotki. To dziś najlepiej zarabiająca franczyza, a słodkiego Pikachu zna każde dziecko na całym świecie. Na Zachód trafiły też mniej komercyjne rzeczy, jak filmy Studia Ghibli. W USA ich dystrybucją zajmował się Disney (na bazie umowy z 1996 r.), w Polsce „Mój Sąsiad Totoro" i „Szkarłatny Pilot" zostały wyemitowane przez Canal+.

Niebagatelną rolę w promocji japońskiej popkultury odegrał internet i oddolne ruchy fanowskie. Dzięki temu pierwsze lata XXI w. należały do japońskiej popkultury; w kolejnej dekadzie podobną drogę przeszła Korea, a w obecnej – Chiny.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

eprasa.pl fa89fff25f

Reglamentowane gwiazdorstwo

Celebryckie przedbiegi: między aurą a ekshibicjonizmem.







Od lewej: Edyta Górniak na festiwalu piosenki w Sopocie, 1995 r. • Krzysztof Ibisz, prowadzący teleturniej „Czar par", 1994 r. • Pierwsze wydanie „Super Expressu", listopad 1991 r.

Lata 90. to na świecie apogeum celebrycko-tabloidowej gorączki. W ślad za niebotycznymi nakładami dzienników w rodzaju „Daily Mail" szły również niebotyczne honoraria, które mogły trafić do paparazzo znajdującego się w odpowiednim miejscu i w odpowiednim czasie. Bodaj najsmutniejszym exemplum tego stanu rzeczy były losy Diany Spencer oraz finał tychże: przypomnijmy, że księżna Walii zginęła tragicznie w trakcie ucieczki przed fotoreporterami. Jak się jednak co rusz okazywało, zjawiska wchodzące na Wyspach czy w Stanach Zjednoczonych w fazę dojrzałą lub starczą w Polsce dopiero raczkowały.

Pierwszy tabloidowy dziennik na współczesną modłę pojawił się w polskich kioskach w 1991 r. Mowa o „Super Expressie" powstałym w wyniku zakupu „Expressu Wieczornego" przez Zjednoczone Przedsiębiorstwa Rozrywkowe. Sensacjonalistyczny styl, znany również z wydawanych równolegle „Skandali", łączył się tu z namiastkami informacji na temat znanych osób: polityków, aktorek, wokalistów. Można było przeczytać np. o pierwszym pocałunku Rudiego Schuberta i Hanny Gronkiewicz-Waltz (zaznaczmy: nie wspólnym!).

Wraz z rozwojem prywatnych mediów odbiorcy zostali otoczeni znanymi twarzami. Aktora X oglądali już nie tylko na srebrnym ekranie, z wokalistką Y nie musieli spotykać się wyłącznie podczas występów na żywo, mieli też programy typu talk-show. Namiastki takowych dostali już w PRL, była jednak pewna istotna różnica między występem u boku Ireny Dziedzic a krotochwilno-śliską rozmową z Wojciechem Jagielskim w emitowanym od 1998 r. „Wieczorze z wampirem". Gdzieś zanikała specyficzna aura, nimb, który otaczał sławy w PRL, na temat których można było co najwyżej snuć domysły i powtarzać miejskie legendy.

eprasa.pl fa89fff25f

Gwiazdy nieco się pauperyzowały, co nie znaczy, że przestały okupować wyobraźnię widzów i czytelników. Stały się natomiast wdzięcznym celem ataków, kanwą plotek. Były odległe, a jakby bliskie, tuż na wyciągnięcie ręki. Coraz większa ekspozycja tzw. znanych twarzy rozbudzała apetyt na więcej. Z jego zaspokojeniem pospieszyli więc wydawcy. W 1994 r. Bauer zaczął wydawać „Życie na Gorąco", tabloidowy tygodnik, w którym można było trafić na tak wstrząsające informacje jak ta, że Aleksander Kwaśniewski ukrywa wadę wzroku i potrzebuje okularów do czytania!

Osiągnięcie popularności zaczęło wiązać się z dodatkowym kosztem. Jedną z pierwszych osób otwarcie krytykujących działalność prasy tabloidowej była bodaj największa gwiazda połowy lat 90., Edyta Górniak. To jednak artystka w starym stylu: popularność zdobyła dzięki wybitnym umiejętnościom wokalnym, stanowiła przykład scenicznej diwy, jakich nie brakowało w popkulturze poprzednich dekad.

Przykładem gwiazdy pośredniej – łączącej stare media z nowymi trendami – był natomiast Krzysztof Ibisz. Co prawda w PRL nie brakowało osobowości telewizyjnych, jednak Ibisz zyskał sympatię widzów nie elegancją spod znaku Jana Suzina, lecz raczej chłopięcą wręcz bezpośredniością. Taki charakter miała kreowana przez Ibisza relacja z fanami. Prezenter telewizyjny od 1996 r. współtworzył na łamach magazynu „Antena" rubrykę, w której odpowiadał na pytania widzów i dzielił się (oszczędnie, ale jednak) informacjami dotyczącymi życia prywatnego. Zupełnie jakby chciał wykonać uderzenie wyprzedzające, zanim paparazzi wetkną obiektywy w uchylone drzwi jego domu.



„Viva!", luksusowy dwutygodnik dla kobiet (od 1995), tu okładka z marca 1998 r.

Mimo rozkwitu prasy tabloidowej i gwiazdorskiej – tu należy wymienić również nieco bardziej ekskluzywne magazyny w rodzaju „Gali" czy „Vivy!", które nad plotkę stawiały bezpośrednią zachętę do ekshibicjonizmu ze strony wywiadowanych – gwiazdorstwo wciąż było aktywnością reglamentowaną. Aby osiągnąć odpowiednią popularność, w dalszym ciągu należało wsławić się w jednej z tradycyjnych dziedzin, takich jak śpiewanie czy gra aktorska (albo, o zgrozo, polityka).

Możliwości tzw. przeciętnego człowieka związane ze wstępem do masowych mediów były więcej niż ograniczone, a ewentualny udział w radiowym konkursie czy występ w teleturnieju nie mógł gwarantować odpowiedniej rozpoznawalności. Podobnie rzecz się miała z kontaktem z ukochanymi/znienawidzonymi gwiazdami; trudno bowiem uznać za bezpośrednią formę komunikacji przesyłanie listów do wytwórni, stacji telewizyjnych lub skoligaconych z daną postacią fanklubów.

Polskie lata 90. były w kontekście gwiazdorsko-medialnym zaledwie rozgrzewką. Choć zdaniem lingwistki prof. Krystyny Waszakowej wyraz „celebryta" pochodzi z połowy dekady, długo nie znajdował odpowiedniego zastosowania. Prawdziwy celebrytyzm to już dziecko lat dwutysięcznych i produkowanych wówczas na potęgę reality show, poczty elektronicznej czy portali plotkarskich (ale i analogowych odpowiedników w rodzaju założonego w 2003 r. „Faktu"). To wtedy na dobre spełni się warholowska przepowiednia dotycząca „swoich piętnastu minut" i – jak pokaże rozwój internetu – zagości na dłużej. Tylko tej aury szkoda.

MATEUSZ WITKOWSKI



Kaczor Donald, Funky Koval

Dekada na dobre ukształtowanego rynku komiksowego w Polsce.

W spadku po PRL komiks odziedziczył opinię niewymagającej rozrywki dla dzieci (na którą, trzeba przyznać, solidnie zapracował) i kilka podupadających wydawnictw. Młodzieżowa Agencja Wydawnicza ogłosiła upadłość w 1990 r., Krajowa Agencja Wydawnicza dogorywała jeszcze przez dekadę, lecz ostatni album komiksowy opublikowała w 1991 r. Nieliczni mistrzowie albo przestali tworzyć nowe komiksy (Jerzy Wróblewski zmarł w 1990 r., Janusz Christa wycofał się z zawodu ze względów zdrowotnych), albo próbowali – jak twórca „Tytusa, Romka i A'Tomka" Henryk Jerzy Chmielewski – dostosować swoje prace do gwałtownie zmieniających się czasów. Jednak pomijając drobne wyjątki, Polaków nie opłacało się wydawać.

Rynek zareagował jednak, jak przystało na czas tuż po transformacji: pustkę wypełnił wydawnictwami na zachodnich licencjach, które wreszcie można było publikować legalnie. W sprzedaży zaczęły pojawiać się komiksy amerykańskie i frankofońskie, zarówno te przeznaczone dla dzieci, jak i dla dorosłych czytelników. Popularny magazyn literacki „Fantastyka" (od 1990 r. „Nowa Fantastyka") jeszcze pod koniec lat 80. zaczął wydawanie czasopisma „Komiks", na którego łamach zamieszczano całe albumy, głównie z rynku francuskiego (m.in. znane serie „Valerian" i „Rozbitkowie czasu"), choć zdarzały się także polskie superprodukcje: rysowa-

eprasa.pl fa89fff25f



Okładki komiksów z lat 90.

ne przez Bogusława Polcha serie „Funky Koval" oraz „Wiedźmin", który był adaptacją opowiadań Andrzeja Sapkowskiego. Seria o Geralcie, mocno krytykowana za styl rysunkowy, okazała się gwoździem do trumny magazynu – ostatni numer „Komiksu" ukazał się w 1995 r.

Na rynku pojawiły się także polskie oddziały międzynarodowych wydawnictw. Egmont Polska podbijał serca młodych czytelników (i drenował kieszenie ich rodziców) czasopismami o bohaterach ze świata filmów Walta Disneya: „Mickey Mouse" i „Donald Duck" (później połączyły się w jeden tytuł, „Kaczor Donald", który z powodzeniem ukazuje się do dziś). W katalogu wydawnictwa znalazły się jednak także francuskie komiksy o galu Asteriksie oraz dzielnym kowboju Lucky Luke'u, czyli absolutna klasyka europejskiego komiksu dla czytelników w każdym wieku.

Pierwsza połowa lat 90. należała jednak do superbohaterów: wydawnictwo TM-Semic (początkowo działające w Krakowie pod karkołomną nazwą TM-System Supergruppen Codem), którego współwłaścicielem był szwedzki potentat prasowy Semic, rozpoczęło wydawanie najsłynniejszych amerykańskich serii komiksowych: „Spider-Mana", „Punishera", „Batmana" i „Supermana" (w kolejnych latach do katalogu dołączyły kolejne tytuły). Wygłodniali nowości zza oceanu czytelnicy rzucili się na kolorowe zeszyty. Pierwszy numer „Spider-Mana" sprzedał się, wedle szacunków wydawnictwa, w nakładzie przekraczającym 100 tys. egz. – to osiągnięcie, którego już nigdy w Polsce nie udało się powtórzyć. Przez kilka lat na poobijanym rynku wydawniczym TM-Semic rozdawał karty, powiększając swoją ofertę o komiksy dla dzieci, albumy z naklejkami, a nawet czasopisma. Załamanie przyszło w drugiej połowie dekady: spadek sprzedaży i błędne decyzje wydawnicze nałożyły się na komiksowy kryzys na rynku amerykańskim, przez kilka lat oficyna walczyła o przetrwanie, ostatecznie jednak musiała skapitulować w 2003 r. Bez wątpienia jednak jest w znacznej mierze odpowiedzialna za ukształtowanie gustu sporej części dzisiejszych czytelników: opowieści o superbohaterach do dziś stanowią spory segment rynku komiksowego w Polsce.

W drugiej połowie lat 90. zaczęły również nad Wisłą działać wydawnictwa publikujące mangę, czyli komiksy z Japonii: najpierw Japonica Polonica Fantastica, które zaczęło od wydawania „Czarodziejki z Księżyca" oraz serii „Aż do nieba", opowiadającej o losach księcia Józefa Poniatowskiego, pod koniec dekady dołączyła oficyna Waneko. Do dziś manga to pod względem nakładów i sprzedaży największa część rynku komiksowego w Polsce: każdego roku ukazuje się ponad 700 premierowych tomików.

W wydawniczym chaosie lat 90. nie było jednak specjalnie miejsca dla polskich twórców. Nieliczni, jak wspomniani Chmielewski i Polch, dostawali szansę na wysokonakładowe publikacje, większość twórców została jednak zepchnięta na drugi plan. Lecz dzięki temu zaczęło kształtować się nowe pokolenie komiksiarzy, czy to skupionych wokół Stowarzyszenia Contur, organizującego coroczny festiwal w Łodzi, czy działających na rynku wydawnictw niezależnych i zinów. Magazyny, takie jak „AQQ", „KKK" (to skrót od nazwy Krakowskiego Klubu Komiksu), a wreszcie utworzony pod sam koniec dekady „Produkt", drukowały przede wszystkim krótkie formy, dzięki którym mogli zaistnieć artyści, tacy jak Michał Śledziński, Karol KRL Kalinowski czy bracia Tomasz i Bartosz Minkiewiczowie. W komiksowych zinach, często związanych ze środowiskiem punkrockowym i alternatywnym, zamieszczali swoje prace Krzysztof „Prosiak" Owedyk, Dariusz „Pała" Palinowski i Ryszard Dąbrowski. Krótkie komiksy zamieszczała także prasa, od „Gazety Wyborczej", poprzez „Świat Gier Komputerowych", aż po deskorolkowy „Ślizg". I choć na satysfakcjonujące edytorsko albumy polskich twórców trzeba było jeszcze trochę poczekać – dopiero po 2000 r. zaczęły powstawać wydawnictwa, takie jak Kultura Gniewu, Timof Comics czy Ongrys – to właśnie w kryzysowych dla polskich twórców latach 90. zaczęły się kształtować kariery artystów do dziś mających duży wpływ na całokształt rynku.

JAKUB DEMIAŃCZUK

eprasa.pl fa89fff25f



Gmach Sądu Najwyższego w Warszawie, arch. Marek Budzyński. • Poniżej: Nieistniejący już dom handlowy Solpol we Wrocławiu, arch. Wojciech Jarząbek.

Każdy sobie rzepkę skrobie

Niemal rewolucyjny duch w architekturze.

Architektura okazała się bardzo wdzięcznym beneficjentem przemian ustrojowych. W latach 90. w polskich miastach (rzadziej w miasteczkach i na wsiach) działo się sporo, choć owe zmiany – z perspektywy czasu – często okazały się niezbyt szczęśliwe.

Wśród projektantów zapanował wówczas duch niemal rewolucyjny. Wszyscy mieli dość obowiązujących przez poprzednie dekady norm i standardów modernistycznego projektowania. Polegało ono na składaniu możliwie najmniej skomplikowanych klocków w obiekty służące wszystkiemu: zamieszkaniu, pracy, szkolnictwu, służbie zdrowia itd. Teraz triumfy zaczął święcić styl będący całkowitym zaprzeczeniem socjalistycznej wizji budownictwa: postmodernizm. Kolorowy, udziwniony, niekiedy wręcz zawadiacki i prowokujący, kochający ornament, swobodnie czerpiący ze wszystkiego, co wymyślono wcześniej.

Ten postmodernizm miał kilka odsłon. Ta pierwsza, z punktu widzenia historii architektury najważniejsza, to obiekty wybitne. By je zobaczyć, na pewno warto wybrać się szlakiem realizacji Stanisława Niemczyka (tzw. postmodernizm archaizujący, m.in. kościoły Jezusa Chrystusa Odkupiciela w Czechowicach-Dziedzicach czy Miłosierdzia Bożego w Krakowie). Ogromne wrażenie robi siedziba seminarium duchownego ojców zmartwychwstańców w Krakowie zaprojektowana przez Dariusza Kozłowskiego. Na tej liście są też klasycyzujące, okazałe, stołeczne realizacje Marka Budzyńskiego: nowe gmachy biblioteki UW oraz Sądu Najwyższego.

Osobną i osobliwą kartę zapisał Wrocław. A to dzięki Wojciechowi Jarząbkowi, który przez całą dekadę intensywnie promował postmodernizm w charakterystycznej formule fantazyjnych kolorowych elewacji, z flagową realizacją – domem handlowym Solpol. Ale modernizm kwitł w całej Polsce. Na przedmieściach i w mniejszych miasteczkach pączkował zazwyczaj handlowymi pawilonami lub niedużymi biurowcami, mającymi być odpowiedzią na pudełkowate pawilony czasów PRL. Zazwyczaj bardzo powierzchownie, a niekiedy wręcz pokracznie adaptującymi światowe nowinki.



eprasa.pl fa89fff25f





Od lewej: Siedziba Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego, arch. Marek Budzyński. • Kościół Jezusa Chrystusa Odkupiciela w Czechowicach-Dziedzicach, arch. Stanisław Niemczyk.

Gdzieś niedaleko postmodernistycznej mody należy umieścić potężniejący w ostatniej dekadzie XX w. ruch odbudowy (rewitalizacji) miejskich starówek. Dość ciekawie udało się to w Elblągu, ale już tzw. Podzamcze w Szczecinie wyszło dziwacznie. Osobliwy przykład tych retrowersji podziwiać (?) można w Warszawie w postaci fasady Pałacu Jabłonowskich, na której odtworzony dawny układ kondygnacji nijak ma się do współczesnych przestrzeni zaplanowanych wewnątrz.

Zamarły natomiast wówczas realizacje obiektów publicznych. Te będą musiały poczekać na fundusze unijne. Słabo radziła sobie także wielorodzinna mieszkaniówka. Natomiast rozkwitło, wyzwolone z pęt formalnych ograniczeń i zasilone świeżymi pieniędzmi, budownictwo jednorodzinne. W formule niezliczonych wariacji na temat polskiego dworku dla średniozamożnych oraz pałacu-rezydencji („Dynastia") dla najbogatszych. Mało kto martwił się wówczas, ile będzie kosztowało ogrzanie tych wielkich, niefunkcjonalnych, ale przydających prestiżu przestrzeni.

To był także dobry czas dla inwestorów budynków biurowych. Praktycznie w każdym większym mieście, choć z wyraźną przewagą stolicy, wyrastały do bólu banalne i bliźniaczo podobne do siebie wielopiętrowe, niekiedy dziwacznie wybrzuszone prostopadłościany, rodzone w pośpiechu na deskach projektowych drugo- i trzeciorzędnych zachodnich biur architektonicznych. Bo nie chodziło o to, by było ładnie, ale by dobrze się monetyzowało.

Ale gwoli prawdy trzeba dodać, że to właśnie w latach 90. krystalizowała się czołówka architektów i biur, które najsilniej kształtowały polskie miasta (przy okazji budząc niejedną gorącą dyskusję) w kolejnych dziesięcioleciach. Zabłyszczeli JEMS Architekci, którzy elegancką kolonią mieszkaniową na warszawskim Żoliborzu dali sygnał do grodzenia osiedli, by wiele lat później realizacją stołecznej 19. Dzielnicy wezwać do usuwania ogrodzeń. Nabrali wiatru w skrzydła wspomniany Marek Budzyński, ale też Stefan Kuryłowicz, Romuald Loegler. A w samej końcówce dekady objawił się bodaj największy rodzimy star-architekt Robert Konieczny.

Rewolucyjny duch dekady obudził też demony burzenia. W 1996 r. w stolicy zrównano z ziemią największe Kino Moskwa, no i się zaczęło. W kolejnych latach pod kilof poszło wiele niezwykle cennych obiektów modernizmu, głównie w Warszawie (Pawilon Chemii, SuperSam), ale też w innych miastach (np. brutalistyczny dworzec główny w Katowicach). Ów demon z czasem zaczął zresztą zjadać własny ogon; znikały budynki, które były krokami milowymi architektury lat 90., a symbolem zjawiska jest wyburzenie jednej z pereł architektury postmodernistycznej – wspomnianego już Solpolu.

Polska architektura lat 90. za wszelką cenę chciała dystansować się wobec modernizmu. Co sprawiało, że często ocierała się o kicz i tanie efekciarstwo. W rezultacie zestarzała się brzydko, a kolejne jej liftingi (najsłynniejszy to wybielenie warszawskiego Hotelu Sobieski) raz są udane, kiedy indziej chybione. Ale powstało wówczas kilka obiektów, które bezapelacyjnie pozostaną w łaskawej pamięci. To np. krakowskie Centrum Sztuki i Techniki Japońskiej, siedziba BRE Banku w Bydgoszczy czy cerkiew greckokatolicka w Białym Borze. Może jest tego niewiele, ale takie były czasy: burzliwe, efektowne, niegrzeszące jakością.

PIOTR SARZYŃSKI



Nowa starówka w Elblągu.

eprasa.pl fa89fff25f

Od punkowca do hipstera

Subkultury nowej Polski.

Mirosław Pęczak

Wielobarwny wachlarz. Do eksplozji subkultur młodzieżowych w Polsce doszło już w ostatniej dekadzie PRL. Politycznym katalizatorem tej sytuacji był oczywiście karnawał Solidarności między sierpniem 1980 r. a grudniem 1981 r., kiedy zelżały pilnowane przez milicję i SB rygory życia społecznego. A poza wszystkim władza i jej agendy przez całe lata 80. musiały więcej energii wydatkować na walkę z opozycją polityczną niż z dziwacznie wyglądającą młodzieżą. Ważne były też kanały komunikacji młodych ludzi ze światem – mimo mrocznego epizodu stanu wojennego o wiele bardziej otwarte niż wcześniej. W ten sposób Polska Ludowa dość nieoczekiwanie stała się jednym z liczniejszych w Europie centrów ruchu anarcho-punkowego, a na festiwalu w Jarocinie można było spotkać także rodzimych rastafarian, neohipisów, fanów muzyki metalowej, także tych zafascynowanych satanizmem, poppersów, uczestników orientalnych grup religijnych… Cały ten wielobarwny wachlarz trzeba uzupełnić o reprezentację środowisk agresywnych, realizujących wzór chuligański – jak kibice-szalikowcy czy skinheadzi – którzy całkiem licznie zaczęli się pojawiać w Warszawie, Wrocławiu, Trójmieście czy w Łodzi w drugiej połowie dekady.

Przełom polityczny, jaki nastąpił w 1989 r., doraźnie nie przyniósł jakiejś powszechnie odczuwalnej przemiany w świecie subkultur, ale już w pierwszych latach transformacji zaczął zaznaczać się także w tych środowiskach podział na duże miasta i prowincję, bogatych i biednych, tych z lepszych i gorszych szkół. Przekładało się to na różnice w młodzieżowych stylach życia, postawach i w różny sposób demonstrowaną przez młodych ludzi aksjologię.

Dwie sceny w Jarocinie. Spektakularnym tego przejawem stały się dwie edycje festiwalu jarocińskiego – z 1993 i 1994 r. W 1993 r. dyrektorem festiwalu został Kuba Wojewódzki, zaś głównym sponsorem firma Marlboro Music organizująca w Polsce w latach 90. serię koncertów pod szyldem Marlboro Rock In. Komercyjny wymiar imprezy rzucał się w oczy wyraźnie. Podobnie jak podział na dwie sceny: dużą, zainstalowaną na stadionie, gdzie prawo wstępu mieli właściciele karnetów na koncerty, i tę mniejszą, w amfiteatrze, gdzie można było wejść za darmo.

Wśród publiczności wyróżniali się fani punk rocka, głośno protestujący przeciw udziałowi wielkiego koncernu tytoniowego w finansowaniu imprezy. W rozpowszechnianej w anarchistycznych zinach opinii koncern Philip Morris wspierał południowoafrykański apartheid i prawicowych polityków w USA. Trudno, by przybyli do Jarocina punkowcy byli tej wiedzy pozbawieni. Atmosfera ro-



Punk na Festiwalu Muzyków Rockowych w Jarocinie, 1991 r.

eprasa.pl fa89fff25f

biła się gęsta i w efekcie doszło do walk między punkami a ochroną wokół amfiteatru. Powodem była decyzja organizatorów o przerwaniu przedłużającego się występu punkowej kapeli Smar SW, ale przy tej okazji ujawnił się konflikt wynikający wprost z podziału wśród publiczności.

Jabol punk i inni. W tak opisanych okolicznościach pojawiło się zjawisko tzw. jabol punka, odnoszące się zarówno do muzyki, jak i specyfiki społecznej czy środowiskowej. Nazwę upowszechnił ustrzycki zespół KSU w piosence pod tym właśnie tytułem powstałej w 1988 r. Oto fragment:

„Metoda na życie
I sposób na tłum
Na kryzys, na gnicie
Na chaos, na ból
Gdy nie wiesz, dokąd iść
Krzyk zmęczył Cię
Za szyjkę mocno chwyć
I napij się
Jabol punk (…)
Przepali Ci nery
Przetrawi Ci mózg
Już nie masz problemów
I jesteś jak Bóg
Już razem pijemy
Ten szampan dla mas
I wszystko w nim znajdziesz
Smród, siarę i kwas".

Jest w powyższym tekście dystans do postawy całkowicie abnegacyjnej, jest też rodzaj autoironii, wszak kapela KSU w latach 80. była wyraźnie kojarzona nie tyle z anarchistycznym buntem, ile z opisywaniem beznadziei w tzw. Polsce B. Tak czy inaczej, rzeczony song stał się swego rodzaju drogowskazem dla typowych, powstających już w czasach transformacji tekstów takich zespołów jak Defekt Muzgó, WC, Sedes czy Uliczny Opryszek, który śpiewał takie m.in. frazy:

„Idziesz, leżysz, znów podnosisz się
wstajesz, rzygasz, znowu jest ci źle
Ale wali cię to – dragi są OK.
Przecież świat okrutny i zły jest".

Rzadziej zdarzały się w tym nurcie piosenki zawierające akcenty polityczne czy światopoglądowe, choć może dlatego warto zacytować fragment utworu śląskiej kapeli Disaponted:

„Mój stary był faszystą
Ja zostałem anarchistą
Spierdoliłem z chaty
Kiedy stwierdził, że są straty
że prądu nie płaciłem, że wody nie spuściłem.
Ref.
Anarchia, anarchia, to jest mój znak
Anarchia, anarchia, jestem jak ptak".

W poetykę tekstów dobrze wpisywały się nazwy zespołów kojarzonych z jabol punkiem (np. Nauka o Gównie, z czego wynika, że motywy skatologiczne występowały w owym nurcie nader często). Także wygląd jabolowych punkowców podkreślał abnegację. Skórzane kurtki to bodaj jedyny element podkreślający związek z heroicznymi czasami subkultury, czasem też fryzura na irokeza, no i glany, choć niekoniecznie oryginalne, angielskie Martensy, częściej tzw. rumuny, czyli tanie, przeznaczone pierwotnie dla wojska ciężkie buciory sprowadzane z Rumunii.

Wypadki z Jarocina z 1993 r., których aktywnym zbiorowym uczestnikiem były właśnie załogi złożone z napędzanych resentymentem, pogardzanych przez wielkomiejską złotą młodzież punków, miały swoją kontynuację w kolejnej odsłonie festiwalu. Agresja była jeszcze większa, przylegająca do miejskiego parku i położonego nieopodal stadionu ulica św. Ducha wyglądała po zadymach z policją jak po kataklizmie: powybijane okna, na jezdni dywan z rozbitego szkła, kamieni i kawałków asfaltu. Kilkadziesiąt osób poszkodowanych, w tym ciężko pobity gitarzysta zespołu Armia Michał Grymuza. W efekcie, po podjęciu odpowiednich decyzji przez władze miasta, historia festiwalu zatrzymała się na ponad dekadę, a do jego reaktywacji doszło dopiero w 2006 r.

Mapa międzysubkulturowych animozji. Jak to wszystko ma się do świata subkultur? Otóż trzeba najpierw wytłumaczyć, że ten świat nigdy nie był w swojej (nie tylko polskiej) historii jednolity. W latach 50. antagonistami podążających za modą bikiniarzy byli chuligani, w końcówce kolejnej dekady rzucał się w oczy konflikt między hipisami a gitowcami, a w heroicznych czasach Jarocina, u schyłku PRL, mapa animozji urozmaiciła się choćby z tego powodu, że namnożyło się rozmaitych subkultur i każda znajdowała swoich zbiorowych wrogów. Za każdym razem antagonizmy i podziały układały się mniej lub bardziej wyraźnie według opozycji: kosmopolityzm – swojskość, metropolia – prowincja, wysoki i niski kapitał społeczny charakteryzujący środowiska, z jakich uczestnicy subkultur się wywodzili. W swej książce („Subkultury w PRL. Opór, kreacja, imitacja", Warszawa 2013) niżej podpisany podzielił polskie subkultury na dwie kategorie – gangi i bohemy. W tej pierwszej znaleźli się m.in. chuligani, gitowcy, kibice-szalikowcy i skinheadzi, w drugiej bikiniarze, hipisi, punkowcy. Główna różnica polegała na tym, że gangi miały charakter ekskluzywny, opierały się (wzorem grup przestępczych) na sztywnej, hierarchicznej strukturze i stosowały przemoc jako narzędzie rozwiązywania problemów, natomiast bohemy były otwarte i włączające, ich struktura była płynna i z reguły niehierarchiczna, a relacje wewnątrz grupy i w dużym stopniu te ze światem zewnętrznym wykluczały zachowania przemocowe.



KSU, reprezentanci tzw. jabol punka, podczas koncertu w Jaśle, 2003 r.

W okresie transformacji ten klarowny, jak się wydawało, dwudzielny układ uległ ostatecznej dekompozycji;

eprasa.pl fa89fff25f

„Ślizg”



Okładka „Ślizgu” z sierpnia 1996 r.

To pierwsze w Polsce profesjonalne czasopismo poświęcone skateboardingowi i kulturze hiphopowej. Miesięcznik „Ślizg” wystartował w 1995 r. z inicjatywy Franka Toeplitza, rapera i popularyzatora hip-hopu. Nazwę magazynu wymyślił ponoć jego ojciec, słynny publicysta i felietonista Krzysztof Teodor Toeplitz (przez kilka lat także autor POLITYKI). Pismo o nakładzie sięgającym 20 tys. egzemplarzy zawierało m.in. informacje o zawodach skateboardowych, sklepach ze sprzętem, starało się też być trybuną skateingu jako środowiska subkulturowego. Drugim ważnym polem zainteresowania był hip-hop. Do każdego wydania dołączano płytę CD z utworami polskiego rapu. Znalazły się tam dokonania takich wykonawców jak AbradAb, Mezo, Lilu, Molesta Ewenement, O.S.T.R. czy KASTA. Na łamach „Ślizgu” ukazywał się także jeden z najpopularniejszych polskich komiksów alternatywnych „Jeż Jerzy”. Pismo przestało się ukazywać w 2007 r.

(MP)

Z POLITYKI


Pogo, taniec punków, Jarocin, 1986 r.

Zobaczone w Jarocinie

„[Dawniej] wszystkich łączyło przekonanie, że tu w Jarocinie oddycha się swobodniej, niż w szkole czy na ulicy własnego miasta, gdzie »za wygląd« milicja zgarniała na komisariat. Dziś w subkulturach przeważają ci młodzi, którzy zwyczajnie nie czują się na siłach stawić czoła konkurencji. Cierpią na poczucie braku szans i udział w grupie punków czy skinheadów rekompensuje im brak dowartościowania. W Jarocinie wśród punków najczęściej można było spotkać [w tym roku] młodzież z małych miast. Dla tej wielkomiejskiej punk to przeważnie przeżytek. Nawet status zmodyfikowanego punkowca-anarchisty nie wydaje się jej nazbyt pociągający. Ci biedni, prowincjonalni, a jednocześnie pragnący w jakiś sposób podkreślić swoją odrębność, wybierają agresję, abnegację lub ucieczkę. Wąchają butapren albo piją tanie wino, by potem się awanturować. Z maniackim uporem bronią całkowicie dziś niemodnej antyestetyki punkowskiej, która była przecież, u swoich narodzin w Anglii, antyestetyką odrzuconych”.

Mirosław Pęczak, „Festiwal jest nasz”, POLITYKA 33/1993

tym bardziej że niektóre z grup przekraczały definicyjną granicę subkultury, próbując tworzyć coś w rodzaju politycznych przyczółków anarchizmu czy wręcz nowego ruchu społecznego. Dobrymi tego przykładami mogły być gdański Ruch Społeczeństwa Alternatywnego i wrocławscy happenerzy z Pomarańczowej Alternatywy. Po 1989 r. jeszcze większego znaczenia zaczęły nabierać zróżnicowania środowiskowe i klasowe. Wspomniany jabol punk wydaje się emblematycznym przejawem tej tendencji. Między innymi dlatego, że dotyczył środowisk społecznie zaniedbanych, dalekich od jakiegokolwiek etosu, bliższych w swoim psychospołecznym profilu gangom niż bohemom, czyli dokładnie inaczej niż rzecz się miała z pierwszymi w Polsce wielkomiejskimi załogami punkowskimi na przełomie lat 70. i 80.

W orbicie polityki i futbolu. Transformacja przyniosła w tym kontekście jeszcze inne zmiany. Wymienione wcześniej agresywne subkultury powielające wzorzec chuligański, jak kibice-szalikowcy czy skini, w pewnym momencie zaczęły korzystać z wcześniej niedostępnych okazji, choćby takich jak instytucjonalne wsparcie ze strony skrajnie prawicowych ugrupowań politycznych. Dotyczyło to w pierwszym rzędzie skinheadów. 1 maja 1990 r. w warszawskim Pałacu Kultury i Nauki z inicjatywy Janusza Korwin-Mikkego odbył się I Kongres Prawicy Polskiej, gromadzący rozmaite radykalne środowiska, w tym skrajnie nacjonalistyczne i faszyzujące, jak Narodowe Odrodzenie Polski czy Polska Wspólnota Narodowa. Do ochrony obrad zaangażowano skinheadów i był to pierwszy tak spektakularny akt włączania się tej subkultury w działalność polityczną. Legendą stała się bitwa skinów-ochroniarzy z grupami anarchistów, którzy chcieli zakłócić kongres.

Szczególną aktywnością w przyciąganiu skinów do pracy w strukturach organizacyjnych wykazywała się Polska Wspólnota Narodowa Bolesława Tejkowskiego i Stronnictwo Narodowe Szczerbiec, którego działaczem został Tomasz Kostyła, lider skinheadzkiej kapeli Legion z Wrocławia czy bracia Borys i Paweł Kijanowscy, redaktorzy gazetki „Skinhead Sarmata”, najbardziej znanego skin-zinu z początku lat 90. Można w tym przypadku mówić o swoistej instytucjonalizacji agresywnej subkultury przez ultraprawicowe organizacje polityczne, co już w latach 70. i 80. wypraktykował brytyjski National Front, adresując swoją ofertę nie tylko do skinheadów, ale też kibiców piłkarskich.

Trzeba przy tym podkreślić, że w pierwszej dekadzie III RP sytuacja kibiców piłkarskich była jednak inna niż ta, w której znajdowali się skini. Stadionowe ekspresje tzw. kiboli w powszechnym odczuciu uchodziły za prosty dowód chamstwa i agresji, za którymi nie kryło się jakiekolwiek ideologiczne uzasadnienie; ujawniały co najwyżej przywiązanie do barw klubowych i lokalny szowinizm. Opinia taka ugruntowywała się po coraz liczniejszych relacjach mediów z przejazdów tzw. pociągów grozy, w których pijani kibole podróżujący na mecze wyjazdowe klubowych drużyn dopuszczali się nie tylko rutynowych chuligańskich wybryków, ale też poważnych przestępstw. Musiało upłynąć kilkanaście lat, zanim kibole Legii Warszawa stali się przednią strażą Marszu Niepodległości i bliskimi sojusznikami czy wręcz segmentem faszyzujących grup. Przez ten czas środowiska kibicowskie przestały być wyłącznie publicznością rozgrywek sportowych. Z jednej strony profesjonalizacji ulegała tzw. oprawa meczów (pomysłowe banery, widowiskowe rytuały i coraz bardziej urozmaicony repertuar stadionowych przyśpiewek), z drugiej zaś zaczęły tworzyć się struktury quasimafijne, przejmujące część legalnego okołostadionowego biz-

eprasa.pl fa89fff25f

Członkowie Polskiej Wspólnoty Narodowej zakłócający zabawę w Dniu Wiosny, warszawska Agrykola, marzec 1992 r.

nesu (mała gastronomia, stragany z gadżetami), z czasem również praktykujące całkowicie nielegalny, za to bardzo intratny handel narkotykami. Grupy kibiców stawały się gangami *par excellence*. I tak to trwa do dziś.

Tak czy inaczej, zarówno w przypadku skinheadów, jak i kibiców w grę wchodziła instytucjonalizacja subkultury, która zmieniała jej status i specyfikę. Spontaniczność zbiorowego zachowania ustępowała na rzecz wypracowanej taktyki, a pierwotnie ograniczona lokalnie i środowiskowo tożsamość małych grup zyskiwała szerszą skalę poprzez kontakt ze strukturami zewnętrznymi – politycznymi albo przestępczymi.

Dresiarze i twarde subkultury. Opisane zmiany nie stanęły na przeszkodzie pojawieniu się w latach 90. nieznanego wcześniej, ale typowego w swojej subkulturowości zjawiska, mianowicie dresiarzy. Na ławkach między blokami wielkopłytowych osiedli, na wiejskich przystankach autobusowych zaroiło się od nastolatków ubranych w dresy, dopasowane do tego sportowe buty, fryzury na żel, co było ważne, kiedy towarzystwo ruszało do dyskoteki. Czasem były to organizowane w dużych hangarach poza miastami zabawy z graną na żywo, wchodzącą wtedy na szerszy rynek muzyką disco polo. Natomiast w Warszawie czy w Trójmieście w co droższych dyskotekach zaczęto przy bramkach umieszczać obwieszczenia, że nie wpuszcza się osób w obuwiu sportowym i w bejsbolówkach na głowie, w niektórych – że nie wejdzie nikt ubrany w dres. Była to reakcja na rozpowszechnioną opinię, że obecność dresiarzy gwarantuje awanturę i bijatykę.



Pokaz siły skinheadów, Wrocław, pocz. lat 90.

Bo i rzeczywiście młodzieńcy w dresach często stanowili straż przyboczną gangsterskiej wierchuszki np. z Wołomina czy Pruszkowa (art. s. 108), a do tego dresiarski

eprasa.pl fa89fff25f

styl znamionował nastolatków okradających samochody, często też tych, którzy aspirowali do ważniejszej pozycji w przestępczej hierarchii i planowali zostać wyspecjalizowanymi złodziejami samochodów. W tej sytuacji dresiarz, zwany też pospolicie dresem, stał się figurą uosabiającą niezbyt rozgarniętego umysłowo, ale skorego do rozróby kandydata na żołnierza mafii. Nie musiał kończyć szkół. Ważne, że regularnie odwiedzał siłownię.

W 1998 r. zespół Dezerter wydał album „Ziemia jest płaska", na którym znajdziemy piosenkę z frazą: „Dresy przyszły ze wschodu/ Nie z Ameryki i nie z zachodu". Rzeczywiście, pierwsze skojarzenia dotyczyły rosyjskich gopników, w tym moskiewskich luberowców (nazwa od dzielnicy Lubercy, gdzie po wojnie afgańskiej rozpleniło się chuligaństwo), przypominających trochę polskich dawnych gitowców, tyle że odzianych w dresy i chętnie noszących pozłacane łańcuchy na szyjach. Co ważne, ten domniemany rosyjski rodowód akcentował często obecną w agresywnych polskich subkulturach swojskość – słowiański rys ma oddzielać nas od zgniłego Zachodu, gdzie daje się pełną swobodę pedałom i feministkom. Inna sprawa, że dres – co pokazuje film Mathieu Kassovitza „Nienawiść" z 1995 r. – bywał strojem młodych, zaniedbanych



Grupa dresiarzy napadających na przechodnia, ul. Brzeska w Warszawie, czerwiec 1996 r.

POLITYKI

Antymieszczanie z baraku

Squat – po angielsku znaczy kucać, przycupnąć, osiedlić się na nie swoim gruncie, zająć bezprawnie lokal. Tomek, który pierwszy wpadł na ten pomysł, podpatrzył squattersów w Niemczech. – *Tam jest rzeczą normalną, że młodzi ludzie znajdują opuszczone budynki, remontują je i zamieszkują* – mówi. – (…) *W squacie żyją bez zobowiązań, nie obchodzi ich czynsz, prąd, wywóz śmieci. Za nic nie płacą. Są wolni.* (…)

Squat (…) to nie jest mieszkanie na wieczność, to sposób na życie. Tutaj nie masz przypadkowego sąsiada, zasypiasz i budzisz się wśród przyjaciół, znają cię, chcą z tobą przebywać, łączy was punk rock i wspólne pasje, na przykład ekologia albo walka o prawa zwierząt. – *Można to nazwać komuną, życiem w grupie, wszystko jedno* – mówi Przemek. – *Mnie się to podoba.* Jest jedynakiem. Rodzice od świtu do nocy dorabiali, pamięta, że zawsze był sam.

Szesnaście osób, wśród nich cztery dziewczyny, pięć psów i kot, średnia wieku 22 lata. Nie mają czasu się nudzić. Każdy coś robi. Karina i Piotrek uczą się w Policealnym Studium Pracowników Służb Społecznych, Radek studiuje politologię, Przemek jest listonoszem, Piotr (...) studiuje geografię, Jacek etnologię i antropologię kulturową, Tomek odbywa zastępczą służbę wojskową, Sebastian generalnie leży na kanapie. Zarobił jakie takie pieniądze w Berlinie i żyje jak król. Inni pracują gdzieś na myjce, dorabiają w fabrykach (…). Z resztą społeczeństwa nie jest im po drodze, gardzą – jak mówią – standardowym trybem życia: praca – obiad – gazeta – telewizor. Antymieszczanie – tak siebie nazywają.

Wszyscy są związani ze sceną autonomiczną, funkcjonującą poza komercyjnymi układami. Piosenki traktują jak środek przekazu ważnych treści. Śpiewają o potrzebie wolności i o tym, że są przeciwni wszelkim formom dyskryminacji. (…) Rozbrat – tak nazwali barak, który z powodu plajty hurtowni stał pusty. – *Po prostu się marnował* – przekonują. Z zewnątrz był nienaruszony, brakowało tylko drzwi, natomiast wnętrza opłakane – pełno śmieci, gruz, dziury w sufitach, smród. Każdy wyremontował swój pokój, meble poprzywozili sobie z domów, od znajomych, ktoś coś znalazł na śmietniku. (…) Mówią, że wzięli rozbrat z tym, co za płotem – nie chcą dwóch pokojów z kuchnią i rodzicami, imponuje im niezależność, wolą budować trudniejsze, ale własne życie.

W korytarzu na ścianie rozpiska, kto kiedy sprząta kibelek, kto zamiata, kto przywozi beczkę z wodą (bo w kranie sucho), od czasu do czasu zrzutka na wspólne wydatki. – *Szkoła życia* – mówią. (…) Nic z nieba nie spada, kolacja nie czeka, trzeba brać sprawy w swoje ręce. (…) Lubią emocje związane z mieszkaniem w squacie i policyjnymi nalotami. (…) Mieli już sześć niespodziewanych wizyt. Funkcjonariusze przyszli, popatrzyli, pokiwali głowami. Zdziwili się, widząc, że grają w szachy. (…) Polityka jest brudna i chciwa na pieniądze. Działają w ruchach ekologicznych, antyfaszystowskich. (…) Są razem od 14 miesięcy (...) – *Nikt nie ma ochoty stąd odejść* – mówi Tomek – *Chętni czekają w kolejce.*



Squat w Poznaniu, 1996 r.

Anna Tomiak, „Przycupnąć w squacie", POLITYKA 3/1996

eprasa.pl fa89fff25f

społecznie mieszkańców imigranckich dzielnic Paryża, a także czarnych raperów z Nowego Jorku. Tym ostatnim nie były też obce złote łańcuchy na szyjach. Oczywiście, trudno o pewność, że polscy dresiarze w pierwszej połowie lat 90. wzorowali się akurat na rówieśnikach z arabskiej mniejszości Francji czy czarnych gett Ameryki, tak jak trudno pominąć fakt, że akurat wtedy właśnie ruska mafia stała się atrakcyjnym wzorcem dla rodzimych dresiarzy.

W istocie tzw. twarde, wzorowane na gangach subkultury były w latach 90. prostą kontynuacją swoich poprzedników z czasów PRL (chuliganów, gitowców), tyle że radykalnie zmienił się kontekst: pojawiła się regularna zorganizowana przestępczość i nowe mafijne kategorie przestępstw, jak choćby reket (rozpowszechnione w Rosji po upadku ZSRR słowo oznaczające haracz), handel narkotykami na dużą skalę, nielegalny handel bronią itd. Z drugiej strony rozrastała się mapa organizacji skrajnie prawicowych, które, wzorem swoich odpowiedników na Zachodzie, liczyły na pozyskanie młodzieżowej klienteli, notabene zgodnie z mechanizmem opisanym przez Stefana Czarnowskiego w książce z 1936 r. „Ludzie zbędni w służbie przemocy" analizującej przykłady wykorzystywania społecznych frustracji i resentymentów przez partie faszystowskie.

Blokersi. Pozornie bliscy dresiarskiego kolorytu okazali się młodzi fani rodzimego hip-hopu, którzy w końcówce dekady zyskali nazwę blokersów. Pozornie, bo o ile dresiarską subkulturowość daje się definiować mimo wszystko wedle klasycznych wyznaczników dotyczących zarówno stylu, jak i zbiorowej tożsamości, to w przypadku hip-hopu w grę wchodzi istotny kontekst komercyjny. Angielski badacz David Muggleton w książce „Wewnątrz subkultury" postawił tezę, wedle której takie cechy zbiorowości jak wysoki stopień zaangażowania, homogeniczność stylu, polityczny opór czy świadomość własnej autentyczności byłyby charakterystyczne dla klasycznych subkultur, z których historycznie ostatnią pozostaje punk. To, co się dzieje potem i co wyraża się m.in. tożsamością fragmentaryczną i celebracją nieautentyczności, należałoby nazywać postsubkulturami. Świat subkultur, którym rządzi zasada „zrób to sam", abdykuje, gdy zaczyna rządzić hasło „kup to sam".

W monografii „Krótka historia młodzieżowej subkulturowości" poznańskiego socjologa Witolda Września czytamy: „Hip-hop stał się głównie dobrze sprzedającym się (po)subkulturowym towarem, gwarantującym wysokie zyski jego twórcom i producentom, a jego miłośnicy stopniowo zaczęli tracić subkulturowe cechy. Zanim jednak do tego doszło, hip-hop okazał się bardzo ekspansywną oraz znaczącą inspiracją do tworzenia regionalnych wcieleń hiphopowych subkulturowości, dzięki czemu powstały interesujące hybrydy, łączące to, co w hip-hopie było »globalne«, z tym, co »lokalne« – hip-hop w nowych miejscach tworzył nowe formy subkulturowości. W Polsce zresztą także". Tyle że polski hip-hop, jak pisze Wrzesień, „pojawił się na scenie kultury młodzieżowej (…) w czasach, gdy entuzjazm związany z transformacją systemu ustrojowego definitywnie wygasł. Niemal ogólnonarodową euforię szybko zastąpiło rozczarowanie, wynikające zarówno z niedogodności samego procesu transformacji, jak i ze zderzenia z nieznaną lub zapomnianą rzeczywistością kapitalizmu oraz gospodarki rynkowej".

Swoją drogą dość szybko doszło do podziału na hiphopowców prowincjonalnych i wielkomiejskich. Ci pierwsi obowiązkowo eksponowali spodnie z nisko opuszczonym krokiem, bluzy z kapturem, niekoniecznie markowe, słuchali najczęściej tzw. ulicznego rapu w wykonaniu Hemp Gru albo Pei, ci drudzy dopuszczali wielowariantowość wyglądu i na pierwszy rzut oka równie dobrze mogli się wpasować w publiczność koncertu Snoop Dogga, jak i w koloryt szpanerskiego klubu muzycznego. Uosobieniem inteligentnego rapu stał się Bartek Waglewski, czyli Fisz, a kontynuacją m.in. Taco Hemingway.



Okładka pierwszego albumu Slums Attack, przedstawicieli rodzimego hip-hopu, którego młodzi fani zyskali miano blokersów, 1996 r.

Kultura klubowa, biforki i afterki. Związki pewnych odłamów hip-hopu z kulturą klubową i charakterystyczną dla niej muzyką elektroniczną pozostają dość oczywiste. Dotyczą samej twórczości, ale też specyfiki publiczności. Imprezy z rapem, tak jak te inspirowane na Zachodzie jeszcze w latach 80. ruchem *acid house* propagującym ideę tańca jako ekspresji antysystemowej oraz stymulatorów w rodzaju ecstasy jako nieodzownego elementu transowej zabawy, tworzyły rodzaj alternatywnej rzeczywistości. Stało się to podstawowym założeniem tzw. *rave parties*, czyli imprez organizowanych w opuszczonych halach fabrycznych, nieużytkowanych magazynach czy w plenerze. Z uwagi na nagminne używanie substancji psychoaktywnych w wielu krajach – jak choćby w Wielkiej Brytanii – imprezy rave zostały oficjalnie zakazane i przeniosły się do podziemia, co tylko dodało im splendoru.

W Polsce rave, tak jak cała kultura klubowa, zaczął się upowszechniać na początku lat 90. Ważnym punktem na tej mapie była Łódź z nowo powstającymi klubami muzycznymi New Alcatraz, Blue Velvet, Węglowa. Wkrótce dołączyły Warszawa z Horyzontami i Kraków z Krzysztoforami. Równocześnie popularyzowały się liczne gatunki muzyki klubowej: techno, drum and bass, dubstep, trance, breakbeat. Emblematycznego dla kultury rocka długowłosego gitarzystę za-



Ulotka z zaproszeniem na acid party w Łodzi, autorstwa Marcela Zamenhoffa, ok. 1994 r.

eprasa.pl fa89fff25f

stąpił didżej ze słuchawkami na uszach. Towarzysząca temu subkultura albo – jak chce Muggleton – postsubkultura nie miała tak wyrazistych znaków szczególnych jak punk czy ruch hipisowski. Początkowo rzucały się w oczy białe rękawiczki, błyszczące w światłach dyskotekowego stroboskopu oraz gwizdki, często obnoszone i używane na pierwszych paradach równości, ale bardzo szybko rekwizyty te uznano za obciachowe. Co bardziej trendsetterscy klubowicze z podstawowego stylu pozostawili co najwyżej luźne spodnie ogrodniczki, sportowe buty i białe T-shirty. Na imprezach widywało się też fryzury z farbowanymi na różne kolory włosami, niekiedy nawiązania do punkowego irokeza, ale generalnie panowała swoboda w kreowaniu własnego wyglądu.

Swoboda dotyczyła też generowanych przez clubbing zwyczajów, takich jak biforki i afterki (*before parties* i *after parties*, czyli spotkania przed i po głównych imprezach, co mogło się odbywać w domu, ale także w wybranym klubie czy podobnym lokalu). Chodziło o to, żeby wprawić się za pomocą odpowiednich używek w odpowiedni nastrój, a w przypadku afterków, żeby nastrój podtrzymać, albo uchronić się przed zbyt dramatycznym zjazdem, co było fizjologiczną ceną za nadużycie stymulantów. Ciekawe, że w stylu było oszczędne, albo nawet zerowe korzystanie z alkoholu, który skutecznie zastępowano amfetaminą, ecstasy, czasem kwasem, czyli LSD, niekiedy, w celu uspokojenia nastroju, marihuaną. Do zwyczaju weszło też odwiedzanie w ciągu jednej nocy kilku klubów, więc łatwo sobie wyobrazić, że takie imprezowanie bywało wyczerpujące.



Impreza rave w klubie New Alcatraz w Łodzi, 1997 r.

z POLITYKI

Na Jelonkach



Osiedle Przyjaźń, czyli akademik na Jelonkach, Warszawa, 1995 r.

1 kwietnia 1997

Co z tego, że nie ma ciepłej wody!? Maciek zarządził wieczorem ognisko. Każdy ma zebrać chrust. (...) Chrust w Warszawie? Maćkowi już szuflady nie wystarczają. Niech żyją nasze ukochane Jelonki! Dopóki jeszcze tu mieszkamy... A rzeczy będziemy najwyżej trzymać w pudełkach.

Aha! Kropka znalazła karalucha. Poleciałyśmy do kierownika błagać o dezynfekcję. Po ojcowsku poradził: Kupcie sobie panie iguanę. Niestety, nie był to żart.

2 kwietnia 1997

(...) Jednak szuflad było zdecydowanie za mało. Poszła jeszcze barierka z werandy. I wykładzina z korytarza. Kierownik straszy wyrzuceniem i vice versa. Tak zaskakująco zakończył swoją krótką wypowiedź. (...)

14 kwietnia 1997

Ładny początek tygodnia. Murzyni grali do rana na tam-tamach. I opalali nad butlą kurczaka. Do końca życia zapamiętam ten zapach. (...)

15 kwietnia 1997

Ktoś nam podpalił drzwi!!!!

30 kwietnia 1997

Zbyszek z Pawłem zaczęli maraton picia. Piwo, kobiety, trawa i śpiew. Pół miesiąca albo i więcej bez trzeźwienia (...) Swoją drogą, jak to dobrze, że domki są parterowe. Do tej pory nikt przez okno nie wypadł. A na Żwirkach wypadł, ale tam jest 10-piętrowe bloczysko!

13 maja 1997

Przyjemniej by się leżało na kocyku przed domkiem, gdyby nie widmo sesji. Kto wymyślił siedem egzaminów latem, a jeden w zimie? Wariat, który nigdy na Jelonkach nie mieszkał. (...) A swoją drogą, akademik w domkach po robotnikach, którzy budowali dumę Warszawy – Pałac Kultury i Nauki – kto to wymyślił?

Maniek poparzył się wodą pod prysznicem. Nie spodziewał się ciepłej, a co dopiero gorącej. Sama nie wiem, jak to na Jelonkach zakwalifikować – dobra czy zła wiadomość?

16 maja 1997

Kropce pękła sprężyna w łóżku. (...) Poszła szukać pana Jacka w administracji (...) Nie mógł jej pomóc, bo akurat wyciągał trupa z któregoś z domków. (...) Nawet nie wiadomo, kto to był. (...)

16 lipca 1997

Listonosz nawet nie próbuje na Jelonki przynieść poleconego listu czy pieniędzy. Od razu zostawia awizo. Każdy domek jest parterowy, non stop otwarty i ma 17 pokoi. Rzekomo listonosz się boi. Czego, pytam się? (...)

4 października 1997

Wszyscy już są. Są też pierwsze ogłoszenia – „Pilnie kupię martwą duszę". Czytać – pilnie kupię miejsce w akademiku. Powodzenia. (...)

2 stycznia 1998

(...) W akademiku, wbrew pozorom, każda zabawa wygląda tak samo. Można tylko ładniej się ubrać, mniej lub więcej wypić i zdemolować. Dlatego większość mieszkańców wita Nowy Rok gdzie indziej. Jak już jesteśmy przy demolowaniu, to jest jedna prawidłowość – więcej demolują goście z miasta. Dla większości mieszkańców akademik to Dom. Choćby nie wiem jak nieprawdopodobnie to brzmiało.

Z drugiej strony, każda z nas doskonale pamięta, jak na pierwszym roku studiów poprosiłyśmy kierownika o odmalowanie pokoju. Odpowiedział nam, że nie widzi takiej możliwości, bo nasz pokój jest za mało zdemolowany.

Jowita Flankowska, „Życie wewnętrzne, czyli pamiętnik znaleziony w polskim akademiku", POLITYKA 12/1998

eprasa.pl fa89fff25f





Od góry: Deskorolkarze pod pomnikiem Wincentego Witosa na Placu Trzech Krzyży w Warszawie, listopad 1990 r.

Tomasz Beksiński, nieżyjący już dziennikarz muzyczny i tłumacz, miłośnik subkultury gotyckiej, 1994 r.

Fuzje, mody, fascynacje. W końcówce dekady doszło do ciekawej fuzji miejskiego clubbingu z żywiołem wiejskich dyskotek eksponujących w swojej ofercie muzycznej głównie disco polo. Ich młoda klientela zaczęła praktykować zwyczaj podpatrzony u klubowiczów: odwiedzanie kilku miejsc w niedługich odstępach czasu. Wszelako wymagało to od kierowców zachowania trzeźwości. Wtedy drogówka nie stosowała jeszcze narkotestów, więc teoretycznie można było coś zarzucić (proste stymulanty jak amfetamina w tamtym czasie trafiały już na wiejskie zabawy), ale z różnych obserwacji wynika, że właściciele pojazdów raczej nie ryzykowali. Przeprowadzone w kolejnej dekadzie badania nad kulturą wsi i małych miast pokazywały, że transfer wzorów zachowań i stylów życia z miast na wieś był już tendencją stałą i w sporym stopniu dotyczył także korzystania z rozrywek. Wiejski clubbing znakomicie to ilustrował. Chodziło też o to, co dawniej charakteryzowało subkultury młodzieżowe (na świecie i w Polsce): aby odróżnić się od rodziców.

Im bliżej końca dekady, tym bardziej rozmywały się różnice między subkulturowością a specyfiką wybranego stylu (estetycznego i/lub obyczajowego). Co więcej, klasyczna subkulturowość ustępowała na rzecz – jak pisał o tym Witold Wrzesień – mód i fascynacji. Nowe czasy w Polsce wygenerowały nowe możliwości, więc pojawiły się nowe zjawiska: nowe sporty miejskie (np. turbogolf), paraspportowe postsubkultury (skate, basejumping, nieco później parkour), ale także nowe przypadki renesansu subkulturowości jak subkultura gotycka czy emo, przy czym – znów – mniej chodziło o formę oporu, jakkolwiek rozumianą, a bardziej o estetykę i mniej lub bardziej trwałą fascynację stylem. O tym, jak to funkcjonuje, można było się przekonać, odwiedzając organizowany po raz pierwszy w 1994 r. na zamku w Bolkowie Castle Party – jeden z największych w Europie festiwali rocka gotyckiego. Prezentowane tam kostiumy dziś dają się porównać z przebierankami na LARPach, choć mroczne klimaty, nawiązania do wampiryzmu i kultów śmierci sugerowałyby jakiś szczególny rodzaj dekadencji.

Figura hipstera. Chyba dość podobnie, choć estetycznie inaczej, jest w przypadku figury hipstera, która pojawiła się na początku tego tysiąclecia i po raz pierwszy została opisana przez Roberta Lanhama w jego „Hipster Handbook", satyrycznej książce wydanej w 2003 r. Co prawda kilka dekad wcześniej też mówiło się o hipsterach (tak nazywano bywalców nowych klubów jazzowych w Nowym Jorku tuż po drugiej wojnie światowej), ale współcześnie chodzi o kogoś, kto dystansuje się do masowych trendów, manifestuje osobliwe upodobania muzyczne i kulinarne, no i bywa w snobistycznych miejscach. Jak zauważył kiedyś w swoim felietonie Krzysztof Varga – to ktoś taki, kto „zna wszystkich, których znać należy, sam nic nie tworzy, wie tylko to, o czym pisze się w modnych magazynach". I taka byłaby koda historii o pewnych nurtach subkulturowości, co nie znaczy, że historia subkultur skończyła się definitywnie. Ogłaszano to już wielokrotnie i zawsze później coś nowego się przydarzało i wracała opowieść o subkulturach, również tych sprzed kilkudziesięciu lat.

MIROSŁAW PĘCZAK

eprasa.pl fa89fff25f



Więcej grzechów nie pamiętam

Fragmenty książki **Marcina Kołodziejczyka** „Blaga".

Inwokacja do pieniędzy i pociągów

Byliśmy prostakami.

W roku dziewięćdziesiątym, wiosną, Wasyl zaznaje dobrego dotyku palcem bożym. Niby nic, gdy to się wydarza – Wasyl nagle ziluminowany, tępy rechot na sali. Dopiero dziesięciolecia, które nadchodzą, po trochu obnażają nam znaczenie tamtej chwili dla Polski.

Wasyl Trzechćwierciński mieszka u dziadków pod Wołominem. Coś tam jest nie tak z rodzicami – zdaje się, że wpierw go chcą, a później przemyśliwują sprawę na trzeźwo. Dziadek, szewc z zawodu, obdarowuje podrzutka mocnymi własnoręcznymi butami w typie armijnym. Babcia kupuje dżinsy firmy Pyramid. Amerykańska gałąź rodziny nadsyła bluzę z napisem „Niagara Falls". I już, cały Wasyl.

Na komunię Wasyl dostaje złoty łańcuszek, który w dziewięćdziesiątym odsprzedaje chciwej babie z kantoru i skupu złota przy ulicy Wincentego. Następnego dnia zanosi do baby inny złoty łańcuszek, ukradziony babci – i mamy na piwo przy torach kolejowych. Siedząca za spawaną kratą w podziemiach hydroforni baba zakłada lipko, odczytuje próbę na złocie i dosłownie puszcza cienką strużkę śliny. „Carskie, synku", mówi, wiedząc, że nic nie rozumiemy. Niestety, niedobrze się pije piwo z Wasylem, ze względu na uzusy językowe. Posiada słownictwo na poziomie pięćdziesięciu słów przy równoczesnym kolosalnym sierocym musie mówienia. Pięćdziesiąt, wliczając barbaryzmy, jakich zna pełno.

Wesołe miasteczko w Warszawie, grudzień 1991 r.

Podróżni z okien dalekobieżnych pociągów koloru khaki (występowały wówczas w jednym kolorze), stykający się z Wasylem jedynie przez krotochwilę potrzebną na roztrzask ciśniętej przez niego butelki, widzą modnie ubranego, przystojnego chłopaka o równym uzębieniu, uszczęśliwionego trafieniem w wagon. Bądź też – gdy Wasyl nie ma już szkła – jego pokazy bicia rumaka. Jest w tym jakaś wściekłość – dziś miłe panie psycholożki powiedziałyby „wzburzenie emocjonalne". Jednak my, koledzy, znoimy się z chłopakiem, którego sagi przywodzą na myśl bezscenariuszowy i wyładowany onomatopeją teatrzyk kukiełkowy o biciu, piciu i wymiotowaniu, jaki urządzają czasem dorosłym dzieci alkoholików. Kurtyna z koca rozsuwa się w dużym pokoju i bach – świat przedstawiony jest zalany w pestkę.

Na tamtym świecie przebywa obecnie Wasyl Trzechćwierciński, z tego co się pobieżnie orientuję. Zastyga w młodym wieku i już nigdy się nie zestarzeje. Dziewięćdziesiąte są ostatnią nowoczesnością, jakiej świadkuje. Na szczęście zdąża w życiu kochać szaleńczo: pieniądze, piłkę nożną i mecze wyjazdowe.

Ale tu jeszcze świeci na niego dawne słońce przedmieść. Początek kapitalizmu w agrarnokatolickiej Polsce, Wasyl znów zamienia u baby w hydroforni zabrane dziadkom złotówki na kilka dolarów, stoi na zarośniętym żydowskim cmentarzu, zwija jednodolarówki w rurki, podpala zapalniczką i przypala sobie papierosa. Milczymy z podziwem,

eprasa.pl fa89fff25f

jak mają w zwyczaju prostacy na widok waluty. Zresztą i teraz człowiek z dużymi pieniędzmi wydaje mi się niemal nieśmiertelny.

Wiosną dziewięćdziesiątego przerabiało się na polskim „Elegię o… [chłopcu polskim]" Baczyńskiego. To poezja podniosła, jak wszystkie juwenilia; o takiej wyłącznie szeptem i ćwierćnutą. Ujawniają się przepastne różnice między mówić a deklamować, inteligentne dziewczyny już płyną duchem na płask przez salę. Wtem jest tak: Wasyl zrywa się ogniście z ostatniej ławki w klasie ogólniaka na Targówku, gdzie go posadzono jako dziecko z trudnej rodziny, żeby sobie w ciszy doczekał do matury, wyrzuca pięści w górę, pioruny miota z oczu i ryczy gardłowym barytonem: „eee Legia oooo! eee Legia oooo!".

Doniosłość tego krzyku obija się o Tatry i zamplifikowanym echem cofa fale Bałtyku z powrotem do Szwecji w odwecie za potop. Także w znaczeniu metaforycznym. Dziś ludzie tacy jak były Trzechćwierciński, zakochani w zszytym w kulę kawałku skóry kopanej po trawie przez dwudziestu dwóch facetów, to prawdziwi polscy patrioci. To oni, na rozkaz polityków, z religijną pieśnią na ustach bronią kościołów przed zidiociałymi liberałami. Patos, karabin maszynowy, maczeta i piłka nożna czynią prawdziwego Polaka. Nikt nikomu niewielkiego zasobu słów wypominał nie będzie, jeśli tylko cytaty są prawilne.

Ja w każdym razie nic o tym nie uważam. (…)

Jak szybkie małpy

W dziewięćdziesiątym drugim bije się na bankiecie dwóch dziennikarzy działu miejskiego gazety „Express Wieczorny". Mówię z pierwszej ręki, bo to moi przyjaciele. Często dochodzi do bójek na bankietach – jest to zgodne z ówczesnym stanem umysłów. Chodzi o to, że dziewięćdziesiąte atakują nas swoją brawurą i dorosłością. Nikt nie prowadzi obywatela za rękę, w telewizji ciągle tylko „brać życie we własne ręce", wobec tego każdy stara się sam rozpychać łokciami i pięściami; grabić ile wlezie; brać, jak dają – w każdym razie wszędzie te ręce, ręce.

„Albo ty jesz, albo ciebie", jak mówi znający się na życiu Pogrzebny z działu sensacji. Redaktor Pogrzebny nosi ponure garnitury z poliestru, które dodatkowo podkreśla zasępioną, bezkrwistą twarzą. Uchodzi za nieskazitelnego, a jego sentencje za dobrze osadzone. O dziennikarstwie tabloidowym mawia „szołbiznes".

Instytucja bankietu kapitalistycznego jest u nas świeżo wynaleziona. Różni delegaci zagranicznych firm przyjeżdżają, żeby zobaczyć, czy jest tu aż tak dziko, że nie da się robić interesów. Mają za sobą budżety na urządzanie bankietów, bo przypuszczają, że, jak u nich na Zachodzie, w bankietowych kuluarach da się poważnie rozmawiać o pieniądzach. Elity akurat u nas nie ma. To znaczy starej, partyjnej, już podobno nie ma, a nowożytna dopiero się wykuwa – w pocie czoła, w trudnym procesie samomianowania. Nadwiślańscy nerwowo poszukują atrybutów śmietankowości, dużo z tego można podejrzeć na przykład w niezwykle popularnym serialu „Dynastia". Jednak w praktyce wychodzi raczej film Gruzy, czyli wiadomo: jak sobie mały Kazio wyobraża dojrzałość; improwizacja w temacie kasztana.

Firma Szwagrex, firma Szambex & Co Ltd. W rzeczywistości „company" oznacza założycielską wódkę z kolegami przy kuchennym stole w Ząbkach, a „limited", że na trzeciego litra zbrakło.

Zachodniacy poszukują u nas elit, bo komu by się chciało robić koszty na podejmowanie zwykłych nygusów? I zawsze mylnie zakładają – nie wiem, gdzie to słyszą, może od taryfiarza na lotnisku – że dziennikarz to eliciarz. Płyną więc zaproszenia na bankiety do redakcji, w których siedzą starzy zblazowani kałamarze i nowy nabór z dziewięćdziesiątych – niby z różnych pokoleń, a jednakowo spragnieni darmowego alkoholu i szwedzkiej stołówki. Odżywiający się parówkową ze sklepu Marysieńka, popijaną tą niepospolitą nowością – sprite'em. Zaproszenia na bankiet opiewają najczęściej na jedną osobę, więc ktoś musi zadzwonić do organizatora – zwanego także frajerem – i poprosić o dwadzieścia dwa zaproszenia. Dzwoni zawsze najmłodszy stażem dziennikarz albo taki, co wisi kolegom najwięcej pieniędzy za poprzedni wieczór.

Kiedyś przychodzi pewien nowy, nowszy nawet niż wszyscy inni nowi, siostrzeniec kogoś w dziale foto – więc gardzimy nim w dziale miejskim za znajomości i żółtodzióbstwo. Ma ciężko, wsypują mu nawet trociny do zawsze ciepłej wódki; nieznani sprawcy.

No ale nadarza mu się szansa. Oblechowicz mówi ugrzecznienie – jak to on – lecz z naciskiem: „Nowy, proszę w tej chwili zadzwonić gdzie trzeba, załatwić dwadzieścia dwa zaproszenia na bankiet, bo panowie są głodni". Nowy karnie wykonuje polecenie, nie orientując się jeszcze zupełnie w takich dzisiejszych słowach jak *mobbing* i *bullying*. Odnosi sukces – załatwia wejście za okazaniem szmat do producenta plecaków. „Szmata" to legitymacja dziennikarska, na początku dziewięćdziesiątych można za jej pomocą wymigać się od mandatu za szereg naruszeń porządku publicznego – w tym obyczajowych. Chodzą po mieście słuchy, że milicja ostatnio zaczarowała się w policję, tymczasem jednak anachronicznie salutuje na widok podstemplowanej szmaty i przystępuje do zatrzymywania wszystkich wokół oprócz szmaciarza. Jakoś tak wtedy nerwowych sytuacji jest znacznie więcej niż teraz, bo właśnie wszyscy się obsesjonalnie rozpychają rękami. Można w ciemno założyć, że jeśli komuś głowa wygląda ponad powierzchnię polskiej smuty, to butami stoi on na kilku innych łbach, których już nie widać z powodu zanurzenia. „Przedsiębiorczość" – kładziono nacisk na takie słowo, z tym że jego definicji jest multum. Człowiek ze szmatą wygląda ponad lustro brudnej wody, bo się umie zakręcić tu i ówdzie – przedsiębiorczość.

Mówię już wcześniej, że byliśmy prostakami.

Tatyrata, bo tak się nazywa bohater wieczoru, prowadzi nas do hotelu Marriott na bankiet wiodącego amerykańskiego producenta plecaków z dożywotnią gwarancją. Dzisiaj zgodzę się, że to jest obrzydliwa karma – dziad na dziadzie idzie żreć z cudzej torby. Wtedy przeciwnie – bierz, jak dają; frajerom śmierć. W ogóle Amerykanie są wtedy dość skąpi, jeśli chodzi o jedzenie. Ale za to zagranicznych alkoholi podają tyle, że potem na ścianie redakcyjnej windy widnieje donos flamastrem na nobliwego redaktora starszego pokolenia; z tych, co noszą fularek, wyprasowane spodnie i łagodnym głosem zwracają się do wszystkich, nawet do skończonych gówniarzy, per „panie kolego". Donos brzmi: „A pan Winnicjusz zarzygał windę".

Obraz się rozmywa, przychodzą jacyś, chcą rozmawiać o biznesach w wolnej Polsce – odprawia się ich. Napływają do szwedzkiego stołu ławice staruszek z dawnych gazet partyjnych, pań łasych na miękki chleb; garną się goście z przeróżnych Szwagrexów, bo widzą krewetki pierwszy raz w życiu; pod ścianami zdejmują przybrudzone mokasyny z dzwonkiem, by pokazać rozmówcy pieczęć producenta na wkładce – białawą skarpetą opierają się o krzesła; żony nowo-narodzonych kapitalistów biją się torebkami po głowach, zapominając, że wcześniej napchały do torebek dań z ogólnodostępnego stołu; i krzyczą, sam słyszę: „ty tu kurwo nie stałaś, do kolejki won!"; a do tego wszystkiego śpiewa przerażona żywa artystka mezzosopranowa.

Dłonie w karmazynowych i modrych marynarkach, obowiązkowo z nieodprutą metką na rękawie, ściskają dłonie w marynarkach na miarę, ze spinkami u mankietów koszul, i mówią z tłustymi wargami: *how do you*?

eprasa.pl fa89fff25f

A potem, słyszę, po rosyjsku, siejąc germanizmami, *izwieniają* za majonez na palcach. Szybko oblizują te palce i mówią: *keine majonez*. Indyferentnie odpowiadają yes na każde pytanie.

Tatyrata gdzieś na chwilę znika i okazuje się, że przypadkowo, przy pisuarze, dostaje pracę jako dyrektor przedstawicielstwa Alwaysa na Polskę. Obiecują mu chore pieniądze i własny gabinet w jednym z trzech warszawskich wieżowców. W ten sposób Tatyrata, po niecałym miesiącu, kończy dziennikarską karierę – bardzo w stylu dziewięćdziesiątych.

„A co musiałeś za to zrobić?", pyta zazdrosny Oblechowicz.

Tatyrata idzie do stołu szwedzkiego. Oblechowicz za nim.

„Będziesz jadł tymi ustami?", pyta Oblechowicz podżegawczo.

Z tym że potem jednak przychodzi ten cudzoziemiec z pisuaru i zagaja z uśmiechem, czy nowy dyrektor umie po angielsku. Tatyrata, tłumaczony przez Oblechowicza, musi przyznać, że nie, ale oferuje, że nauczy się całego angielskiego przez noc, gdyż jest „szybka małpa do uczenia". Już cwany dewizowiec żegna, odpływając na zawsze. Tatyrata bardzo się jątrzy przez dłuższy czas – że mu się życie nie udaje – i musi pójść się napić. Rzeczywiście mu się nie udaje, bo tam już sprzątają obrusy i kelner mówi mu po polsku, z zawiślańskim akcentem położonym na literkę „l": „spierdalaj gnoju".



Fragment wesołego miasteczka w Warszawie, grudzień 1991 r.

Deus ex machina zjawia się Pogrzebny z działu sensacji i wszystko elegancko zażegnuje słowami: „pijemy, proszę ja was, czy popadamy w sceptycyzm?". Jego twarz, mimo wyraźnego zachwiania reszty ciała, nie znamionuje żadnych uczuć, mrozi. A jednak uczucia ma: „mam zaproszenia na bankiet producenta obuwia, polskiego co prawda", mówi. „Wiwat pan Pogrzebny!", krzyczy młodzież. No, muszę powiedzieć, takiej niespodzianki żaden z nas się nie spodziewa. Skoro zaprasza, to idziemy do Proximy na Ryłkę. W sumie ten Pogrzebny, gdy mu dzisiaj kładę kamyk na płytę z lastriko, jawi mi się jako porządny człowiek, jeśli nie liczyć wyglądu i osobowości. Rozmawiam z kolegą z tamtych czasów – też tak uważa. O Pogrzebnym będzie i później, bo tyle dobroci się z nim kojarzy.

Jest tak: w Proximie polski producent obuwia znacznie lepiej zna się na Polakach niż ten Amerykanin od plecaków z dożywotnią i ten wykręt od Alwaysów z pisuaru w Marriotcie – od razu robi tombolę. Należy zatańczyć do orkiestry, wylosować los i można wygrać parę męskich pantofli wyjściowych. Okazuje się, że raczej zwyciężyć, niż wygrać, bo elita bankietu lekceważy losy i w kulminacyjnym punkcie rzuca się na buty – kto pierwszy, ten lepszy. Szarpanina przeciąga się dłużej niż chwilę, drą pudełko od butów, jest trochę krzyku i czerwonych plamek od ugryzień. Dziadowi Bankietowemu, zwanemu Leśnym, emerytowanemu redaktorowi jakiejś nieznanej i kultowej prasy o rybach i wędkarstwie, zbijają okulary. Bardzo płacze, mówi, że nie ma z czego wziąć na nowe. Ale z drugiej strony dobrze mu tak, bo Leśny zalicza wszystkie możliwe bankiety, na których zdąża już zwyciężyć rower i portfel parciany.

Aż wreszcie na placu boju pozostaje najzdolniejszy z całego działu miejskiego (literacko) Meandertalczyk i ten nowy ambicjoner, Tatyrata. Obaj w danym momencie biorą życie we własne ręce, głucho walą ich głowy od ciosów. W końcu Tatyrata łapie buty i ucieka na galeryjkę. Meandertal zostaje na dole, pod sceną, i udaje zamyślonego. Nigdy już gnojowi nie wybaczy tych ukradzionych sobie butów. Podobnie jak nigdy nie może zapomnieć, że w dziewięćdziesiątym czwartym redakcja „Expressu" podstępnie pozbawiła go służbowego pagera. Meandertalczyk, żywiąc się przez trzydzieści kolejnych lat głównie nienawiścią, bardzo dziwnieje. Siedzi teraz sam i czeka na telefon z telemarketingu.

Tatyrata jest dziś głęboko wierzącym prawicowym patriotą i przysyła na święta rozdzierające serce esemesy o „Bożej Dziecinie pochylającej się nad dziełem Ojca Swego, Boga jedynego, Pana Naszego (nigdy nie zrozumiał, o co chodzi ze zwrotami grzecznościowymi) i w szczególny sposób ubogacającej ród ludzki od Niego umiłowany".

Odpowiadam mu na tę samą modłę, z wielkim przekąsem, ale – jak Boga kocham – on się nigdy nie śmieje. A kiedyś tylko się śmieje. (…)

Jedne z najsłynniejszych dni w życiu

(…) Sebastian Typowy siedzi z psem na ławce pod blokiem na Białostockiej i słucha półuchem, co się do niego mówi. Pies jest dobrze ułożony, stary i zblazowany, i już wcale nie żąda od Sebastiana spacerów. Obu im wystarcza siedzenie i patrzenie się, jak od Dworca Wileńskiego w kierunku na wschód jeżdżą pociągi podmiejskie. Pies ma na imię Reks, bo takie imiona, nieludzkie, mają w dziewięćdziesiątych psy, i jest siwym pudlem z ropiejącymi oczami. Sebastian jest do niego podobny. W wieku lat niecałych dwudziestu wiedzie przed blokiem na Białostockiej życie emeryta, który już się nie uczy, a do wojska nie musi, ponieważ zupełnie się tam nie nadaje i ma na to papier o słabosilności.

Typowy żyje, z tego co mi mówi Wawelski, z kontaktów. Żyje tak dobrze, że stać go na dokładanie się rodzicom do gospodarstwa domowego. Ma podobno tylko matkę, bo tata poszedł w długą, jak tylko zobaczył synka po urodzeniu. Ta jego matka to taka typowa matka: oto kobieta, która jest zmęczona / bo żyje życiem / w którym jest niezastąpiona. Nic nie łapie z nowych czasów, jak większość matek w dziewięćdziesiątych. Cierpiące za miliony. Kiedy w dziewięćdziesiątym czwartym władza z dnia na dzień zmienia w Polsce pieniądze z milionów na setki, to ta Bronisława już zupełnie nic nie tentego i się cofa do skorupki lokalu M3 na Białostockiej. Na szczęście ma Sebastiana.

No tak, to wówczas nowa dla mnie wiadomość, że można dobrze żyć z kontaktów. Dziś znam mnóstwo ludzi, którzy żyją z kontaktów, a wręcz stać ich już na zblazowane i bezcelowe, od niechcenia kolekcjonowanie kontaktów dla czystego samozadowolenia. Mam kolegę, który stara się robić wywiady wyłącznie ze znanymi ludźmi szołbizu, bo a) może pokazać matce, gdy jedzie na święta do swojego miasteczka, jakich świetnych ludzi zna w Warszawie; b) na wypadek, gdyby działo się z nim coś niedobrze życiowo (utrata pracy, rozwód, kupno nowych drzwi do volvo), może zadzwonić do któregoś okazu ze swej kolekcji i prosić o ratunek. Czyli: znam gościa, który zna takiego gościa, który ma dojście do gości, którzy znają kogo trzeba i gdzie należy. Typowy jest pionierem w tej dziedzinie, nie orientując się nawet, że uprawia klasyczny XXI-wieczny networking.

eprasa.pl fa89fff25f

No, Sebastian Typowy do tanich nie należy. Żąda dużego odstępnego za kontaktowanie, a sądząc po skromnym i raczej schyłkowym wyglądzie Reksa, nie dba o wrażenia wizualne, jakie wywołuje u ludzi. Wygląda to tak: budzi zaufanie zwykłych obywateli, choć pewnie są i tacy, u których budzi pogardę. Normalne chłopaki w tamtym czasie oprowadzają po osiedlu bardzo modne rottweilerki, a czasem i najpierwsze w Polsce bulterierki – więc ewoluują w kierunku dzisiejszego umiłowania tych rejonów miasta dla amstafków, które na spacerkach dla zabawy zagryzają równie umiłowane yorki seniorom. „No?", pyta się ten Typowy po długim okresie milczenia, kiedy to podchodzą do niego bardzo młodzi ludzie i zostawiają na ławce obok milionowe banknoty, a biorą jakieś paczuszki z szarego papieru pakowego. „Od Smoka", mówię, „w sprawie woja". I naprawdę mógłby już Typowy nie udawać, że interesują go wyłącznie dalekie pociągi na Tłuszcz i Małkinię, jeżdżące torem za garażami; męczący skurwysyn, jakby grał u Scorsesego w „Chłopcach z ferajny". Oddycha przez kolejne dwa papierosy, nie wypowiadając słowa. W tym czasie przejeżdża ulicą polonez z tubą na dachu i, głosem z silnym akcentem na głoskę „l", zaprasza wszystkich bez wyjątku na zakupy na Stadionie Dziesięciolecia, czyli Jarmarku Europa.

„Popytałem o ciebie", mówi Sebastian Typowy, „jesteś nikim". No i takie tam, jeszcze z dziesięć minut frycowego, które trzeba zapłacić za to, że się robi za pismaka w „Expressie". Jest to w owym czasie zawód nieszanowany wśród młodych mieszkańców przedmiejskiej dzielnicy, jako że wieje zdradą ideałów, czyli „sześćdziesioną" (nadzwyczajne złagodzenie kary za usługi konfidenckie). Znaczy: każdy tutaj bierze życie w rękę i jakoś wiąże koniec z końcem, ale nie aż tak, curva peligrosa, żeby zostawać dziennikarzem czy psem. To jest, kurwa, jak upadek z wysokiego morale w zbydlęcenie. Po latach muszę tu częściowo przyznać rację, ale wtedy nie rozumiem.

Sebastian Typowy z Reksem wstają z ławki, przeciągają się z trzaskiem kości i mówią jedno z najpiękniejszych zdań, jakie w dotychczasowym krótkim życiu słyszałem: „idę, bo kapuśniak mam na gazie". Jedzie ulicą nazad polonez z Jarmarku Europa i przystaje przy Typowym się przywitać. Widzę, jak pokazują na mnie i już nawet się nie śmieją, tylko patrzą z brakiem życzliwości, więc też już pójdę szybkim krokiem, udając, że dokądś idę; bez efektów w sprawie woja.

Całkiem współcześnie w TVN: „zostańcie z nami, za chwilę dużo informacji o tym, jak się nie przewrócić na lodzie". (…)

Zawieszony w prawach człowieka na czas nieokreślony

(…) W dziewięćdziesiątych – które we wspomnieniu zlewają mi się w jeden długi, szczęśliwy dzień – jest więcej liberalnego szacunku dla istoty ludzkiej niż dzisiaj. Kiedy ktoś chce wtedy w życiu nie być kimś, a raczej być nikim, to może czuć się z tym swobodnie – nie lecą mu od razu na ratunek jacyś uświadomieni na warsztatach z empatii młodzi ludzie po czterdziestce. Nie ma tego natłoku bezmyśli, tych sloganów pop-psychologicznych, które obecnie pozwalają inteligentom na długie i mętne rozmowy o całkiem niczym. Dla spokoju Facebooka przyjmijmy, że mój obraz dziewięćdziesiątych jest spaczony i nic niewarty.

Na przykład Żabcia. Siedzi na murku przed blokiem i początkowo ma z tego siedzenia niezły dochód – przychodzą różni, siadają obok, jest rozmowa, Żabcia drobnym gestem spycha małe paczuszki za murek, siedzą dalej, a odchodząc klient daje Żabci łapkę z kciukiem zawiniętym do środka, sięga za murek i tyle. Mówią, że Żabcia jest super gitarzysta, choć już nie gra. Mówią, że czerpie zarobek z produkcji i sprzedaży kaset magnetofonowych z najstarszymi i najnowszymi skarbami muzyki rockowej, a tak jest jedynie przez okamgnienie. Obija się tu i ówdzie o uszy na jego temat, że tańcuje na mieście z dużą mafią, ale to zwyczajne kłamstwo – jest szkodliwy na maleńką skalę.

Nie uważa na siebie, Bródno dokładnie wie, gdzie mieszka z mamą rencistką. A że ma trudną osobowość i ciągle jest pogniewany z jakimiś chaotycznymi osobami, robią mu nocne najścia (mówi się „wjazdy"). Mama się boi żyć. Podpalanie drzwi do mieszkania, płonąca wycieraczka do butów, porysowany gwoździem opel kadett z czwartej ręki, pożar balkonu, napisy sprejem, że on konfident, a ona puszczalska. Istna przedinternetowa *cancel culture*, sąd bez dowodów; wtedy mówi się na to „podpierdalanie". Wielu przez to cierpi – przez te posty wypisywane o nich na murach bloków rękami niezidentyfikowanych – latają z własnym sprejem zamazywać; ale częściej ze zwykłą farbą w wiaderku, bo sprej za drogi. Jednak ściany blokowisk, jak dzisiejsze internety, nie zapominają – zamaże „konfidenta" w łamańcu na Rembielińskiej, to nieznani sprawcy powtarzają wpis na rogu Wyszogrodzkiej, większymi literami. Nie da się zbanować nadawcy.

Mama Żabci szaleje – pełna niezrozumienia dla nowego czasu, w którym wszystko można kupić, ale nie ma za co. W osiemdziesiątych i wcześniej jest całkiem odwrotnie – pieniądze *da*, towaru *niet*. Polskim pogłowiem świni domowej karmi się obywateli ZSRR i partyjnych kacyków za żółtymi firankami; tak uważa zwyczajna ludzkość z przedmieść. Szynka to główne kryterium dobrobytu, drugie to mały fiat – posiadanie obu tych rzeczy naraz rodzi podejrzenia sąsiadów co do sposobu prowadzenia się.

W dziewięćdziesiątych też – wystający ponad poziomy otoczenia sąsiad narusza zasady wspólnoty i musi za to uiścić należne. Gdy Żabcia nabywa opla kadetta, najpierw następuje ciche oczekiwanie. Takie sprawy się czuje, wiszą w powietrzu. Wystarczyłoby mu przymilić się komu trzeba butelką piwa na murku, czyli opić, pokazać się od swojskiej strony – nie wiem: nie domyśla się czy boi, że odmówią zbratania? Wyrasta z dawnych kolegów, nie okazuje szacunku czy zapomina? W każdym razie któryś mglisty zimowy poranek odsłania kadetta leżącego kołami do góry, jak żuczek gnojarek. Nawet lusterek nie kradną, tylko znacząco rozbijają – pełna pogarda.

Mama Roberta, takie jego prawdziwe imię, osoba bardzo kościelna, nie znosi dłużej buńczucznej propagandy świeckiej o braniu życia w ręce. W dziewięćdziesiątych to jest viral, zewsząd dociera – własne ręce, własne ręce. Profesor Balcerowicz, dzisiaj znany jako klasyk ekonomii, wtedy powszechnie znienawidzony wśród ludu za szokową reformę mającą prowadzić kraj od socjalizmu w kapitalizm, nie ukrywa, że ofiary są nieuniknione. Przedmieścia mają profesora za kogoś w rodzaju Janosika, który zgłupł i pomylił kierunek – wydziera biednym, rozdaje bogatym. Kolejne pokolenia wołają: „Balcerowicz musi odejść!". A on nigdzie nie idzie, zakamieniały; wtedy właśnie zaczyna się ta odwieczna gadka Polaka o „rozprzedaży Polski obcym". Władza na to nic, tylko: własne ręce. A co, jeśli ktoś nie ma już rąk? Pani Żabciowa ma obie, z tym że brakuje jej siły, by dźwigać życie pełne znoju, walczyć o numerek do lekarza w umierającej służbie zdrowia. W dodatku ten Robert – a takie piękne było z niego niemowlę, taka duma. Ona cierpi za miliony, a potem – po denominacji – za setki, których nie potrafi liczyć. Panią starszą „uwozi szara karetka z zielonym krzyżem", jak nazywa Ćma interwencję psychiatryczną.



MARCIN KOŁODZIEJCZYK
„Blaga", wyd. Wielka Litera, Warszawa 2025

eprasa.pl fa89fff25f

Sieć optymizmu

Dekada internetu, telefonii komórkowej i wielkich wizji technospołecznych.

Edwin Bendyk



Giełda komputerowa przy ul. Grzybowskiej w Warszawie, marzec 1993 r.

eprasa.pl fa89fff25f

Technologie wolności, społeczeństwo sieci, Nowa Gospodarka. Na początku dekady wizjonerzy rewolucji technologicznej szli dużo dalej niż Francis Fukuyama (art. s. 17). Twierdzili, że dzięki technologiom wolności teza o końcu historii stanie się także prognozą dla całego świata połączonego coraz gęstszą siecią komunikacji umożliwiającą nie tylko porozumiewanie się, ale także powstanie nowej gospodarki, której rdzeniem będzie przetwarzanie informacji. Pojęcie technologii wolności wprowadził do obiegu socjolog Ithiel de Sola Pool w książce opublikowanej w 1983 r. pod tytułem „Technologies of Freedom. On free speech in an electronic age" (Technologie wolności. O wolności słowa w epoce elektronicznej). Przekonywał, że połączone w sieci komputery (nie używał jeszcze pojęcia internetu) wywołają podobną zmianę w XXI w., jak ta zapoczątkowana przez prasę drukarską 500 lat wcześniej. Porównanie z rewolucją Gutenberga szybko weszło do debaty publicznej, mniej chętnie podejmowano ostrzeżenia amerykańskiego socjologa. A zwracał on uwagę, że w świecie, w którym cała praktycznie komunikacja i wymiana informacji oraz obiegi kultury odbywać się będą drogą elektroniczną, pojawią się liczne zagrożenia dla wolności słowa i twórczości.



Ithiel de Sola Pool, 1983 r.



Manuel Castells, 1999 r.

Zamiast obaw dominował entuzjazm, bo nie chodziło jedynie o samą informację i przesyłanie przez sieć różnych treści, czyli jak się z czasem zaczęło mówić – multimedia. Nadchodziła znacznie poważniejsza zmiana. Stary przemysłowy kapitalizm z zasadą *industrializmu*, czyli wytwarzania dóbr materialnych, miał ustąpić kapitalizmowi cyfrowemu organizowanemu przez zasadę *informacjonizmu* w ramach nowej organizacji życia społecznego – społeczeństwa sieci.

Pojęcia te zaproponował kataloński socjolog Manuel Castells w trzytomowym dziele „The Information Age: Economy, Society and Culture". Pierwszy tom „The Rise of The Network Society" (Narodziny społeczeństwa sieci) ukazał się w 1996 r. i proponował systematyczny opis nowego, przekształcającego się przez cyfrowe technologie społeczeństwa. Castells nie dał się zwieść utopijnym zapewnieniom twórców nowych technologii, ale jego analiza musiała trochę poczekać na zrozumienie. To nie był czas na krytykę, rewolucja potrzebowała entuzjazmu. Takiego, jaki choćby wykazali Peter Schwarz i Peter Leyden, ogłaszając w 1997 r. manifest „The Long Boom" (Długotrwały Rozkwit) w magazynie „Wired". Dla cyfrowej rewolucji „Wired" jest odpowiednikiem „Iskry" niosącej ideowy ogień rewolucji bolszewickiej. Autorzy przekonywali, że najbliższe dekady to okres wzrostu bez ograniczeń w ramach Nowej Gospodarki kierującej się nowymi pra-

Napster. Muzyka z sieci

Najpopularniejszą dziś formą słuchania muzyki jest strumień, czyli podłączenie się online do jednego z serwisów typu Spotify lub Apple Music. Banalna łatwość dostępu zachęca wielu koneserów do powrotu do bardziej wymagającej tradycji i słuchania płyt winylowych na gramofonach. Odbiorcy w swej masie stanęli jednak po stronie cyfryzacji.

Kluczowym momentem było opracowanie standardu dźwiękowej płyty CD przez koncerny Sony i Philips. Komercyjna inauguracja muzyki na CD w 1982 r. rozpoczęła cyfryzacyjny marsz, którego kolejnym ważnym krokiem stało się opracowanie w latach 80. w Niemczech standardu rejestracji dźwięku znanego pod nazwą mp3 (MPEG 1 Audio Layer 3). Jego istotą jest wysokiej jakości kompresja informacji dźwiękowej, dzięki czemu pliki są nawet dziesięciokrotnie mniejsze niż ich odpowiedniki rejestrowane w standardzie CD. Mp3 to doskonałe rozwiązanie dla internetu, bo umożliwia przesyłanie plików nawet bez konieczności dostępu do szybkiego internetu – taki w latach 90. był jeszcze marzeniem. Fani cyfrowej muzyki dostali nie tylko wydajny sposób nagrywania, ale także bogatą ofertę urządzeń umożliwiających odtwarzanie empetrójek, które zaczęły pojawiać się na rynku pod koniec 1998 r. Pierwsze popularne urządzenie Rio firmy PMP 300 firmy Diamond Multimedia oferowało 32 Mb pamięci, co umożliwiało około połowy godziny słuchania.

Czegoś jednak brakowało. To coś zobaczył świat 1 czerwca 1999 r. pod nazwą Napster. Krył się pod nią internetowy serwis wymiany plików opracowany przez studentów Shawna Fanninga i Seana Parkera. Posługiwał się on metodą p2p (*peer to peer*) polegającej na bezpośredniej wymianie plików pomiędzy użytkownikami. To w świecie internetowym nic nowego, dla wielu jego twórców zasada bezinteresownego dzielenia się, np. oprogramowaniem, należała do istoty kultury sieci. Również fani muzyki w świecie rzeczywistym lubią wymieniać się rekomendacjami i utworami.

Fanning i Parker połączyli te dwa nurty, proponując serwis umożliwiający proste dzielenie się dzięki wygodnemu interfejsowi ułatwiającemu wyławianie plików z ciekawą muzyką. Umiejscowienie tego rozwiązania w internecie umożliwiło wymianę w skali globalnej (serwis w szczytowym okresie miał 80 mln zarejestrowanych użytkowników). I to nie mogło spodobać się twórcom, którzy dostrzegli, że nowy serwis podkopuje ich źródła dochodu i umożliwia nielegalny obrót treściami chronionymi prawem autorskim. W kwietniu 2000 r. pozew przeciwko Napsterowi wytoczyła Metallica. Potem kolejne pozwy i rozprawy doprowadziły do zaprzestania działalności w 2001 r.

Uciszenie Napstera nie mogło jednak zatrzymać wskazanej przez Fanninga i Parkera zmiany. Mimo oporu producentów, którzy chcieli obronić tradycyjny model dystrybucji muzyki w formie albumów rejestrowanych na fizycznych nośnikach, silniejsze okazały się oczekiwania odbiorców, którzy dostrzegli, że nowe formy sieciowej dystrybucji dają im możliwość znacznie szerszego dostępu do muzyki.

(EB)



Współczesny odtwarzacz mp3.

eprasa.pl fa89fff25f



Bohaterowie „Toy Story", 1995 r.

Kino. Przygody zabawek

Film „Toy Story" podbił serca dzieci i ich rodziców. Opowieść o zabawkach, które ożywają, gdy nie ma przy nich ludzi, i prowadzą życie pełne emocji i dramatycznych wydarzeń, wypełniła w 1995 r. sale kinowe na całym świecie i stała się hitem także pod względem kasowym. Produkcja kosztowała ok. 30 mln dol., przyniosła 363 mln ze sprzedanych biletów (drugi wynik roku 1995).

To jednak nie walory estetyczne i wyniki finansowe zdecydowały, że „Toy Story" wszedł do historii kina z etykietą produkcji przełomowej dla sztuki filmowej. Powodem tym jest technologia – dzieło Pixar Animation Studios, zrealizowane dla Disneya, to pierwszy film pełnometrażowy wykreowany przez komputery. Dziś takie stwierdzenie nie robi na nikim wrażenia. W rzeczywistości zalewanej rzeką obrazów tworzonych przez sztuczną inteligencję, z której usług może skorzystać każdy, koneserzy poszukują autentyku i wracają do mediów analogowych. W świecie animacji doskonałym przykładem tego sentymentu jest film Marka Wilczyńskiego „Zabij to i wyjedź z tego miasta" (2020 r.). Wzruszająca opowieść o Łodzi powstawała przez 14 lat, tworzona mozolnie klasyczną techniką animacji rysunkowej. Wymaga ona przygotowania tysięcy rysunków, które w odpowiedniej sekwencji tworzą klatki obrazu filmowego.

W 1995 r. animacja tradycyjna ciągle była standardem rządzącym światem filmowym, po techniki komputerowe sięgano podczas realizacji efektów specjalnych, jak w „Parku Jurajskim" Stevena Spielberga z 1993 r. Filmoznawcy podliczyli, że z 15 minut filmu, kiedy na ekran wkraczają dinozaury, sześć było wykreowanych komputerowo, pozostałe sceny techniką animatroniczną. „Toy Story" trwa 77 minut. By uzyskać taki efekt, potrzebnych było 800 tys. godzin pracy urządzeń obliczeniowych.

W 1995 r. problemem były nie tylko moce obliczeniowe – tych dostarczały komputery firmy Sun i Silicon Graphics, ale także oprogramowanie oraz modele matematyczne potrzebne do kreowania realistycznie wyglądających postaci. Produkcja „Toy Story" wymagała zarówno wysiłku artystycznego, jak i innowacji technologicznych umożliwiających realizację scenariusza. Pixar Animation Studios, dysponujący m.in. autorskim oprogramowaniem RenderMan, podołało zadaniu, co należy zapisać do długiej listy sukcesów Steve'a Jobsa, legendarnego współtwórcy firmy Apple. Jobs – w 1995 r. na wygnaniu z Apple – nie próżnował i jako właściciel Pixara rewolucjonizował branżę filmową.

„Toy Story" zyskał uznanie nie tylko widzów. John Lasseter, współscenarzysta filmu i reżyser filmu, został uhonorowany Nagrodą Akademii za szczególne osiągnięcia, a film był nominowany do Oscarów w trzech kategoriach. Steve Jobs dodatkowo został nagrodzony udanym startem giełdowym Pixara, które odbyło się tydzień po premierze filmu, przynosząc 140 mln dol.

(EB)

wami. Dzięki niej nie tylko wszyscy żyć będą w dostatku, ale na skutek postępu technicznego także pozbędą się takich dolegliwości jak nowotwory. Chyba że…

I na marginesie wskazali kilka mało ich zdaniem prawdopodobnych zdarzeń, jakie mogłyby przed 2020 r. zaburzyć realizację scenariusza Long Boomu. Wśród nich – ryzyko globalnej pandemii oraz możliwość zimnej wojny między Stanami Zjednoczonymi i Chinami. Jednak strachy na Lachy, wtedy Chiny nawet jeszcze internetu nie miały, a i telefonów komórkowych jak na lekarstwo.

Informatyzacja po polsku. Polacy wychodzili z komunizmu i wkraczali w lata 90. z równym entuzjazmem, jak wizjonerzy cyfrowej rewolucji. Chcieli normalności, której miarą byłyby nie tylko pełne półki, ale także dostęp do usług, z jakich korzystali mieszkańcy normalnego, czyli zachodniego, świata. Usługą taką był np. telefon, jeszcze pod koniec lat 80. niedostępny dla większości mieszkańców Polski. Oficjalne dokumenty podają, że 31 grudnia 1988 r. przedsiębiorstwo Poczta Polska, Telefon i Telegraf obsługiwało 2,952 mln abonentów, wśród nich 326 tys. mieszkało na wsi. Wypadało średnio 7,82 linii na 100 mieszkańców (na wsi 2,21), a na podłączenie trzeba było czekać długie lata. Nawet w Bułgarii i Rumunii było lepiej.

Mimo tych trudności już w latach 80. Polacy dołączyli do nowej fali cyfrowej rewolucji, jaką stały się komputery osobiste. Prywatny import, a także Pewex, Centralna Składnica Harcerska, z czasem przedsiębiorstwa polonijne umożliwiły dostęp zarówno do prostych urządzeń ZX Spectrum, Atari i Amiga, jak i klonów IBM PC. Trudno o precyzyjne statystyki, ale liczba urządzeń elektronicznych spełniających definicję komputera mogła w 1989 r. zbliżać się do miliona. W tym czasie w całym ZSRR liczbę takich urządzeń szacowano na 200 tys.

Ograniczenia w dostępie do nowych technologii nie wynikały tylko z deficytów socjalistycznej, centralnie planowanej gospodarki, ale także z uwarunkowań zewnętrznych. PRL, podobnie jak inne kraje bloku wschodniego, była objęta restrykcjami Komitetu Koordynacyjnego ds. Handlu ze Wschodem (COCOM). Ograniczał on dostęp do produktów i usług zaawansowanych technologicznie – np. niemożliwe było oficjalne sprowadzenie do PRL komputera Macintosh Apple. Również dostęp do sieci internetu stał się możliwy dopiero po wykreśleniu Polski z listy COCOM w 1990 r.

Mimo, a może właśnie na skutek takich barier w socjalistycznej Polsce prowadzono intensywne prace nad rozwojem własnych rozwiązań komputerowych i informatycznych, które



Komputer domowy ZX Spectrum angielskiej firmy Sinclair, 1982 r.

eprasa.pl fa89fff25f





wspierała działalność wywiadu zajmującego się kradzieżą technologii. Jednym z mitów mających pokazywać potencjał polskiego technicznego geniuszu jest opowieść o minikomputerze K-202 z początku lat 70. autorstwa Jacka Karpińskiego. Mimo swej innowacyjności konstrukcja nie weszła do produkcji, a inżynier zajął się hodowlą świni. Więcej szczęścia, choć niektórzy też tylko do czasu, mieli uczestnicy rewolucji technologicznej przełomu lat 80. i 90., Roman Kluska, założyciel firmy Optimus, Tadeusz Wilczek i jego ECS oraz twórcy wrocławskiego JTT.

Ich klony IBM PC umasowiły dostęp do komputerów, a Tadeusz Wilczek – zakładając ze wspólnikami wydawnictwo Lupus – zadbał jeszcze o to, żeby za technologią nadążała wiedza o niej dostarczana przez takie czasopisma jak „PC Kurier", który w najlepszym czasie osiągał 100 tys. egzemplarzy nakładu. Pionier na rynku popularnej prasy komputerowej, „Bajtek", dochodził nawet do 200 tys.

Od lewej: Zajęcia kółka komputerowego w szkole podstawowej nr 2 w Makowie Mazowieckim, 1987 r.

Roman Kluska, założyciel firmy Optimus, polskiego producenta komputerów, 1999 r.

Przełomowy 1995 r. Rodzący się wolny rynek sprzyjał żywiołowej informatyzacji. Uczynienie z Polski społeczeństwa sieci wymagało jednak nie tylko dostępu do komputerów, ale także do internetu. Najważniejszą siłą napędową byli tu naukowcy. Na łamach POLITYKI wyjaśniał Jacek Gajewski, fizyk z Uniwersytetu Warszawskiego: „Potrzebowaliśmy normalnego dostępu do globalnej sieci jak ryba. Zdawaliśmy sobie sprawę, że bez tego odpadniemy z naukowego wyścigu". Nie odpadli, 17 sierpnia 1991 r. Rafał Pietrak z Wydziału Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego wysłał pierwszego mejla do Jana Sorensena z Uniwersytetu w Kopenhadze, wykorzystując protokół TCP/IP, który stał się standardem przesyłu informacji w sieci internetu.

Nikt jeszcze wtedy nie wiedział, że narzędzie rozwijane przez naukowców i im głównie potrzebne zrewolucjonizuje świat. Bill Gates, współtwórca i prezes koncernu Microsoft, który w 1990 r. stał się pierwszą firmą tworzącą oprogramowanie o sprzedaży rocznej przekraczającej miliard dolarów, dostrzegł internetową falę dopiero w 1995 r. Na tyle późno, że wydana w tym właśnie roku książka jego współautorstwa „The Road Ahead" (Droga przed siebie) jeszcze nowego zjawiska nie dostrzegała. Nie on jedyny nie rozumiał nadchodzącej zmiany. W lutym 1995 r. w amerykańskim „Newsweeku" ukazał się felieton popularnego komentatora technologicznego Clifforda Stolla. Autor przekonywał, że cyberprzestrzeń i internet nigdy nie staną się nirwaną, bo do niczego w rzeczywistości nie są przydatne. Ten sam „Newsweek" w ostatnim grudniowym numerze nazwał 1995 r. rokiem internetu. Co się stało w tak krótkim czasie, że redakcja odszczekała werdykt swojego felietonisty?

Za moment o znaczeniu symbolicznym należy uznać 9 sierpnia 1995 r. Na giełdzie wystartowała spółka Netscape Communications założona przez Marca Andreessena, oferująca od 1994 r. przeglądarkę internetową o nazwie Netscape Navigator. Rynek nie podzielił sceptycyzmu uznanego komentatora i jeszcze bardziej uznanego szefa Microsoftu. Oferta została przyjęta z entuzjazmem, a wartość spółki poszybowała do kwoty ponad 2 mld dol. To wtedy inwestorzy dali dowód swojej wiary w internet i rozpoczęła się hossa, która doprowadziła do powstania słynnej bańki internetowej, pęczniejącej przez pięć lat, aż do marca 2000 r.

Bill Gates, prezes koncernu Microsoft, podczas prezentacji systemu Windows 95, Redmond, USA, sierpień 1995 r.

Nurty technorewolucji. Inwestorzy uwierzyli w teorię Long Boomu i nadejście Nowej Gospodarki. Pojawienie się przeglądarki Netscape było kluczowe, bo otwierało dostęp do internetu zwykłym użytkownikom nieobeznanym z tajemnicami informatyki. Netscape'a nie



eprasa.pl fa89fff25f



byłoby jednak, gdyby wcześniej nie pojawił się na scenie Timothy Berners-Lee pracujący w Laboratorium Fizyki Cząstek CERN w Genewie. To on w latach 1989–91 opracował system wymiany informacji znany jako WWW – World Wide Web, światowa pajęczyna.

O ile internet jest systemem komputerów (i innych urządzeń) połączonych w otwartą sieć umożliwiającą dołączanie kolejnych urządzeń zgodnie z protokołem TCP/IP, to WWW stał się systemem umożliwiającym dostęp i łączenie w tej sieci różnych dokumentów, czyli cyfrowych treści. Posługuje się on hipertekstem – dokumenty są połączone odnośnikami, wystarczy kliknąć w odpowiedni punkt dokumentu, by przenieść się do innego. Dziś to jest tak oczywiste, że wydaje się aż dziwne, że kiedyś coś takiego trzeba było wymyślić.



Od góry: Oryginalny komputer z ok. 1990 r. w siedzibie CERN w Genewie, na którymTimothy Berners-Lee opracował system WWW.

Marian Krzaklewski, ówczesny szef Solidarności, z telefonem Centertela, Kraków, 1994 r.

Berners-Lee sam hipertekstu nie wymyślił, ale zastosował go w swojej koncepcji WWW i był na tyle zapobiegliwy (inni powiedzieliby, że nierozsądny), iż nie opatentował swojego rozwiązania. Więcej, przekonał kierownictwo CERN, by opublikowało dokumentację WWW w tzw. domenie publicznej, umożliwiając każdemu korzystanie z systemu. Dzięki tej otwartości już w 1991 r. zaczęły pojawiać się pierwsze przeglądarki ułatwiające korzystanie z WWW, choć nie było jeszcze wówczas wiadomo po co. W 1995 r. cyfrowych treści było już na tyle dużo, że Netscape okazała się bardzo potrzebna internautom. Było ich wtedy na całym świecie niespełna 40 mln.

Dlaczego Gates i Stoll tak bardzo się pomylili, nie dostrzegając potencjału internetu i WWW? Bo na początku 1995 r. nic jeszcze nie było przesądzone. Bill Gates stawiał na rozwój sieci w modelu zamkniętym, jaki w tamtym czasie proponował np. bardzo popularny w Stanach Zjednoczonych serwis AOL. Dawał on swoim użytkownikom dostęp do dobrodziejstw sieci, z pocztą elektroniczną włącznie, w zamian jednak za ograniczenie apetytu do usług oferowanych w ramach AOL. Taki model zdecydowanie bardziej odpowiadał doświadczeniom świata mediów i prościej też dawał się monetyzować w ramach opłaty za abonament. We Francji podobnie działał już w drugiej połowie lat 80. Minitel oferowany przez państwowego monopolistę telekomunikacyjnego France Telecom. Po co ludzie mogliby chcieć czegoś więcej?

Triumf otwartości i utopii. Okazało się jednak, że otwarta architektura internetu (wspomniane TCP/IP umożliwiające włączanie do sieci urządzeń od różnych producentów), uwolnienie do domeny publicznej dokumentacji WWW (w połowie 1993 r.) oraz przyjęcie (również w połowie 1993 r.) przez Kongres Stanów Zjednoczonych National Information Infrastructure Act (Ustawy o infrastrukturze informacyjnej), otwierającej drogę do komercjalizacji internetu, stworzyły masę krytyczną potrzebną do wywołania lawiny. Zaczęło przybywać serwerów WWW oferujących internetowe treści i usługi. W 1993 r. było ich zaledwie kilkadziesiąt, pod koniec 1994 r. 10 tys. i ich liczba szybko rosła.

Pojawiły się wówczas firmy, które stały się symbolem nowych czasów i działają do dziś. W Polsce w 1995 r. Wirtualna Polska, pierwszy katalog stron internetowych, który z czasem przekształcił się w portal. Rok później narodził się Onet. Na świecie w 1995 r. pojawił się Amazon, internetowa księgarnia, która z czasem przekształciła się w internetowy sklep, a dziś jest sieciowym konglomeratem zajmującym się oprócz e-handlu rozwojem sztucznej inteligencji, projektowaniem mikroprocesorów, dostarczaniem usług obliczeniowych. Wartość giełdowa firmy to dziś blisko 2,5 bln dol., a tylko w 2024 r. przeznaczyła ona na rozwój infrastruktury i badania 88,5 mld dol.

Bill Gates pomylił się, trzeba mu jednak oddać, że w inny sposób dołożył się do przyspieszenia cyfrowej rewolucji. Wielkim wydarzeniem spod znaku Microsoftu było wprowadzenie na rynek w 1995 r. systemu operacyjnego Windows 95. Dla użytkowników Macintoshy, przywykłych, że z komputerem można porozumiewać się za pomocą interfejsu graficznego, nie była to wielka nowina. Dla użytkowników PC, męczących się z mocno niedoskonałym Windows 3.0, nowy system był zaproszeniem do nowego świata. Z zaproszenia z kolei można było skorzystać dzięki rozwojowi mocy obliczeniowych mikroprocesorów. Tu przełomem okazał się 1993 r., kiedy amerykański Intel zaprezentował mikroprocesor Pentium. Umożliwił on nie tylko swobodne korzystanie z możliwości Windows 95, czyniąc z komputera prawdziwą maszynę multimedialną.

Współczesny czytelnik, który przez internet ogląda filmy wysokiej rozdzielczości, będzie miał kłopot ze zrozumieniem trudności, z jakimi mierzyli się w latach 90. pionierzy internetu, zarówno w roli użytkowników, jak i dostawców treści i usług. Największą był po prostu dostęp do sieci w epoce, kiedy połączenia światłowodowe obsługiwały tylko szkielet sieci. Końcowi użytkownicy byli skazani na modemy, którymi łączyli swoje komputery z siecią telekomunikacyjną i poprzez z nią z dostawcą usług. Najpopularniejszym sposobem korzystania z internetu w Polsce było wówczas łączenie się w pracy (jeśli firma była na tyle nowoczesna) lub na uczelni. Wydarzeniem o przełomowym znaczeniu dla tempa upowszechniania się internetu było udostępnienie przez Telekomunikację Polską w 1996 r. uniwersalnego numeru dostępowego 0202122 dla każdego, kto dysponował linią telefoniczną. Do sieci trzeba było się wdzwonić, operator naliczał opłatę jak za rozmowę. Liczba internautów w Polsce doszła pod koniec 1996 r. do około miliona.

W takich właśnie warunkach narodziły się najbardziej utopijne wizje cyfrowego świata społeczeństwa sieci. Frances Cairncross, publicystka szacownego „The Economist", ogłosiła śmierć odległości, przekonując, że cyfrowa

eprasa.pl fa89fff25f

komunikacja zmieniła geometrię społecznej przestrzeni. Miała temu towarzyszyć śmierć pośrednika, niepotrzebnego w świecie bezpośredniej masowej komunikacji. Co w efekcie miało doprowadzić do powstania kapitalizmu bez tarcia wynikającego z niedostatecznego dostępu do informacji. A także do przekształcenia demokracji w nieustannie funkcjonującą cyberagorę, umożliwiającą podejmowanie decyzji drogą partycypacyjną bezpośrednio przez obywateli. I to w wymiarze globalnym, bo przecież sieć nie zna granic, więc w efekcie i ziemskie granice staną się zbędne, a wraz z nimi zwiędnie państwo narodowe, relikt XIX i XX w.

Polityka w cyberprzestrzeni. Spektakularnym przykładem związku między myśleniem utopijnym a realną polityką stał się manifest „Magna Charta for the Knowledge Age" (Wielka karta wolności dla epoki wiedzy) ogłoszony w 1994 r. przez znanych wizjonerów Alvina Tofflera, George'a Gildera, Esther Dyson. Autorzy zaczęli swój tekst od stwierdzenia, że głównym wydarzeniem XX w. była utrata znaczenia przez materię i triumf umysłu, który zyskał przewagę nad nagą fizyczną siłą. Dalej prezentowali wizję nowej cywilizacji mającej zapanować na nowym kontynencie o nazwie cyberprzestrzeń. Warunkiem miało być ograniczenie interwencji państwa i jego regulacyjnych zapędów.

Technolibertariański tekst wpadł w oko Newtowi Gingrichowi, wówczas głównej postaci Partii Republikańskiej w Stanach Zjednoczonych. Manifest pomógł w ukształtowaniu technologicznego programu partii chcącej pokazać się z nowoczesnej strony. Został przedstawiony jako Kontrakt z Ameryką i przyniósł w wyborach w listopadzie 1994 r. Republikanom większość zarówno w Izbie Reprezentantów, jak i w Senacie. W Białym Domu zasiadał wtedy Demokrata Bill Clinton, a wiceprezydentem był Al Gore. To on z kolei doprowadził do przyjęcia National Information Infrastructure Act (Ustawy o krajowej infrastrukturze informacyjnej), dokumentu kluczowego dla rozwoju internetu. I dlatego zapewne Gore zwykł potem mówić o sobie, że to on wymyślił tę sieć.

Doszło wówczas do jeszcze jednego wydarzenia, które stało się zapowiedzią nowych czasów. 1 stycznia 1994 r. rdzenni mieszkańcy stanu Chiapas w Meksyku zeszli z gór i wszczęli powstanie przeciwko NAFTA (porozumieniu o wolnym handlu między Meksykiem, USA i Kanadą). Rząd zmobilizował przeciwko buntownikom armię i wszystkie siły nowoczesnego państwa. Lider powstańców, tajemniczy *sub-commandante* Marcos, postanowił wykorzystać siłę organizujących się w globalną sieć nowych mediów. Dzięki nim zdołał zmobilizować poparcie progresywnej opinii publicznej na całym świecie. Rząd w Meksyku ugiął się i podjął z powstańcami rokowania, uznając najważniejsze ich roszczenia. Manuel Castells nazwał powstanie w Chiapas pierwszą postmodernistyczną rewoltą. Kolejne miały nadejść, a wraz z nimi – wierzono – koniec dyktatur, dla których nie było miejsca w świecie opanowywanym przez technologie wolności.

Nowa mobilność. Internet nie wstrząsnąłby jednak tak bardzo światem, gdyby nie drugi nurt technologicznej rewolucji. Równie nieprzewidziany. Na początku lat 80. amerykański koncern telekomunikacyjny AT&T zlecił prognozę rynku dla usług telefonii mobilnej na koniec stulecia. Z analiz wyszło, że w Stanach Zjednoczonych z przenośnych telefonów będzie korzystać niespełna milion osób. Zbyt mało, by warto było inwestować. W rzeczywistości liczba abonentów w Stanach Zjednoczonych przekroczyła pod koniec XX w. 100 mln osób, a na całym świecie 700 mln.

Doom. Gra z użytkownikami

Gra Doom, wprowadzona na rynek w 1993 r. przez studio id-Software, to klasyczna z dzisiejszej perspektywy strzelanka (First Person Shooter). Okazała się jednak dla branży gier komputerowych produkcją pod wieloma względami przełomową. Względem istotnym, ale nie kluczowym była trójwymiarowa grafika zyskująca na popularności wraz z poprawą parametrów technicznych komputerów i konsol. Doom był natomiast pierwszą grą, która korzystała z możliwości, jaką daje sieć – łączenia graczy we współpracujące z sobą grupy lub w trybie *deathmatch* walczących ze sobą. Na początku najpopularniejszą formą były tzw. LAN-party, czyli wspólne granie na komputerach połączonych siecią lokalną.

Ten komunikacyjny wymiar gier sieciowych przez długi czas umykał badaczom i komentatorom zaniepokojonym faktem, że gracze potrafili spędzać przed komputerami wiele godzin. Obawiano się (lęki te nie wygasły do dziś), że w efekcie zanurzenia w cyberrzeczywistość utracą oni umiejętności społeczne niezbędne do funkcjonowania w realnym świecie. Okazało się, że rzeczywiście komunikacja elektroniczna pogłębia indywidualizację, czasem do patologicznych wymiarów. Częściej jednak obserwuje się, pisał kanadyjski badacz internetu Barry Wellman, zjawisko indywidualizmu usieciowionego. To sytuacja, w której jednostki świadome swej odrębności prowadzą jednocześnie aktywną komunikację z innymi jednostkami, wykorzystując do tego cyfrowe media. Jednym z takich mediów są sieciowe gry komputerowe, a samo granie stało się nie tylko zyskującą na popularności praktyką kulturową, ale i ważną praktyką społeczną.

Doom wskazał drogę, ale idSoftware dołożył jeszcze kilka ważnych elementów. Najważniejszy – umożliwił graczom współtworzenie gry przez kreowanie własnych poziomów i modyfikacji. Zyskali oni nie tylko możliwość wpływu na ulubioną grę, ale także kolejny powód do tego, żeby tworzyć wspólnoty (fandomy) skupiające grających po to, żeby wymieniać się zarówno doświadczeniami, jak i wyprodukowanymi modyfikacjami. idSoftware umiejętnie skorzystał z jednej z najważniejszych cech kultury cyfrowego świata propagowanej przez pionierów cyfrowej rewolucji – kultury współtworzenia i dzielenia się na zasadzie daru.

W końcu idSoftware wykorzystał tę cechę do dystrybucji gry, zanęcając graczy bezpłatną wersją dostępną jako tzw. *shareware*, czyli produkt, który można swobodnie kopiować i się nim dzielić. Ci, którzy przekonali się do jakości produktu, mogli kupić wersję pełną. Pomysł sprawdził się, Doom i Doom II sprzedały się, każda po ok. 2 mln sztuk. Doom w różnych swych wersjach należał do najlepiej sprzedających się gier komputerowych lat 90. Jest ciągle żywy, w 2016 r. dokonał się *reboot*, czyli odnowienie tytułu i ponownie jest on systematycznie rozwijany. Najnowsza wersja, „Doom. The Dark Ages" weszła na rynek w 2025 r.

(EB)



Kadr z gry komputerowej Doom, 1993 r.

eprasa.pl fa89fff25f

Idea telefonii bezprzewodowej jest dość stara, pierwsze w pełni przenośne systemy wprowadził w 1956 r. potentat telekomunikacyjny Ericsson. W 1981 r. zadebiutowała analogowa telefonia komórkowa w standardzie NMT, a w 1983 r. jej amerykański odpowiednik w standardzie AMPS. Usługa była dostępna tylko dla najzamożniejszych klientów, same aparaty kosztowały tysiące dolarów.

Sytuację zmieniła rewolucja technologiczna umożliwiająca przejście na bardziej wydajny standard cyfrowy. Jego symbolem stał się GSM, zainicjowany w 1982 r. i później konsekwentnie podtrzymywany przez Komisję Europejską i państwa członkowskie. Do współpracy zachęcało przekonanie, że wspólny paneuropejski standard umożliwi łatwiejsze upowszechnienie nowej technologii. Start nastąpił w 1991 r., w 1992 r. został wysłany pierwszy SMS. Wstępne założenia zakładały, że nowy system spodoba się do końca stulecia ok. 30 mln użytkowników. I znowu prognoza okazała się wielokrotnie zaniżona. Do końca stulecia w krajach ówczesnej unijnej piętnastki korzystało z niego blisko 200 mln użytkowników, w Polsce niespełna 7 mln. Polska miała jednak opóźniony start, zanim bowiem Polacy poznali uroki GSM, korzystali z technologii analogowej i standardu NMT udostępnionego przez Centertel w 1992 r.

Terminale Nokii i Motoroli przypominały radiostacje i stały się ważną częścią pejzażu polskiego kapitalizmu pierwszej połowy lat 90. Centertel zdobył niespełna 100 tys. abonentów, a w 1996 r. zyskał konkurenta w postaci dwóch operatorów usługi GSM: Polkomtela z siecią Plus oraz PTC z siecią Era.

Wizje nieuchronnej konwergencji i smog informacyjny. Rozwój cyfrowej telefonii mobilnej i upowszechnianie internetu stały się podstawą dla odważnych wizji nieuchronnej konwergencji, czyli połączenia w całość telekomunikacji, internetu, mediów oraz rozrywki. Zapowiedź, że kiedyś będzie można na trzymanym w ręku urządzeniu oglądać film, jadąc autobusem, wydawała się jednak niedosiężną fantazją. Już w 1996 r. większym problemem zaczął być nadmiar informacji. Wizja Clifforda Stolla, który uprzedzał, że internet okaże się bezużyteczny, zaczynała się sprawdzać. Istniejące w tamtym czasie wyszukiwarki na pytanie o cokolwiek wyrzucały listę odpowiedzi, nie wskazując w żaden sposób, która jest lepsza. Tymczasem stron internetowych szybko przybywa-

Uliczna reklama firmy oferującej usługi sieci telefonii komórkowej Era, 1997 r.

z POLITYKI

Jak to z koncesjami było



Moda na telefonię komórkową trafiła do Polski wraz z upadkiem komunizmu. (…) Pierwsze firmy oferujące swoje usługi zapukały do drzwi resortu łączności jeszcze przed Bożym Narodzeniem [1989 r.]. Wśród 24 ofert 18 pochodziło od poważnych przedsiębiorstw. W połowie marca 1990 r. (…) minister łączności Marek Kucharski powołał międzyresortowy zespół do spraw oceny ewentualnych kontrahentów. (…) [W maju] Ministerstwo Łączności ujawniło jedynie, że grupa specjalistów, (…) wybrała 9 firm. (…) również dopiero w maju zespół fachowców (…) ustalił ostateczne warunki techniczne polskiej sieci telefonii komórkowej. Wcześniej jakoś nikt tym nie pomyślał.

Postanowiono, że nasz system będzie pracował, podobnie jak w krajach skandynawskich, w zakresie częstotliwości ok. 450 MHz. Japończycy, Amerykanie, Kanadyjczycy, Brytyjczycy wybrali w tym czasie pasmo ok. 900 MHz, które pozwala na ponad czterokrotne zwiększenie liczby transmitowanych kanałów, ale... W Polsce fen zakres zarezerwowany był wtedy na wszelki wypadek dla potrzeb armii i sztabów Układu Warszawskiego.

7 lipca Min. Łączności (…) poprosiło wybrane firmy o złożenie szczegółowych ofert technicznych i ekonomiczno-organizacyjnych w terminie do 7 września. (…) Po dwóch miesiącach z placu boju odpadła jedna firma. Być może zwyczajnie straciła chęć do łożenia coraz to większych pieniędzy na opracowanie projektu i liczne wizyty w Polsce. Koszty sięgały już przeciętnie kilkuset tysięcy dolarów. Na dokładkę każdy ze startujących został zmuszony do wpłacenia 70 tys. dolarów kaucji. (…) W połowie października zamiast ogłoszenia ostatecznych wyników przetargu oświadczono tylko, że konkurs trwa dalej, a komisja (…) wybrała 5 ofert (…). Ministerstwo (…) dało kolejny termin zakończenia rywalizacji. Tym razem mówiono o połowie grudnia (…).

W tym gorącym okresie na stanowisku szefa resortu nastąpiła zmiana: Nowy minister Jerzy Slezak zapewniał, że wyniki przetargu zostaną oczywiście rychło ogłoszone i nie ma żadnych powodów do obaw. (…) Bomba wybuchła w trzynastym miesiącu niekończącej się rywalizacji. 22 stycznia 1991 r., po kilku tysiącach godzin pracy sztabu ekspertów i wydaniu sporej sumy pieniędzy, konkurs na wybór operatora sieci radiofonii komórkowej został unieważniony! Jako powód podano wejście w życie nowej ustawy o łączności, która zmienia zasady działania w Polsce zagranicznych firm telekomunikacyjnych. Obcy kapitał może mieć jedynie 49 proc. udziałów. Ministerstwo Łączności niedwuznacznie dawało do zrozumienia, że takich ofert nie było. (…)

Ku zaskoczeniu rozgoryczonych zachodnich firm 25 lutego [1991 r.] ogłoszono drugi przetarg (…). Tym razem zrobił to dyrektor generalny PPTIT, czyli instytucji podległej Ministerstwu Łączności. (…). Wpisowe kosztuje 10 mln zł. (…). W odróżnieniu od Ministerstwa Łączności nikt nie pyta o warunki techniczne. Jedyna wspólna cecha to chęć wyciągnięcia jak największej ilości pieniędzy. (…) Na początku kwietnia poinformowano, że do walki stanęło ostatecznie 9 firm i konsorcjów. 6 z nich wywołuje w Ministerstwie Łączności dreszczyk emocji – to te same firmy, które cały miniony rok straciły na bezsensownych przepychankach w unieważnionym przetargu.

Roman Czejarek,
„Zaproszenie do komórki”,
POLITYKA 17/1991

eprasa.pl fa89fff25f

ło. W 1997 r. było ich już ponad milion, w 1998 r. ponad 2,4 mln, w 1999 r. setki milionów. Trudno o lepszą ilustrację nadmiaru informacji i zjawiska smogu informacyjnego, o którym pisała wówczas również POLITYKA.

Zdawało się, że internet skończył się, zanim na dobre się rozwinął. Ratunek przyniosła firma o nazwie Google, założona w 1998 r. Pierwszą siedzibę miała, zgodnie z tradycją kalifornijskiej Krzemowej Doliny, w garażu. Jej twórcy Larry Page i Sergey Brin, studenci Uniwersytetu Stanfordzkiego, zaproponowali rozwiązanie dla problemu informacyjnego smogu. Opracowali algorytm opisujący, jak można w sposób zautomatyzowany oceniać wagę poszczególnych stron internetowych. Efekt swej pracy naukowej zamienili w rozwiązanie, jakim stała się nowa wyszukiwarka o nazwie Google. Okazała się na tyle skuteczna, że pojęcie smogu informacyjnego wyparowało z obiegu równie szybko, jak stare wyszukiwarki. Google zaś ruszył na podbój internetu, szybko stając się jedną z największych korporacji nie tylko cyfrowego świata. Dziś jako Alphabet jest wart na giełdzie blisko 4 bln dol. i walczy o pozycję lidera kolejnej rewolucji technologicznej, której na imię sztuczna inteligencja.



Larry Page i Sergey Brin, założyciele firmy Google, Mountain View, USA, 1998 r.

Upokorzenie gatunku ludzkiego i siła rozproszonej inteligencji. Dzisiejszą gorączkę sztucznej inteligencji dobrze zapowiedziało wydarzenie, które poruszyło opinię publiczną w 1997 r. W Nowym Jorku do meczu szachowego zasiadł arcymistrz Gary Kasparow i komputer Deep Blue przygotowany przez IBM. Mecz zakończył się wygraną maszyny. Brytyjski dziennik „Guardian" komentował, że mistrz świata przegrał z ważącą 1,4 tony kupą krzemu, i puentował: to przełomowy moment w rozwoju sztucznej inteligencji, a zarazem to przygnębiający dzień dla ludzkości w ogóle.

Cóż, sztuczna inteligencja Deep Blue niewiele miała wspólnego ze sztuczną inteligencją programu AlphaGo, który dwie dekady później pokonał Lee Sedola, południowokoreańskiego zawodowego gracza go o stopniu 9 dan, i jeszcze mniej z systemami generatywnej sztucznej inteligencji rozpalającymi wyobraźnię dziś. W 1997 r. przegrana Kasparowa była jednak spektakularnym znakiem czasu.

Początek lat 90. to także pierwociny innej rewolucji technologicznej, najprawdopodobniej najbardziej praktycznej i konkretnej utopii w dziejach. Jej źródła tkwią w początkach informatyki, jednak dopiero internet dał możliwość jej upowszechnienia. Chodzi o ruch na rzecz tworzenia oprogramowania jako daru, a nie produktu. W latach 80. takie podejście zaczął propagować Richard Stallman; twierdził on, że oprogramowanie komputerowe należy oferować w otwartym dostępie, by każdy mógł nie tylko korzystać, ale i rozwijać istniejący zasób. Ideę Stallmana podchwycił w 1991 r. Linus Torvalds, wówczas student politechniki w Helsinkach. Postanowił stworzyć system operacyjny dla komputerów, który byłby otwartą i niezależną alternatywą dla systemów zamkniętych należących dla konkretnych właścicieli, jak Microsoft lub Apple.

Pomysł wydawał się absurdalny, wszak system operacyjny to wielkie przedsięwzięcie wymagające zaangażowania wielu programistów i doskonałej organizacji pracy. Torvalds postanowił sprawdzić, czy alternatywą nie jest rozproszona inteligencja informatyków podłączonych do sieci. W 1991 r. napisał rdzeń systemu i opublikował swoje oprogramowanie w grupie użytkowników sieci Usenet z zachętą do komentowania, poprawiania i dopisywania. We wrześniu pierwsza wersja systemu była gotowa i weszła w życie pod nazwą Linux.

Bill Gates zareagował na inicjatywę Torvaldsa jak światowa burżuazja na rewolucję bolszewicką; zarzucił mło-

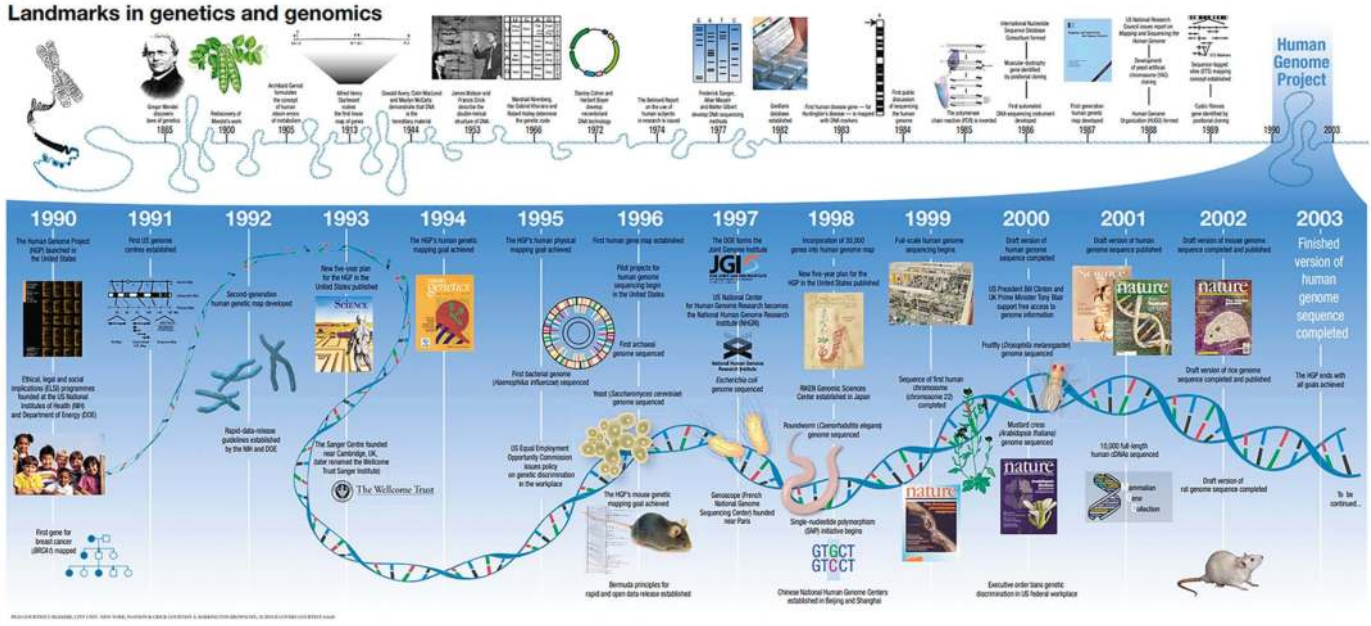


Mecz szachowy Gary Kasparow–komputer Deep Blue firmy IBM, Nowy Jork, 1997 r.

Linus Torvalds, twórca systemu operacyjnego Linux, Toronto, 2000 r.



eprasa.pl fa89fff25f



Kalendarium projektu poznania ludzkiego genomu, biologicznego aspektu rewolucji informatycznej.



Początek końca bańki internetowej, nowojorska giełda, marzec 2000 r.

demu Finowi, że próbuje ożywić komunizm. Bo jak inaczej nazwać pracę nie dla zysku? Rzeczywiście, Torvalds pytany, dlaczego angażuje się w projekt nienastawiony na zarobek, odpowiadał, że robi to *just for fun*, po prostu dla zabawy. Tyle tylko, że z tej zabawy wyrósł pełnoprawny segment rozwoju oprogramowania, bez którego niemożliwe byłoby dziś funkcjonowanie cyfrowej rzeczywistości.

Oprogramowanie to, gdyby chcieć je wytworzyć metodą komercyjną, kosztowałoby wiele miliardów dolarów. Te miliardy dobrze pokazują, że także utopijne wydawałoby się fantazje Torvaldsa czy Timothy'ego Bernersa-Lee przyczyniły się do powstania współczesnej cywilizacji. Mimo dominacji w niej cyfrowych korporacji żywotność Linuksa przypomina, że w sieci ciągle tkwi siła umożliwiająca tworzenie alternatywy pozwalającej na odzyskanie społecznej kontroli nad rozwojem technologii i przyszłością.

Stracona alternatywa. Ta przyszłość wydawała się zagrożona, gdy eksperci zwrócili uwagę, że w nocy z 31 grudnia 1999 r. na 1 stycznia 2000 r. może dojść do katastrofy. Jej przyczyną miała być tzw. pluskwa milenijna, czyli błąd zaszyty w wielu programach komputerowych obsługujących takie instytucje, jak linie lotnicze, banki, administracje państwowe, szpitale, elektrownie. Źródłem problemu miał być sposób zapisu daty ustalony w czasach, kiedy każdy znak w kodzie programistycznym się liczył, bo kosztował cenną pamięć.

Do katastrofy 1 stycznia 2000 r. nie doszło. Nastąpiła niedługo później, w marcu 2000 r., kiedy pękła giełdowa bańka internetowa i Long Boom okazał się znacznie krótszy, niż prognozowali wizjonerzy Nowej Gospodarki. Nowojorska giełda Nasdaq załamała się, tracąc do 2002 r. – tyle trwała bessa – 75 proc. swojej wartości. Dla sceptyków był to najlepszy dowód, że mieli rację, wątpiąc w internet.

Dziś podobne dyskusje towarzyszą przyszłości sztucznej inteligencji i rozwijających ją firm. Mało kto wątpi, że obecna bańka inwestycyjna pęknie tak, jak w 2000 r. zakończył się internetowy boom. Internet się jednak nie zakończył. Nie skończyła się też historia nabierająca dziś złowieszczo rozpędu. Jej źródła tkwią w latach 90. To wtedy powstały lub weszły w fazę dojrzałości najważniejsze technologie kształtujące rozwój współczesnej cywilizacji, którego najważniejszym aspektem jest cyfrowa superkonwergencja – połączenie technologii przetwarzania i przesyłania informacji nie tylko w wymiarze społecznym, technologicznym, ale także biologicznym. Symbolicznym zwieńczeniem biologicznego aspektu rewolucji informacyjnej stało się ogłoszenie w Białym Domu 26 czerwca 2000 r. przez prezydenta Billa Clintona, w obecności premiera Wielkiej Brytanii Tony'ego Blaira, Human Genom Project (projektu poznania genomu ludzkiego).

Wtedy też powstały najważniejsze utopie dotyczące potencjału cyfrowej rewolucji. I wtedy także pojawiła się głęboka krytyka ostrzegająca przed negatywnymi konsekwencjami rozwoju cyfrowego kapitalizmu. W latach 90. istniała alternatywa dla neoliberalnego kapitalizmu; polegała ona na uspołecznieniu technologii. Rezygnując z niej, ludzkość otworzyła drogę do współczesnej dystopii technofeudalizmu i władzy nad rzeczywistością garstki dysponentów cyfrowego kapitału zorganizowanego w superkorporacje o nieznanej w dziejach potędze.

EDWIN BENDYK

eprasa.pl fa89fff25f

Koniec świata amatorów

Pod koniec XX w. zawodowstwo w sporcie przestało być czymś niestosownym. Nie tylko w Polsce.

Andrzej Fąfara

Dyktat amatorstwa. Przez dziesiątki lat istnienia Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego (założonego w 1894 r.) zawodowcy stanowili grupę wyklętą, mogącą rywalizować wyłącznie we własnym gronie. Profesjonaliści nie byli dopuszczani do udziału w igrzyskach. Hołubieni natomiast byli amatorzy; pilnowano tylko, by nie brali bezpośrednio pieniędzy za uprawianie sportu. Zawodników przyłapanych na tym procederze surowo karano. Doświadczył tego w okresie międzywojennym wybitny fiński długodystansowiec Paavo Nurmi. Dyskwalifikacja złamała też wówczas karierę łotewsko-polskiemu biegaczowi Stanisławowi Petkiewiczowi. Ale przecież ci wszyscy amatorzy musieli z czegoś żyć, za coś kupować mieszkania i inne dobra. Dlatego pośrednio mogli pieniądze brać. Szerzyło się więc zakłamanie mające wyraz w fikcyjnych etatach czy manipulowaniu przy zwrocie kosztów podróży. Te pokrętne działania były akurat dozwolone.

Powstanie tzw. bloku wschodniego po drugiej wojnie światowej tylko utrwaliło ten chory układ. W krajach socjalistycznych zawodowstwo było zakazane, natomiast tzw. amatorstwo urosło do niebywałej potęgi. Polscy piłkarze na Śląsku, stuprocentowi amatorzy, mieli etaty górników dołowych, choć swoją kopalnię oglądali tylko z okna samochodu, jadąc na mecz lub trening. W innych regionach kraju sportowców zatrudniało wojsko, milicja i wszelkie inne możliwe branże. Taki amator biorący pieniądze od państwa mógł bez żadnych przeszkód startować w igrzyskach olimpijskich. Tymczasem zawodowiec z Zachodu musiał się trzymać z daleka od pięciu kółek.

Sytuacja oczywiście nie była czarno-biała, w krajach kapitalistycznych też funkcjonowała liczna rzesza sportowców utrzymywanych – bezpośrednio lub w sposób zakamuflowany – przez państwo. Najbardziej popularne kamuflaże to wojsko lub uczelnie. Francuzi czy Brytyjczycy musieli to robić, bo w innym przypadku nie mieliby żadnych szans w rywalizacji z przedstawicielami krajów socjalistycznych. Chodziło zwłaszcza o dyscypliny pozbawione wielkich widowni, jak szermierka czy zapasy, które nie mogły same na siebie zarobić. W socjalizmie sprawa była dużo prostsza. Rachunek ekonomiczny nie miał tu żadnego znaczenia. Dotowane było od góry do dołu wszystko.

Po prawdziwe pieniądze. Sportowcy ze Wschodu, którzy chcieli zarabiać prawdziwe pieniądze, od czasu do czasu, przy okazji jakichś wyjazdów zagranicznych, zosta-



Mecz Wisła Kraków–Legia Warszawa na stadionie w Krakowie, czerwiec 1993 r.

eprasa.pl fa89fff25f





Od lewej: Wojciech Fibak, pierwszy zawodowiec w polskim sporcie, Warszawa, 1977 r. • Zenon Jaskuła, trzeci na zawodowej trasie Tour de France, tu podczas Tour de Pologne, Kraków, 1997 r.

wali na Zachodzie. Wybierali wolność, jak to wtedy określano. Odważnych nie było jednak zbyt wielu. Większość miała rodziny i bała się odwetu komunistycznych władz. Najsłynniejszym uciekinierem był pod koniec lat 40. wybitny czechosłowacki tenisista Jaroslav Drobny. W jego ślady poszedł w 1951 r. Polak Władysław Skonecki, też przedstawiciel tenisa. Uciekali również piłkarze, bo mieli pewność, że szybko znajdą dobrze płatną pracę.

Najbardziej poszkodowani niechęcią komunistów do zawodowstwa byli właśnie piłkarze, a także kolarze. W obu tych dyscyplinach czołowi profesjonaliści na Zachodzie zarabiali bardzo dobre pieniądze. Tymczasem w Polsce Ryszardowi Szurkowskiemu i Włodzimierzowi Lubańskiemu musiały wystarczać fikcyjne etaty. Po wielkim sukcesie piłkarskiej drużyny Kazimierza Górskiego w mistrzostwach świata w 1974 r. władza uchyliła furtkę na Zachód nielicznym zawodnikom. Lubański też z niej skorzystał, choć we wspomnianym mundialu nie wziął udziału z powodu kontuzji. Natomiast Szurkowski pozostał kolarskim amatorem do końca swojej wspaniałej kariery.

Tak naprawdę pierwszym zawodowcem w historii polskiego sportu był tenisista Wojciech Fibak. W 1974 r. skoczył na głęboką wodę i zaczął grać z coraz większymi sukcesami w turniejach na Zachodzie. Znana jest lista jego licznych osiągnięć na kortach całego świata, ale największą zasługę położył on w przełamaniu negatywnego stereotypu zawodowstwa w polskim społeczeństwie. Przez lata oswajał mieszkańców PRL z informacją, że na uprawianiu sportu można dużo zarabiać i że nie ma w tym nic złego. No i że bycie profesjonalnym sportowcem nie musi oznaczać zerwania relacji z socjalistyczną ojczyzną.

Można podejrzewać, że przykład Fibaka miał pewne znaczenie w przypadku przejścia na zawodowstwo kolarza Czesława Langa. To wydarzenie mimo wszystko należałoby zaliczyć do zjawisk nadprzyrodzonych. W pierwszych tygodniach stanu wojennego chorąży Lang, reprezentant wojskowego klubu, otrzymał zgodę na wyjazd. W czasie gdy były ograniczane wszelkie swobody obywatelskie, trzej ważni ludzie, w tym szef Legii gen. Józef Kamiński, podpisali mu przepustkę na Zachód.



Exbud Kielce, pierwsza w Polsce zawodowa grupa kolarska, 1989 r.

To był styczeń 1982 r. W tym samym mniej więcej czasie piłkarz Zbigniew Boniek przeniósł się z Widzewa Łódź do Juventusu Turyn. System władzy w Polsce powoli się kruszył, jednak rysy były jeszcze mało widoczne, więc tego rodzaju decyzje, jak pozwolenia dla Langa i Bońka, robiły mocne wrażenie. W ślady tego pierwszego poszedł w 1986 r. inny kolarz Lech Piasecki. Wciąż jednak polskich zawodowców było w światowym sporcie niewielu. To się miało wkrótce diametralnie zmienić.

Sygnały zmian. W drugiej połowie września 1988 r. odbyły się igrzyska olimpijskie w Seulu. W ich programie – po 64 latach przerwy – znalazł się m.in. tenis. To była przełomowa i zaskakująca decyzja, gdyż na starcie stanęli zawodowcy. Wśród mężczyzn brakowało wprawdzie wielu najlepszych, m.in. lidera światowego rankingu Szweda Matsa Wilandera. Zwyciężył Miloslav Mecirz z Czecho-

eprasa.pl fa89fff25f

słowacji, dziesiąty w klasyfikacji ATP. W turnieju kobiecym natomiast wystąpiły wszystkie gwiazdy, poza Martiną Navrátilovą. Wygrała Niemka Steffi Graf, najlepsza w tamtym momencie tenisistka na świecie.

Tenisowa rywalizacja w Seulu była najmocniejszym świadectwem zmian klimatu w światowym sporcie. Te mniej dobitne sygnały dochodziły ze wszystkich stron świata, także z Polski. Tu jesienią 1988 r. powstała pierwsza zawodowa grupa kolarska. Krajem rządzili wciąż komuniści, szefem sportu był późniejszy prezydent Aleksander Kwaśniewski. Exbud, firma budowlana z Kielc, kierowana przez sprawnego menedżera Witolda Zaraskę, prowadziła działania na zachodzie Europy i postanowiła zareklamować się za pośrednictwem kolarstwa. Prezentacja zespołu została zorganizowana w hotelu w Cedzynie. Wszystko odbyło się w stylu zachodnim. W kuluarach rozmieszczono różne kolarskie eksponaty, wśród których przechadzali się kolarze w koszulkach Exbudu. Do tego był szwedzki stół i całkiem niezła kuchnia. Do ekipy trafili wyłącznie polscy amatorzy, m.in. Andrzej Serediuk i Andrzej Mierzejewski. Funkcję menedżera pełnił legendarny Ryszard Szurkowski. Niestety, grupa Exbud okazała się zespołem słabym, niemającym szans nawet w drugorzędnych wyścigach. Po roku przestała istnieć.

Krótki żywot miała też zawodowa grupa złożona z kolarzy ZSRR. To była sensacja na skalę światową. Sowieci zawodowcami! Był 1989 r., trwała tam pierestrojka, więc włoska firma Alfa Lum, produkująca aluminiowe okna i drzwi, jakoś załatwiła zgodę na zatrudnienie aż szesnastu zawodników ze Wschodu. Najbardziej znanym był Siergiej Suchoruczenkow, mistrz olimpijski, dwukrotny zwycięzca Wyścigu Pokoju. Niestety miał on już najlepsze czasy za sobą i w rywalizacji z czołowymi zawodowcami był bez szans. Jego start w hiszpańskiej Vuelcie zakończył się wielką katastrofą.

Amatorstwo na kroplówce. Wydawało się, że w nowych okolicznościach, gdy podpisanie zawodowego kontraktu nie nastręczało zawodnikom z Polski czy nawet ze Związku Sowieckiego większych problemów, kolarstwo amatorskie zniknie bezpowrotnie. Tymczasem ono wciąż istniało, podtrzymywane przez międzynarodową federację. Organizowane były nadal mistrzostwa świata amatorów. Można się zastanawiać dlaczego. Zapewne dlatego, że istniała cała rzesza działaczy reprezentujących od lat kolarstwo amatorskie. Chcieli wciąż jeździć po świecie, mieszkać w luksusowych hotelach i pobierać wysokie diety.

Na tym przedłużonym istnieniu amatorstwa Polska zyskała kolejnego mistrza świata, Joachima Halupczoka, który zdobył złoty medal w Chambéry w 1989 r. Czempion rok później jeździł już w zawodowej grupie Diana-Colnago-Animex. Ten sam ruch w tym samym czasie wykonał inny czołowy polski amator Zenon Jaskuła. Losy obu kolarzy potoczyły się jednak całkiem odmiennie. Halupczok szybko musiał zakończyć karierę z powodu arytmii serca. Wkrótce potem zasłabł podczas charytatywnego meczu piłkarskiego i zmarł. Natomiast Jaskuła zdecydowanie wzmocnił się na zawodowym wikcie i w 1993 r. wygrał najcięższy etap Tour de France, zajmując też trzecie miejsce w klasyfikacji generalnej tego najbardziej prestiżowego wyścigu na świecie.

Halupczok i Jaskuła nie wzięli udziału na przełomie lipca i sierpnia 1992 r. w igrzyskach w Barcelonie. Kolarze zawodowi wciąż nie mieli wstępu w pobliże flagi z pięcioma kółkami. Tymczasem na kortach w stolicy Katalonii – podobnie jak cztery lata wcześniej w Seulu – znów stawili się prawie wszyscy tenisowi bogacze. Zabrakło nielicznych, m.in. Amerykanina Andre Agassiego. Wystartował on cztery lata później w Atlancie i odniósł zwycięstwo.

Cuda w tej budzie!

Korupcja w polskiej piłce nożnej, wyrażająca się przekupywaniem sędziów i zawodników oraz ustalaniem wyników meczów, na pewno istniała za rządów komuny, ale wówczas nikt nie mógł o tym pisać. Władza blokowała wszelkie publikacje. Dużo łatwiej było nakręcić film, zwłaszcza zabawny. „Piłkarski poker", dzieło Janusza Zaorskiego (reżyseria) i Jana Purzyckiego (scenariusz), powstał w 1988 r., czyli jeszcze przed zmianami ustrojowymi. Autorzy prześlizgnęli się przez ucho igielne cenzury dzięki temu, że podeszli do sprawy w sposób komediowy. Inspiracją dla Zaorskiego i Purzyckiego były wydarzenia z ostatniej kolejki ligowych rozgrywek w 1986 r.



Janusz Gajos jako sędzia futbolowy w filmie „Piłkarski poker" Janusza Zaorskiego, 1988 r.

W wolnej Polsce można już było traktować temat serio, tylko że nikt przez długi czas nie był w stanie przedstawić twardych dowodów na przestępcze działania. Nawet gdy w 1993 r. zdarzyła się kolejna tzw. niedziela cudów, wszystko pozostawało w sferze domysłów. W tym konkretnym przypadku sytuacja w tabeli była taka, że prowadziły zespoły Legii Warszawa i ŁKS, mając identyczną liczbę punktów. W korzystniejszej sytuacji, dzięki lepszej różnicy bramek, znajdowała się drużyna stołeczna. Łodzianie musieli więc odpowiednio wysoko wygrać u siebie ze zdegradowaną Olimpią Poznań, by przeskoczyć Legię. Tej zaś było potrzebne wyjazdowe zwycięstwo nad Wisłą Kraków, też wysokie, by nie dać się wyprzedzić ŁKS.

No i zaczęła się kanonada. Oba spotkania zostały rozegrane o tej samej godzinie, więc ważnym elementem były bieżące informacje z obu boisk. Ostatecznie ŁKS pokonał Olimpię 7:1, ale to Łodzianom nie wystarczyło, bo Legia wygrała na stadionie Wisły 6:0. Oba wyniki wzbudziły oczywiście ogromne podejrzenia. PZPN trzy tygodnie później – pod naciskiem opinii publicznej oraz UEFA – podjął decyzję o odebraniu tytułu Legii. Anulował rezultaty ostatnich meczów w Łodzi i Krakowie, przyznając tym samym mistrzostwo Polski Lechowi Poznań.

Niby sprawiedliwości stało się zadość, ale tylko na gruncie piłkarskim i w bardzo wąskim wymiarze, bo przecież nikt personalnie nie został ukarany. W kolejnych latach nadal więc krążyły legendy o sprzedawanych meczach i o niebywałym wręcz rozmiarze korupcji w polskiej piłce. Dopiero po 2004 r. lawina ruszyła. Przed sądem stanęli piłkarscy działacze (niesławny Fryzjer), arbitrzy, trenerzy, zawodnicy… Pozostaje pytanie, czy wszyscy?

(AF)

Tymczasem w Barcelonie złoty medal zdobył niespodziewanie Szwajcar Marc Rosset. Wśród kobiet Steffi Graf nie powtórzyła sukcesu z poprzednich igrzysk, przegrywając w finale z Amerykanką Jennifer Capriati.

Jeszcze większą sensacją było pojawienie się w Barcelonie reprezentacji amerykańskich koszykarzy, mającej w składzie samych multimilionerów. Olimpijczykiem został m.in. Michael Jordan, w tamtym czasie postać numer jeden nie tylko koszykówki, ale chyba też całego światowego sportu. Amerykanie nie zamieszkali w wiosce olimpijskiej, ale w wynajętym specjalnie dla nich hotelu. Pod budynkiem stały dzień i noc tłumy kibiców, mające nadzieję, że któryś z asów pojawi się w oknie. Zespół nazwano Dream Teamem. Wszystkie bilety na mecze Amerykanów dużo wcześniej zostały wyprzedane. Akredytacje

eprasa.pl fa89fff25f

POLITYKI

Z życia kibiców

„Witamy w Warszawie" głosi nagłówek w informatorze wydanym z okazji meczu Legia-Widzew, który odbył się w sobotę 8 maja. Kilka akapitów dalej można przeczytać sporej wielkości hasło: „Dopinguj głośno, ale kulturalnie". Publice nie trzeba tego przypominać: „Łódzcy pseudo-kibice rozpierdolą dziś stolicę". Legioniści również mają coś do powiedzenia: „Widzew, Widzew, łódzki Widzew, ja tej kurwy nienawidzę".

Na ten mecz rywalizujące plemiona szykowały się bardzo poważnie. Obie drużyny, mając tę samą liczbę punktów, zajmowały pierwsze dwa miejsca w tabeli, przy czym Widzew dzięki jednej bramce więcej był liderem. Gra więc była o wszystko: o mistrzostwo w lidze, o pognębienie znienawidzonego wroga, dla policji zaś o niedopuszczenie do zadymy.

Dworzec Łódź Fabryczna, godz. 11.30. Zbierają się fani Widzewa. Już pół godziny wcześniej z parku przed dworcem dobiegały dziarskie okrzyki kibiców, wypłaszając spokojnych obywateli: „Tak dla zabawy zrobimy Heysel z Warszawy". Wielu jest już na mocnym gazie.

Stara gwardia ma swój przedział. Z byle kim nie jadą, chyba że ma wódkę i dobrze śpiewa. (...). Mirek wzdycha nad upadkiem etosu kibica: „Kiedyś jeden drugiemu był bratem. Teraz trzymają się miastami". W przedziale kłębi się już kilkanaście osób. (...) Dwóch zaczyna się szamotać. „Zostawcie siły na Warszawę" – rozdzielają ich kumple. Przez okna wylatują świetlówki i blaszane popielniczki. (...) Koło Grodziska Mazowieckiego na pociąg spadają kamienie, koło Ursusa butelki.

Dworzec Centralny: oddziały prewencji już czekają. Ponadtysięczny pochód łódzkich kibiców wydostaje się z dworca (...). Ruch jest wstrzymany. „RTS mistrzem jest!". Ekspedientki opuszczają kraty w oknach sklepów. Przechodnie przystają na chodnikach. „Wypierdalać ze stolicy" – krzyczy facet na przystanku. (...)



Kibice Legii z tzw. żylety świętują zdobycie przez klub tytułu mistrza Polski, Warszawa, czerwiec 1993 r.

Na trybunach już pełno, prawie 20 tys. ludzi, to chyba rekord w tym sezonie. Piłkarzy jeszcze nie ma, ale trybunom to nie przeszkadza. Bitwa już się zaczęła: „Widzew pedał, dupę sprzedał", skanduje osławiona „żyleta" Legii (kiedyś nad sektorem najostrzejszych warszawskich kibiców wisiała reklama żyletek Polsilvera, teraz widać transparent: „Żyleta to my!"). (...)

Nadchodzi 73 minuta. Warszawa podrywa się: Kowalczyk jest sam na sam z bramkarzem Widzewa. Ogłuszający doping i jęk zawodu. Piłka trafia w słupek. Jeszcze legioniści nie ochłonęli, kiedy najlepszy strzelec w lidze – Marek Koniarek – strzela gola dla Widzewa. 1:1! Widzew szaleje, „żyleta" pogrąża się w rozpaczy (...). Czas ucieka, coraz bliżej końca, „żyleta" szykuje się do rozwiązań pozafutbolowych: „Przyjechali, nie wyjadą!", „Dzisiaj sobota, po meczu będzie robota!". Mija już regulaminowy czas. Pierwsi kibice Legii podnoszą się z trybun, trwają gorączkowe konsultacje, gdzie dorwać łódzkie psy. I oto nagle... gooool!!! 2:1!

Warszawiacy wylewają się na Łazienkowską. (...) policjanci uganiają się za grupką małolatów. Kilku dostaje pałami, ale co tam! „Guantanamera, mamy w Warszawie lidera!". Zwycięstwo wprawia kibiców Legii w nastrój samarytański: „Chyba dzisiaj tym psom nie wpierdolimy!".

Rafał Geremek, Marcin Meller,
„Przyjechali, nie wyjadą", POLITYKA 20/1993

dziennikarskie były ściśle reglamentowane. Drużyna USA zdobyła oczywiście złoty medal, wygrywając swoje spotkania z wielopunktową przewagą.

Kolarze tymczasem hołubili amatorstwo aż do 1995 r. Wtedy to odbyły się w kolumbijskim mieście Duitama pożegnalne mistrzostwa świata w tej kategorii. Nastąpił wreszcie długo oczekiwany koniec świata amatorów. Ostatnim w historii czempionem został Holender Danny Nelissen, który chcąc wystartować w mistrzowskim wyścigu, zerwał na jeden sezon zawodowy kontrakt. Na szczęście od tamtej pory takie reinkarnacje przestały być możliwe.

Normalizacja po polsku. Można powiedzieć, że świat sportu się normalizował, choć w różnych krajach przebiegało to w odmienny sposób i z rozmaitą szybkością. W Polsce barcelońskie igrzyska firmował rząd Hanny Suchockiej, mimo iż na przygotowania do nich nie miał żadnego wpływu, gdyż został sformowany zaledwie dwa tygodnie przez zapaleniem znicza. Mówiąc szczerze, żadna władza po zmianie ustroju w 1989 r. nie przedstawiła sensownego pomysłu na rozwój sportu w nowej rzeczywistości. Trwał więc on siłą rozpędu, jaki nadali mu jeszcze komuniści. Ów impet słabł jednak z każdymi kolejnymi igrzyskami. W Barcelonie Polacy zdobyli w sumie 19 medali, w tym 3 złote. Cztery lata później w Atlancie stawali na różnych stopniach podium 17 razy. Ten nieustanny lot w dół trwał również w następnych latach. Na razie skończył się na 10 medalach wywalczonych podczas igrzysk w Paryżu w 2024 r.



Znaczek Poczty Polskiej z okazji letnich igrzysk olimpijskich w Barcelonie, 1992 r.

Wracając do Barcelony i 1992 r., wspomniane trzy tytuły mistrzowskie, zdobyte wówczas przez Arkadiusza Skrzypaszka i drużynę w pięcioboju nowoczesnym oraz przez Waldemara Legienia w judo, nie narobiły w kraju tyle hałasu, co srebrny medal reprezentacji piłkarskiej. Wiadomo – futbol to futbol. Już sam awans do turnieju olimpijskiego, pierwszy po 16 latach od sukcesu drużyny Kazimierza Górskiego w Montrealu, uznano za duże osiągnięcie. Wicemistrzostwo olimpijskie potraktowano jako ewidentną zapowiedź lepszych czasów dla polskiej piłki nożnej.

Trzeba koniecznie wyjaśnić, że ten barceloński zespół, prowadzony przez mistrza bon motów („Kasa, misiu, kasa!") Janusza Wójcika, składał się z piłkarzy poniżej 23 lat. Taki był regulamin eliminacji i samego turnieju olimpijskiego. Mogli w nim brać udział zawodowi gracze w tym właśnie wieku, choć dopuszczalne było też uczestnictwo trzech zawodników starszych. Chodziło w sumie o to, by rywalizacja na igrzyskach nie była powtórką, a zarazem konkurencją dla rozgrywanych co cztery lata mundiali. Nadzieje wiązane z drużyną Wójcika,

eprasa.pl fa89fff25f

przy założeniu, że medaliści okrzepną i jeszcze się rozwiną, okazały się płonne. Zaraz po powrocie z igrzysk trener rzucił często powtarzane później hasło: „Zmieniamy szyld i jedziemy dalej". Starał się w ten sposób określić również swoją przyszłość, gdyż prowadząc drużynę olimpijską, nie był przecież trenerem pierwszej reprezentacji. Pełnił wówczas tę funkcję Andrzej Strejlau. To nie Wójcik jednak został następnym selekcjonerem. Kolejnym zresztą też nie. Miał najwyraźniej mocnych oponentów w kierownictwie PZPN. Dopiął swego dopiero w lipcu 1997 r., zmieniając Antoniego Piechniczka. Wójcik nie dokonał jednak cudu. Również pod jego kierownictwem dawni wicemistrzowie olimpijscy nie rozwinęli skrzydeł, choć wielu z nich (Andrzej Juskowiak, Wojciech Kowalczyk, Grzegorz Mielcarski) grało w dobrych zachodnich klubach. Barceloński sukces drużyny Wójcika był więc jedynym godnym uwagi osiągnięciem polskiej piłki w latach 90. Wszystkie próby w eliminacjach mistrzostw świata i Europy kończyły się w tej dekadzie fiaskiem.

Gołota na pocieszenie. Polski kibic nie miał wówczas zbyt wielu powodów do radości. Mógł się ewentualnie emocjonować pojedynczymi historiami, choć wśród bohaterów tych opowieści nie było pierwszoplanowych postaci światowego sportu. Kogoś takiego jak dziś Iga Świątek czy też Robert Lewandowski. Wtedy musiał ludziom wystarczyć Andrzej Gołota. Parafrazując powiedzenie Kazimierza Górskiego: dobry bokser, ale niemający sukcesów. Gołota wychował się na warszawskim Śródmieściu. Pod koniec lat 80. odnosił sukcesy w barwach Legii, wielce zasłużonego dla polskiego pięściarstwa klubu. Zdobywał liczne medale na arenie międzynarodowej, m.in. brązowy na igrzyskach w Seulu. Był wielką nadzieją przed kolejną olimpijską próbą w Barcelonie. Nawet na tytuł mistrzowski, którego Polska nie miała w boksie od czasu igrzysk w Montrealu w 1976 r. i zwycięstwa Jerzego Rybickiego.

Gołota, niestety, miał skłonność do wybryków. Zdarzało mu się wielokrotnie kogoś poturbować z użyciem niebezpiecznego narzędzia, którym – wedle oskarżycieli – w przypadku boksera są ręce. Po którymś z takich zdarzeń w grudniu 1990 r. nie stawił się na rozprawę, więc wystawiono za nim list gończy. Odnalazł się po jakimś czasie w USA, gdzie próbował ułożyć sobie życie.

Boks był dla niego najprostszym rozwiązaniem w tej sytuacji. Gdy pojawił się w Ameryce, miał dopiero 22 lata. Na ringu stanął jednak dopiero w 1992 r., czyli dwa lata później. Zmężniał, wzmocnił się, został zawodowcem wagi ciężkiej, kategorii cieszącej się zawsze największym zainteresowaniem publiczności. W pierwszej walce wy-



Druga walka Andrzej Gołota–Riddick Bowe, Atlantic City, USA, grudzień 1996 r.



Zapaśnik Ryszard Wolny po zdobyciu złotego medalu olimpijskiego, Atlanta, 1996 r.

z POLITYKI

Zapasy narodowe

Coś się zmieniło w polskim sporcie. Samotnych długodystansowców zastąpili zapaśnicy, kładący na łopatki „prawie wszystkich" (...). Jak donoszą nasi specjalni wysłannicy do Atlanty, zagraniczni dziennikarze zasypują ich pytaniami: Co się dzieje, skąd nagle w Polsce tylu zapaśników? Owszem, w przeszłości mieliśmy wyrwidębów, zdobywających złote medale, ale teraz to już nie pojedynczy mistrzowie, lecz cała drużyna gigantów. Ryszard Wolny, Andrzej Wroński, Włodzimierz Zawadzki, Jacek Fafiński, Józef Tracz – to są nasi nowi idole. Z dnia na dzień, a właściwie z nocy na noc, zapasy stały się naszym sportem narodowym. Szybko musieliśmy przyswoić sobie podstawowe terminy fachowe, by w ogóle zrozumieć, kto kogo sprowadza do parteru.

Prawdę mówiąc, nie jest to sport najpiękniejszy, gdyby nie popisy naszych chłopców, z pewnością wolelibyśmy oglądać inne konkurencje. Ale nie mamy wyboru. Nie możemy liczyć na olśniewające występy lekkoatletów, pomijając Artura Partykę, ostatniego rycerza na dworze królowej sportu. (...) Tenisistka Aleksandra Olsza odpadła w pierwszej rundzie, potwierdzając, że mamy wrodzony antytalent do tej dyscypliny sportu. Podobnie jest z pływaniem. Przestali się liczyć Polacy w grach zespołowych. Tryumfy piłkarzy w Monachium, wspaniały wyczyn siatkarzy w Montrealu, to już tylko odległe wspomnienia. (...)

Ale nieoczekiwanie odnosimy tryumfy w sportach walki. Zawsze mówiono, że polskim zawodnikom brakuje agresywności (...). I oto nasi zapaśnicy rzucają na matę rywali, nasz judoka Paweł Nastula walczy w finale w takim stylu, że mógłby pokonać nie jednego Koreańczyka, ale dwóch Koreańczyków naraz. Nawet sympatyczna Aneta Szczepańska walczy na tatami jak mężczyzna, zdobywając w judo srebrny medal, co wcześniej nie udało się żadnej Polce. Męstwem imponuje też Renata Mauer, która „wystrzelała" dwa medale.

Kiedy czyta się biogramy złotych medalistów, widać, że wielu pochodzi ze wsi i małych miasteczek. Latami bili się o miejsce na podium i teraz są z siebie dumni. Jacek Fafiński, debiutant, który zdobył srebrny medal, mówił wzruszony dziennikarzom: „Pierwszy raz prezydent Rzeczpospolitej uścisnął mi rękę. To dla mnie, zawodnika pochodzącego z wioski Fijewo koło Lubawy, duży zaszczyt".

Zapasy stały się konkurencją polskiej prowincji, rozgrywającej korespondencyjny mecz z centrum, z muzycznym podkładem disco polo. Wygrywają uparci, mężni, wytrwali.

Zdzisław Pietrasik, „Polski chwyt", POLITYKA 31/1996

eprasa.pl fa89fff25f

Z POLITYKI

Jędruś padł

Ludzie szli na boks, ale przed płotem warszawskiej dyskoteki Colosseum ćwiczyli zapasy. Mimo padającego deszczu, błota, obłędnej godziny i bezceremonialności bramkarzy panowała wesoła i dziarska atmosfera: „asfalt zbierze wp...” U koników bilety szły po 50 zł (w kasach kilka godzin wcześniej – 20 zł).

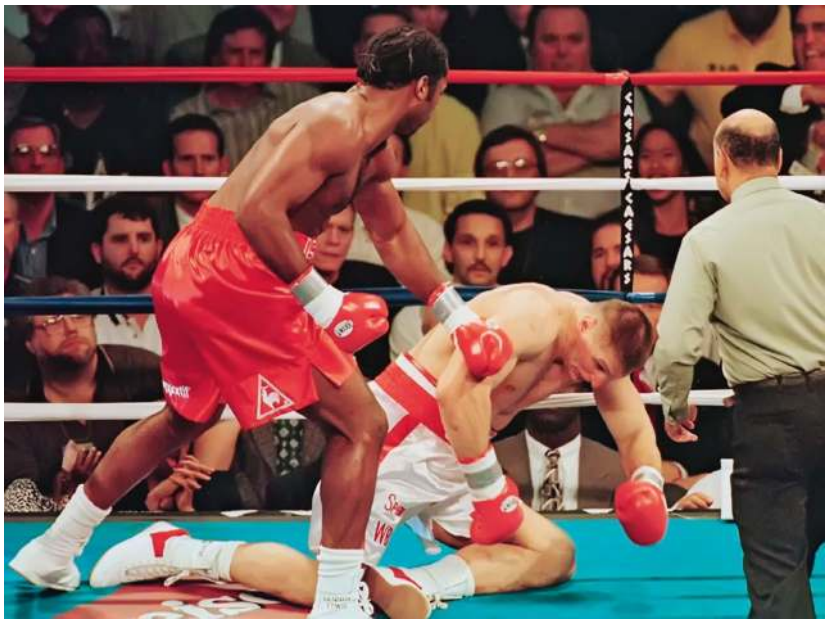
W środku, pod wielkim namiotem, ponad tysiąc ludzi gibało się w rytm dyskotekowych przebojów. Drugie tyle zajęło już miejsca obserwacyjne na górnym poziomie. Tłum był inkrustowany pojedynczymi starszymi osobami, paroma okularnikami i Januszem Korwin-Mikkem. Parę minut po trzeciej rozjaśniła się wielka ściana wideo. Pierwsze skandowanie „Gołota! Gołota!”, „Andrzej! Andrzej!”. W górę podniosły się dwie flagi narodowe z wypisanym nazwiskiem boksera. Na ekranie na tle Manhattanu pojawili się dwaj osobnicy z biało-czerwoną flagą i nazwą Colosseum. Wygłosili knajacką rymowankę, jak to Lewisa rozniesiemy. Dostali brawa. Pojawił się i sam czempion. Pozdrowił wszystkich zebranych w Colosseum i poprosił: „trzymajcie za mnie kciuki”. Euforia. Taka sama, gdy pokazywano z Atlantic City polskie sektory obwieszone flagami. Tylko gdy pojawił się transparent Wisły Kraków, brawa zmieszały się z gwizdami.

Czas płynął, alkohol robił swoje, niektórzy przysypiali, parki się tuliły, czasem jakiś efektowny cios w jednej z pokazywanych walk-rozbiegówek wywoływał szmer entuzjazmu. Nokaut z przedostatniej wywołał prawdziwy entuzjazm, a i realizatorzy zaczęli pokazywać szykujących się Gołotę i Lewisa. Ci, co jeszcze siedzieli, zaczęli się podnosić. Była za piętnaście szósta nad ranem.

Gdy Andrzej szedł w stronę ringu, atmosfera w Colosseum przypominała stadion warszawskiej Legii: rytmiczne oklaski, skandowania, szał, nieopisany ryk. I nagle Gołota leży. „Co jest, podniesie się, no Jędruś...” Podniósł się i zaraz było po wszystkim. Jęk, cisza, niedowierzanie, wściekłość. Ludzie patrzyli po sobie jak ogłupiali. Ktoś płacząc zaczął opętańczo walić w metalową skrzynię. Przed walką obawiano się, że jeśli Gołota przegra, może dojść na sali do mordobicia, jak po grudniowym starciu z Bowe'em: wtedy niepocieszeni żule wypatrywali w tłumie kozłów ofiarnych. Teraz i oni byli znokautowani mentalnie.

Wszędzie walały się butelki. Ktoś chował do kieszeni biało-czerwoną flagę.

Marcin Meller, „Boks i zapasy w Colosseum”, POLITYKA 41/1997



Andrzej Gołota w 95. sekundzie walki z Lennoxem Lewisem, Atlantic City, USA, październik 1997 r.

grał przed czasem w Milwaukee z anonimowym Amerykaninem Rooseveltem Shulerem. Przez kolejne cztery lata Gołota walczył wyłącznie z takimi rywalami. Odniósł 28 zwycięstw z rzędu, nie ponosząc żadnej porażki. Zasłużył wreszcie na przeciwnika z wysokiej półki. Został nim Riddick Bowe, były mistrz świata. Walkę zorganizowano w lipcu 1996 r. w słynnej nowojorskiej hali Madison Square Garden. Polak początkowo spisywał się znakomicie, po czym ku zaskoczeniu wszystkich obserwatorów zaczął uderzać rywala poniżej pasa. Wyglądało to tak, jakby dążył do jak najszybszego przerwania pojedynku. Dlaczego? Gołota sam nigdy tego nie wyjaśnił. Może poczuł się źle, może uznał, że w następnych minutach zostanie ciężko znokautowany? Nie wiadomo.

Po kolejnym faulu arbiter ogłosił w siódmej rundzie dyskwalifikację Polaka. Po zakończeniu walki na ringu i wokół niego zaczęła się wielka bijatyka między zwolennikami obu pięściarzy. Gołota trafił do szpitala po uderzeniu telefonem komórkowym. To najlepiej świadczy o ówczesnej wielkości tych telefonów… Rewanżowy pojedynek Gołota–Bowe, który odbył się pół roku później w Atlantic City, wyglądał prawie tak samo jak ten pierwszy. Z tą różnicą, że do momentu przerwania walki Polak miał dużą przewagę. Jego rywal znalazł się dwukrotnie na deskach. Tym bardziej trudno wytłumaczyć zachowanie Gołoty i te nieszczęsne ciosy poniżej pasa.

Potem była porażka przez nokaut na samym początku walki z mistrzem świata, Kanadyjczykiem Lennoxem Lewisem i ucieczka z ringu po pierwszej rundzie pojedynku z mocno bijącym Amerykaninem Mikiem Tysonem. Gołota mimo wszystko nadal był atrakcyjnym uczestnikiem pięściarskich gal i mógł liczyć na solidne wypłaty. Co ciekawe, w Polsce jest on w tej chwili jednym z najbardziej rozpoznawalnych sportowców, choć już dawno przestał boksować. To dość dziwne zjawisko. Ludzie jakoś wybaczyli mu jego wszystkie lęki, które w przypadku boksera powinny być raczej powodem do wykluczenia, a nie sympatii.

Andrzej Gołota w 1998 r. zajął szóste miejsce w plebiscycie „Przeglądu Sportowego”. Głosowanie odbyło się trzy miesiące po jego zwycięskiej walce z byłym mistrzem świata, Amerykaninem Timem Witherspoonem w Hali Ludowej we Wrocławiu. To był pierwszy występ w Polsce byłego legionisty od początku zawodowej kariery. Zainteresowanie pojedynkiem było olbrzymie. Transmisję telewizyjną w Polsacie oglądało 12,5 mln osób.

Silni w niszy. Bądźmy szczerzy: to szóste miejsce Gołoty w plebiscycie „Przeglądu” było raczej świadectwem wielkiej popularności, nie zaś sportowej klasy. Głosowanie w 1998 r. wygrał chodziarz Robert Korzeniowski. W latach 90. zwyciężali w tym konkursie wyłącznie przedstawiciele dyscyplin niszowych. Prócz wspomnianego mistrza chodu na listę triumfatorów wpisała się biegająca maratony Wanda Panfil, judocy Waldemar Legień, Rafał Kubacki i Paweł Nastula, zapaśnik Andrzej Wroński, strzelczyni Renata Mauer i żużlowiec Tomasz Gollob. Z całym szacunkiem do wszystkich wymienionych wyżej mistrzów. Nikt im nie dał medali i tytułów za darmo. Bez wątpienia zapracowali ciężko na swoje osiągnięcia. Ale też nie można powiedzieć, że byli szeroko znani w świecie sportu. Stąd chyba w dużej części tęsknota za kimś takim jak Andrzej Gołota.

W sportach najpopularniejszych, mających największą widownię, transmitowanych przez wielkie stacje telewizyjne, Polacy mieli, poza Gołotą, niewielu przedstawicieli. W tenisie akurat żadnego. Gdy w 1991 r. niżej podpisany po raz pierwszy pojechał do Paryża na Roland Garros, Polskę reprezentował tylko jeden junior. Nazywał się

eprasa.pl fa89fff25f



Mariusz Czerkawski, zawodnik zawodowej amerykańskiej ligi NHL, podczas meczu reprezentacji Polski z Kazachstanem, Katowice, kwiecień 2000 r.

Adam Skrzypczak. Kto go dziś pamięta? Rok później Polacy nie mieli w stolicy Francji żadnego swojego reprezentanta na liście uczestników. Nawet w kwalifikacjach. Polski tenis osiadł na samym dnie. Potem było lepiej, ale tylko odrobinę.

W kolarstwie furtka dla zawodowców była teraz w Polsce szeroko otwarta, ale korzystali z niej głównie zawodnicy przeciętni, którym daleko było do startu w Tour de France. Owszem, zdarzył się wielki sukces Zenona Jaskuły w 1993 r., ale później nieliczni Polacy, którzy wzięli udział w tym największym wyścigu na świecie, nie mieli się już czym chwalić. Może poza Dariuszem Baranowskim, który w 1998 r. zajął 12. miejsce w klasyfikacji generalnej.

Polska nagle przestała być krajem dużych kolarskich talentów. Można to spróbować wytłumaczyć. Za komuny generatorem energii w tym sporcie był przez długie lata Wyścig Pokoju, transmitowany przez telewizję, opisywany szeroko w prasie. Młodzi ludzie masowo garnęli się do kolarstwa, bo na wyobraźnię działały im sukcesy Szurkowskiego i Szozdy. Często nie mieli rowerów, więc tym chętniej zapisywali się do klubów. Teraz stać ich było na sprzęt, ale nie mieli już ochoty robić z niego użytku. Wyścig Pokoju w latach 90. był jeszcze organizowany siłą rozpędu, ale stracił swoją magiczną moc. Górę w końcu wzięli ci, którzy nawoływali do jego zburzenia, tak jak robiono to w tamtym czasie z pomnikami Lenina. W 2006 r. kultowa impreza sportowa komunizmu odbyła się po raz ostatni.

Był jeszcze Wyścig Dookoła Polski, który też miał swoje zasługi w tworzeniu niegdysiejszej potęgi rodzimego kolarstwa. Stanowił coroczny przegląd sił w tym sporcie i był dla młodych zawodników okazją do rywalizacji z mistrzami. Tour de Pologne został w 1993 r. sprywatyzowany i przestał spełniać wymienione wyżej role. Dyrektorem imprezy od tamtej pory do dziś jest wicemistrz olimpijski z 1980 r. i pierwszy polski zawodowiec Czesław Lang. Gdyby nie on, Tour de Pologne, tak jak Wyścig Pokoju, przestałby istnieć. Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. Lang z przaśnej imprezy, organizowanej kiedyś przez Zjednoczone Stronnictwo Ludowe, uczynił luksusowy produkt, przyciągający co roku licznych sponsorów oraz stacje telewizyjne. Tyle tylko, że jako wyścig najwyższej rangi Tour de Pologne jest dostępny przede wszystkim dla kolarzy czołówki światowej. W drodze wyjątku, w ramach specjalnych zaproszeń, mogą w nim uczestniczyć nieliczni Polacy. W 2025 r. było ich tylko jedenastu, podczas gdy za czasów ZSL – ponad stu.



Na letnich olimpiadach w latach 90. Polacy zdobyli w sumie 19 medali w Barcelonie (1992) i 17 w Atlancie (1996).

Ciężar zawodowstwa. Na olbrzymim rynku zawodowego sportu polska obecność była w latach 90. mniej więcej taka sama jak obecnie w Tour de Pologne. Czyli mikroskopijna. W hokejowej lidze NHL Polacy mieli tylko jednego swojego człowieka, Mariusza Czerkawskiego. Pozycja polskiego hokeja na arenie międzynarodowej była wtedy co najwyżej średnia. W mistrzostwach świata narodowa drużyna przestała grać w elitarnej grupie A. Wysłannicy NHL nie zapuszczali się więc w te rejony Europy w poszukiwaniu talentów. Ktoś jednak jakimś cudem wypatrzył Czerkawskiego, który grał wówczas w GKS Tychy, i dał mu rekomendację w szacownym klubie Boston Bruins.

Polak zadebiutował w NHL w kwietniu 1994 r. Od tamtej pory strzelał sporo bramek, kilka razy zmieniał kluby (m.in. Edmonton Oilers, New York Islanders, Montreal Canadiens), wystąpił nawet w sezonie 1999/2000 w zespole gwiazd tej najsłynniejszej ligi hokejowej. Reszta świata pokonała wtedy drużynę Ameryki Północnej 9:4, a Czerkawski asystował przy jednym z goli. To było dla niego bez wątpienia ogromne wyróżnienie.

Jaki był więc ten polski sport w ostatniej dekadzie XX w.? W sumie dość przeciętny, pozbawiony wielkich gwiazd, niedomagający na wielu ważnych odcinkach, a jednak wciąż budzący zainteresowanie kibiców. To odwieczna tajemnica sportu. Publiczność jest ciekawa wyniku nawet wtedy, gdy może go bez trudu przewidzieć.

ANDRZEJ FĄFARA

eprasa.pl fa89fff25f

Czempioni końca wieku

Wielcy sportowcy świata lat 90., w porządku alfabetycznym, wybór autorski.



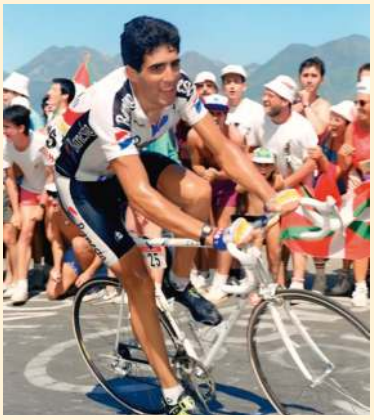
Andre Agassi (ur. 1970). Amerykański tenisista, triumfator wszystkich (w sumie ośmiokrotny) turniejów wielkoszlemowych. Także mistrz olimpijski. Cudowne dziecko tego sportu. Pierwsze zwycięstwo w turnieju ATP odniósł, nie mając jeszcze 16 lat. Jego popisowym zagraniem był return, którym siał spustoszenie po drugiej stronie siatki. Zwracał też uwagę kolorowymi, pretensjonalnymi strojami. „Mógłby odstraszać ptaki na lotnisku Charles'a de Gaulle'a" – pisała jedna z francuskich gazet podczas Roland Garros. Po latach uspokoił się pod tym względem. Wtedy media zaczęły rozpisywać się na temat jego życia osobistego. Poślubił aktorkę Brooke Shields, z którą po dwóch latach się rozstał. Potem związał się z wybitną tenisistką Steffi Graf (o której niżej), z którą ma dwoje dzieci.



Serhij Bubka (ur. 1963). Ukraiński lekkoatleta, specjalizujący się w skoku o tyczce. 35-krotnie poprawiał – na stadionie i w hali – rekord świata w tej konkurencji. Doprowadził swój wynik do 6,15 m (1993 r.), ale pewien japoński naukowiec ustalił, że podczas którejś z rekordowych prób Ukrainiec pokonał poprzeczkę na wysokości 6,37 m. Dzisiejszy rekord Szweda Armanda Duplantisa wynosi 6,30 m. Bubka zdobył wszystkie możliwe mistrzowskie tytuły, choć od czasu do czasu zdarzały mu się niewytłumaczalne wpadki, takie jak podczas igrzysk w Barcelonie (1992 r.), kiedy to nie zaliczył żadnego skoku. Otrzymał tytuł Bohatera Ukrainy, ale w swoim kraju jest uważany za upadłego idola. Prasa pisała, że jego firma handlowała ropą z Rosją, a on sam nigdy nie potępił agresji Putina. Mieszka w Monte Carlo, jest człowiekiem bogatym. Za każdy rekord świata dostawał na przełomie lat 80. i 90. 3 tys. dol. Czasami tuż przed skokiem żądał dodatkowej premii, np. samochodu.



Steffi Graf (ur. 1969). Niemiecka tenisistka, jedna z najwybitniejszych zawodniczek w historii, zwyciężczyni 22 turniejów wielkoszlemowych (w singlu), mistrzyni olimpijska. Nazywana Panną forhend, gdyż głównie dzięki temu uderzeniu odniosła tyle sukcesów. Ustawiała się najczęściej w lewym rogu kortu, by większość piłek odbijać forhendem. Odsłaniała tym samym prawą część placu gry, ale niewiele rywalek potrafiło to wykorzystać. Najważniejszą postacią w jej karierze był ojciec Peter, który wcześniej sprzedawał samochody i ubezpieczenia. Prowadząc interesy córki, próbował uniknąć płacenia podatków, za co trafił w 1995 r. do więzienia na 25 miesięcy. Tenisistka musiała wtedy uiścić grzywnę w wysokości 1,3 mln marek. W 1999 r. na balu kończącym turniej na Roland Garros poznała amerykańskiego tenisistę Andre Agassiego (patrz obok). Oboje wygrali wtedy paryski turniej. Para wzięła ślub i ma dwoje dorosłych obecnie dzieci.



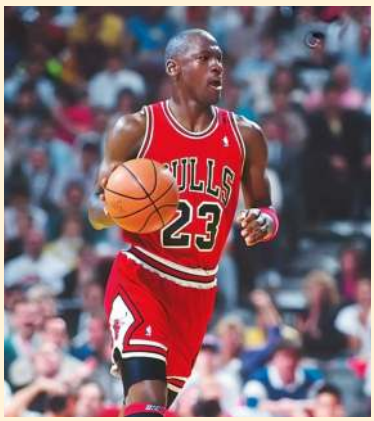
Miguel Indurain (ur. 1964). Hiszpański kolarz, pięciokrotny triumfator Tour de France. Wysoki (186 cm), nazywany Big Mig. Znakomicie jeździł na czas i w ten sposób zapewniał sobie w wieloetapowych wyścigach dużą przewagę, której potem bronił w górach. Miał w swojej karierze incydent z zakazanym dopingiem, ale ostatecznie uznano, że pozytywny wynik kontroli spowodowało lekarstwo na astmę. Na co dzień był człowiekiem wyciszonym, niechętnie mówiącym o sobie. Jeden z hiszpańskich dziennikarzy zastanawiał się, czy żona Induraina wie, kim jest ten mężczyzna, który śpi obok niej. Kolega z drużyny opowiadał, że gdy Miguel schodził na śniadanie, to nigdy nie było słychać, jak odsuwa krzesło. W młodości, zanim na dobre zajął się kolarstwem, próbował rzucać oszczepem, biegać, grać w koszykówkę i w piłkę nożną. W wieku 20 lat startował w Wyścigu Pokoju, zajmując 70. miejsce z prawie 2-godzinną stratą do zwycięzcy, Siergieja Suchoruczenkowa.



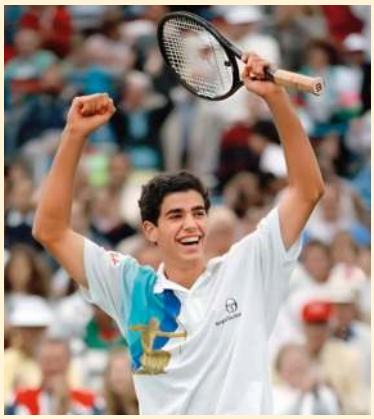
Michael Johnson (ur. 1967). Amerykański lekkoatleta, biegający na dystansach 200 i 400 m. Był rekordzistą świata w obu tych konkurencjach, a także wielokrotnym złotym medalistą igrzysk olimpijskich i mistrzostw świata. Biegał niezbyt efektownie, kołysząc się na boki jak kaczka. Stawiał przy tym krótkie kroki, zaprzeczając teorii głoszącej, że szybki bieg wymaga wysokiego unoszenia kolan. Utrzymywał się w wysokiej formie przez długi czas, choć nie omijały go kontuzje. Jeden ze swoich rekordów świata pobił, mając 31 lat i 11 miesięcy. Mało tego. W wieku 33 lat zdobył złoty medal olimpijski w Sydney (2000 r.). Po zakończeniu kariery został komentatorem w telewizji BBC. Relacjonował m.in. bieg Wayde'a van Niekerka z RPA, gdy ten popra-

eprasa.pl fa89fff25f

wił jego rekord świata na 400 m podczas igrzysk w Rio de Janeiro (2016 r.). „O mój Boże! Nie widziałem czegoś podobnego" – krzyczał Johnson do mikrofonu.



Michael Jordan (ur. 1963). Amerykański koszykarz, uznawany za najlepszego gracza w historii tej dyscypliny. Dwukrotny mistrz olimpijski, członek słynnego Dream Teamu podczas igrzysk w Barcelonie w 1992 r. Przez prawie całą karierę grał w Chicago Bulls, zdobywając z tym zespołem 6 tytułów mistrzowskich ligi NBA. Występował na pozycji rzucającego obrońcy (198 cm wzrostu), był wielokrotnym królem strzelców ligowych rozgrywek. Urodził się w Nowym Jorku (Brooklyn), ale dzieciństwo i młodość spędził w miasteczku Wilmington w Karolinie Północnej. Jego ojciec pracował w elektrowni, a matka w banku. Cała rodzina wyznawała metodyzm. On sam skończył studia uniwersyteckie, zdobywając dyplom w dziedzinie geografii. Obecnie jego majątek wyceniany jest na 3,8 mld dol.



Pete Sampras (ur. 1971). Amerykański tenisista, triumfator 14 turniejów wielkoszlemowych, w tym 7 wimbledońskich. Nigdy nie udało mu się zwyciężyć na ceglanej mączce w Paryżu. Na Roland Garros odpadał najczęściej w pierwszych rundach. Jego styl gry (bardzo dobry serwis, równie znakomity wolej) sprawdzał się najlepiej na trawie, stąd taka skuteczność w Wimbledonie. Publiczność lubiła go oglądać. Ma greckie korzenie, choć ojciec urodził się już w USA. Dziadek też był Grekiem, a babka Żydówką pochodzącą z Polski. Rozwój tenisowego talentu ułatwiła mu przeprowadzka rodziny do Kalifornii, gdzie chłopak mógł grać przez okrągły rok. Jego idolem od najmłodszych lat był Australijczyk Rod Laver, dwukrotny zdobywca Wielkiego Szlema, czyli zwycięzca wszystkich wielkoszlemowych turniejów w jednym roku. On sam nigdy tej sztuki nie dokonał. Politycznie jest republikaninem. Ożenił się z aktorką Bridgette Wilson, z którą ma dwóch synów.



Michael Schumacher (ur. 1969). Niemiecki kierowca wyścigowy, 7-krotny mistrz świata Formuły 1. Urodzony w Huerth w Nadrenii Północnej-Westfalii. Jego ojciec Rolf był z zawodu murarzem, ale miał też smykałkę do samochodów. Konstruował oraz przerabiał synowi gokarty, na których Michael startował jako dziecko. W wieku 6 lat wygrał klubowe mistrzostwa. Wiadomo było, że ma nieprzeciętny talent, więc rodzice podjęli pracę w pobliżu miejscowego toru wyścigowego. Ojciec wypożyczał i naprawiał gokarty, a matka zatrudniła się w bufecie. Szybkimi krokami Michael zmierzał w stronę Formuły 1, w której zadebiutował w 1991 r. podczas Grand Prix Belgii. Jego wysokie umiejętności sprawdzały się przede wszystkim w trudnych warunkach atmosferycznych. Został nawet nazwany z tego powodu Królem Deszczu. Po zakończeniu kariery wyścigowej uległ ciężkiemu wypadkowi podczas jazdy na nartach w 2013 r. Lekarze uratowali mu życie, ale nadal wymaga on stałej opieki. Brak jest jednak dokładnych informacji o obecnym stanie jego zdrowia.



Monica Seles (ur. 1973). Tenisistka pochodząca z Jugosławii, mieszkająca w dzieciństwie w Nowym Sadzie (Serbia), mająca korzenie węgierskie, obecnie obywatelka USA (od 1994 r.). Zwyciężczyni 9 turniejów wielkoszlemowych – wszystkich oprócz Wimbledonu, gdzie raz dotarła do finału. Bardzo wcześnie zaczęła odnosić sukcesy. Na Roland Garros triumfowała w wieku 16 lat. Jej kariera załamała się po ataku niezrównoważonego kibica, który zranił ją nożem w przerwie między gemami podczas turnieju w Hamburgu (1993 r.). Nożownik tłumaczył, że chciał wyeliminować najgroźniejszą rywalkę Steffi Graf. Seles wróciła do równowagi psychicznej i na kort dopiero po ponad dwóch latach. Wygrała wtedy już tylko Australian Open. Jej ojciec Károly był rysownikiem, trenował ją w różnych fazach kariery. Nastoletnią Monicę szkoliła też Jelena Gencic, która później odkryła talent Novaka Djokovicia. Seles wyszła za mąż za starszego od siebie o 32 lata miliardera Toma Golisano.



Zinedine Zidane (ur. 1972). Francuski piłkarz, jeden z najlepszych zawodników na świecie w latach 90. Grał na pozycji pomocnika (rozgrywającego). Zdobył z reprezentacją Francji mistrzostwo świata (1998 r.) i Europy (2000 r.). Występował m.in. w Juventusie Turyn i Realu Madryt. Jego rodzice przyjechali do Francji z Algierii, a on sam ma obywatelstwo obu tych krajów. Urodził się i wychowywał w najbiedniejszej dzielnicy Marsylii. Tuż przed zakończeniem kariery wywołał wielką burzę swoim zachowaniem podczas finałowego meczu z Włochami w mistrzostwach świata (2006 r.). Sprowokowany słownie przez Marco Materazziego uderzył rywala głową w klatkę piersiową, za co arbiter usunął go z boiska. Głos w tej sprawie zabierali prezydenci Francji i Algierii. Zidane przeprosił za swoje zachowanie, a po wspomnianym mundialu zakończył karierę. Ma czterech synów, wszyscy zostali piłkarzami, ale żaden z nich nie dorównał ojcu.

ANDRZEJ FĄFARA

eprasa.pl fa89fff25f

Pershing wychodzi z cienia

Jak narodziła się w wolnej Polsce przestępczość zorganizowana.

Violetta Krasnowska



Pogrzeb byłego komendanta głównego policji Marka Papały, zabitego w do dziś niewyjaśnionych okolicznościach, Kościół Świętego Krzyża w Warszawie, lipiec 1998 r.

Dziki Zachód. Lata 90. to był też dziki Zachód. To były strzelaniny na ulicach, podkładane bomby czy krwawa egzekucja w klubie Gamma na Woli, w której zginęło pięciu członków gangu wołomińskiego. To było dobicie przez zabójcę w przebraniu księdza przestępcy Kikira na sali pooperacyjnej w szpitalu wojskowym przy ul. Szaserów w Warszawie. To były haracze, porwania ludzi dla okupu, przemyty, wojny gangów, ale też rosnące wpływy i bliskie relacje z politykami i urzędnikami. To uniewinnienie gangstera Słowika przez prezydenta Lecha Wałęsę. To wreszcie – do dziś niewyjaśnione – zabójstwo byłego komendanta głównego policji gen. Marka Papały, zastrzelonego w samochodzie pod własnym domem w 1998 r.



Nadinspektor Marek Papała jako komendant główny policji, 1997 r.

To czas, gdy do społecznej świadomości trafiły przestępcze pseudonimy (bandyckie ksywy), jak Pershing z grupą pruszkowską, Wańką, Malizną czy Słowikiem. Jak Dziad, szef konkurencyjnego Wołomina, i jego brat Wariat. Jak Korek z grupą mokotowską, Krakowiak ze Śląska czy Oczko ze Szczecina. A także Masa, najsłynniejszy potem w Polsce świadek koronny, o którym powstały książki i film.

Lata 90. przyniosły zorganizowaną przestępczość, która zbudowała sobie własne równoległe państwo na całe dziesięciolecie. Wcześniej tego określenia nawet w polskim prawie nie było. Była co najwyżej przestępczość zawodowa, a i to wyłącznie w kontekście spekulacji reglamentowanym towarem czy aferowego zagarnięcia mienia społecznego, i to też głównie w przedsiębiorstwach państwowych.

eprasa.pl fa89fff25f



Wcześniej Pershing z podwarszawskiego Ołtarzewa był tylko jednym z *buków* na wyścigach konnych na Służewcu i pożyczał graczom pieniądze na wysoki procent. A Dziad, urodzony na warszawskim Targówku, sprzedawał węgiel i handlował pyzami na bazarze Różyckiego. Wkrótce wyrośli na przywódców dwóch największych zorganizowanych grup przestępczych z rezydentami w całej podziemnej Polsce.



Andrzej Kolikowski, ps. Pershing, 1997 r. Powyżej: Miejsce, gdzie został zastrzelony, Zakopane, grudzień 1999 r.

Ucieczka spod kontroli. Gdy spytać Zdzisława Czarneckiego, pierwszego naczelnika w Biurze do Walki z Przestępczością Zorganizowaną, utworzonego w 1994 r. w Komendzie Głównej Policji (KGP), co zbudowało gangsterów, nie zastanawia się ani chwili. Odpowiada: – *Likwidacja wydziałów do zwalczania przestępczości gospodarczej*.

Trudno w to dziś uwierzyć, ale w styczniu 1990 r., w czasach wielkich przekształceń własnościowych, bankowych, tworzenia się tysięcy firm, nierzadko z lewymi interesami, w ramach reorganizacji KGP zlikwidowano wydziały do walki z przestępczością gospodarczą (pg). Prof. Zbigniew Rau w książce „Przestępczość zorganizowana w Polsce i jej zwalczanie" pisze wprost, że to było „nieprzemyślane czy wręcz celowe". Później próbowano to naprawiać. Najpierw powołano wydziały K-17, z oddziałami w 17 komendach wojewódzkich policji. Tyle że starzy pegowcy ze swoją wyjątkową i specyficzną wiedzą (wydziały wcześniej blisko współpracowały z SB), kontaktami i informatorami nie chcieli już wracać do służby, niektórzy sami zaczęli robić interesy. W 1994 r. przywrócono pg z dwoma wydziałami, jednym do zwalczania przemytu, drugim do walki z – jak to ujęto – aferowymi nadużyciami gospodarczymi.

Tymczasem polska gangsterka już wymknęła się spod kontroli. Pokazała to strzelanina – jak z amerykańskiego filmu – pod motelem George koło podwarszawskiego Nadarzyna 6 lipca 1990 r. Poszło o próbę wymuszenia 15 tys. dol. okupu za skradzionego Mercedesa (choć druga strona twierdziła, że chodziło o rozliczenia). Właściciel zwrócił się o pomoc do policji. Postanowiono złapać przestępców na gorącym uczynku. Policjanci mieli wkroczyć w momencie przekazywania pieniędzy. Cały teren został obstawiony. Ale sprawa wymknęła się spod kontroli. Policjant po cywilnemu, który udawał ochroniarza właściciela auta, został od tyłu uderzony nunczako w głowę. Padając, wyciągnął pistolet i zaczął strzelać. Jednego człowieka zabił (okazało się, że strzał był w plecy), a drugiego, Parasola z gangu pruszkowskiego, postrzelił w nogi. Miało dojść do wymiany ognia, choć później broni u pruszkowskich nie znaleziono, ale strzelanina wywołała w społeczeństwie szok.

Zaraz potem w KGP powołano grupę Maraton do analizy zjawisk przestępczości zorganizowanej i opracowania metod jej zwalczania. – Przede wszystkim mieliśmy ustalić, jakie jest zagrożenie dla państwa i w jakich dziedzinach ze strony zorganizowanej przestępczości, bo mieliśmy dostęp do wszystkich materiałów policyjnych na ten temat – mówi Czarnecki, który znalazł się w tej grupie. Na jej czele stanął gen. Adam Rapacki jako szef wydziału zwalczającego aferowe nadużycia w pionie pg.

– *Dobrałem policjantów z pg, z wydziałów kryminalnych, dochodzeniowo-śledczych, ze Straży Granicznej i zaczęliśmy analizować materiały z różnych służb dotyczące poważnej zorganizowanej przestępczości. I doszliśmy do wniosku, że do walki z nią trzeba powołać specjalną strukturę w policji* – mówi gen. Rapacki. Opracował jej założenia. Miała być samodzielna, ze swoją techniką obserwacyjną i z zespołami realizacyjnymi. – *Chodziło o to, by było to hermetyczne, w bardzo wąskim kręgu, żeby nie było wycieku informacji*. Na tych zasadach 1 stycznia 1994 r. zaczęło działać Biuro do Walki z Przestępczością Zorganizowaną KGP – później przekształcone w Centralne Biuro Śledcze – z wydziałami w komendach wojewódzkich, ale podlegającymi tylko centrali. – *I to my jako centrala wskazywaliśmy cele* – mówi Rapacki. Na celowniku biura znaleźli się wtedy Nikoś z Gdańska (uważany za pierwszego bossa zorganizowanej grupy przestępczej, m.in. przemycającej samochody z Niemiec), Carrington z Dolnego Śląska (zwany królem spirytusu), rezydujący w Austrii Baranina (późniejszy zleceniodawca zabójstwa byłego ministra sportu Jacka Dębskiego w 2001 r.), a także grupy pruszkowska i wołomińska.

Spirytus, rekiny i płotki. Ustalono, że grupy przestępcze szybko rosną, dorabiając się pierwszych dużych pieniędzy m.in. na przemycie spirytusu Royal. – *Masa pieniędzy była na rynku, z prywatyzacji, z afer, z wszelkie-*



Henryk Niewiadomski, ps. Dziad, na ławie oskarżonych, Warszawa, czerwiec 1997 r.

eprasa.pl fa89fff25f



Andrzej Zieliński, ps. Słowik, na ławie oskarżonych, Warszawa, 2004 r.

go złodziejstwa, które każdy chciał dobrze zainwestować – wspomina Czarnecki. I zjawiał się człowiek z ofertą typu: mamy załatwione we Francji 15 tirów ze spirytusem, ale musimy za to zapłacić z góry, potrzeba dwóch milionów. – *Za trzy tygodnie przychodził ten sam pan i mówił: to są pańskie dwa miliony, a tu milion gratis*. Spirytus miał według listów przewozowych trafiać na Ukrainę, ale granicę przekraczały tylko dokumenty, które poświadczali opłacani celnicy. Zarabiali wszyscy.

Zdaniem policjantów Pershing, Dziad czy Oczko – uważani za najważniejszych przywódców grup przestępczych – byli tylko wykonawcami zleceń prawdziwych rekinów przestępczości zorganizowanej, którzy nigdy nie wpadli w ręce wymiaru sprawiedliwości. – *Przyszło polecenie, żeby zająć się Dziadem czy innym gangsterem, to tym się zajęliśmy* – tłumaczy dziś jeden z funkcjonariuszy. Tymczasem gangsterzy co najwyżej ochraniali przemytnicze transporty. A z takich inwestycji trafiało do ich kieszeni jedynie 2,5–10 proc. zysków. Ale i to nie było mało. Sam Dziad twierdził, że na przemycie spirytusu Royal zarobił 4 mln dol. Duże pieniądze zdobywano ponadto w handlu bronią oraz narkotykami.

O rozroście przestępczej ośmiornicy świadczyło to, że choć w różnych częściach kraju działali silni gangsterscy bossowie, np. wspomniani Krakowiak i Oczko, to współpracowali oni z gangiem pruszkowskim na prawach, powiedzmy, partnerskich. Często też Pruszków umieszczał na danym terenie swojego rezydenta, który pobierał procenty za przyzwolenie na działanie lokalnym grupom. Swoich rezydentów miały nawet poszczególne dzielnice miast, m.in. Warszawy. Gangi rozrastały się nie tylko terytorialnie, ale też liczbowo, bo żołnierze (przestępcza siła robocza) także chcieli zarabiać.

Jeden z pruszkowskich, który później przecierał szlaki narkotykowe, opowiadał, że jako młody chłopak – z dobrej rodziny, tenisista – specjalnie chodził do lokalu przy Al. Krakowskiej w Warszawie, gdzie spotykali się gangsterzy, żeby zwrócili na niego uwagę i by go przyjęli do siebie. – *Wszyscy się ich bali i podchodzili z szacunkiem lub ze strachem, ale też można było przy nich zarobić duże pieniądze* – mówił wprost.

Zamknięte z powodu mafii. Stały dopływ gotówki zapewniały haracze. Początkowo były pobierane z nie całkiem legalnych interesów, z agencji towarzyskich, lokali z trefnym alkoholem czy z pokątnym handlem narkotykami, których właściciele nie odważyliby się zgłosić wymuszenia na policję. Jak pisał były wiceszef CBŚ Wiesław Mądrzejowski w książce „Przestępczość zorganizowana, system zwalczania", grupy walczyły między sobą, często krwawo, o prawo do ściągania haraczy. W ten sposób budowały zarazem strefy swych wpływów, czy były to dzielnice, miasta czy całe regiony. Takim terytorium dla grupy wołomińskiej były m.in. Mazury.

Klepak z grupy wołomińskiej i założona przez niego agencja ochrony Eskorta opanowali warszawską Starówkę. Od tamtejszych restauratorów domagano się haraczy – nazwanych propozycją ochrony w zamian za opłatę. Opornym demolowano lokale. Z czasem zdesperowani przedsiębiorcy zamknęli na jakiś czas restauracje, wywieszając na drzwiach informacje: „Zamknięte z powodu mafii". Ich demonstracja zwróciła uwagę na zjawisko. Eskorta zniknęła ze Starówki, ale sam proceder wymuszonej ochrony jeszcze długo nie.

Walki toczyły się też o kontrolę nad największym bazarem w Polsce, Jarmarkiem Europa na Stadionie Dziesięciolecia, gdzie, jak podawał tygodnik „Wprost", wartość nielegalnych transakcji miała przekraczać 3 mld dol. rocznie. Jarmark przechodził z rąk do rąk, w końcu został zajęty przez gang ormiański pod przywództwem brutalnego Saida. Płacić mu musieli wszyscy handlujący. Ponoć opornych kazał wywozić za miasto i polewać benzyną, ale nikt nie chciał nic na niego oficjalnie zeznać na policji. Reorganizowane państwo było tak słabe, że bandyci wchodzili







Od lewej: Ryszard G., przyjaciel Nikosia, zastrzelony na ulicy w Gdyni, wrzesień 1998 r. • Nikodem Skotarczak, ps. Nikoś, ze swym obrońcą, Gdańsk, marzec 1998 r. • Klub Las Vegas w Gdyni, miejsce zastrzelenia Nikosia, kwiecień 1998 r.

eprasa.pl fa89fff25f

w każdą szczelinę, jeśli dało się zarobić. Np. w Terespolu doszło do strzelaniny, w której kilka osób zostało rannych, a poszło o prawa do konwojowania Rosjan i Białorusinów jadących na Stadion Dziesięciolecia.

Apetyt i kontakty. Apetyt grup przestępczych rósł. Wraz z możliwościami, trzeba dodać. Wkrótce zaczęto domagać się haraczy od wszystkich przedsiębiorców działających na terytorium danego gangu. Okazało się przy tym, że przestępcy miewali dokładną wiedzę o finansach danego przedsięwzięcia, pochodzącą wprost z urzędów skarbowych. – *Przychodzili i podawali, niemal co do przecinka, ile firma przynosi dochodu, i domagali się np. 10 proc. od tej kwoty co miesiąc* – opowiada Czarnecki. – *Tym bardziej ludzie byli przerażeni wpływami grup przestępczych*.

A wpływy te także rosły, co wyszło na jaw przy okazji późniejszych śledztw. Naczelnik wydziału kontroli skarbowej to z reguły dla przedsiębiorcy osoba budząca lęk z racji swojej władzy. Tymczasem urzędnik przesłuchiwany w śledztwie dotyczącym nierozliczenia podatkowego Masy na okoliczność zbyt łagodnego podejścia do gangstera zeznał, że rozpierała go duma, iż taki człowiek zaprosił go do restauracji na obiad. Tak powiedział. Czuł się tym zwyczajnie uhonorowany. Inny skarbowiec zeznał w tym samym śledztwie, że służył Masie, bo ten kupił jego dziecku rowerek, na który jego nie było stać.

Najważniejsza, jeśli chodzi o poszukiwanie przez grupy gangsterskie dotarcia, była na początku policja. Jeden z funkcjonariuszy zajmujących się od lat zwalczaniem przestępczości zorganizowanej opowiada: – *Pierwsze, co ich interesowało, to mieć swojego człowieka w policji, dyżurnego, któremu co miesiąc dawali parę groszy za tzw. czujność. Żeby np. zadzwonił, jak coś się będzie szykować*. Nie dziwił się, gdy ludzie przyjeżdżali z innego rejonu kraju informować go o przestępczych działaniach grup, a nie chcieli u siebie, na miejscu. – *Tłumaczyli: Bo ja tam pójdę, powiem, a następnego dnia ci bandyci będą mieli informacje*.

Inny policjant wspomina: - *Zatrzymałem kiedyś jednego z ważniejszych członków Wołomina. Stanął przede mną, poklepał się po kieszeniach spodni i zagadał tak: W tej kieszeni mam komendę główną, a w tej wojewódzką*.

Ostatni z rozmówców sam przekonał się, gdzie sięgały wpływy grupy przestępczej. Mieli zatrzymać członków gangu wołomińskiego, w tym Dziada. Wszystko było zaplanowane w ścisłej tajemnicy, o akcji wiedziało tylko kilka osób z KGP. Nadszedł dzień realizacji. Odprawa odbyła się w Komendzie Stołecznej Policji. Na stole leżało 10 zalakowanych kopert, na zewnątrz czekały samochody z kierowcami. Wezwano 10 policjantów, którzy usłyszeli: „Każdy z was dostaje kopertę, którą można otworzyć dopiero, gdy samochód ruszy. Tam jest instrukcja, gdzie jechać i co zrobić".

– *Jedziemy, a obserwacja, która była na miejscu, przekazuje, że wszyscy podejrzani nagle wybiegają z domu, wsiadają w auta i odjeżdżają* – wspomina policjant. Okazało się, że chwilę wcześniej był tam telefon z krótkim komunikatem: „Jadą po was". Ustalono później, że dzwoniono z komendy stołecznej.

W centrali jak u siebie. Wyżej niż na szczeblu policyjnym toczyła się gra o kontakty państwowo-samorządowo-polityczne i wiedzę z nich płynącą. Do dziś niejasne są decyzje wysokich urzędników dotyczące np. zniesienia na chwilę cła na zboże. Traf chciał, że na granicy stały już wagony wypełnione ziarnem z Uzbekistanu, należące do jednego ze znanych biznesmenów; bez opłat wjechały do Polski. W innym wypadku na kilka tygodni zniesiono cła na stal okrętową, co było źródłem fortuny innego przed-

POLITYKI

Strzały w George'u

Mirosław P. (…) mieszka i pracuje (…) w RFN. Przyjechał do kraju w odwiedziny (…). Ktoś ze znajomych umówił go w interesach w motelu George. (…) został obezwładniony gazem, gdy chciał wysiąść ze swojego mercedesa. Kazano mu przesiąść się na miejsce pasażera, a za kierownicą tego wozu usiadł napastnik. Drugi usiadł z tyłu, przykładając mu pistolet do głowy. (…) Pobili Mirosława P., zabrali mu biżuterię, 530 tys. zł, dokumenty (…) wymusili podpisanie umowy. (…) poświadczał w niej sprzedaż swego mercedesa 230E. (…) Przestępcy puszczając wolno Mirosława P., kazali zgłosić mu się w to samo miejsce za dwa dni. Miał wykupić od nich swój własny wóz za 15 tys. dolarów. (…)

Ofiara rozboju zjawiła się tego samego dnia w komendzie stołecznej policji, informując, co zaszło. Mirosław P. pamiętał numery mercedesa, którym posługiwali się przestępcy, więc z ustaleniem jego właściciela nie było problemów. (…) Policja postanowiła zorganizować zasadzkę w miejscu wyznaczonym przez bandytów. (…)



Hotel, wcześniej Motel George w okolicach Nadarzyna, przy trasie Warszawa–Katowice, lata 90.

Mirosław P. i towarzyszący mu policjant (…) weszli do środka (…). Za nimi wtargnęło 5–6 mężczyzn (…). – *Nie rób nic, nie wtrącaj się, bo cię skasuję* – jeden z przestępców (…) rozpoznał „ochroniarza", lecz nie sądził jeszcze, że jest nim policjant. (…) Drugi z napastników zażądał pieniędzy. – *Najpierw samochód, gdzie on jest* – stawiał się Mirosław P. – *Tu nie ma, zabieramy cię ze sobą* – padła odpowiedź. – *Nie ma samochodu, nie ma forsy* – sytuacja stała się maksymalnie napięta. – *Bierzemy go!* – padło hasło, a mężczyźni zrobili krok do przodu. – *Stójcie, mamy pieniądze, dogadamy się!* – zdążył jeszcze powiedzieć policjant. Za chwilę uderzony w głowę nunczako, padł na ziemię (…).

Chorąży z wydziału zabezpieczenia leżał na plecach, gdy doskakiwało do niego trzech mężczyzn. Najbliżej był Andrzej C. Policjant wyszarpnął broń zza paska i strzelił w górę do napastnika. Andrzej C. padł koło niego. W tym momencie wbiegli na salę pozostali funkcjonariusze, obezwładniając skutecznie trzech przestępców. Januszowi P. udało się na krótko wymknąć. Goniący go oficer policji użył broni, strzelając w nogi. Natomiast najprawdopodobniej trzech innych bandytów wskoczyło do oczekującego samochodu i odjechało. Andrzej C. postrzelony przez funkcjonariusza (…) zmarł w pruszkowskim szpitalu. (…).

Wszyscy czterej aresztowani to (…) doświadczeni, groźni przestępcy. (…) Nigdzie niepracujący, wielokrotnie karani, należą do tzw. grupy pruszkowskiej. (…). Prowadzący śledztwo łączą je z zabójstwem dwóch cinkciarzy w miejscowości Siestrzeń. (…) Kojarzą także sprawę z niedawnymi strzałami przy ul. Dzielnej (…). Z kolei w marcu przy ul. Żwirki i Wigury raniono innego „fachowca z branży" (…). Wszystkie te fakty oraz opowieści o zagranicznych gangach (…) i pilnym poszukiwaniu broni maszynowej przez członków band świadczą o toczącej się rywalizacji przestępczych grup. Znawcy tematu mówią wprost o wojnie gangów o Warszawę (…).

Pytanie tylko, jakie szanse skutecznej działalności ma dziś polska prokuratura i policja. Na ich rozbiciu i wewnętrznej słabości wygrywają przestępcy nowej generacji, przed których przyjściem ostrzegano od kilku lat. Doskonale zorganizowani, sprawni, dobrze wyposażeni, z wtyczkami w wielu instytucjach (…), nie wyłączając policji. (…) Z drugiej strony nadchodzą czasy, gdy policjant, któremu grozi śmierć, musi sięgać po broń i strzelać; bez namysłu i wewnętrznych zahamowań.

Aleksander Chećko, Mariusz Janicki,
„Jutro będzie gorąco…", POLITYKA 29/1990

eprasa.pl fa89fff25f

siębiorcy. Przypomnieć należy pierwsze koncesjonowane kantory, ustawione przy granicy państwa przez Aleksandra Gawronika, otwarte minutę po północy po wejściu w życie prawa zezwalającego na swobodny obrót walutami.

Po latach dowiadywaliśmy się, jakie były powiązania świata przestępczego z politykami i urzędnikami szczebla centralnego. Prokurator zajmujący się grupą Pruszkowa opowiadał, że do gabinetu Ireneusza Sekuły jako prezesa Głównego Urzędu Ceł Pershing wchodził jak do siebie. Wańka, który przejął stery po zabójstwie Pershinga, miał być z kolei przyjmowany przez jednego z ówczesnych prezydentów Warszawy i prowadził interesy z kilkoma warszawskimi radnymi. Poseł z Radomia, sam o dziwnych powiązaniach, który mimo to wszedł do komisji ds. służb specjalnych, poręczył za aresztowanego w związku z aferą alkoholową, dzięki czemu przestępca wyszedł na wolność.

Jak mówił lata temu dla tygodnika „Wprost" były funkcjonariusz Urzędu Ochrony Państwa, gdy był tam jeszcze Wydział Ochrony Ekonomicznych Interesów Państwa, który zajmował się też problematyką mafii w Polsce: „Zarobione na nielegalnych transakcjach pieniądze pozwoliły na zgromadzenie kapitału rzędu kilkuset milionów dolarów. Dysponując taką fortuną, można bez trudu przekonać urzędnika, by przeforsował taki, a nie inny zapis w rozporządzeniu zrozumiałym tylko dla specjalistów. Mając takie pieniądze, można mieć już rzeczywisty wpływ na gospodarkę i politykę". Wtórowali policjanci z Centralnego Biura Śledczego utworzonego w kwietniu 2000 r. do walki z przestępczością zorganizowaną. Mówili dziennikarzom, że mają dowody, iż mafia dotarła już do związków zawodowych, finansuje fundacje i stowarzyszenia, przejmuje udziały w spółkach giełdowych, wykupuje akcje banków, nieruchomości.



Nadinspektor Adam Rapacki, w latach 90. zajmujący się zwalczaniem przestępczości zorganizowanej, 1997 r.

Pożyczka na wybory. Jak później ujawnił w zeznaniach Masa, który w zamian za informacje o wszystkich przestępstwach gangu pruszkowskiego otrzymał status świadka koronnego, gang chętnie dawał pieniądze politykom, często jako pożyczki. Mieli ich udzielać w imieniu Pruszkowa Bogusław B. z Art–B i Wojciech P., kandydat na ministra budownictwa w połowie lat 90. Mówiło się, że Pershing pożyczył pieniądze Ireneuszowi Sekule, wicepremierowi w rządzie Mieczysława Rakowskiego. Podobno chodziło o pół miliona dolarów. Pershing nie dopominał się o zwrot, wolał trzymać polityka na pasku. Ale gdy został zastrzelony w Zakopanem 5 grudnia 1999 r., jego następcy z gangu pruszkowskiego zaczęli naciskać i w ostatnim tygodniu życia Sekuła próbował od różnych osób gwałtownie pożyczać pieniądze. „Znając metody działania R. i Słowika, mogę przypuszczać, że wywierali duży nacisk na Sekułę" – mówił Masa prokuratorom. W marcu 2000 r. były wicepremier popełnił samobójstwo, strzelając sobie trzykrotnie w pierś z rewolweru.

Masa ujawnił też powiązania z Pruszkowem Bogdana T., gdy ten był przewodniczącym Rady Warszawy z ramienia SLD. Ponoć marzyła mu się prezydentura Warszawy i zgłosił się do grupy po pieniądze na kampanię wyborczą. Odpowiedź była krótka: pieniądze otrzyma,

Z POLITYKI

Nie do ochrony

Zdaniem mojego informatora Warszawą rządzą (...) trzy gangi. Pruszkowski, wołomiński i ożarowski. Jakieś dziesięć dni temu gangi pruszkowski i ożarowski dogadały się i postanowiły zrobić pokazową akcję na warszawskiej Starówce. (...) Dlaczego „pokazową akcję"? Żeby pozostałym restauratorom w Warszawie pokazać, że na nich nie ma mocnych. Jak ci ze Starówki zaczną płacić, to inni, rozproszeni po mieście, nie będą stawiać oporu.

Gangi żyją głównie ze szmuglu papierosów, nielegalnej produkcji alkoholu, fałszowania pieniędzy i banderol, kradzieży samochodów, a ostatnio z przemytu narkotyków. Po co by im było nagłaśnianie ich istnienia? Żeby zastraszyć. To raz. Dwa: kończą się czasy, w których każdy załapie się na intratny biznes, nie wszyscy zmieszczą się w handlu narkotykami czy napadach na tiry.

– *Groził bunt „żołnierzy"*– mówi [informator] – *bo w przeszłości szefowie byli za bardzo pazerni.* (...) 90 proc. zysków szło do kieszeni szefów. Oni się teraz ucywilizowali. Założyli legalne firmy. (...) Zamysł był więc taki: „żołnierze" są bezrobotni, więc trzeba im dać jakąś pracę. Wymyślono, że będą żyli z haraczu. – *Bossowie ustalili, że w tej sprawie „żołnierze" będą mieli 90 proc. zysku. Od knajpy czy sklepu od 500 do 3 tysięcy dolarów miesięcznie.*



List gończy w oknie warszawskiego tramwaju, 1996 r.

„Żołnierze" to najczęściej byli sportowcy, bokserzy lub zapaśnicy i dobrze wysportowani kryminaliści. Średnia stawka, ok. 10 mln zł miesięcznie, nie wystarcza im, żeby bywać – jak do tej pory – w dobrych klubach, dyskotekach.

– *Nie mają szmalu na szpan* – mówi nasz rozmówca – *który kochają.* Pobieranie haraczu ma umożliwić w przyszłości przejęcie lokalu, w którym będzie można prać brudne pieniądze. Rosnące stawki za „ochronę" spowodują plajtę właściciela, który będzie zmuszony dopuścić do spółki człowieka podstawionego przez gang. (...)

Restauratorzy i kupcy z warszawskiej Starówki – ok. 150 osób – wystosowali apel do prezydenta Lecha Wałęsy: „(...) Jeżeli Państwo nie może rozwiązać problemu kilkudziesięciu przestępców działających w sposób zorganizowany, jest to sytuacja wysoce kompromitująca nas, Polaków. (...) Dlatego podejmujemy akcję protestacyjną, zamykając działalność gospodarczą lokali na Starym Mieście od dnia 6 do dnia 8 sierpnia 1994 r.". (...)

Policja ani prokuratura nie mogą zacząć działać, dopóki nie wpłynie wniosek o ściganie przestępstwa. Restauratorzy i kupcy zaś z wnioskiem takim nie występują, bo się boją. Policja – ich zdaniem – nie jest w stanie zapewnić im bezpieczeństwa. (...) – *Starówka się boi* – twierdzi nasz informator – *(...) Trzeba zmienić nieprzystające do rzeczywistości przepisy prawne. Inaczej ta zaraza rozprzestrzeni się po całym kraju.*

Policja nie jest przygotowana do zwalczania przestępczości zorganizowanej. Nie ma ochrony świadka czy poszkodowanego, więc świadkowie nie zgłaszają się do organów ścigania. Ich np. adresy są znane – tak wynika z procedury – oskarżonym, konfrontacje odbywają się twarzą w twarz (...).

– *W wersji optymistycznej* – mówi nasz informator – *czekają nas Włochy lat 1945–93. W pesymistycznej – Rosja 1994.*

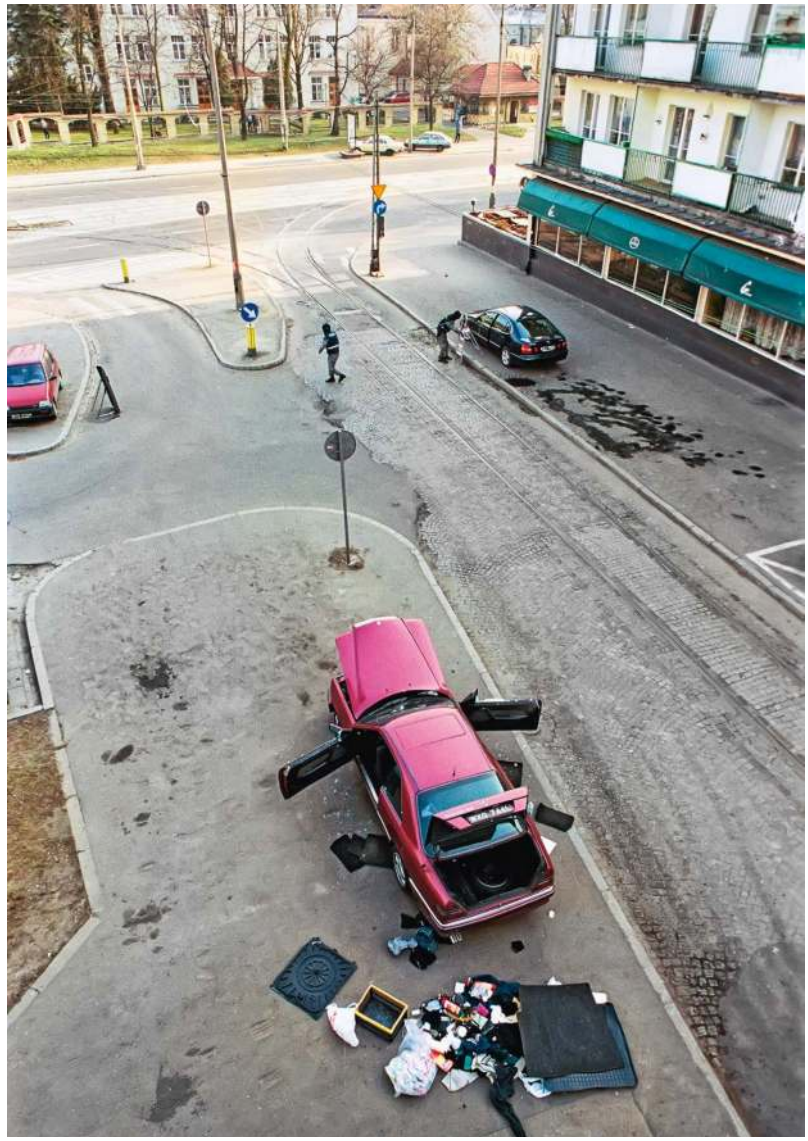
Wojciech Markiewicz,
„Warszawą rządzą trzy gangi", POLITYKA 33/1994

eprasa.pl fa89fff25f









Od góry, od lewej: Jarosław Sokołowski, ps. Masa, skruszony gangster, świadek koronny, podczas procesu Aleksandra Gawronika, Poznań, 2017 r. • Proces gangu Marka Janusza Czarneckiego, ps. Rympałek, Warszawa, 1998 r. • Jeremiasz Barański, ps. Baranina, podczas procesu w Wiedniu, 2003 r. • Morderstwo czterech członków gangu wołomińskiego w okolicach restauracji Gama, Warszawa, 1999 r.

ale za załatwienie lokali na dyskoteki, puby i restauracje. I załatwił. Sam Masa dyskotekę Planeta otworzył w Forcie Wola w 1997 r. Skarżył się jednak na warunki finansowe. „Nie wiem, czy T. wziął jakąś łapówkę, ale umowa była taka, że ma 15 proc. udziału w zyskach z dyskoteki. T. otwierał dyskotekę" – zeznawał Masa. Podobnie było z tzw. jednorękimi bandytami, automatami do gier. Miało ich być do kilkudziesięciu tysięcy sztuk w całym kraju. Właściciele lokali, gdzie ustawiano takie maszyny, musieli płacić od każdej maszyny – z reguły było to od 50 do 100 dol. miesięcznie. Według Masy automaty nie były jedynym interesem, w którym Pruszków dzielił się zyskami z urzędnikami i politykami.

Działacze SLD zeznania Masy określili jako bzdury. Skruszony gangster opowiadał też o kontaktach z Pruszkowem jednego z członków rządu Hanny Suchockiej, potem też posłów AWS. Według policjantów z CBŚ z końcem lat 90. następcy Pershinga w gangu pruszkowskim, bracia Wańka i Malizna „bardzo intensywnie nawiązywali porządne znajomości w biznesie i polityce". Chcieli stworzyć własne lobby, które ułatwiałoby prowadzenie legalnych interesów. Chodziło o załatwianie koncesji, kontraktów, wskazywanie urzędników gotowych przyjąć łapówkę. „Ci ludzie mogli nawet nie wiedzieć, z kim naprawdę mają do czynienia".

Enigma bez puenty. Operacji rozbicia największej w Polsce grupy pruszkowskiej (Wołomin po śmierci Dziada w 1998 r. zniknął) nadano kryptonim Enigma. 21 sierpnia 2000 r. o 6 rano kilkuset policjantów wtargnęło jednocześnie do kilkudziesięciu mieszkań i domów na terenie Mazowsza, zatrzymując 40 osób. W rękach funkcjonariuszy znalazła się znaczna część wierchuszki grupy – Parasol, Wańka, Bolo – i wielu pomniejszych szefów. Z pierwszej obławy udało się uciec Maliznie, Słowikowi, Kajtkowi. Gdy w 2003 r. sprowadzono z Hiszpanii ukrywającego się tam Słowika, w areszcie był już cały zarząd Pruszkowa.

Policjanci z CBŚ mówili wówczas: „Gdybyśmy teraz ich nie zatrzymali, być może już wkrótce byliby nie do ruszenia, mieliby wszystko wyczyszczone, najzupełniej legalne. Mielibyśmy wówczas ogromne kłopoty. Teraz takie kłopoty mogą mieć ci, którzy pomagali im legalizować interesy i budowali polityczne zaplecze".

Ale tak się nie stało. I to już historia następnej dekady.

VIOLETTA KRASNOWSKA

eprasa.pl fa89fff25f

Gorące tematy

Skandale i afery polityczno-gospodarcze lat 90., w układzie chronologicznym.

Daniel Achenson, Jan Wróbel, Łukasz Zelent



1

1 FOZZ, matka afer. W transformację ustrojową Polska wchodziła z długiem w wysokości ponad 41 mld dol. Zobowiązania zaciągane w czasach Edwarda Gierka nie były spłacane przez całe lata 80. – nie było z czego – więc odsetki urosły, a zadłużenie dusiło gospodarkę. Polska miała opinię bankruta.

Na światowym rynku finansowym istnieje praktyka handlu zobowiązaniami. Im mniejsza szansa, że dany podmiot spłaci pożyczkę, tym mniej jest wart dany dług. Na przełomie lat 80. i 90. polski dług wart był ok. 1/5 pierwotnej wartości, tzn. za ok. 20 centów można było wykupić dolara, którego jest winna Polska. Pojawił się zatem pomysł, aby skupić długi państwa za ułamek ich wartości.

Oskarżeni i skazani w sprawie FOZZ, od góry, od lewej: Grzegorz Żemek, Krzysztof Komornicki, Zbigniew Olawa, Dariusz Przywieczerski, Janina Chim, Irene Ebbinghaus, Warszawa, wrzesień 2002 r.

Taki proceder jest nielegalny w świetle prawa międzynarodowego, toteż miano go dokonywać za pomocą podstawionych podmiotów w rajach podatkowych, na zachodzie Europy albo w USA. W tym celu na mocy ustawy sejmowej z 15 lutego 1989 r. powołano Fundusz Obsługi Zadłużenia Zagranicznego (FOZZ).

Na czele instytucji stanął Grzegorz Żemek, były pracownik Banku Handlowego, a wcześniej współpracownik wywiadu wojskowego. Jego zastępczynią została Janina Chim. Już w 1989 r. pojawiły się sygnały o nieprawidłowościach. Przeprowadzona przez Ministerstwo Finansów kontrola nie przyniosła efektów. Sprawę nagłośnił dopiero (już w warunkach transformacji) inspektor skarbowy

eprasa.pl fa89fff25f

Michał Falzmann. Jesienią 1990 r. opisał nadużycia FOZZ w artykule prasowym. 16 lipca 1991 r. – już jako kontroler Najwyższej Izby Kontroli – wystąpił o udostępnienie dokumentów objętych tajemnicą bankową. Tego samego dnia odsunięto go od sprawy. 18 lipca 1991 r. Falzmann zmarł nagle na zawał serca. 7 października Walerian Pańko, szef NIK i najwyższy przełożony Falzmanna, zginął w wypadku samochodowym.

W wyniku afery FOZZ Skarb Państwa stracił ponad 300 mln nowych zł. Była to jedna z najwyższych ujawnionych defraudacji środków publicznych na progu III RP. Po długoletnim śledztwie, procesach, apelacjach i kasacjach sprawa zakończyła się ostatecznie dopiero w 2009 r. Grzegorz Żemek został skazany na dziewięć, a Janina Chim na sześć lat więzienia. Jeden z głównych oskarżonych, Dariusz Przywieczerski, który wyjechał do USA, został skazany zaocznie na dwa i pół roku więzienia.

Powiązania funduszu ze służbami specjalnymi i podejrzane okoliczności śmierci osób badających sprawę przyczyniły się do powstania wielu teorii spiskowych wokół FOZZ. Skandal był na tyle wielki, że bywa nazywany matką wszystkich afer III RP. (JW)

2 Schnapsgate. W Polsce Ludowej import spirytualiów z zagranicy był pod ścisłą kontrolą państwa. Alkohol spoza kraju można było kupić wyłącznie w sieci sklepów Pewex czy Baltona. Dla tych, którzy uzyskali pozwolenie na wyjazd za granicę, istniała również możliwość przywiezienia trunków w ograniczonej ilości na użytek własny.

W 1988 r. Dominik Jastrzębski, minister ds. współpracy gospodarczej z zagranicą (MWGzZ) w rządzie Mieczysława F. Rakowskiego, zniósł koncesję na import spirytusu. By sprowadzać alkohol z zagranicy, nadal należało uzyskać pozwolenie przywozu. Jednak w ustawie znalazła się znacząca luka prawna. W przepisach pojawiło się pojęcie „obrotu niehandlowego". Bez konieczności uzyskania pozwoleń można było sprowadzać alkohol na potrzeby własne. Nie ustalono górnego limitu dla pojedynczej osoby. W czerwcu 1989 r. znacząco obniżono podatek obrotowy i opłaty celne dla importerów.

Te ułatwienia prawne oraz wzrost cen detalicznych alkoholi na rynku krajowym doprowadziły do wzrostu rentowności jego importu. Mimo zwiększania ceł i pewnych regulacji nie udało się zatamować rzeki spirytusu płynącej do Polski. Fala ta znacząco zmniejszała sprzedaż alkoholu od państwowych producentów, co pociągało za sobą spadek wpływów do budżetu państwa. Straty sięgały ponad 2 mld zł.

Alkoholowy zalew był tematem rozmów na posiedzeniach rządu Tadeusza Mazowieckiego. Szef MWGzZ Marcin Święcicki powiedział na jednym z nich: „Nie ma żadnych koncesji, każdy może sprowadzić [alkohol] i właśnie na tym polega nieszczęście". W 1991 r. powołano specjalną komisję sejmową, której celem było wyjaśnienie nieprawidłowości związanych z importem alkoholu. Ustaliła ona, że winę ponosiła również służba celna, której pracownicy pozwalali na odprawy ogromnych ilości alkoholu. Znamienna była historia jednej z mieszkanek Poznania, która w 49 transportach sprowadziła blisko 2 mln litrów alkoholu.

Komisja postawiła zarzuty członkom rządu zarówno Rakowskiego, jak i Mazowieckiego. Jej sprawozdanie zostało jednak odrzucone przez Sejm. Ostatecznie w 1997 r. sąd skazał ministra Dominika Jastrzębskiego oraz Jerzego Ćwieka, prezesa Głównego Urzędu Celnego w latach 1985–90, na utratę biernych praw wyborczych na pięć lat oraz zakaz zajmowania w tym okresie kierowniczych stanowisk w państwie. (DA)



2

1307 litrów spirytusu o wartości ok. 0,5 mld zł odkryte przez policję w jednym z lubelskich garaży, styczeń 1996 r.



3

Andrzej Gąsiorowski (po lewej) i Bogusław Bagsik (w środku), 1991 r.

3 Oscylator Art-B. Upadek komunizmu w Polsce. Chaos prawny. Korupcja. Hiperinflacja. W tym wszystkim odnajdują się dwaj artyści biznesu. Bogusław Bagsik i Andrzej Gąsiorowski zajmowali się właściwie wszystkim. Od handlu odzieżą, herbatą, złotem, aż po montowanie telewizorów. 4 maja 1989 r. zarejestrowali spółkę Artystyczny Biznes (w skrócie Art-B). Jako pierwsza polska firma uzyskała ona wkrótce zezwolenie także na handel bronią. Częściowo sfinansowała również operację Most polegającą na przerzucie 40 tys. Żydów z ZSRR do Izraela. Art-B w bardzo krótkim czasie osiągnęła spektakularny sukces. Stała się holdingiem tysięcy spółek obracających pieniędzmi porównywanymi z budżetem państwa. Wraz ze spektakularnym sukcesem przyszedł nie mniej widowiskowy upadek.

eprasa.pl fa89fff25f



4

Lech Grobelny w areszcie, Warszawa, maj 1994 r.

W 1990 r. zaczęto zauważać nieprawidłowości w finansach firmy. Wkrótce sprawą zainteresowała się prokuratura i wyszło na jaw, że za świetnymi wynikami stał tzw. oscylator finansowy. Jego działanie było banalnie proste. Firma Art-B lokowała pieniądze w jednym banku i pobierała z niego potwierdzony czek na ulokowaną kwotę. Realizowała go w innym banku, gdzie na jego podstawie zakładano kolejną lokatę, z której znów pobierała potwierdzony czek. Operację powtarzano wielokrotnie w bardzo krótkim czasie. Informacje o realizacji czeków docierały wówczas z kilkudniowym opóźnieniem, więc artyści biznesu generowali ogromne odsetki. „Problem (...) polega na tym, że bezwład polskich banków jest tak duży, że operacje, które na Zachodzie trwają kilka sekund, dlatego, że jest tam transmisja danych komputerowa, u nas trwają kilka dni. (...) To jest paranoja po prostu" – wyjaśniał Bogusław Bagsik.

Ruszyła fala aresztowań członków firmy. Bagsik i Gąsiorowski uniknęli zatrzymania, ratując się ucieczką do Izraela. Gąsiorowski do dziś nie stanął przed sądem. Natomiast Bagsik został zatrzymany w 1994 r. w Szwajcarii. Jego ekstradycja do Polski nastąpiła w 1996 r. Stanął przed sądem. Sprawą znowu zaczęła żyć cała Polska. Ostatecznie został skazany na karę dziewięciu lat pozbawienia wolności. Został zwolniony po odbyciu ponad połowy kary. (ŁŻ)

4 (Nie)Bezpieczna Kasa Oszczędności.

„Prawda o żadnej z wielkich afer nie wyszła na jaw. Bo temat jest śliski, bo zarabiają na tym ludzie z rządu. Myślę, że byłem za dobry i chciałem uszczknąć kawałek z tego tortu, który pod szyldem »Solidarności« grupa ludzi podzieliła przy okrągłym stole w Magdalence. Za to próbowano mnie zabić". Tak w jednym z tabloidów tłumaczył się Lech Grobelny po swoim aresztowaniu w Niemczech.

Mimo kuriozalnych teorii samego zainteresowanego jego sprawa miała dużo bardziej przyziemny charakter. W drugiej połowie 1989 r. biznesmen otworzył Bezpieczną Kasę Oszczędności (BKO). Spółka Grobelnego, Dorchem, miała wtedy sieć kantorów. Biznesplan przewidywał oferowanie lokat na wysoki procent w powiązaniu z wartością dolara. W czasie szalejącej inflacji był to z pozoru racjonalny plan, bo cena dolara stale rosła. Problem w tym, że 1 stycznia 1990 r. Narodowy Bank Polski wprowadził stały kurs amerykańskiej waluty. Od tego momentu również dolary zaczęły tracić na wartości.

Przedsiębiorca nie zdecydował się jednak na zamknięcie interesu. Cały czas obiecywał wysokie zwroty z lokat. 6 czerwca 1990 r. salwował się ucieczką do Niemiec, nie pozostawiwszy pełnomocnictw do prowadzenia spółki.

Z POLITYKI

Lechu wróć

„Lechu, wróć" – z resztką topniejącej nadziei wzywali na transparencie klienci Bezpiecznej Klasy Oszczędności. (…) Wieść o zniknięciu Grobelnego obiegła kraj lotem błyskawicy. O szczęściu mogą mówić ci nieliczni, którym w ostatniej chwili udało się wycofać wkłady. Większość jednak z dziesięciu tysięcy klientów stanęła przed kasą, w której nie było już pieniędzy. (…)

Posmak sensacji ma nie tylko samo zniknięcie szefa Dorchemu. Okazuje się bowiem, że żaden z pracowników firmy nie wie, gdzie i jakie depozyty dewizowe ona posiada. Wszystko to daje pożywkę plotce, że pan G. zgarnął po prostu 3 mln dol., za które za granicą może żyć długo i szczęśliwie. Inna wersja głosi, że cały szum jest przez niego zorganizowany celowo. Ma spowodować, aby ludziom „nerwy puściły" i gdy tylko kasa zostanie ponownie otwarta wycofali swe oszczędności. Ci, którzy zrobią to przed terminem, dobrowolnie pozbawią się wysokich odsetek.

Czas pokaże, która wersja okaże się prawdziwa. Nic jednak nie zmieni chyba faktu, że wielu ludzi dopiero teraz uświadomiło sobie, że mogą stracić oszczędności całego życia. Niektóre wkłady wynosiły przecież kilkadziesiąt, a podobno nawet 200 mln zł. (…) Umowa między nimi a spółką pana Grobelnego warta jest bowiem dokładnie tyle samo, co oświadczenie podpisane przez sąsiada, który pożyczył od nas tyle samo pieniędzy. Z tym że jeśli sąsiad okaże się dłużnikiem niesolidnym, sąd na poczet naszych należności może mu zająć np. jego prywatny kolorowy telewizor, albo i samochód czy willę. Natomiast w przypadku gdy swoje pieniądze powierzamy spółce z ograniczoną odpowiedzialnością (a taką był Dorchem) i ta bankrutuje – komornik na poczet należności wierzycieli może zająć tylko majątek spółki i wniesione udziały, ale nie prywatne dobra jej udziałowców. (…)

Na co jeszcze mogli i powinni byli zwrócić uwagę ci, którzy z tak wielkim zaufaniem powierzyli BKO swoje pieniądze? Na to, że kasa pana G., podejmując się działalności takiej samej jak bank, bankiem jednak nie była. (…) Gdyby pan Grobelny chciał uzyskać w Ministerstwie Finansów i NBP licencję na prowadzenie prywatnego banku – musiałby spełnić kilka warunków. Po pierwsze – złożyć kapitał będący gwarancją dla jego przyszłych klientów. (…) obecnie – 20 mld zł. Po drugie – zatrudnić w nim ludzi, których kwalifikacje NBP uzna za odpowiednie. I po trzecie wreszcie – wyrazić zgodę na nadzór bankowy. (…)

BKO nie tylko obiecywała, że nie stracimy. Zapewniała tak wysokie oprocentowanie wkładów, że interes wydawał się bardzo pociągający. (…) NBP ostrzegał wprawdzie, że ludzie zawierzający jej swe oszczędności nie mają żadnej gwarancji ich odzyskania, ale kto by zwracał uwagę na te ogłoszenia. (…) Kasa pana G. nie dla wszystkich okazała się bezpieczna.

Joanna Solska, „Kasa pana G.", POLITYKA 29/1990

eprasa.pl fa89fff25f



Leszek Miller przed siedzibą Rady Ministrów, Warszawa, październik 1993 r.

Za Grobelnym wydano list gończy i ostatecznie został aresztowany w 1992 r., po czym deportowany do Polski. Szacuje się, że inwestorzy powierzyli BKO ok. 25 mld starych zł. Oszukanych zostało 11 tys. klientów. Wymiarowi sprawiedliwości udało się odzyskać 1/4 z tego – 7 mld.

Lech Grobelny został zasztyletowany w 2007 r. w pawilonie handlowym na warszawskim Bródnie. Ciało odnaleziono dopiero pięć dni po zgonie. Prokuratura nie wykluczyła wątku zemsty za utratę pieniędzy w BKO jako motywu morderstwa. Sprawcy nie odnaleziono. (JW)

5 Moskiewska pożyczka. Polska Zjednoczona Partia Robotnicza w 1989 r. znalazła się na skraju bankructwa. Wcześniej była finansowana ze składek członkowskich, dochodów Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej Prasa–Książka–Ruch, a także państwowych dotacji. W 1989 r., mimo olbrzymiej inflacji Andrzej Wróblewski, minister finansów (od października 1988 r. do września 1989 r.), wydał decyzję o niezwiększeniu dotacji oraz cofnięciu ulg podatkowych dla organizacji państwowych finansujących partie.

W październiku 1989 r. były już premier Mieczysław F. Rakowski (a od lipca 1989 r. I sekretarz KC PZPR) spotkał się z Michaiłem Gorbaczowem i wyszedł z propozycją udzielenia przez stronę sowiecką pożyczki na utrzymanie agend partii i jej personelu. Na początku następnego roku przyjechali do Polski dwaj pracownicy wydziału zagranicznego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego wraz z walizką, w której znajdowało się 1,2 mln dol. i 500 mln zł.

W 1991 r. w tygodniku „Rossija" pojawił się artykuł, w którym była mowa o udzielonej pożyczce, a także o zwrocie 600 tys. dol. wiceprezydentowi ZSRR Giennadijowi Janajewowi przez stronę polską. Przytoczono również treść notatki Janajewa do Gorbaczowa, w której wspomniano o rozmowach na temat pożyczki między Rakowskim i Leszkiem Millerem, przewodniczącym Socjaldemokracji RP, która powstała w 1990 r. po rozwiązaniu PZPR.



Maciej Zalewski i Jarosław Kaczyński podczas I Kongresu Porozumienia Centrum, Warszawa, marzec 1991 r.

Rakowski przyznał się do wzięcia pożyczki, lecz zanegował autentyczność notatki Janajewa. Zaprzeczał, że rozmawiał o tej sprawie z kimkolwiek. Sprawą zajęła się prokuratura i w 1993 r. umorzyła ją z powodu niskiej szkodliwości czynu w przypadku Rakowskiego i braku dowodów w wątku Millera. (DA)

6 Telegraf wsparcia. Spółka Telegraf SA została założona w 1990 r. z inicjatywy osób związanych z Porozumieniem Centrum (PC) – pierwszym ugrupowaniem politycznym kierowanym przez Jarosława Kaczyńskiego. Oficjalnym celem Telegrafu miało być wspieranie

eprasa.pl fa89fff25f





7 8

Od lewej:
Przed siedzibą Banku Staropolskiego, Poznań, styczeń 2000 r.

Marzena Domaros, Warszawa, lipiec 1993 r.

wolnych mediów i tworzenie zaplecza ekonomicznego dla niezależnych wydawnictw i inicjatyw prasowych po upadku PRL. W praktyce jednak spółka szybko stała się narzędziem do gromadzenia funduszy z wykorzystaniem powiązań politycznych. W radzie nadzorczej i zarządzie Telegrafu zasiadali prominentni działacze PC, m.in. Adam Glapiński i Maciej Zalewski.

Spółka pozyskiwała finanse od przedsiębiorstw państwowych, takich jak Bank Handlowy, PZU czy Centrala Produktów Naftowych, które wspierały ją kredytami i inwestycjami o niejasnym uzasadnieniu ekonomicznym. Bracia Kaczyńscy i Zalewski byli jednak wtedy wysokimi urzędnikami w kancelarii prezydenta Lecha Wałęsy, co mogło mieć tu niebagatelne znaczenie. Przez 10 miesięcy istnienia Telegraf zgromadził majątek wielkości 2 mln dol. W 2003 r. Maciej Zalewski został skazany na dwa i pół roku więzienia za wyłudzenie prawie 6 mln nowych zł ze spółki Art-B. Był jedynym osądzonym w tej sprawie. Nie wszczęto śledztw prokuratorskich w pozostałych wątkach Telegrafu. Liderzy PC konsekwentnie twierdzili, że żadnej afery nie było. (JW)

7 Piramida staropolska. Afera Banku Staropolskiego była jednym z najbardziej charakterystycznych przykładów chaosu początku lat 90., gdy społeczeństwo dopiero uczyło się zasad funkcjonowania gospodarki rynkowej. Bank Staropolski SA, założony w 1991 r. w Poznaniu, wykorzystał tę niewiedzę, oferując lokaty o niezwykle wysokim oprocentowaniu, nawet 60–70 proc. rocznie. W rzeczywistości jego działalność opierała się na mechanizmie piramidy finansowej: zyski jednych klientów wypłacano z wpłat innych, a nie z rzeczywistej działalności inwestycyjnej.

Dla wielu Polaków, po dekadach gospodarki centralnie planowanej, obietnica szybkiego i łatwego zysku wydawała się naturalnym elementem nowej rzeczywistości. Reklamy banku odwoływały się do tych emocji – do marzeń o dostatku i sukcesie. Ludzie ufali, że skoro instytucja nazywa się bankiem, jest nadzorowana przez państwo i w pełni bezpieczna. W efekcie ponad 30 tys. osób powierzyło jej swoje oszczędności, często dorobek życia. Jednak dopiero w 1999 r. Komisja Nadzoru Bankowego cofnęła licencję Banku Staropolskiego, wykazując liczne nadużycia i brak płynności finansowej. Wkrótce potem firma upadła, a większość klientów nie odzyskała pieniędzy.

Proces sądowy zakończył się w połowie pierwszej dekady XXI w., a kilku byłych menedżerów zostało skazanych na kary więzienia. Afera ujawniła słabość ówczesnego nadzoru finansowego. Dla wielu była kolejną gorzką lekcją (po BKO), że w gospodarce rynkowej nie istnieją cudowne inwestycje bez ryzyka, a nadmierna wiara w łatwy zysk może prowadzić do dramatycznych strat. (JW)



Okładka „Erotycznych immunitetów", 1992 r.

8 „Erotyczne immunitety" Anastazji P. W 1992 r. niejaka Anastazja P. opublikowała wspomnienia, które wzburzyły opinię publiczną. Opisała swoje rzekome kontakty seksualne z wieloma posłami na Sejm. Autorka w rzeczywistości nazywała się Magdalena Domaros. Wiosną 1992 r. uzyskała akredytację prasową przy Sejmie jako korespondentka paryskiego dziennika „Le Figaro", w którym w rzeczywistości nigdy nie pracowała. Pomogła jej dobra znajomość francuskiego. Przedstawiała się jako prezeska stowarzyszenia Pani Walewskiej. Z tego powodu powszechnie uważano, że jest hrabiną, choć – jak później twierdziła w swoich pamiętnikach – nigdy się za nią nie podawała.

W mediach zaczęły pojawiać się pogłoski o jej sejmowych poczynaniach. Miała być przy tym winna łącznie 871 mln zł klubom parlamentarnym i politykom. W drugiej połowie 1992 r. napisała książkę „Erotyczne immunitety". Opisała w niej ze szczegółami sceny seksu, do jakiego miało dojść między nią a niektórymi posłami, a także

eprasa.pl fa89fff25f





9 10

Od lewej:
Płk Jan Lesiak, Warszawa, czerwiec 2006 r.

Minister Andrzej Milczanowski podczas oskarżycielskiego wystąpienia sejmowego w sprawie Olina, Warszawa, grudzień 1995 r.

gwałt, jakiego miał się na niej dopuścić jeden z wicemarszałków Sejmu. Była to pierwsza w historii demokratycznej Polski afera o podtekście seksualnym.

W 1993 r. wydała drugą część swoich pamiętników „Anastazja P. raz jeszcze". Chciała startować do Sejmu, do czego ostatecznie nie doszło. Potem Magdalena Domaros zeszła na dalszy plan w przestrzeni medialnej, choć m.in. próbowała sił jako piosenkarka i nagrała płytę „Oczy Stefana". Jej sejmowe rewelacje były na ogół traktowane jako nieprawdziwe, niewątpliwie jednak wpłynęły na pogorszenie wizerunku klasy politycznej młodej polskiej demokracji. (DA)

9 Szafa płk. Lesiaka. „Czasy się zmieniają, ale pan zawsze jest w komisjach" – pada w kultowych „Psach" Władysława Pasikowskiego. Po upadku komunizmu w Polsce konieczne było zbudowanie nowych służb specjalnych. Nie można było tego zrobić bez udziału 10 tys. byłych – i pozytywnie zweryfikowanych – funkcjonariuszy SB. Płk Jan Lesiak, były funkcjonariusz Departamentu III MSW – zwalczającego opozycję – takiej weryfikacji nie przeszedł. Znalazł jednak zatrudnienie w powstającym Urzędzie Ochrony Państwa. I z jego nazwiskiem wiązała się jedna z afer dekady.

W 1993 r. Jarosław Kaczyński ujawnił istnienie instrukcji UOP nr 0015/92. Twierdził, że miała służyć jako podstawa prawna do inwigilacji polityków związanych z prawicowymi ugrupowaniami – takimi jak Porozumienie Centrum – stojącymi w opozycji do ówczesnego prezydenta Lecha Wałęsy. W opinii lidera PC miały to być działania zlecone odgórnie, a nie samowolka byłych esbeków. Ówczesny szef UOP Piotr Niemczyk, były działacz opozycji demokratycznej, zaprzeczał: „Instrukcja ta nigdy nie obowiązywała. Została uchylona przed wejściem w życie, niezwłocznie po jej upublicznieniu. Ale nawet gdyby weszła w życie, nie umożliwiałaby ani werbowania kogokolwiek, ani inwigilowania żadnego środowiska".

W 1997 r. Zbigniew Siemiątkowski – członek Rady Ministrów w rządzie Włodzimierza Cimoszewicza – oficjalnie ujawnił istnienie tzw. szafy Lesiaka, w której znajdowały się dokumenty związane z politykami prawicowymi. Lesiak zaprzeczył, że jego działalność była związana z istnieniem instrukcji 0015/92. W 1999 r. sprawa została umorzona przez prokuraturę, jednak w 2005 r. – po dojściu do władzy Prawa i Sprawiedliwości – ponownie do niej wrócono. Nie opublikowano jednak materiałów z szafy Lesiaka. W procesie oficera stwierdzono, że przekroczył uprawnienia podczas pracy operacyjnej, jednak oczyszczono go z zarzutów.

Szafa Lesiaka stała się mitem założycielskim polskiej prawicy. Była ona w opinii Jarosława Kaczyńskiego dowodem współpracy między postkomuną a częścią dawnej Solidarności związanej z Lechem Wałęsą. (DA)

10 Sprawa Olina. „Panie marszałku! – rozpoczął swoje przemówienie na forum Sejmu minister spraw wewnętrznych Andrzej Milczanowski 21 grudnia 1995 r. – Rozumiem, że odpowiadam na pytanie związane ze sprawą skierowania przeze mnie w dniu 19 grudnia 1995 r. do naczelnego prokuratora wojskowego wniosku o wszczęcie postępowania karnego w sprawie dotyczącej zagrożenia bezpieczeństwa państwa. Sprawa ta wiąże się z osobą pana premiera Józefa Oleksego. (...) Z posiadanych informacji wynika, że w latach 1990–95 pan Józef Oleksy odbył wiele spotkań z oficerami obcego wywiadu, w trakcie których przekazywał informacje i dokumenty, w tym także tajne. Urząd Ochrony Państwa uzyskał również informację, iż pan Józef Oleksy został zarejestrowany jako kwalifikowane źródło informacji w tajnej, specjalnego znaczenia ewidencji obcego wywiadu włącznie z kryptonimem".

eprasa.pl fa89fff25f

Lech Wałęsa był wówczas – po niespodziewanie przegranych wyborach prezydenckich – krok od przekazania władzy. W ostatnich dniach jego urzędowania szef MSW rozpętał polityczną burzę, oskarżając ówczesnego prezesa Rady Ministrów Józefa Oleksego o współpracę z rosyjskimi służbami. Według Andrzeja Milczanowskiego Oleksy to agent o pseudonimie Olin.

„Jest zrozumiałe, iż każdy szef rządu, który spotyka się z takim zachowaniem ministra i podległych mu służb, musi być wstrząśnięty. I ja jestem wstrząśnięty tym, co zostało tu powiedziane. (...) Dla pana ministra Milczanowskiego bowiem czas państwa i państwo polskie kończy się z momentem odejścia Lecha Wałęsy i jego ekipy" – odpowiedział Józef Oleksy. To, że strona oskarżająca oddawała władzę, rzucało podejrzenia, że jej posunięcia były motywowane polityczną zemstą, co było podkreślane przez polityków wywodzących się z ówczesnej postkomunistycznej koalicji rządzącej. Za czasów prezydentury Wałęsy wszystkie ministerstwa siłowe oraz MSZ były obsadzone przez jego popleczników.

Oleksy starał się przekonać opinię publiczną o swojej niewinności, tymczasem w przestrzeni medialnej pojawiały się zdjęcia, które przedstawiały premiera spędzającego czas z rosyjskim agentem Władimirem Ałganowem (o którym też dalej). Presja, której był poddawany Oleksy, spowodowała, że podał się on do dymisji. „Rezygnuję, bo jestem niewinny" – powiedział, ustępując ze stanowiska.

Sprawa znalazła swój finał w prokuraturze, która z braku dowodów umorzyła śledztwo. Stosunki towarzyskie Oleksego z Ałganowem były niepodważalne, jednak nic nie wskazywało na to, aby ówczesny premier był rosyjskim agentem. (ŁŻ)



11

Jacek Buchacz przed ministerialnym gabinetem, Warszawa, wrzesień 1996 r.

11 Trójkąt Buchacza. Tytułową figurą nazwano działania, jakie w połowie lat 90. podjęli politycy i spółki państwowe w Polsce, w wyniku których państwowy majątek wart setki milionów złotych został ulokowany w strukturze, nad którą państwo straciło kontrolę. W uproszczeniu: trzy spółki – Polski Fundusz Gwarancyjny (PFG), Międzynarodowa Korporacja Gwarancyjna (MKG) oraz Chemia Polska – zostały zaopatrzone w akcje i udziały firm należących do Skarbu Państwa, które na-

POLITYKI

Artyści biznesu

Od kilkunastu dni sprawa Art-B nie schodzi z pierwszych stron gazet. (…) Popatrzmy (…) jak doszło do tego spektakularnego „wyrolowania" systemu bankowego w naszym raczkującym socjalistycznym kapitalizmie. Jak twierdzą byli już dzisiaj prezesi Art-B – odbywało się to zgodnie z obowiązującym u nas prawem, zdaniem zaś oskarżycieli – w wyniku przestępczej działalności, ale jak wynika z dotychczasowego śledztwa – działalności urzędników bankowych.

Do maja 1990 r. spółka Art-B zajmowała się handlem. Początkowo za pożyczone, potem za własne pieniądze wozili towar z Niemiec, mając na każdym kursie 100-procentowy zysk. Po kilku nieporozumieniach i konfliktach z dotychczasowymi udziałowcami zostało ich w maju ub.r. – trzech. Bogusław Bagsik, 28 lat, pianista, żydowskie dziecko zaadoptowane przez rodzinę protestancką, legitymujący się trzema obywatelstwami i paszportami (polskim, niemieckim i izraelskim) i mający w spółce 55 proc. udziałów. Andrzej Gąsiorowski, 32 lata, wiceprezes, właściciel 40 proc. udziałów, lekarz laryngolog, oraz adwokat Jerzy Pagiełła, prokurent firmy z 5-procentowym udziałem. Zanim połączył ich biznes – grali w zespole jazzowym.

Właśnie w maju ub.r. doszli do wniosku, że w biznesie ważny jest nie tyle towar, co pieniądz. Wówczas to opracowali, wraz z informatykami Akademii Ekonomicznej we Wrocławiu komputerowy model OSCYLACYJNEJ AKCELERACJI KAPITAŁU o nazwie LOTUS. Pozwala on na przeprowadzanie operacji finansowej Oscylator (Floating), której głównym założeniem jest przechodzenie czeków przez dużą i stale powiększoną liczbę kont operacyjnych firm na terenie całego kraju, zaś naczelnym założeniem programowym – dążenie do uzyskania jak największej liczby tzw. dni odsetkowych. (Przyjęto, że działalność musi być prowadzona w oparciu o zarządzenia prezesa NBP z 11.08.89 nr 218 i 219, czyli zgodnie z prawem). (…)

Operacja Oscylator pozwala np. przy kapitale w wys. 100 mld zł, obracając pieniędzmi przez konta a vista oprocentowane na 1 proc. miesięcznie, uzyskać w ciągu roku ponad 78 mld zł. Przy kapitale zaś 500 mld zł, pięciu operacjach na dobę, siedmiu dobach odsetkowych, w 22 dni operacyjne w ciągu miesiąca, można po roku zarobić – zysk skapitalizowany – ponad 8,3 biliona zł, a dokładnie 8.302.674.758.110, czyli 8 bilionów, 302 miliardy, 674 miliony, 758 tysięcy, 110 złotych. (…) Kapitał Art-B zaczął więc narastać w tempie geometrycznym, co stało się nową filozofią firmy. Art-B rozrastała się. (…) Na koniec ich holding miał kontrolne udziały w 200 spółkach, a pośrednio w 2 tys. spółek. (…)

W centrali Art-B przy ul. Wspólnej w Warszawie coraz częściej zaczęli pojawiać się kontrolerzy i dziennikarze. Ci pierwsi – jak twierdzą dziś byli szefowie – nie znajdowali żadnych uchybień w działalności korporacji. (…) Nadzór, i słusznie, tropił wszelkie nieszczelności systemu, alarmował górę, ale z jego sugestii niewiele, oprócz zdenerwowania, wynikało. W końcu sprawą zainteresował się UOP. 18 czerwca wszczęto śledztwo, 7 sierpnia aresztowano pierwszych urzędników bankowych (…), w przeddzień aresztowań prezesi Art-B – jak sami twierdzą – wyjechali na urlop zagraniczny (…).

Wojciech Markiewicz, „Afera", POLITYKA 33/1991

eprasa.pl fa89fff25f

stępnie wzajemnie obejmowały akcje, tworząc zapętlony układ kapitałowy. Główną postacią trójkąta był Jacek Buchacz, z ramienia PSL minister współpracy gospodarczej z zagranicą w rządach Józefa Oleksego i Włodzimierza Cimoszewicza, który podpisał decyzje o wniesieniu państwowego majątku – ok. 545 mln zł – do tego systemu.

Efekt był taki, że choć formalnie to państwo wnosiło majątek, rzeczywista kontrola – nad decyzjami, zarządem i powiązaniami kapitałowymi – została praktycznie utracona przez Skarb Państwa. Spółki ponosiły duże straty: przykładem jest zakup akcji spółki Forcan przez Chemię Polską, który zakończył się stratą ponad 117 mln zł.

Postępowanie w sprawie trójkąta trwało długo. W 2008 r. Najwyższa Izba Kontroli skierowała zawiadomienie do prokuratury w związku z podejrzeniem niedopełnienia obowiązków i niegospodarności w jednej ze spółek. Jako pomysłodawcę konstrukcji trójkąta wskazywano również poznańskiego biznesmena Piotra Bykowskiego. (JW)

12 Wakacje z agentem. „W »Rybitwie« nie było przypadkowych gości. Od lat wakacje spędzała tam elita polskich postkomunistów oraz ludzi biznesu. A także, jak się okazuje, oficer rosyjskiego wywiadu Władimir Ałganow. Wszyscy razem stanowili, jak mówią pracownicy, »szczególnie zżyte towarzystwo«". W ten sposób rozpoczynał się artykuł w dzienniku „Życie", oskarżający prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego o kontakty z rosyjskim agentem. Był 1997 r. W gazecie ukazała się seria artykułów, które zapisały się w historii polskiego dziennikarstwa śledczego.

Według dziennikarzy „Życia" w 1994 r. Kwaśniewski miał spędzić wakacje w towarzystwie szpiega Federacji Rosyjskiej w Cetniewie, dzielnicy Władysławowa. Autorzy tekstów przywoływali relacje świadków, którzy twierdzili, że widzieli Kwaśniewskiego razem z Ałganowem w obiekcie Rybitwa na terenie Centralnego Ośrodka Sportowego. Przedstawiali też rachunki, które miały to potwierdzać. Jednak ani Kwaśniewski, ani Ałganow nie zostali zarejestrowani w księdze gości.

Ówczesny prezydent zaprzeczył tym informacjom i podał sprawę do sądu. Rzecznik prezydenta Antoni Styrczula stwierdził, że Kwaśniewski nigdy nie spotkał się z Ałganowem. Przeczyły temu zdjęcia jeszcze z czasów PRL, na których było widać Kwaśniewskiego i Ałganowa. Część świadków potwierdziła ustalenia dziennikarzy podczas rozprawy sądowej. Kluczowa okazała się jednak dokumentacja BIG Banku Gdańskiego. Wynikało z niej, że prezydent dokonywał płatności w Irlandii w okresie, w którym rzekomo miał przebywać w Cetniewie z Ałganowem. Sąd przyjął to za wiarygodny dowód i w 2000 r. artykuł uznał za nieprawdziwy.

Dziennikarze „Życia" odwołali się od wyroku, co rozpoczęło długą batalię sądową, której finał rozstrzygnął się dopiero w 2005 r. w Sądzie Najwyższym. Potwierdził on, że w artykule znajdują się nieprawdziwe informacje, ale zwolnił dziennikarzy z odpowiedzialności. (ŁZ)

13 Koloseum oszustw. Józef Jędruch zaczynał od handlu samochodami, a w 1996 r. założył firmę Colloseum, która skupowała wierzytelności i żyła z odsetek od przejętych długów Skarbu Państwa. Prawda o niej wyszła na światło dzienne, gdy do Colloseum zawitała skarbówka. Skala oszustw i wyłudzeń okazała się porażająca. Już na początku swojej działalności Jędruch sfałszował dokumenty MEN, dzięki którym wyłudził setki tysięcy złotych na budowę uczelni, która nie powstała. Potem wykazano wiele oszustw podatkowych, wprowadzania partnerów biznesowych w błąd, fałszowania dokumentacji firmy, nielegalne posiadanie broni. Kluczowy zarzut



12

Oficer rosyjskiego wywiadu Władimir Ałganow, Moskwa, lata 90.

dotyczył windykowania długów na podstawie nieważnej umowy. Łączna kwota, jaką wyłudził prezes Colloseum, wyniosła 430 mln zł.

Jędruch ratował się ucieczką do Izraela, gdzie próbował uzyskać obywatelstwo. Posunął się tam do bigamii. Został jednak przekazany polskim służbom. W kraju został aresztowany, po czym wyszedł za kaucją. Na wolności założył fundację prześladowanych przez państwo przedsiębiorców. Potem próbował zdobyć immunitet, startując do Parlamentu Europejskiego z list Samoobrony (oferował 100 zł każdemu, kto na niego zagłosuje). Wszedł nawet w posiadanie dokumentów Republiki Nowej Gwinei, aby uzyskać immunitet dyplomatyczny, jednak nowogwinejski rząd nie akredytował mu uprawnień. W końcu stanął przed sądem i został skazany na karę sześciu lat pozbawienia wolności i 720 tys. zł grzywny. Odwołał się od wyroku, a sąd II instancji obniżył grzywnę do 400 tys. zł.

Józef Jędruch, Ornontowice k. Mikołowa na Śląsku, grudzień 1999 r.



13

Od razu po usłyszeniu, że ma jednak iść do więzienia, starał się wykręcić od odsiadki. Najpierw twierdził, że jego syn popadł w depresję po śmierci babci, następnie zapisał się na studia doktoranckie i próbował przekonać organy ścigania, że nie może pójść do więzienia podczas pisania doktoratu. Gdy obie próby spełzły na niczym, uzyskał zaświadczenie od lekarza, że boli go kolano. Obrońca argumentował, że zamknięcie skazanego w więzieniu w takim stanie byłoby niehumanitarne. Tym razem Jędruchowi się udało i uniknął osadzenia w zakładzie karnym. Potem parał się różnymi pracami. „Gazeta Wyborcza" donosiła, że został dyrektorem jednej z prawniczych kancelarii. Na jego profilu LinkedIn są zamieszczone informacje, że jest doradcą prawnym. Tymczasem większości pieniędzy, które wyłudził, nadal nie odnaleziono. (ŁZ)

DANIEL ACHENSON, JAN WRÓBEL, ŁUKASZ ZELENT

eprasa.pl fa89fff25f



Słodsza wersja pamięci

Nostalgia za dekadą lat 90. przejawia się głównie w popkulturze i obyczaju.

Malwina Dziedzic, Aleksandra Żelazińska

Podróż w przeszłość. Końcówka ubiegłego wieku szybko doczekała się swojego renesansu. Ale za czym tak naprawdę tęsknimy? Dla milenialsów (urodzonych, jak to się zwykło przyjmować, gdzieś między początkiem lat 80. a połową 90.) to zapewne nostalgiczna podróż w czasy dzieciństwa spędzanego ze swoją bandą na trzepakach, podwórkach lub ławeczkach pod blokiem. Dla zetek (pokolenia Z, czyli osób urodzonych mniej więcej między 1995 a 2012 r.) – inspiracja; końcówka starego świata, z boazerią na ścianach, bez internetu, smartfonów, rozszalałego konsumpcjonizmu.

Kontrastowe, pachnące Zachodem, szeleszczące kreszem lata 90. przeżywają właśnie swoją drugą młodość. Z sentymentu, tęsknoty, ale i z buntu. Media społecznościowe zalewają filmiki i zdjęcia inspirowane wycinkami tamtych czasów, a także wspominki „weteranów", czyli często wchodzących już w kryzys wieku średniego milenialsów. W tych obrazach nie ma polityki, wiekopomnych wydarzeń, ustrojowych kamieni milowych. Nawet bezrobocie i trudy transformacji są spowite sentymentalną refleksją, że w sumie i tak żyło się lepiej, jakoś bliżej siebie. Relacje budowało się wówczas zgoła inaczej: wisząc na telefonach przytroczonych do ściany czy krzycząc pod oknem kolegi. Jak w jednym z popularnych standupowych kawałków, *szerowanych* w social mediach, autorstwa Cezarego Jurkiewicza: „Jak chciałeś, żeby twój kumpel wyszedł na dwór, to trzeba było pogadać o tym z jego matką. »– Przepraszam, czy Kamil dzisiaj wyjdzie pograć w piłkę? – Nie, Kamil dzisiaj nie wyjdzie«. I nie wychodził. Decydowaliśmy o losach Kamila bez jego wiedzy".

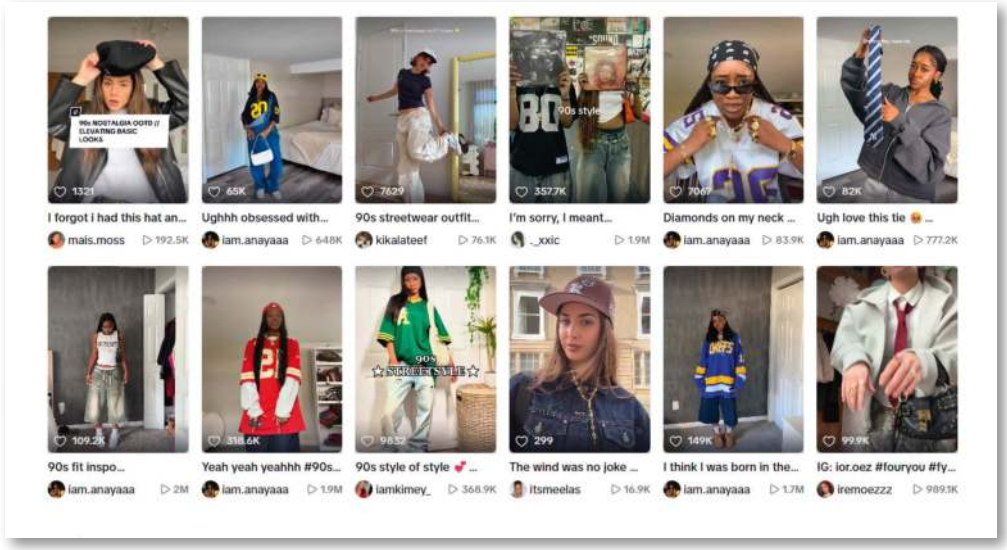
Sprężynki w neonowych kolorach, między zajęciem dla rąk a terapeutyką.



Dzieciństwo pod trzepakiem, Nikiszowiec, Katowice, przełom XX/XXI w.

eprasa.pl fa89fff25f

Biała skarpeta. Moda skrzyła się kolorami, patternami, emblematami popularnych sportowych marek. Ale nie tylko Nike czy Adidasa. To z tego wszak czasu pochodzą choćby słynne kuboty, które w ostatnich latach stały się niemal nieodłącznym elementem instagramowych relacji twórcy Make Life Harder. Charakterystyczne piankowe klapki na rzepy pojawiły się w 1994 r. za sprawą Doroty i Wiesława Michalskich, którzy sprowadzali je z Chin. Początkowo podbijały bazary, potem zaczęły tracić na popularności, kojarzyć się z tandetą i obciachem. Dopiero po latach zyskały miano kultowych – markę Kubota w 2018 r. reaktywowała grupa przyjaciół, rozpropagować pomogli influencerzy i celebryci; szybko zaczęła notować wielomilionowe przychody i rekordowe zyski. A słynna biała skarpeta wystająca z klapek zaczęła *być w trendach* – także w kontrze do wymuskania, wielkomiejskiego zadęcia, poczucia wyższości, a równolegle postępującej mody na małomiasteczkowość i swojskość.



Nostalgia za modą z lat 90. na TikToku, 2026 r.

„Stylizacje gwiazd z lat 90. są gotową ściągawką dla wszystkich, którzy cenią minimalizm z nutą ekstrawagancji. Wystarczą jeansy w stylu slim, bootcut albo dzwony i ulubione obcasy, by stworzyć prosty, a zarazem niebanalny zestaw na każdą okazję" – przekonywał w sierpniu 2025 r. magazyn „Vogue". Tak oto na ulice polskich miast wróciły grunge (czyli flanelowe koszule, podarte jeansy i ciężkie buty), odkryte brzuchy (i koszulki typu *crop tee* i *baby tee*), prostokątne torebki na krótkim pasku (*baguette bag*), a także dresy, panterki, conversy, a nawet welury i chodaki.

„Moda lat 90. to nie tylko ubrania, ale cały kulturowy fenomen, który na zawsze zmienił sposób, w jaki myślimy o stylu. To dekada, w której moda przenikała się z muzyką





Od lewej: Jakobe Mansztajn, polski bloger i poeta, współautor blogu Make Life Harder, pomógł na nowo wypromować markę klapek Kubota, 2020 r. • Na warszawskiej ulicy, marzec 1992 r.

eprasa.pl fa89fff25f



Fragment zbiorów w prywatnym muzeum lat 90. w Bielsku-Białej, 2026 r.
• Poniżej: oryginalne tazosy dodawane do chipsów i karteczki do segregatorów.

i kinem – na ulicach królował grunge inspirowany Nirvaną, hiphopowy luz w duchu Aaliyah i TLC oraz ekstrawagancki pop rodem ze Spice Girls. Ikony ekranu, jak Rachel Green z »Przyjaciół« czy Cher Horowitz z »Clueless« wyznaczały standardy stylu, które dziś wracają w wielkim stylu. (…) Streetwear z lat 90. ewoluował w luksusowy casual, który noszą gwiazdy i influencerki" – podkreśla na swoim blogu modowym sklep Modivo.

Kolekcjonerzy wspomnień. Równolegle z modą wraz z nastaniem wolnej Polski zmieniały się też sztuka, architektura czy *design* wnętrz. Miało być przytulnie – przypomina w „Duchologii polskiej" etnolożka i pisarka Olga Drenda. To brzmi lepiej niż ciasno. Ikea, dla której Polska była głównie podwykonawcą, zaczęła traktować ją jak istotny rynek zbytu. Meble gięły i wytwarzały rodzime firmy rzemieślnicze. A zarazem nowe obiekty – pisze Drenda – „trafiały w świat zastany", meblościanki zastąpiły więc kredensy, ale obok kilimów i zdjęć papieża Polaka pojawiły się na ścianach plakaty amerykańskich gwiazd estrady. To nawarstwianie nie było możliwe w czasach powojennych, gdy wszystko obróciło się w pył. Dominował głód posiadania, imperatyw gromadzenia przeciwstawiany modzie na minimalizm, który w kraju niedosytu nie mógł się ot tak przyjąć.

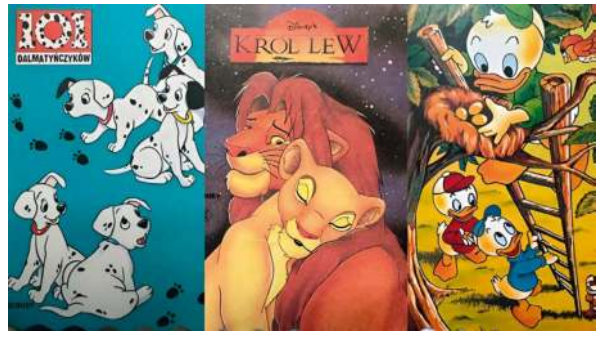
Sebastian Balcerzak, kolekcjoner, poświęcił latom 90. całe muzeum w Bielsku-Białej – odwzorowane statystyczne mieszkanie to jeden z jej eksponatów. „Odtworzone z dbałością o każdy szczegół – od boazerii po szklanki musztardówki", opisuje Balcerzak. Na otwartą kuchnię albo kuchnię połączoną z jadalną – w latach 90. szczyt pożądania – jeszcze trzeba było zaczekać. Ale zwyczaje żywieniowe też już się powoli zmieniały.

Od czerwca 1992 r. w polskich miastach zaczęły pojawiać się pierwsze bary McDonald's, a ich otwarcia gromadziły tłumy. Dość przypomnieć, że start pierwszej w Polsce Restauracji Pod Złotymi Łukami – jak później prześmiewczo przechrzczono amerykańską sieć – uświetnili m.in. Agnieszka Osiecka i Kazimierz Górski, a biało-czerwoną wstęgę rozpostartą w poprzek wejścia do budynku na rogu Świętokrzyskiej i Marszałkowskiej w Warszawie (w słynnym domu handlowym Sezam) przecinał sam Jacek Kuroń. Pobito wówczas światowy rekord tzw. jednodniowej liczby obsłużonych gości (13,3 tys. transakcji; pół roku później wynik ten przebił katowicki McDonald's).

Dziś nagrania z tego wydarzenia, jak również pierwsze telewizyjne reklamy *Maka* są chętnie przypominane w mediach społecznościowych. W komentarzach analizuje się ówczesne ceny, skład produktów, przypomina zabawki dodawane do zestawów. Wszak był to czas, w którym z namiętnością kolekcjonowano przeróżne rzeczy: od karteczek do segregatorów z postaciami z popularnych bajek i filmów albo zdjęciami nowo powstałych girls- i boysbandów, przez obrazki samochodów lub motocykli z gum Turbo, kinder niespodzianki, kolejne egzemplarze „Świata Wiedzy", tazosy dodawane do chipsów, po puszki po napojach gazowanych czy butelki po piwie. Z czasem niektóre z tych młodzieńczych kolekcji zyskały na wartości – w przeciwieństwie do kanapek z McDonald'sa, których ceny w stosunku do zarobków Polaków, jak wyliczają internauci, są dużo niższe. I tak na znanych portalach sprzedażowych można znaleźć album z blisko 150 obrazkami z popularnych gum do żucia za 999 zł (wybrakowane kolekcje są o połowę tańsze) czy zbiór 280 karteczek notesikowych za drugie tyle.

Wehikuł czasu. Nie dziwi więc, że marketingowcy McDonald'sa, którzy umiejętnie wychwytują trendy, także postanowili wsiąść w – jak to określają – wehikuł czasu i wykorzystać sentyment milenialsów oraz zainteresowanie zetek. I choć w tytule jesiennej kampanii z 2025 r. odbijają się od początku nowego tysiąclecia („Ikony lat 2000. znowu w Maku"), przypominając „retro design" i „ikoniczne produkty" ze swojej oferty, to także fani lat 90. zna-





eprasa.pl fa89fff25f





Jeden z nieśmiertelnych sloganów i okładki ikonicznych, młodzieżowych pism z lat 90.

leźli coś dla siebie. Do zestawów dodano bowiem równie ikoniczny magazyn „Bravo" – specjalnie przygotowane wydanie z tekstami z archiwalnych numerów, pamiętnymi listami do redakcji, plakatami i, rzecz jasna, nostalgiczną stylistyką z przełomu wieków. „Dla wielu »Bravo« to nie tylko gazetka – to całe dorastanie. Pierwsze fascynacje, dramy celebrytów, testy osobowości i plakaty z idolem, który patrzył na nas znad łóżka" – tłumaczyła Anna Tryfon, brand managerka w McDonald's.

Sądząc po reakcjach, pomysł chwycił. „Tym magazynem MNIE KUPILI" – ekscytuje się na jednej z rolek specjalistka od social mediów Paula Płoszaj. Dwutygodnik ukazywał się w Polsce od 1991 do 2017 r. Niemal równolegle wydawano „Bravo Sport" i kierowane do nastolatek „Bravo Girl!" – magazyn, z którego w czasach naporu konserwatyzmu i Kościoła katolickiego wiele młodych osób czerpało praktyczną wiedzę o seksie, antykoncepcji, chorobach przenoszonych drogą płciową i relacjach z rówieśnikami. Bo i wówczas poruszanie tych tematów w szkole uchodziło za kontrowersyjne.

Kultowość „Bravo" jest zresztą transgraniczna, wszak to pismo z niemieckim rodowodem, dziesięcioma mutacjami językowymi i historią sięgającą połowy ubiegłego wieku. Ciekawym zapożyczeniem na polskim podwórku jest nowy singiel Lotty, czyli Karoliny Pielesiak, zatytułowany „Bravo Girl". Utrzymany w konwencji hyperpopu utwór wokalistki urodzonej w 1996 r. sięga nie tylko do stylistyki znanej z łamów pisma, ale i do emblematów przełomu wieków: „Gadu-Gadu nocne życie to mam tylko w The Sims/ Fox Kids, Jetix, Disney XD/ Czy zakocham się w to lato rozwiązuje quiz/ Gapi się ze ściany Avril Lavigne, Avril Lavigne".

Seksedukacja z gazetki. W zamierzchłych czasach przed *social mediami* oprócz „Bravo" przeglądano też „Dziewczynę", „Popcorn" czy „Twista". Jak przypomina prowadzący fejsbukowy fanpejdż Kiosk Sentymentalny: „W latach 90. nie było TikToka ani Instagrama, ale była… »Dziewczyna« – miesięcznik, który dla nastolatek z Polski (i nie tylko) był absolutnym must have! Wydawany pierwotnie w Niemczech jako »Mädchen«, magazyn szybko zdobył popularność również w Europie Środkowo-Wschodniej, w tym w Polsce, gdzie jego nakład osiągał dziesiątki tysięcy egzemplarzy miesięcznie. (…) W każdym numerze można było znaleźć »Szkołę całowania«, »Listy do Ani« lub rubrykę »Mój pierwszy raz« – nieco kontrowersyjne, ale autentyczne treści, które rozgrzewały gimnazjalne rozmowy na przerwach. »Dziewczyna« była czymś więcej niż gazetą – była przewodniczką po dorastaniu, pełną kolorów, brokatu i słów otuchy, które w tamtych czasach były na wagę złota".

Te sentymentalne opisy, które pojawiają się we wspomnieniowych postach i relacjach w mediach społecznościowych, wykrzywiają jednak ocenę magazynów dla młodych. Podobnie jak TikTok czy Instagram, i one miały swoją ciemną stronę. Przede wszystkim utrwalały stereotypy płciowe i epatowały seksistowskimi treściami. „Zgodnie ze stereotypem kobiety spędzają swój wolny czas na zakupach, sprzątając, plotkując, dbając o swoją urodę. Szczególnie ten ostatni punkt jest ważny, ponieważ pielęgnowaniu urody powinny w zasadzie poświęcić cały dzień" – zauważa Alina Łysak, współautorka pracy „Kobiety i mężczyźni (z) kolorowych czasopism" (Oficyna Wydawnicza Atut), badająca m.in. treści prezentowane w „Dziewczynie" pod kątem socjalizacji płciowej. „Kobiecość przedstawiana jest w »Dziewczynie« (…) jako pasywność, irracjonalność, powiązanie z naturą, bezradność, delikatność, kruchość, emocjonalność, nastawienie na interakcje, macierzyństwo i rodzinę, asekuranctwo, niezdolność do obiektywizmu, skłonność do poświęceń, łatwowierność, skłonność do ulegania wpływom, uległość". A sam feminizm pojawiający się na łamach pisma miał – jak podkreśla autorka – wyraźnie skomercjalizowany charakter.

eprasa.pl fa89fff25f



Borys Szyc jako kapitan promu, który zatonął na Bałtyku w 1993 r.; kadr z serialu „Heweliusz", scen. Kasper Bajon, reż. Jan Holoubek, 2025 r.

Turbo powroty. Ale przecież i ten powrót do lat 90. zyskał mocno komercyjny sznyt. Zasięgi w sieci budowane oddolnie, z nostalgii i tęsknoty za dawnym światem, tylko napędzają marketingowców. Wspomniana kampania McDonald'sa nie była zresztą pierwsza. W 2024 r. wydawnictwo Bauer przygotowało specjalną wersję „Bravo" dla Santandera w związku z firmowanym przez bank letnim festiwalem. Z kolei w 2023 r. akcję reklamową z wykorzystaniem „Bravo" prowadził Netflix – przy okazji premiery serialu „Dziewczyna i kosmonauta".

Legendarna guma Turbo (produkowana przez turecką firmę Kent do 2007 r.) powróciła na kilka chwil w połowie 2015 r. – a to za sprawą kampanii „produktów vintage" sieci Biedronka. Na podobny pomysł wpadli niedawno marketingowcy Frisco, którzy we wrześniu 2025 r. ruszyli z kampanią nawiązującą do *back to the 90s*. Jej twarzą (*brand hero*) został *friscoach* wystylizowany w ubrania z epoki. „To postać ze świata frotek, dresów, getrów i lycry, która doskonale wpisuje się w komunikację całego naszego brandu" – tłumaczył Tomasz Duda, menedżer sieci. I rzeczywiście, Frisco już wcześniej wykorzystywało w kampaniach reklamowych sentyment do końcówki ubiegłego wieku, promując produkty kojarzące się ze smakami dzieciństwa – jak oranżada Hellena, lody Kaktus czy Fruittella.



Furby i Tamagotchi, współczesne wersje elektronicznych zabawek z Japonii.

Siła sloganów. Świetnym nośnikiem sentymentu są zresztą same reklamy. Ich boom korelował z ekspansją kapitalizmu, więc wiele z nich stało się symbolami dekady – jak choćby słynny spot z początków lat 90. z hasłem „Ojciec, prać?", które chyba większości milenialsów częściej kojarzy się z reklamą proszku Pollena 2000 niż z „Potopem" Henryka Sienkiewicza. Nie dziwi zatem, że kolekcjonerzy wspomnień wyciągają teraz z archiwów, także rodzinnych, nagrania ze spotami sprzed trzech dekad i dzielą się nimi w social mediach. Odżywają pamiętne slogany: „Mariola o kocim spojrzeniu" (Okocim); „No to Frugo!" (Frugo); „Wszyscy mają Mambę, mam i ja" (Mamba) czy też „A świstak siedzi i zawija je w te sreberka" (Milka). To ostatnie, z przełomu tysiąclecia, zadomowiło się w potocznym języku na dobre. Podobnie jak choćby: „Trzeba mieć fantazję, dziadku!" (Allianz), „A łyżka na to: niemożliwe!" (Rama), „Bo zupa była za słona" (Niebieska Linia i PARPA), czy „Z pewną taka nieśmiałością" (podpaski Always). Jak zauważa Lidia Hejduk (AdForm): „Te hasła stały się częścią polskiego dziedzictwa kulturowego, funkcjonując jako nośniki ironii, niedowierzania, entuzjazmu lub po prostu jako rozpoznawalne odniesienia do wspólnych doświadczeń pokoleniowych".

Dawne klipy i reklamowe hity przypominają na swoich kanałach twórcy m.in. Gimby nie znajo (YT), Klasyka TV (TT), Sentymenty oficjalnie (Instagram, TT), Estetyka lat 90-tych (TT), Czas nostalgii (TT), PPM (TT) czy choćby Mateusz Jemioł (TT), a także autorzy strony magicznelata90. pl. „Lata 90. były okresem większej swobody i większej otwartości na eksperymenty – z różnym zresztą skutkiem. Z tamtego okresu pochodzą reklamy, które teraz czasem śmieszą, dziwią, a nawet krępują. Nie funkcjonowały wtedy jeszcze gotowe schematy, spoty były bardziej różnorodne. (…) Odbiorcy szukali w reklamach wzorów życia: urządzania domu, ubierania się, mówienia, zachowania. Reklamy oglądało się ze znacznie większym zaangażowaniem" – tłumaczył przy okazji ósmej edycji festiwalu Niewinni Czarodzieje, poświęconej właśnie latom 90., medioznawca Marek Kochan (cyt. za PAP).

Cyfrowe jajo. Popularność starych szyldów, podkręcaną przez nostalgiczne internetowe filmiki i kolaże, szybko wychwycił rynek. Tak oto jesienią 2025 r. na sklepowe półki powróciła wspomniana wcześniej Pollena 2000 – w retroszacie, rzecz jasna. „To nie tylko powrót marki. To powrót

eprasa.pl fa89fff25f

wspomnień. Powrót klasyki. Powrót Polleny" – komunikuje na swoim profilu na Facebooku producent Eudoco KBC Group. I zachęca: „Pokaż ten film komuś, kto dorastał w latach 90.! Jego reakcja Cię zaskoczy".

Idźmy dalej. Tęsknotę za analogowym światem, który wspomina się z rozrzewnieniem, postanowili wykorzystać również producenci gadżetów i technozabawek. Znów głośno zrobiło się o Tamagotchi – kultowej zabawce drugiej połowy lat 90. i początków lat 2000., dzięki której milenialsi uczyli się opieki nad elektronicznym zwierzątkiem (karmienia, leczenia, ale i sprzątania po nim). Bo choć japoński producent nie zaprzestał produkcji cyfrowych jajek, dopiero ostatnie wersje, w tym Tamagotchi Paradise z 2025 r., przypomniały o popularnym niegdyś gadżecie. Teraz to zetki bawią się cyfrowymi stworkami, a zabawy te, rzecz jasna, dokumentują na TikToku. Samo Tamagotchi nawiązuje do klasyki (jajowata forma, pikselowe animacje, tyle że już w kolorze), choć gier, wyzwań i nowych funkcji w uwspółcześnionym modelu jest nieporównywalnie więcej (np. teraz kupki zwierzątek nie tylko się sprząta, ale też przerabia na biopaliwo). Podobnie jak postaci: wyhodować (albo zmutować genetycznie) można aż 50 tys. stworzonek. Cena: ok. 200 zł, ale oprócz tego modnie jest zaopatrzyć się w dodatkowe akcesoria – kiedyś wystarczył zwykły brelok, dziś są smycze, nakładki, etui, fantazyjne zawieszki i naklejki. Z kolei wirtualne tutoriale uczą, jak samemu zrobić ozdobę na Tamagotchi.

Wróciły też m.in. Troskliwe Misie (Care Bears); na początku 2025 r. pluszaki przypominające bohaterów znanych z emitowanej w latach 90. serii bajek wypuściła grupa Simba Dickie. „Ta kolekcja łączy w sobie zarówno nostalgię, jak i aspekt kolekcjonerski, co czyni ją obowiązkową pozycją zarówno dla wieloletnich fanów, jak i nowej publiczności" – tłumaczy Werner Lenzner, senior licensing manager firmy. Ale gadżety z wizerunkami sympatycznych misiów (poduszki, kubki, skarpetki czy śpioszki) można też znaleźć w dyskontach, choćby w Biedronce czy Pepco.



Kultowa Nokia ze współczesnym wystrojem.

Nostalgia z wigorem. Zjawisko nazywane przez branżę marketingowo-reklamową *millennial nostalgia marketing* zatacza coraz szersze kręgi, rzecz jasna nie tylko na polskim rynku. „Dlaczego ten trend tak dobrze działa? Łączy pokolenia. Starszym przypomina młodość, młodszym daje dostęp do ikon sprzed ich czasów. Obniża koszt dotarcia. Człowiek zna już te kody, nie trzeba budować nowych, wystarczy odkurzyć to, co mamy. Buduje autentyczność. Marka pokazuje, że ma historię i dziedzictwo. Daje poczucie bezpieczeństwa. Od zawsze najbardziej lubimy te piosenki, które już słyszeliśmy" – wyjaśnia na łamach serwisu Nowy Marketing Wojciech Walczak, chief strategy officer w agencji Przestrzeń.

„Na TikToku trend nostalgii jest bardzo mocny. Użytkownicy za pomocą AI cofają się do lat 2000., pokazują swoje stylówki, telefony z klapką, imprezy w szkolnej sali. Milenialsi, czyli pokolenie, które dziś ma trzydzieści kilka lat, coraz częściej mówią »ej, kiedyś to było« – i poważnie za tym tęsknią. Marki po prostu to widzą i wykorzystują" – dodaje Magdalena Marek-Terelak, dyrektor kreatywna w SpaceCat. „Czasy, w które wkraczamy z pieśnią na ustach tylko dodadzą nostalgii wigoru" – puentuje inny specjalista cytowany przez serwis, Maciej Nowicki z All Thing AI.

Oldskulowe zestawy. Nie zanosi się więc na to, aby marki chciały zrezygnować z tego samograja. Tak oto z myślą o fanach *retro gamingu* firma Analogue wypuściła przenośną konsolę Pocket, nazywaną reinkarnacją Game Boya, co więcej – kompatybilną z kartridżami. Ba, wraca nawet stara poczciwa Amiga! Na rynku, w wersji A1200, pojawi się w czerwcu 2026 r., ale przedsprzedaż ruszyła już jesienią 2025 r. (ok. 850 zł). W zestawie znajdzie się replika klasycznej klawiatury, myszki i pada, do tego 25 gier, ale też – całkiem już współczesne – porty USB i HDMI. Zabraknie tylko czytnika pamiętnych dyskietek.

Nie sposób też nie wspomnieć o firmie LEGO, bo choć fenomen klocków nie mija, zawsze można go podkręcić zgodnie ze wspomnianą modą – z czego postanowili skorzystać Duńczycy. Firma proponuje zatem oldskulowe zestawy, nawet designem pudełek nawiązujące do stylistyki dawnych lat. I lojalnie przestrzega: „Jeśli okres Twojego dzieciństwa przypadał na lata 80. i 90., przygotuj się na potężną dawkę nostalgii". Złośliwi dodaliby: „I spory wydatek". Bo np. odnowiona twierdza Eldorado kosztuje 950 zł; zamek rycerzy herbu Lew – 1800 zł; szkielet tyranozaura z „Jurassic Parku" – 1100 zł. A i tak niektórych ikonicznych zestawów trzeba już szukać poza oficjalnym sklepem, ponieważ część serii została wykupiona.

Na stronie producenta klocków można znaleźć osobną zakładkę dla dorosłych – i to bynajmniej nie dla rodziców poszukujących prezentów dla dzieci. „Odłóż smartfon, otwórz pudełko i zrelaksuj się. To czas dla Ciebie" – za-



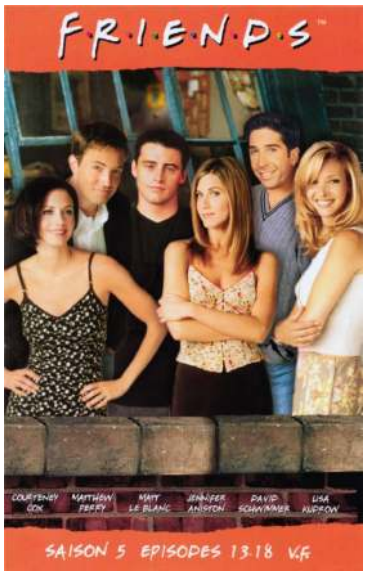
Od lewej: klocki Lego Simpsons, 2025 r.



Poczciwa Amiga 1000 z 1985 r.; uwspółcześniona wersja komputera pojawi się na rynku w 2026 r.

eprasa.pl fa89fff25f

chęca LEGO, promując w ten sposób zarówno *kidult*, jak i *offline vibe*. Pierwsze pojęcie, nie takie nowe, odnosi się do dorosłych, którzy od tej dorosłości i związanej z nią presji próbują uciec (zbitka ang. *kid* i *adult*, dzieciorosły). Drugie – do cyfrowego detoksu (*Offline is the new online*, można usłyszeć). Kidulci są gadżeciarzami i kolekcjonerami, do tego bywają sentymentalni, stanowią więc świetny *target* dla producentów wszelkiej maści klasyków i ikon. Z kolei młodzi u progu dorosłości, wyrośli już w cyfrowym świecie, także próbują uciekać, tyle że od mediów społecznościowych: ich przeskalowanych emocji, drapieżności, pędu. Wylogowanie się z sieci, szukanie bardziej analogowych form stymulacji niż przeglądanie rolek, określane jest wręcz mianem nowego luksusu. Choć niejednokrotnie ten detoks od social mediów i tak jest na nich prezentowany albo stanowi *content* kolejnych rolek i wpisów. Jak w przypadku wiralowego prezentowania swoich *analog bag*, toreb, do których pakuje się wszystko to, co może odciągnąć naszą uwagę od ekranu smartfona – czyli książek, krzyżówek, tamborków do haftowania…



Plakat legendarnego serialu tv „Przyjaciele", sezon 5, 1998–99 r.

Dynastia i Heweliusz. A przecież można po prostu odłożyć telefon i włączyć oldskulowy telewizor. Tam też dotarła moda na dawne hity i retroformaty. Polsat wskrzesił słynną „Randkę w ciemno", TTV – „Idź na całość". Spekuluje się, że reaktywowany może też zostać „13 posterunek". Legendarne seriale z tamtych lat („Przyjaciele", „Seks w wielkim mieście", „Z archiwum X", „Bajer z Bel-Air" czy „Kroniki Seinfelda") można zaś znaleźć na platformach streamingowych. Jest tam nawet „Dynastia"! I ta uwspółcześniona, skrojona pod obecne czasy Kardashianów, Hiltonów i Trumpów. I ta, która niegdyś sprawiała, że ulice polskich miast pustoszały.

Wychodząc z PRL, Polacy zachłysnęli się Zachodem: jego trendami, wolnorynkową oprawą, ale też kiczowatością. Młodzi tamtych czasów chcieli być niczym bohaterowie kultowego dziś „Beverly Hills 90210"; muśnięci słońcem, ubrani w jeansy z wysokim stanem, przeżywający młodzieńcze perypetie i dramaty w iście kalifornijskiej oprawie. Starsi tymczasem celowali w „Dynastię"; serial ten – pean na cześć kapitalizmu – był symbolem marzeń Polaków, które ziścić miało nastanie III RP. Nie dziwi więc, że kolejne odcinki losów słynnej familii Carringtonów (emitowane w Polsce od połowy 1990 r. do niemal końca 1993 r.) gromadziły przed telewizorami rzesze widzów, a główni bohaterowie, Krystle i Blake, byli uznawani za wzory do naśladowania.

„Trzeba sobie jasno powiedzieć, że jeśli w Polsce mamy kapitalizm, to nie dzięki Balcerowiczowi, który nas gnębił i gnębi, lecz dzięki »Dynastii«, która uczyła nas smaku pieniędzy i dobrego życia, rozbudzając ambicje i wolę walki o nowy, piękny świat kapitału" – przekonywał w 1991 r. na łamach „Gazety Wyborczej" socjolog Jerzy Wertenstein-Żuławski.

Z czasem okazało się, że serwowany na ekranach telewizorów kapitalizm w wersji *glamour* nie ma szans w konfrontacji z rzeczywistością: bezrobociem, chaosem gospodarczych przemian. Serialowa rzeczywistość „Dynastii", „Beverly Hills 90210" czy później „Mody na sukces" lub „Melrose Place" pozostała więc ułudą, czystym eskapizmem. Bliższa polskim realiom była już chyba rzeczywistość latynoskich telenoweli, które w tym czasie również zaczęły zalewać polskie ekrany i wraz z którymi – co także chętnie przypominają w mediach społecznościowych milenialsi – Polacy uczyli się hiszpańskiego.

Najntisy bez nadmiaru sentymentalnego lukru wskrzeszają dziś ci, którzy pamiętają je jeszcze z podwórka. W podkaście kulturalnym POLITYKI scenarzysta Kasper Bajon (rocznik 1983), pomysłodawca serialu „Heweliusz", przyznał, że nie pamiętał kontekstu i szczegółów katastrofy promu z 1993 r., bo oglądał wtedy świat z perspektywy placu zabaw. Ale ogólny nastrój i doniosłość tamtych wydarzeń utkwiły mu w głowie na tyle, że postanowił to po latach opisać. „Heweliusz", „Wielka woda" o powodzi tysiąclecia w 1997 r. czy kryminalny „Rojst", ukazujący polską chaotyczną codzienność w przeddzień nowego tysiąclecia – wszystkie te seriale (w reż. Jana Holoubka) próbują uchwycić klimat epoki, czasów wielkich nadziei i jeszcze większej improwizacji. Co ciekawe, Szwed Henryk Evertsson (rocznik 1987) z podobnych pobudek nakręcił serial dokumentalny „Estonia – katastrofa na morzu" (ten prom zatonął w 1994 r.).



Koncert Oasis w Mexico City, 2025 r.

eprasa.pl fa89fff25f



Boomboxy, radioodtwarzacze, koniecznie w dużych rozmiarach, wzory z lat 80. i 90.

Disco polo i niewinni czarodzieje. Dziś zatem 30- i 40-latkowie usiłują rozwiązywać zagadki, o których coś kiedyś słyszeli. Lub na nowo badać dawne fenomeny, jak disco polo, któremu w latach 90. poświęcano emitowane w dobrych porach programy telewizyjne. Dziś to nisza (pomijając weselne konteksty), której można się badawczo przyglądać. Na Podlasiu powstaje Centrum Disco Polo, Państwowe Muzeum Etnograficzne organizowało nie tak dawno ekspozycję „Disco Relaks" w ramach cyklu „Rzeczy Kultowe".

W filmowym „Disco polo" (2015 r.) Macieja Bochniaka fenomen lat 90. i disco polo spotykają się przelotnie i sprowadzają się do marzeń o wielkiej karierze na wzór amerykański. Więcej o samym disco polo miał do powiedzenia „Zenek" (2020 r.) Jana Hryniaka. „To prawda, że w pierwszych latach po transformacji wszystkim się wydawało, przynajmniej przez moment, że nie zmieniając adresu, przeniosą się do Ameryki, i prawda, że chłonęliśmy cudzoziemszczyznę, byleby tylko była z Zachodu, ale disco polo nie mieściło się w tym wielkim śnie Polaków – pisał w POLITYCE przed laty Zdzisław Pietrasik. – Wręcz przeciwnie, powstawało niejako w opozycji, miało być muzyką łatwą, lekką i przyjemną. Naszą, tutejszą, swojską, buraczano-pszenną".

Sami milenialsi, co znamienne, nie doczekali się jeszcze w polskim kinie portretu na miarę wajdowych „Niewinnych czarodziejów". Jak pisze w serwisie culture.pl Bartosz Staszczyszyn, „minęło ledwie kilka lat i już zmuszeni zostali do ustąpienia kolejnej generacji – tzw. zetkom". Na przestrzeni tych paru lat powstało m.in. „Hardkor disko" (2014 r.) Krzysztofa Skoniecznego, brutalny manifest wymierzony w dorobkiewiczów, czyli bezideowe pokolenie rodziców. Na tym tle 30-latkowie z filmu „Kamper" (2016 r.) Łukasza Grzegorzka to jeszcze marzyciele, którzy chcieliby łączyć pasję z pracą i nie zatracić młodzieńczych aspiracji – te zasady milenialsi usiłowali sobie wdrukować, nazywani potem pokoleniem zawiedzionych, sfrustrowanych dorosłych, dobrze odmalowanym w dzisiejszych powieściach kryminalnych Wojciecha Chmielarza czy Jakuba Żulczyka.

Kevin i ciężarówka Coca-Coli. Milenialsi na pokrzepienie dodają, że dorastali w złotej erze filmów, zwłaszcza amerykańskich (to czasy „Pulp Fiction", „Skazanych na Shawshank" czy „Forresta Gumpa"), kręconych jeszcze na taśmie, co prawda z poślizgiem, ale już dystrybuowanych w polskich kinach. I na pirackich kasetach, więc frekwencja w owych kinach nie była wcale oszałamiająca, przeciwnie, gdy one zamykały się na potęgę, w całym kraju pączkowały wypożyczalnie wideo. Dziś kaseta wideo i nośnik w postaci magnetowidu to wspominane z rozrzewnieniem relikty przeszłości. Jak mówi PigOut, wirtualny twórca, w wydanej wspólnie z Przemkiem Corso książce „VHS. Przewińmy to jeszcze raz" (2025 r.): „Kiedyś wszyscy byliśmy w tym samym strumieniu filmów i seriali. Jak wybijał jakiś film na VHS-ie, to wszyscy kolejno go odhaczali. Seriale oglądało się w telewizji, a że kanały mogłeś zliczyć na palcach, to przerabialiśmy generalnie to samo. To generowało dyskusje, bo wszyscy się orientowaliśmy w temacie, a teraz to się jakoś rozjechało".

Za to kina odżyły w ostatnich latach podmywane również nostalgiczną falą – po to powstają sequele, rebooty, remake'i, spin-offy. Władysław Pasikowski wskrzesił „Psy", przebój lat 90., gdy w Polsce święciło triumfy zwłaszcza kino gangsterskie i gatunkowe. Ciągu dalszego doczekał się „Fuks" Macieja Dutkiewicza. O światowej kinematografii, która zasila również zasoby serwisów streamingowych, nie wspominając – twórcy wskrzesili już „Mumię", „Matrixa" czy „Toy Story", wracają też w nowych odsłonach starsze filmy, ale w Polsce dopiero w latach 90. masowo oglądane, jak „Top Gun", „Mad Max" czy „Indiana Jones". Do tego filmy animowane w aktorskich wersjach fabularnych: „Król Lew", „Księga dżungli", „Zakochany kundel" czy „101 dalmatyńczyków". W różnych inkarnacjach – książki, filmy, seriale, gry, albumy, zabawki – odradzają się ciągle Harry Potter i rodzimy wiedźmin. Jak zauważa Bartosz Staszczyszyn: „W epoce przepychu i streamingowego nadmiaru telewizyjne produkcje starzeją się nieporównanie szybciej i nieporównanie szybciej zyskują status fenomenów retro".

Nic tak zarazem nie porusza czułej sentymentalnej struny jak oryginalne filmy, restaurowane, pokazywane znów na wielkim i małym ekranie. Multikino organizuje regularnie cykl „Kultowe kino z Lotto" („To coś więcej niż seans filmowy. To lekcja historii, warsztat artystyczny, sesja terapeutyczna i okazja do budowania więzi społecznych, wszystko w jednym"). W katowickim kinie Kosmos była prowadzona edukacja nostalgiczna. Octopus Film Fest przywraca pamięć produkcjom kultowym, ale i kiczowatym, co dziś często idzie w parze. Kanał Kino Polska w ramach własnej *millennial nostalgia* wyemitował w 2025 r. serię klasyków ostatniej dekady XX w., od „Młodych wilków" (1995, reż. Jarosław Żamojda) po „Nocne graffiti"

Kto i gdzie wskrzesza klimat dawnych lat

- Agnieszka Wróbel, Sentymenty_oficjalnie (Instagram: @sentymenty_oficjalnie, TikTok: @sentymenty_oficjalnie);
- Aleksandra Nowicka (Instagram: nowicka_aleksandra);
- Duch Przeszłości (TikTok: @duch. przeszlosci);
- Duchologia Olgi Drendy (WWW i Instagram: @duchologia);
- Estetyka lat 90-tych (TikTok: @90s_poland);
- Joanna Jasitczak (Instagram: @joannajasitczak, TikTok: @joanna_jasitczak);
- Make Life Harder (regularnie i z sentymentem; Instagram: @make_life_harder);
- Marcela Bielawska-Gwoździej (Instagram: @marcela. nostalgicznie, Facebook: @marcela. nostalgicznie);
- Nostalgiczna (Instagram: @nostalgiczna_oficjalnie);
- Patryk Turski, Gimby nie znajo (YouTube, Instagram, TikTok: @gimby. nie. znajo);
- Podcastex (demitologizujący podkast o latach 90. i 00., prowadzony przez Bartka Przybyszewskiego i Mateusza Witkowskiego; do śledzenia na Spotify i YouTube);
- Polish Nostalgia (Instagram: @polish_nostalgia);
- TeleNostalgia (Instagram: @tele. nostalgia. official);
- 90s Rewind (anglojęzyczny kanał na YouTube poświęcony „najlepszej dekadzie w dziejach").

eprasa.pl fa89fff25f

(1997, reż. Maciej Dutkiewicz). Ostatnim dużym wydarzeniem był powrót „Nienawiści" (1995) Mathieu Kassovitza, kontrowersyjnej opowieści o mizernej, pozbawionej perspektyw egzystencji mieszkańców francuskich blokowisk (*banlieues*). W realiach życia ówczesnych 20-latków przeglądają się młode pokolenia dzisiaj, także w Polsce.

A chyba największy fenomen stanowi i na powrót zawsze może liczyć „Kevin sam w domu" (amerykański hit z 1990 r. – na ekrany polskich kin trafił dwa lata później), bez którego Polacy nie wyobrażają sobie już Bożego Narodzenia. Kiedy w 2010 r. Polsat chciał zrezygnować z emisji komedii, w sieci zawrzało. Do telewizji zaczęły napływać protesty, w internecie pojawiła się nawet petycja w tej sprawie. Ostatecznie Polsat, jak co roku, nadał film. I pewnie długo z niego nie zrezygnuje – tym bardziej że „Kevin sam w domu" i jego druga część, czyli „Kevin sam w Nowym Jorku", wciąż biją rekordy popularności; w 2024 r. były to dwa najchętniej oglądane w telewizji filmy w Polsce, które gromadziły przed odbiornikami odpowiednio 3,34 i 1,97 mln widzów (dane Nielsen Media). Bo podobnie jak czerwone ciężarówki sunące nocą przez ośnieżone drogi z kultowej reklamy Coca-Coli (która również pojawiła się w latach 90.!), to już element naszej świątecznej tradycji.

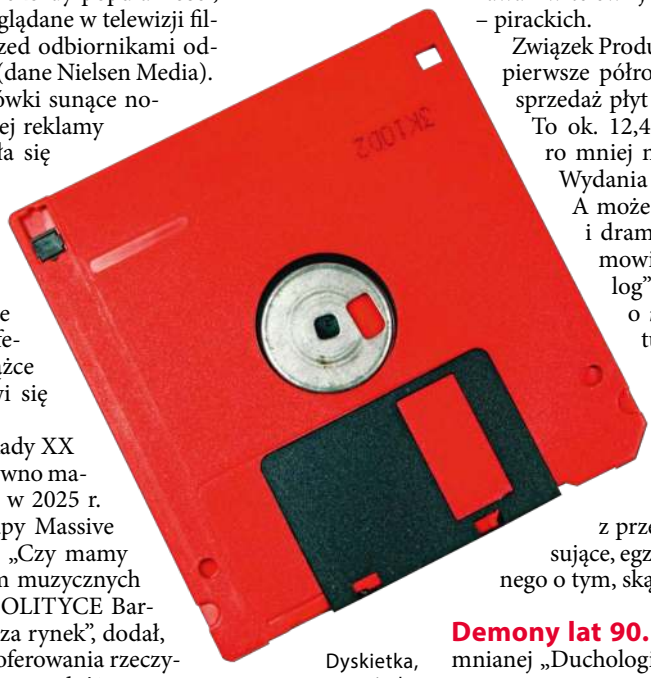
Soundtrack dekady. Muzyka też powraca i nadal sprawdza się zasada, że lubimy te piosenki, które już kiedyś słyszeliśmy. Pisał o tym fenomenie Simon Raynolds w książce „Retromania. Jak popkultura żywi się własną przeszłością".

Ścieżka dźwiękowa ostatniej dekady XX stulecia to był solidny trzon, a na pewno magnes letnich festiwali muzycznych w 2025 r. Koncerty wznowiły po latach grupy Massive Attack, Oasis, Pulp czy Stereolab. „Czy mamy do czynienia z nowym pokoleniem muzycznych dinozaurów?", zastanawiał się w POLITYCE Bartek Chaciński. „Przemijanie napędza rynek", dodał, nawet jeśli sami twórcy mają do zaoferowania rzeczywiście coś więcej niż sentymentalną podróż w przeszłość. Miłość do kapel słuchanych w czasach młodości nie zardzewiała, ale mocno podrożały bilety (podrożały właśnie dlatego, że nie zardzewiała). Dla samych twórców to jest już zupełnie inny rynek – konkurencyjny, nasycony, podporządkowany algorytmom platform streamingowych i mediów społecznościowych. Dzięki wiernej bazie słuchaczy łatwiej się w nim na nowo odnaleźć. Wszyscy ci twórcy dziś mają widownię co najmniej dwupokoleniową.

W jakiejś mierze dzięki nostalgii Justyna Steczkowska wróciła po 30 latach na konkurs Eurowizji. Comeback od jakiegoś już czasu zapowiada Edyta Bartosiewicz. Kasia Kowalska nadal gra repertuar z debiutanckiej płyty „Gemini" (1994). Zespół Hey zawiesił działalność, ale jego liderka Katarzyna Nosowska w wydaniu solo wciąż jest artystycznie aktywna. Tak jak Artur Rojek i Myslovitz, choć oni już osobno. Nazwy zachowały, a wokalistki wymieniły grupy Varius Manx, Blue Cafe czy Łzy. To zatem sukcesy czy porażki? „Z wielkimi gwiazdami lat dziewięćdziesiątych los obszedł się brutalnie. Pozycję udało się utrzymać jedynie Katarzynie Nosowskiej i Agnieszce Chylińskiej" – twierdzi Tomasz Lada w książce „Wszystko jak leci. Polski pop 1990–2000" i kończy tę myśl litanią niepowodzeń, niemrawych powrotów i zniknięć, zresztą nie tylko twórców, ale i prasy muzycznej.

Cała nadzieja w nowych odbiorcach. Fascynacja młodszych pokoleń jest osobliwa, bo bazuje na nostalgii w sposób zaoczny, zapośredniczony. Romantyzują więc epokę subkultur, plakatów na ścianach, z boomboxami, za to jeszcze bez smartfonów i internetu w kieszeni. To też epoka obśmiewanych z życzliwością półprofesjonalnych teledysków, w których w roli telefonu występuje kalkulator itd. Generacje Z i Alfa zamieniają przykurzone hity w nowe przeboje, przekopują archiwa w poszukiwaniu charakterystycznego *vibe'u* (klimatu) minionej dekady, przywracają świetność i młodość autorom często *one hit wonder,* jednego ledwie przeboju. Dla nich to folklor, zamierzchła przeszłość, a czasem autentyczna wartość.

Pod koniec 2025 r. wyszło na jaw, że MTV, w ramach cięcia kosztów, zamyka w Europie swoje całodobowe programy muzyczne – młodsi nie wiedzą, co to takiego, od klipów i wariacji na ich temat mają YouTube i TikToka. Dla milenialsów to koniec pewnej epoki. Oni muzykę poznawali w telewizji, radiu i z płyt CD, również – znów – pirackich.



Dyskietka, pamiątka po pionierskich czasach komputeryzacji.

Związek Producentów Audio-Video podał, że przez pierwsze półrocze 2024 r. aż o 40,1 proc. wzrosła sprzedaż płyt CD i osiągnęła wartość 48,7 mln zł. To ok. 12,4 proc. rynku fonograficznego, sporo mniej niż streaming, ale więcej niż winyle. Wydania CD kupują głównie kolekcjonerzy. A może też młodsi odkrywcy? Scenarzystka i dramatopisarka Maria Wojtyszko w rozmowie z czasopismem teatralnym „Dialog" wspomina, że chodziła na zajęcia o *najntisach* w ramach studiów z kulturoznawstwa: „Zabawne, bo wróciłam na studia po dłuższej przerwie i byłam na tych zajęciach otoczona przez ludzi dwudziestoletnich, którzy zadawali pytania. Mnie te pytania uświadamiały, że coś, co dla mnie jest nic nieznaczącą anegdotką z przeszłości, dla innych może być interesujące, egzotyczne nawet. Może mówić coś ważnego o tym, skąd wzięła się dzisiejsza Polska".

Demony lat 90. Istotne zastrzeżenie czyni we wspomnianej „Duchologii polskiej" Olga Drenda: lata przełomu pamiętamy w sposób widmowy, zniekształcony, choć to świeża historia i teoretycznie bardzo dobrze udokumentowana. A jednak dziwna, pełna paradoksów, luk, duchów i demonów, jak choćby irracjonalny strach przed przełomem milenium. Na pozór pełna światła i feerii barw, które dziś przyćmiewają realia czasów. „Ponieważ często wypowiadają się w nich [programach o latach 90.] ludzie, którzy właściwie dorastali już w internecie, a przynajmniej w świecie zglobalizowanym, przywołują w pamięci to samo, co ich rówieśnicy z Niemiec czy USA – widzimy więc bezustanne parady neonowych sprężynek, kolorowych wrotek, jajek Tamagotchi, zdjęć boysbandów i kadrów z »Beverly Hills 90210«. Dziwnym trafem to ten serial dzisiaj jest uznawany za najbardziej emblematyczny dla polskich wspomnień dekady, a nie chyba popularniejsze »Przystanek Alaska«, »Cudowne lata« czy przygody Corky'ego w »Dniu za dniem«. Ale tak już bywa ze zjawiskami, którym przychodzi później, na skutek jakiejś ujednoliconej, zmutowanej pamięci zbiorowej »definiować dekadę«" – pisze Drenda. I jeszcze: „Wspominkowe narracje są zwykle wyidealizowane – albo przez mgiełkę nostalgii, albo przez warszawocentryczny punkt widzenia, w którym siłą rzeczy wszystko jest nieco szybsze, lepsze, zawiera większy procent sukcesu i świetlanej przyszłości".

Kapłani, kustosze i kupcy nostalgii dobrze to wiedzą i próbują wykorzystywać. W kółko.

MALWINA DZIEDZIC, ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

eprasa.pl fa89fff25f

W tej serii Pomocników Historycznych ukazało się dotychczas ponad 60 tytułów. Ostatnio były to:



Łącznie sprzedaliśmy ich już ***1,9 mln*** egzemplarzy.
Część pozycji jest jeszcze do kupienia w naszym sklepie internetowym ***www.sklep.polityka.pl***.
Są one także dostępne w aplikacjach mobilnych POLITYKI oraz dla cyfrowych prenumeratorów w internecie:
www.polityka.pl/cyfrowa.

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa 22, skr. poczt. 13
RECEPCJA GŁÓWNA *tel. 22 451-61-33, 22 451-61-34; tel. /faks 22 451-61-35*
ADRES INTERNETOWY www.polityka.pl
POCZTA ELEKTRONICZNA LISTEL (E-MAIL) polityka@polityka.pl
PREZES i REDAKTOR NACZELNY Jerzy Baczyński
Z-CY REDAKTORA NACZELNEGO Mariusz Janicki (Pierwszy Zastępca), Witold Pawłowski, Bartek Chaciński, Łukasz Lipiński (wyd. cyfrowe)
DYREKTOR WYDAWNICZY Piotr Zmelonek

REDAKTOR WYDANIA Leszek Będkowski
PROJEKT WYDANIA Malwina Dziedzic
OKŁADKA, GRAFIKA Marek Sobczak
WSPÓŁPRACA Patryk Zwoliński
FOTOEDYCJA Wojciech Leliński
OPRACOWANIE FOTOGRAFII Andrzej Kozak
FOTOGRAFIE Agencja Wyborcza (9), Alamy/BE&W (11), Ammirati Puris Lintas/Agencja Wasilewski (1), AN (2), Sebastian Balcerzak (1), Stanisław Ciok (6), DP (3), Walt Disney (1), East News (30), Facebook Jakobe Mansztajn (1), Forum (41), Fotonova (2), Getty Images (32), Hasbro (1), Human Genome Project (1), iD Software (1), KFP (5), Lego (1), Marcin Maciejowski (1), MP (3), Netflix (1), Ośrodek Karta (1), PAP (31), Łukasz Pawlęga CK (1), Photo12/BE&W (1), Radom na fotografii (1), Reporter (19), Janusz Romaniszyn (1), Shutterstock (5), Slum Attac (1), Tamagotchi (1), TikTok (1), TVP (1), Marcelo Zamenhoff (2). Okładka: Shutterstock.
KOREKTA Katarzyna Derdulska, Zofia Kozik, Joanna Lewandowska, Paulina Wejt
BIURO REKLAMY RECEPCJA *tel. 22 451-61-36, tel./faks 22 451-61-37, faks 22 451-61-68*, e-mail: reklama@polityka.pl
ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE
DRUK P/m'nt Leipa passion process technology

eprasa.pl fa89fff25f



Militaria.pl

BYDGOSZCZ DWORCOWA 43 • **GDYNIA** ŚWIĘTOJAŃSKA 84 • **KATOWICE** GALERIA KATOWICKA • **KRAKÓW** DIETLA 51 • **ŁODŹ** MANUFAKTURA
POZNAŃ POSNANIA • **SZCZECIN** AL. PIASTÓW 53 • **WROCŁAW** ALEJA BIELANY • **WARSZAWA** BLUE CITY • **WARSZAWA** TAMKA 49